

Daria Doncowa
ZUPA ze ZŁOTEJ RYBKI
spadowa
Z rosyjskiego przełożyła Agnieszka Lubomira Piotrowska
Świat Książki
Tytuł oryginału UCHA IZ ZOŁOTOJ RYBKI
Projekt okładki Małgorzata Karkowska
Zdjęcia na okładce Flash Press Media
Redaktor prowadzący Ewa Niepokólczycka
Redakcja Elżbieta Rawska
Redakcja techniczna Małgorzata Juźwik
Korekta Jadwiga Piller, Elżbieta Jaroszek
Copyright © by EKSMO Agency Inc.
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media Sp. z
o.o., 2004
Świat Książki
Warszawa 2004
Bertelsmann Media, Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa
Skład i łamanie PLUS 2
Druk i oprawa Wrocławska Drukarnia Naukowa
ISBN 83-7391-470-6 Nr 4714

DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ:

Nieściśle tajne
Zjawy w adidasach
Żona mojego męża
Kłamstwo na kłamstwie

Rozdział 1

W małżeństwie trudno jest tylko przez pierwsze dwadzieścia pięć lat, potem człowiek już rozumie, że nie może spodziewać się po partnerze niczego dobrego i zaczyna wieść szczęśliwe życie. Prawdę mówiąc, mnie ani razu nie udało się przetestować tej prawdy w praktyce, od wszystkich mężów uciekałam, nie doczekawszy srebrnego jubileuszu.

Jeśli mówić całkiem otwarcie, to nie udało mi się uczyć nawet dziesięciolecia związku małżeńskiego z żadnym z mężów, a jeśli mam przestać udawać nie wiadomo kogo, to muszę się szczerze przyznać: nie udało mi się wytrzymać w małżeństwie dłużej niż trzy lata.

Wyrwając się już cztery razy ze szponów małżeństwa, doszłam do wniosku, że zwierzę imieniem Daria Wasiljewa nie może żyć w niewoli, i zaprzestałam prób uzyskania statusu zamężnej kobiety. Ale niektóre moje przyjaciółki jak raz nastąpiły na grabie, tak robią to w nieskończoność. Zalicza się do nich Li-ka Sołodko. Bawiłam się na jej ośmiu weselach i nie mogłam wyjść z podziwu, że jej nie obrzydło tak za każdym razem przygotowywać ucztę nad ucztami, wkładać białą suknię, welon, wysłuchiwać uroczystych toastów gości, wróżących jej szczęście z kolejnym wybrankiem serca.

Oczywista sprawa, że dwanaście miesięcy po weselnych hulankach Lika wpadnie do Łożkina, rzuci się na kanapę i zanosząc się od płaczu, oświadczy:

- Kolka to bydlak! Biorę rozwód i wracam do panieńskiego nazwiska!

Lika jest do tego stopnia głupia, że za każdym razem zmienia nazwisko. W ostatnim czasie przysparza jej to nie lada kłopotów. W wielu formularzach, które musi wypełnić w różnych sytuacjach życiowych, znajduje się rubryka: „Czy zmieniał/a pan/i nazwisko?”. Uczciwa Lika złości się, próbując zmieścić w wąskiej ramce konieczne informacje: Kowalowa, Jermołowa, Szłykowa, Szełatunina, Arżannikowa, Nistratowa, Sołodko.

- Idioci - syczała - nie pozwalają pisać na marginesach. Jakim organem myślał ktoś, kto opracowywał ten formularz? Dlaczego tak mało miejsca zaplanował na odpowiedzi?

Nie miało sensu tłumaczenie Lice, że normalna kobieta zmienia

nazwisko raz, no dwa, dobra, niech będzie, trzy razy w swoim życiu. Lika powinna zatrzymać się na etapie pani Kowalowej albo pozostać przy panięmskim nazwisku, ale jak na złość, to akurat dosyć śmiesznie brzmi - Podujwietier. A Lika za każdym razem wychodziła za mąż na zawsze, przynajmniej bardzo w to wierzyła.

Dlatego też zupełnie mnie nie zdziwiło zaproszenie na kolejną ceremonię zawarcia związku małżeńskiego.

W piątek razem z Manią i Kicią wchodziłyśmy do restauracji „Łakomy Kasek”. Przy dźwigałyśmy dla Liki serwis na dwanaście osób. Fakt, nad wyraz tradycyjny prezent, ale nasza fantazja była na wyczerpaniu. W swoim czasie sprezentowałyśmy Lice komplet bielizny pościelowej, srebro stołowe, mikrofalówkę, pralkę, kryształowe kieliszki...

- Mam nadzieję, że jedzenie będzie smaczne - szepnęła Maniunia, obciągając sukienkę - nienawidzę spódnic, chyba że ktoś inny je nosi, wiecznie się zadzierają...

- A kupże sobie w końcu jakąś mniej obcisłą, w normalnym rozmiarze - rzuciła kaśliwie Kicia, kręcąc się przed lustrem. - Wiecznie byś chciała wyglądać lepiej i dlatego tak się ściskasz, a prawdę mówiąc, na próżno, szczuplej i tak już nie będziesz wyglądać!

Wtuliłam głowę w ramiona. No tak, teraz się zacznij! Maruśka napadnie na wredną Kicię... Ale Mania miała już za sobą okres szczeniackiego nieprzejednania. Wytwornie uniosła brew i spokojnie odpowiedziała:

- Tak, z pewnością masz rację, trzeba kupić sukienkę szerszą, rosne bez opamiętania, następnym razem wezmę czterdziestkę, a właśnie, Kiciunia, a jaki ty rozmiar nosisz?

- Trzydziesty szósty - odparła Olga z satysfakcją. - Przedwczoraj kupiłam sobie tę sukienkę i jestem bardzo zadowolona: trzydziesty ósmy po prostu ze mnie spada.

I kontynuowała falę zachwytów nad sobą.

- Obawiam się, że jesteś w wielkim błędzie - westchnęła Mania. - Nie chciałam cię martwić, ale tyjesz, i to bardzo, zobacz, jakie masz fałdki tłuszczu na bokach.

- Gdzie? - Kicia przerażona wygięła nieprawdopodobnie szczupłą talię.

- A ta sukienka to rozmiar czterdzieści dwa.

- Chyba zwariowałaś! - Olga podskoczyła. - Trzydzieści sześć!

- Właśnie, że nie, czterdzieści dwa! Spójrz lepiej na metkę.

Kicia pobiegła do toalety, Mania zaś nad wyraz spokojnie zaczęła poprawiać włosy. Chwilę później zakłopotana Olga stanęła przede mną.

- Rzeczywiście, czterdzieści dwa, ale jak to możliwe? W sklepie przekonywali mnie, że to rozmiar trzydzieści sześć...

- W taki sposób sprytni sprzedawcy usiłują zadowolić klienta - niewinnie odparła Maruśka - no i kłamię w żywe oczy. Wybacz, ale jesteś grubsza ode mnie, zobacz, moja spódniczka, choć rzeczywiście, troszkę mnie opina, ma metkę trzydzieści osiem, a ty masz rozmiar czterdzieści dwa.

- Koszmar - wymamrotała Olga - ja tego nie przeżyję.

Oczy Kici zaczynały zachodzić łzami, a ja nieufnie spojrzałam na Manię. Olga wyglądała znacznie wytworniej od swojej szwagierki. Co za diabelskie sztuczki z tymi metkami - sama nie wiem.

- Halo, zapraszamy wszystkich do stołu! - krzyknął Witalij Kropotow - starczy tych wygibasów przed lustrem. Olga, czemu jesteś taka smutna? Czyżby twój durnowaty program w TV w końcu spadł z anteny na zбитy pysk?

- Żeby ci pypeć nie tylko na języku wyskoczył - obruszyła się Olga.

- My rozkwitamy.

- Czyli niedługo zaczniecie się kłosić, a potem zgnijecie - podsumował Witalik z zadowoleniem.

Olga zacisnęła zęby i weszła na salę.

- Co zrobiłaś z metką? - nie wytrzymałam.

Mania zachichotała.

- Nakleiłam obok słowa „rozmiar” cyfry „cztery” i „dwa”, wiesz, takie naklejki, które sprzedają do klawiatury komputera.

- Po co?

- Oj, mamuńciu - Marusia wciąż się cieszyła - Kicia z tą swoją dietą już całkiem zwariowała. Mogę się założyć, o co chcesz, że teraz tutaj nawet wody mineralnej nie wypije!

- No, ale przecież wyjaśnisz jej, że to dowcip?

- Pewnie. Jutro.

Chciałam wygłosić Marusi prelekcję o miłości bliźniego, ale w końcu się rozmyśliłam. Olga i Mania poradzą sobie beze mnie. Prawdę mówiąc, jedna warta drugiej - stałe docinki, złośliwości. A co do diety, to racja. Olga zachowuje się jak nienormalna, bez problemu może schować się za kijem do hokeja, niemniej jednak siada przy stole z kalkulatorem, na którym w skupieniu wylicza ilość spożytych kalorii. Dwa listki sałaty -to dwadzieścia, filiżanka kawy bez cukru - zero, tost z dżemem... O, to za nic w świecie! Tost z dżemem! Całe sto pięćdziesiąt kalorii, a w kilodżulach jeszcze gorzej - prawie pięćset! I tak w czasie każdego posiłku. Kiedyś Arkaszka zezłościł się i zabrał żonie kalkulator, ale godzinę później Olga miała w rękach nowy.

- Ekran dodaje dziesięć kilo - mamrocze Kicia, odgryzając maleńki kawałek banana - m... m... m... jakie pyszne. Zdarzają się tacy szczęśliwcy, którzy mogą zjeść całego!

Spór z Kicią, jakakolwiek próba przekonania jej, jest niemożliwy, dlatego każdy w domu przygotował własną taktykę.

- Słuchaj, Kita - powiedział wczoraj wieczorem Kieszka - na jutro zapowiadają w Moskwie wiatr, dość silny.

- No i co z tego? - zapytała czujnie Olga.

- Weź od Iwana z szopy dwie cegły.

- A po co?

- Włóżysz do kieszeni, żeby cię huragan nie porwał - wyjaśnił mążulek, chichocząc.

Olga trzepnęła go po głowie gazetą. Dziś rano, kiedy zażywała kąpieli w wannie, Arkaszka, szczerze zaniepokojony, krzyknął:

- Kicia, błagam, tylko nie wyjmuj korka!

- Dlaczego? - Znów połknęła haczyk.

- Żeby cię do rur nie wessało - wyjaśnił jak gdyby nigdy nic Kieszka.

- Potem trzeba będzie cię wyławiać, szorować...

Maruśka też bez końca szydzi z bidulki, której się marzy ujemna waga, ja demonstracyjnie jem na jej oczach ciastka i czekoladki, ale najbardziej wyrafinowany jest Diegtiariow. Na początku lata przyniósł Kici w prezencie śliczny T-shirt, najwyraźniej kupiony w dobrym sklepie.

- No, no, niezły jesteś - pisnęła Olga - ileś na to wydał!

Natychmiast wciągnęła prezent na siebie i zmieszana mruknęła:

- Za duży! O cały rozmiar! To ci pech!

- E, to żaden problem - palnął pułkownik. - Przez tydzień podjesz sobie blinów na słodko i będzie w sam raz!

Po tych słowach Mania, kaszląc, wybiegła na korytarz, Kieszka zakrztusił się herbata, a ja, patrząc na czerwoną ze złości Kicię i niewinnie mrugającego Aleksandra Michajłowicza, pomyślałam, że mój przyjaciel nie jest taki prostoduszny, jak się wydaje.

Porzuciłam beznadziejne próby ujarzmienia sterczących pod różnym kątem włosów, weszłam do dużej sali, usiadłam przy długim stole i postanowiłam dobrze się bawić na uroczystości weselnej.

W centralnym miejscu stołu siedziała Lika; jak zawsze w takich wypadkach, miała na sobie białą suknię i długi welon, przypięty do wianka ze sztucznych kwiatów. Myślę, że wkładanie na głowę owego symbolu niewinności, kiedy tuż obok siedzi dwudziestoletni syn, to trochę niedorzeczny pomysł, ale Lika lubi, kiedy wszystko odbywa się zgodnie z przyjętym rytuałem. Nowego męża widziałam po raz pierwszy: chuderlawy facecik o czerwonej twarzy i szyi. Albo młody małżonek ma problemy z ciśnieniem, albo jest mu po prostu duszno w garniturze i koszuli z krawatem. W końcu na dworze prawie trzydzieści stopni, za oknem upalny lipiec. Ja bym w takiej sytuacji ogłosiła amnestię dla nieszczęsnego młodzieńca, zaproponowała, by włożył coś lżejszego, bez ciasnego kołnierzyka, ale Lika nigdy nie poszłaby na kompromis. Na

weselu męska część założonej przed chwilą rodziny zobowiązana jest być w pełnej

gali i kropka. Dobrze jeszcze, że Lika nie upierała się przy smokingu, bo do tego stroju konieczna jest jedwabna szarfa wokół talii i bidulek mąż mógłby po prostu zejść z tego świata, nie doczekawszy nawet nocy poślubnej.

Jeśli kiedykolwiek byliście na weselu, to wiecie, jak rozwijała się akcja: niekończące się okrzyki: „Gorzko, gorzko!”, toasty, wręczanie prezentów, tańce...

Pod koniec byłam śmiertelnie zmęczona i marzyłam tylko o jednym: żeby jak najszybciej znaleźć się w domu, w swoim łóżku. Zresztą pozostali goście chyba również się zmęczyli, pan młody nie wiedzieć czemu zmarkotniał i siedział z niezadowolonym wyrazem twarzy, pewnie tak podziałał na niego alkohol. Jedna Lika wydawała się świeża i beztrosko wesoła.

Jakoś dosiedziałam do końca uroczystości i wróciłam do Łożkina. Od razu padłam do łóżka, wpychając sobie pod bok mopsa Hootcha. Przebudzenie było nagłe i niespodziewane.

- Ja go zabiję - zaczął się przeraźliwie drzeć Hootch, przygniatając mnie swoim ciężarem - zabiję, i to zaraz!!!

Przez sen wydawało mi się, że Hootchuś urósł i zamienił się w ogromne stworzenie, nie wiadomo czemu obrzydliwie pachnące perfumami Poison. Bardzo lubię francuskie kosmetyki, ale od mdłych, słodkich zapachów zaczynam się dusić.

Kaszłając, usiadłam na łóżku, rozkleiłam odrobinę powieki i ujrzałam rozhisteryzowaną Likę. Kichający Hootchuś powoli oddalił się w stronę korytarza; mops najwyraźniej też nie znosi zapachu Poison.

- Co ty tutaj robisz? Co się stało? Gdzie Jewgienij? - zaczęła lamentować Kicia, która wtargnęła do naszej sypialni.

Szykowała się do pracy i wyglądała teraz dość komicznie: miała na sobie eleganckie ciemnoniebieskie spodnie i górę od piżamy, jedno oko pomalowane, drugie jeszcze nie, i burzę jasnych włosów, sterzcących jak druty.

- Nie waż się wypowiadać przy mnie tego imienia. - Lika opadła na łóżko. - Zapomnijcie o nim!

Wstałam, kilka razy kichnęłam, potem zamknęłam okno, włączyłam klimatyzację i ostrożnie zapytałam:

- Pokłóciliście się?

- Kretyn! - zawyła Lika, chowając twarz w mojej poduszce. -Potwór... Westchnęłam. Przytulną puchową kołdrę i poduszkę trzeba teraz będzie oddać do pralni chemicznej, pewnie całe przesiąkną ohydnymi perfumami. Dziwne, że znana na całym świecie firma Dior, która stworzyła kiedyś takie wspaniałe zapachy jak Diorissimo, Diorella, Dolce Vita, wypuściła serię absolutnie obrzydliwych pachnideł. Albo może tylko mnie się takie wydają? No bo Lice się podobają, wylewa na siebie pół flakonika naraz.

- Rozwodzę się - nagle spokojnie oświadczyła moja przyjaciółka.

- Już? - krzyknęłyśmy jednym głosem z Kicią. Potem Olga kichnęła parę razy i dodała:

- Ale przecież przeżyłaś z nim tylko jeden dzień!

- W legalnym związku, podkreślam - rzekła Lika dobitnie. -Przedtem spędziliśmy razem pół roku! Potwór!

- Wiesz co - przerwałam jej - nie działaj pochopnie. Kłótnie małżeńskie się zdarzają. Posiedź u nas, może razem wyjdziemy gdzieś na obiad, a potem pojedziesz do domu i wszystko się ułoży.

- Rozwód - twardo oznajmiła Lika. - To, co się zdarzyło, było z mojej strony tragiczną pomyłką!

- Pomyśl - próbowała przemówić jej do rozsądku Olga -znów będziesz musiała zmienić nazwisko.

- Drobnostka - machnęła ręką moja przyjaciółka - w paszporcie, prawie jazdy i innych papierach na razie jestem Sołodko, przecież od ślubu minął dopiero jeden dzień...

- Trochę to dziwne wyjść za mąż na jeden dzień - bąknęła Kicia.

- Może wyjaśnisz nam, dlaczego postanowiłaś rzucić Jewgienija? -
usiłowałam zrozumieć sytuację.

Lika zaczęła płakać:

- Zdradził mnie, odszedł z inną!

- Kiedy? - znów zapytałyśmy chórem. - Kiedy zdążyła mu wpaść w oko
inna baba?

Poczułam lekkie zawroty głowy. Włączona na maksimum klimatyzacja nie
zabiła duszącego aromatu perfum. Może Lika

ma psychozę reaktywną? Zdarza się to ludziom, którzy nie potrafią się
znaleźć w okolicznościach działania vis maior. No, na przykład,
kierowca jedzie nabrzeżem, nie może zapanować nad wozem i wpada do
rzeki, a milicja wyławia z wody oszalałą, rozhisteryzowaną istotę.

Tak samo Lika - nadenerwowała się na weselu... Chociaż czym miałyby
się przejmować na kolejnym ślubie? Przecież to dla niej nic nowego.

- Wczoraj wieczorem Jewgienij zakochał się w jakiejś żdzirze -
oświadczyła Lika i wysiakała nos w róg mojej powłoczki -w malowanej
lali, obrzydliwej beczce sadła, ohydnej, dupiastej, koślawej...

- Poczekaj! - zapiszczała Olga. - Natychmiast opowiadaj wszystko po
kolei!

Nadal rozmazując gluty po mojej pościeli, Lika rozpoczęła chaotyczną
opowieść.

Rozdział 2

Od samego początku ich romans - Liki i Jewgienija - rozwijał się nie
tak, jakby tego chciała Lika. Pomimo dojrzałego wieku zachowała
zdolność zakochiwania się, a wszystkie jej małżeństwa rozpadały się
dlatego, że po raz kolejny traciła głowę i rzucała się w wir
namiętności. Jej kochankowie, którzy z czasem stawali się mężami,
wyglądali nad wyraz podobnie: wysocy, przystojni, blondyni. Również
jeśli chodzi o charakter, mieli ze sobą coś wspólnego: wszyscy byli
spokojni, opanowani, pracowali w różnych placówkach naukowych czy
instytutach na-ukowo-badawczych. Najciekawsze, że wszystkie romanse
rozwijały się według tego samego scenariusza. Odwiedzając męża w
pracy, Lika spotykała tam jego kolegę albo znajomego i natychmiast
znów się zakochiwała. Po zawarciu kolejnego związku małżeńskiego z
zapalem brała się do „rozwoju” kariery nowego męża. Zmuszała go do
obrony doktoratu i... wpadała na nowy obiekt namiętności, który
bezzwłocznie zaczynała mobilizować do napisania habilitacji. Na
miejscu przewodniczącego rosyjskiej komisji kwalifikacyjnej, ciała,
które potwierdza prawo do tytułu naukowego, wydałabym Lice dyplom
albo jakiś

inny papier o treści: „Nagradza się za wkład w rozwój rodzimej
nauki”. Czy przynajmniej sobie wyobrażacie, jak trudno zmusić
mężczyznę, by regularnie zasiadał przy biurku? A Lika w końcu
wyhodowała sześciu czy siedmiu docentów.

Jej mężów łączyła jeszcze jedna wspólna cecha. Otóż wszyscy oni
cierpieli na brak pieniędzy, czasem chronicznie, i Lika gorliwie
zarabiała rubelki, by odziać i obuć ukochanego. Można ją było
oskarżać o wszystko oprócz wyrachowania. Do brzęczącej monety
odnosiła się lekko, bez żalu wydawała zapracowane pieniądze i nigdy
nie zabijała się z powodu pustego portfela. Dzięki Bogu, miała tylko
jedno dziecko - Jurę, którego wychowała, jak umiała. Bez względu na
kalejdoskop tatuisiów Jura wyrósł na zupełnie normalnego, być może
trochę zbyt milczącego chłopaka, ale przy nader gadatliwej,
nieopanowanej mamusi z innym usposobieniem po prostu by nie przeżył.
O ile pamiętam, Jura zawsze siedział w kącie z grubą książką w rękę.
Siedem miesięcy temu zaprosiła Likę Wierka Karapietowa i oznajmiła:

- Dość tego liczenia drobniaków, starzejesz się.

- Zwariowałaś? - oburzyła się Lika. - Jestem jeszcze całkiem młoda.

- To tylko tak ci się wydaje - nie poddawała się Wierka. -A zresztą
książeczka oszczędnościowa z solidnym wkładem jest dobra w każdym
wieku. W każdym razie znalazłam dla ciebie wspaniałego narzeczonego.

- Jestem mężatka - przypomniała Lika.

- No i co z tego? - zdziwiła się Wiera. - Rozwiedziesz się, wielkie

mi rzeczy. Jewgienij jest bardzo bogaty i samotny, świetna partia, dziś wieczorem idziemy do restauracji, bądź łaskawa okazać trochę zainteresowania.

Lika stawiała lekki opór, ale polemika z Wierą jest niemożliwa: jeśli ta wbije sobie do głowy jakiś pomysł, to nic jej nie powstrzyma, póki nie zrealizuje swoich zamierzeń. Tak czy inaczej Lika znalazła się w knajpie.

Ewentualny narzeczony rozczarował ją od razu. Facecik był niewielkiego wzrostu, zupełnie inny typ urody niż poprzedni romeo. Lika zjadła kolację, pozwoliła odwiedzić się do domu i zdecydowanie odmówiła kolejnego spotkania. Najwyraźniej kawaler poskarżył się Wierce, ponieważ ta zadzwoniła do Liki i zapisała:

- Zwariowałaś chyba, kretynko! Żenia ma willę za miastem, mieszkanie, samochód, własny interes...

- Ale on mi się nie podoba - zaprotestowała Lika. - Nie uderzył w struny mojej duszy!

- Też mi coś, bałałajka się znalazła - rozjuszyła się Wierka. -No i co masz z tego, że całe życie się zakochujesz? Przecież ty nawet nie masz pary porządnych butów, bida z nędzą. Siebie możesz olać, ale pomyśl o dzieciaku, myślisz, że mu przyjemnie ubierać się w starzyznę? A mieszkanie? Toż ta twoja dwupokojowa nora jest obrzydliwa!

Lika westchnęła ciężko i obiecała przemyśleć sprawę. Słowa Wierki zawiarały pewną dozę prawdy, więc Lika zgodziła się spotkać z Jewgienijem jeszcze raz. Miesiąc później rozwiodła się z mężem i zaczęła uwielbiać Żenię. Niech tam będzie chłop czarnowłosy, niski i nieładny, olać zarysowującą się łysinę i sztuczne zęby, wszystko to wynagradzał sposób bycia Jewgienija. W krótkim czasie zasypał wprost Likę prezentami: kupił jej górę ubrań, litry perfum i kilogramy złotej biżuterii; Jura też nie został pominięty. Z podrzędnej uczelni przeniósł się na Uniwersytet Moskiewski, i to nie byle gdzie, lecz na supermodny kierunek - psychologię. I jeszcze dostał chłopak nowiuśkie srebrne żiguli dziesiątkę.

Okres narzeczeństwa zakończył się weselem. W dzień ślubu zakochana, szczęśliwa Lika odebrała kilka nieprzyjemnych sygnałów. Po pierwsze, kiedy przy dźwiękach marsza Mendelssohna, już jako legalna małżonka, szepnęła mężowi: „A teraz weź mnie na ręce i wynieś z sali”, to w odpowiedzi usłyszała szept: „Nie, podskoczyło mi ciśnienie, więc nie mogę dźwigać ciężkiego”.

Lika najpierw się obraziła, ale potem postanowiła nie zwracać uwagi na faux pas świeżo upieczonych małżonków. Następnie, znów powołując się na złe samopoczucie, Jewgienij odmówił zaniesienia na rękach żony do samochodu, ale najbardziej druzgoczący cios dopiero czekał pannę młodą. Kiedy cudowny mercedes podwiózł Likę do hotelu, gdzie „młodożeńcy” zamierzali spędzić noc poślubną, w pokoju zastawionym niezliczoną

ilością wazonów i koszy z różami, obok stolika, gdzie w srebrnym wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana, odbyli bardzo nieprzyjemną rozmowę.

- Wybacz, moja droga - oświadczył Jewgienij - ale pokochałem inną kobietę.

Lika omal nie spadła ze wspaniałego fotela na nie mniej wspaniały dywan. Miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Co masz na myśli? - zapytała nowo poślubionego małżonka.

I wtedy mąż wyrzucił z siebie potok słów. Im dłużej Lika go słuchała, tym bardziej nic nie rozumiała. Możecie sobie wyobrazić, do jakiego stopnia była zaskoczona, skoro ani razu nie przerwała Jewgienijowi i wysłuchiwała go do końca! A on ze stoickim spokojem wyrzucał z siebie okrutne słowa:

- Rozumiesz, przed tobą miałem żonę, osobę zupełnie nieodpowiedzialną, straszliwie rozrzutną, namiętą wielbicielek brylantów. Wcale mnie nie kochała, za to uwielbiała mój portfel.

W końcu sytuacja dojnej krowy znudziła się Jewgienijowi i po

zapłaceniu niemałego odstępnego, udało mu się rozwieść. Wygrzebał się z pierwszego małżeństwa i nie śpieszył się do zakładania nowych kajdanów. Oczywiście miał kochanki, ale wszystkie one przede wszystkim kochały jego platynową kartę VISA, a Jewgienija traktowały jako pewien przykry dodatek do miłych sercu dolarów.

No a potem Wierka Karapietowa zakasała rękawy i zabrała się do układania życia osobistego Jewgienija, podsuwając mu Likę. Proponowana narzeczona spodobała mu się od razu. Wyglądała całkiem sympatycznie i w ogóle nie była chciwa. Niezbyt rozpieszczana przez los, Lika tak się ucieszyła z tandetnych pozłacanych kolczyków, które kawaler podsunął jej w charakterze papierka lakmusowego, jako specyficzny test, że Jewgienij się zawstydził i natychmiast kupił Lice brylantowy wisiorek.

Byli ze sobą pół roku. Po tym czasie Żenia zrozumiał, że Lika w zupełności odpowiada jego wymaganiom, więc się oświadczył. Nie pałał do niej bynajmniej namiętą miłością, ale w głowie tkwiła mu jedna myśl: ta żona będzie go cenić i szanować, wdzięczna za wyciągnięcie z dołka finansowego. Obecność Jurija nie napełniała Żeni niepokojem. Po pierwsze, chłopak był już dorosły, a po drugie cichy, nierozpieszczony, prawdziwy „kujon” - taki nie sprawia nieprzyjemnych niespodzianek.

W dniu ślubu Jewgienij w doskonałym nastroju zjawił się w USC i zaczął przyjmować od gości gratulacje. Ceremonia była przygotowana z rozmachem, ponad dwieście osób zjawiło się z kwiatami i prezentami. Najpierw złożyli przysięgę, potem przeszli do sali bankietowej, dosłownie dwa kroki od USC. Nieoczekiwanie do Jewgienija podeszła zupełnie nieznaną młodą kobietą i z radosnym uśmiechem rzuciła mu się na szyję.

- Gratuluję z całego serca, niech pan będzie szczęśliwy, zasłużył pan na to. Proszę zjeść ten cukierek, dzięki zaklęciu przyniesie szczęście.

Jewgienij machinalnie wziął drażetkę, którą dziewczyna wytrząsnęła mu na dłoń z jaskrawej torebki.

- Proszę zjeść - powtórzyła. - Specjalnie dla pana pracował nad nimi bioenergoterapeuta. Cukierek przyniesie panu szczęście.

Jewgienij uśmiechnął się, nie wierzył w takie brednie, jak zaklęte słodycze, ale dziewczyna, zresztą niczego sobie, a właściwie prawdziwa piękność, blondynka o wyrazistych niebieskich oczach i delikatnej porcelanowej karnacji, patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Ten głuptasek naprawdę był przekonany, że cukierek jest zaczarowany. Wciąż pobłażliwie się uśmiechając do głupiutkiej dziewczyny, Jewgienij wsunął cukierek do ust, gdzie ten natychmiast się rozplynał. W tej chwili Jewgienij poczuł, że od nieznanym pachnie leciutko jakimiś dziwnymi perfumami o odurzającym aromacie. Cofnął się o krok, spojrzał na nią i zrozumiał, że oto stoi przed nim marzenie jego życia. Tak sobie właśnie wyobrażał kiedyś w młodości przyszłą żonę. Wszystko w nieznanym było piękne: ogromne ciemnoniebieskie oczy, jasne włosy splecione w gruby warkocz, cudowna figura oraz uśmiech - czuły, delikatny, szczerzy. Kiedy Jewgienij próbował przyjść do siebie, Lika szarpnęła go za rękaw:

- A ty co tak osłupiałeś?

- A... jakoś tak... - wymamrotał, z przerażeniem zdając sobie sprawę, że już jest żonaty, ale nie z tą, której pragnie.

Uczta weselna trwała w najlepsze, a nad Żenią jakby zgromadziły się czarne chmury. Ogarnęło go ponure rozdrażnienie: rozbawieni goście, gadatliwa Lika. Boże, dlaczego tak się pośpieszył, dlaczego nie pożył na kocia łapę jeszcze z rok, albo dwa, dlaczego od razu rzucił się do formalizowania związku z obcą mu kobietą?

Od czasu do czasu Żenia pochylał głowę i wdychał aromat nieznanym perfum, który osiadł mu na klapie marynarki. Pachnidło było wyjątkowo trwałe i z każdym oddechem Żenia znów widział niezwykle miłe sercu lizeczko o oczkach jak lazur. Likę już prawie znienawidził.

Cały wieczór Jewgienij szukał wzrokiem nieznanym. Przy stole siedziała kupa ludzi, których w większości nie znał. Byli to

niezliczeni znajomi niezmiernie towarzyskiej Liki. Zresztą całkiem możliwe, że tajemnicza nieznajoma piękność przyszła z którymś z jej przyjaciół. W końcu Żenia zawołał fotografa.

- Zrób zdjęcia wszystkim, uważaj, żeby nikogo nie pominąć, potem roześle ludziom fotki na pamiątkę.

Biznesmen postanowił przejrzeć fotografie, odnaleźć podobiznę nieznajomej i spróbować wyjaśnić, kim ona jest. Potem zaczęły się tańce i trzeba było wywijać walce z Liką, ale zapach jej perfum doprowadzał Żenię prawie do utraty tchu. Świeżo poślubiony małżonek wybrał odpowiedni moment i wyszedł na dwór zapalić papierosa. Ujrzał tam precudną nieznajomą. Młoda kobieta wsiadała właśnie do drogiego samochodu, jasnoczerwonego dwudrzwiowego mercedesa, za którego kierownicą siedział szofer.

Żenia rzucił się naprzeciw swemu marzeniu.

- Proszę poczekać! Jak pani na imię?

- Po co panu moje imię? - Piękność uniosła brwi.

- Po prostu ciekawi mnie, kto był naszym gościem. - Żenia umiał się znaleźć w każdej sytuacji.

- Nastia - odparła nieznajoma.

- Proszę mi podać swój numer telefonu - zaryzykował Jewgienij.

Nieznajoma blondynka przez chwilę groźnie patrzyła na biznesmena, w końcu uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Pańskie zachowanie wydaje mi się nieco dziwaczne. Nastia miała niewykłą sukienkę - niebieską, raczej nawet chabrową, z tkaniny, która przypominała skórę gada. Przy szyi suknię wykończono futrem nieznanego zwierzęcia, też niebieskim, ale o innym odcieniu. Od razu było widać, że Nastia jest kokietką; specjalnie tak dobrała kolor stroju, by jak najlepiej podkreślał jej ogromne na pół twarzy oczy.

- O ile wiem - już bez cienia uśmiechu powiedziała piękność - przed chwilą połączył się pan więzami małżeńskimi z Liką. Więc po co panu potrzebny mój numer telefonu? Życzę szczęścia i długich lat udanego pożycia małżeńskiego.

Chciała wsiąść do mercedesa. Żenia chwycił ją za rękę.

- Błagam, telefon.

- Nie interesują mnie amory z żonatymi - ucięła sprawę Nastia.

- A jeśli znów będę wolny? - chwycił się ostatniej deski ratunku.

- Po co mówić o tym, czego nie ma. - Piękność wzruszyła ramionami.

- Przecież wszystko jest możliwe!

Nieoczekiwanie Nastia uśmiechnęła się i Żenia omal nie umarł od przyływu nowej fali miłości.

- Spodobał mi się pan - powiedziała cicho - ale nie mówmy już o tym.

- Proszę mi zapisać swój numer, a jutro się rozwiódę - oświadczył Jewgienij, znajdując się już w stanie bliskim obłądu.

- Najpierw niech się pan rozejdzie z żoną, a potem porozmawiamy - nie poddawała się Nastia.

- Ale jak ja panią znajdę, kiedy już będę wolnym człowiekiem? - krzyknął Żenia.

- Niech pan nim najpierw zostanie - ucięła Nastia i wślizgnęła się do samochodu, wciągając nogę do środka.

Jewgienij spostrzegł na łydce piękności, tuż nad kostką, niewielki tatuaż; był to motylek albo ptaszek, nie mógł dokładnie się przyjrzeć, ponieważ zasłaniała go zdobiąca nogę Nasti złota bransoletka z dzwoneczkami.

- Co to za perfumy? - wyrwało się raptem mężowi Liki. - Po prostu oszałamiające.

Nastia nieoczekiwanie otworzyła torebkę, wyjęła stamtąd jaskrawe pudełeczko i powiedziała:

- Niech pan da rękę.

Żenia wyciągnął dłoń. Dziewczyna potrząsnęła pudełkiem.

- Niech pan weźmie jeden, to moje ulubione cukierki.

Jewgienij posłusznie podniósł cukierek do ust, znów połknął czekoladową drażetkę i nagle zrozumiał: albo ożeni się z Nastią, żeby zawsze, codziennie, stale ją widzieć, obejmować, spać z nią w jednym

łóżku, albo zwariuje. Nigdy do tej pory, nawet we wczesnej młodości, nie odczuwał takiej wszechogarniającej miłości, nawet nie przypuszczał, że zdolny jest do czegoś takiego.

Szofer zapalił silnik i Nastia odjechała. Jewgienij usiłował zapamiętać numer rejestracyjny, ale wszystkie cyfry były zachlapane błotem, widać było tylko litery: trzy O. Jasna sprawa, że Nastia nie należała do grona zwykłych posiadaczy aut.

Jewgienij wrócił do restauracji, bez końca podnosił dłoń do nosa, w ustach wciąż czuł dziwny smak i już do reszty stracił orientację. Kiedy uśmiechnięta Lika, przyodziana w białe koronki, podeszła i wzięła go pod rękę, omal nie zapytał swojej świeżo poślubionej małżonki: „Kim pani jest?”.

Całą drogę do hotelu, w czasie gdy żona bez przerwy paplała, snuła plany, jak to przebuduje dom za miastem, Żenia milczał, tępo patrząc w okno. Mijali kamienice, mroczne, ciemne, z obłupanymi fasadami. Hotel nieoczekiwanie wydał mu się ohydny, pokój urządzonego z bazarowym przepychem, dwuosobowe łóżko, przykryte różową pikowaną narzutą - wulgarne. Kwiaty stojące wzdłuż ściany pachniały błotem, a kiedy Lika postanowiła pocałować męża, ten się odsunął - od żony bił duszący zapach potu.

- Może się wykapiesz? - burknął Żenia, czując, jak od nadmiaru nieprzyjemnych zapachów zaczyna mu pękać głowa.

Lika zachichotała.

- To chodź, weźmiemy razem prysznic!

Odczuwając niewiarygodnie silną potrzebę spoliczkowania jej, Żenia, żeby się powstrzymać, odwrócił oczy i natknął się wzrokiem na jasnyniebieską serwetę, która przykrywała owalny stolik. Dokładnie w takim samym kolorze była sukienka Na-sti. W tejże chwili dotarło do niego, że ma gdzieś całą Likę, kicha na ustalone normy i absolutnie olewa to, o czym zaczyna teraz plotkować znajomi.

- Chcę rozvodu - oświadczył.

Lika wytrzeszczyła oczy. Żenia ucieszył się, że małżonka nie wrzeszczy, nie mdleje i nie wszczyna awantury, i opowiedział jej o Nasti. Na koniec zaproponował:

- Jutro złożymy wniosek o unieważnienie małżeństwa. Wybacz, że przysporzyłem ci nieprzyjemności. Postaram się zrekompensować wszystkie straty moralne, otrzymasz odpowiednią sumę pieniędzy, kupię ci mieszkanie, ma się rozumieć, opłacę też naukę Jury.

Lika tylko mrugała oczami.

- A teraz żegnaj - oświadczył świeżo poślubiony mąż i ruszył do wyjścia.

- A ty dokąd? - usiłowała go powstrzymać żona. - Kochanie, jesteś pijany, połóż się, prześpij.

Żenia tylko odsunął Likę i znikł. Biedna Likusia krótką chwilę przesiadziała w odrętwieniu, a potem zaczęła tłuc wazy, z których bezczelnie sterczały bukiety. Gdyby rzecz się działa w zwykłym hotelu, na te odgłosy natychmiast by się zbiegli inni goście i pracownicy administracji, ale w „Silver Plaża” apartamenty, które wynajął sam Jewgienij, nazywały się prezydenckimi. Prawdę mówiąc, było to całe piętro, najwyższe, z osobną windą. Pozostali goście hotelowi zazwyczaj nie mają możliwości nawet przypadkowo tu zajrzeć. Personel otrzymał zaś polecenie, by do niczego się nie mieszać, jedynie uśmiechać się do osób, które płacą za apartament dziesięć tysięcy dolarów za noc. Niech sobie drogi gość zrujnuje do cna cały pokój, później tylko z uprzejmym uśmiechem wręczy mu się rachunek. Dlatego też nikt nie powstrzymywał Liki.

Likusia ziała ogniem i miotła się po imponujących apartamentach, aż w końcu opadła z sił i zasnęła w małżeńskim łóżu, przypominającym hipodrom. O szóstej rano dosłownie wyskoczyła z niego jak oparzona, płacząc ze złości i poczucia krzywdy, uciekła z hotelu i pognąła do nas do Łóżkina.

Rozdział 3

Wysłuchałyśmy z Kicią opowieści i wlałyśmy Lice do gardła szklanke

koniaku, a następnie osowiała natychmiast położyłyśmy do łóżka. Olga spojrzała na zegarek i piszcząc: „Katastrofa, jestem spóźniona!” - zaczęła się pośpiesznie ubierać i domalowywać drugie oko.

Pobiegłam za nią.

- No i co teraz robić?

Kicia włożyła cienutki czerwony sweterek i odparła:

- Znajdź Jewgienija i pogadaj z nim. Lika mogła go po prostu źle zrozumieć. A zresztą może facet tylko żartował?

- A komu by przyszło do głowy bawić się w takie gierki?! -oburzyłam się.

Olga chwyciła kluczyki od samochodu.

- Na świecie pełno jest idiotów, przecież nie znamy Jewgienija, może to jakiś kretyn? W każdym razie należy wysłuchać obu stron, a dopiero potem pomyślimy, jak pocieszyć Likę. A właśnie, nie słyszałaś czasem, Anton Kraskow się ożenił? To dla niej bardzo dobra partia.

- No coś ty - zamachałam rękami - wątpię, żeby w świetle ostatniego zamążpójścia Likusia zechciała znów urządzać wesele.

- Nie znasz się na ludziach - oświadczyła Olga i umknęła.

Zeszłam na parter i natknęłam się na torebkę Liki, poniewierającą się na dywanie w holu. Lekko się zawahałam, ale w końcu otworzyłam ją, wyjęłam notes, znalazłam potrzebny numer telefonu i wystukałam go.

- Abonent czasowo niedostępny - oświadczył beznamiętny kobiecy głos. Czyli to była komórka. Żadnego innego numeru obok nie było.

Postanowiłam pójść do jadalni i spokojnie wypić kawę, kiedy zadzwonił telefon.

- Daria Iwanowna? - wykrzyknął nieznajomy głos. - Dzwonię z Akademii Weterynaryjnej.

- Co się stało? - spytałam zaniepokojona.

- Proszę się nie denerwować - zaczęła mnie uspokajać kobieta - pani córka Masza powinna uczestniczyć teraz w zajęciach kółka młodych miłośników weterynarii, ale...

- Tak - przerwałam jej - o co chodzi?

- Chyba zachorowała, ma temperaturę i nudności.

- Już jadę! - krzyknęłam i pobiegłam do garażu, zapominając nawet, że należałoby się przyczesać.

Maruśka leżała na kanapie, obok niej z zatrwożoną miną stał Fiodor Siergiejewicz, uroczy facet, kierownik kółka. Mania jeździ do akademii nie pierwszy rok, więc świetnie znam Fiodora Siergiejewicza. Jest wspaniałym pedagogiem, szczerze zakochanym w swojej pracy, ale to człowiek mający, oględnie mówiąc, pewne dziwactwa.

Kiedy wykładowca mnie zobaczył, oświadczył:

- Gdyby to dziewczę urodziło się psem, od razu postawiłbym jasną diagnozę: zatrucie pokarmowe.

- Skąd taki wniosek? - zapytałam, spoglądając na bladą i milczącą Manię.

Najwyraźniej sprawy nie wyglądały najlepiej. Moja córka zwykle nawet z bardzo wysoką gorączką gada bez ustanku. Jeśli straciła dar mowy, należy bezzwłocznie wzywać karetkę pogotowia.

- Nudności przechodzące w wymioty - zaczął wyliczać objawy Fiodor Siergiejewicz - dreszcze, bladość powłok skórnych...

- Kebab - resztkami sił wyartykułowała Mania.

- Co, koteczku? - Schyliłam się nad nią, usiłując lepiej zrozumieć, co mówi.

- Zjadłam rano, przed zajęciami, kebab z kurczaka - wyszeptała Maszka. - Miałam straszną ochotę, kupiłam w kiosku przed szkołą.

Złapałam za telefon. Kebab z kurczaka, do tego jeszcze kupiony na ulicy! Tu wszystko jest możliwe - od salmonelli do cholery.

Fiodor Siergiejewicz aż klasnął w ręce.

- Mario! Jak mogłaś?! Zjeść Bóg wie, jakies świństwo przygotowane brudnymi rękami! Żaden pies, mam na myśli zwierzę domowe, nie pozwoli sobie na coś takiego.

Mania milczała, w końcu wyszeptała:

- Dajcie miskę.

Natychmiast podetknęłam jej emaliowane korytko, stojące koło kanapy.
- No proszę! - powiedział z wyrzutem Fiodor Siergiejewicz. - No proszę, do czego doprowadza beztroska pomnożona przez głupotę. Teraz, Masza, masz przeanalizować konsekwencje i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Westchnęłam, mimo wszystko pedagogzy to dziwni ludzie, wykorzystują każdą chwilę, by wygłaszać nudne reprimendy. Nie może taki po prostu pożałować biednego dziecka i dać mu, póki nie przyjechał lekarz, szklanki z roztworem nadmanganianu potasu, tylko zamiast tego sugeruje, by od razu rozpocząć przemyślenia na temat skutków spożywania kebabu przygotowanego w niehigienicznych warunkach. Dziewczynka już i tak zjadła to świństwo, więc po co ją teraz pouczać?

- Proszę przynieść nadmanganian potasu - przerwałam temu nudziarzowi.

Fiodor Siergiejewicz opamiętał się.

- Rozsądna rada! Już idę.

Po kilku minutach dostałam szklanekę z jasnofioletową cieczą oraz gumowy irygator w kształcie gruszki.

- A to po co? - zdziwiłam się.

Fiodor Siergiejewicz uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Należy pobrać roztwór do irygatora i wprowadzić go do otworu gębowego. Jak inaczej zmusić zwierzę do wypicia lekarstwa?

Nie, to jednak wariat. Maszka w końcu nie jest przecież psem, kotem czy kozą.

- Wypij, kochanie - poprosiłam.

Maniunia posłusznie osuszyła szklanekę i znów złapała korytko.

Do domu dotarliśmy dzień później. Karetka pogotowia niezwłocznie bowiem odwiozła nas do szpitala, gdzie postawiono diagnozę: zatrucie pokarmowe.

- No nic. - Diegtiariow przyjechał do kliniki i postanowił pocieszyć Maszkę. - Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, przecież chciałaś schudnąć, to stracisz teraz zbędne kilogramy.

W środę przywiozłam Manię do domu i przykazałam surowo:

- Masz leżeć w łóżku do końca tygodnia.

- Ale dlaczego? - Córeczka zaczynała się buntować. - Już mnie nic nie boli.

- Doktor kazał ci zostać w łóżku do soboty.

- Po co? Ja się już całkiem dobrze czuję.

- Tak trzeba.

- No, ale wyjaśnij mi dlaczego?

- No, bo... tak zalecił.

- Kompletna bzdura - stwierdziła Maszka. - Masz jeszcze jakieś argumenty?

Wiedziałam, że nie, więc oświadczyłam ostro:

- Nie sprzeczasz się.

- Trudno być dzieckiem - zajęczała Maruśka. - Każdy tylko szuka okazji, żeby człowieka obrazić.

- Jak chcesz, to pojedę do miasta i przywiozę parę filmów wideo?

- Aha - Maniunia kiwnęła głową - możesz wyświadczyć tę przysługę.

- Ale ty w tym czasie będziesz leżeć.

- Oczywiście, nawet się nie poruszę.

Wyszłam na podwórze, ale zatrzymał mnie telefon.

- Hej, Daszka - rozległ się w słuchawce lekko senny mezzo Wierki Karapietowej - słyszałaś nowinę?

- Jaka?

- Lika Sołodko zabiła męża.

Upuściłam kluczyki od samochodu na podłogę.

- Co?

- Lika Sołodko zabiła męża - powtórzyła Wierka. - No, czy to nie idiotka?!

- Kłamiesz! - wyrwało mi się.

- Chciałabym! - krzyknęła obrażona Wiera. - Może jej się w głowie pomieszało?

- Poczekaj na mnie, zaraz przyjadę.
- Przecież nigdzie się nie ruszam - odpowiedziała Wierka -nie musisz się śpieszyć. Jewgienij nie żyje, Lika aresztowana, nic tu już nie poradzisz.

Mniej więcej po godzinie, stojąc kilka razy w korkach, dotarłam do ulicy Kiszłowa i wbiegłam do brudnej, zaplutej klatki schodowej. Niestety, Wiera mieszka tuż przy stacji metra.

Bliskość kolei podziemnej to ogromna wygoda dla mieszkańca megapolis, ale jednocześnie też wielkie nieszczęście. Klatka schodowa budynku, w którym zamieszkuje Wierka, staje się toaletą dla wszystkich okolicznych meneli, żadne zamki i domofony nie chronią przed bezdomnymi, którzy z łatwością radzą sobie z każdym mechanizmem.

- Nie no, sama pomyśl - trajkotała Wierka - to ci dopiero koszmar! Lika całkiem ześwirowała, dopiero co wesele odbębniła.

- Opowiedz mi wszystko spokojnie, po kolei - poprosiłam.

Wierka wepchnęła mnie do pokoju, posadziła w bardzo niewygodnym, parzącym w upale welurowym fotelu i zaczęła trajlować:

- To ci dopiero, to ci dopiero! Wrzuciła go do rzeki.

- Gdzie?

- Do rzeki Moskwy, żeńka nie umiał pływać, w dodatku balustrada wysoka, najpierw uderzył głową o kamień i poszedł na dno, pewnie stracił przytomność.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj.

Wierka klapnęła w drugim fotelu i zaczęła od nowa:

- No i w czym jej nie dogodził? Żyj i się ciesz, to nie, spuściła go do wody...

Zrozumiałam, że Karapietowa zaraz zacznie się powtarzać, więc zapytałam:

- Dlaczego oskarżenie padło właśnie na Likę? Wierka klasnęła.

- Jest świadek. Rzecz się działa na bulwarze nadbrzeżnym, rozumiesz? Pokiwałam głową, no bo gdzież indziej mogła się dziać, jeśli Jewgienij wpadł do rzeki.

- Ten koszmar zdarzył się wieczorem - wyjaśniała Wierka -ale nie było jeszcze ciemno, a zresztą koło tego miejsca, gdzie rozegrała się tragedia, stoi ogromna tablica z lampek, reklama kasyna, które mieści się nieopodal. W każdym razie dzięki temu człowiek wszystko dobrze widział.

- Kto?

Wierka zachichotała.

- Na nabrzeżu stoi duży budynek, na ostatnim piętrze mieszka jakiś dziadek, ma kapitalną lornetkę, droga rzecz, wyprodukowana w zakładach Zeissa. Dziadek wieczorami przejmuje wartość w punkcie obserwacyjnym.

- Po co?

Wierka rozweseliła się na dobre.

- Mieszka sam, zżera go nuda, bulwar w tym miejscu lekko skręca, samochodów tamtędy jeździ niewiele, przechodniów praktycznie nie ma, okolica, choć to praktycznie centrum, właściwie głucha, stoi raptem jedna kamienica. Jest za to ławeczka, na której bardzo często moszcza się bezdomni zakochani. No a dziadek ma rozrywkę. Para nawet nie podejrzewa, że stała się obiektem obserwacyjnym, a staruszek cieszy się aż miło z bezpłatnego kina. Oczywiście, zachowuje się nieładnie, ale z drugiej strony, komu to przeszkadza?

Słuchając Wierki, rekonstruowałam zdarzenia. A więc lubieżny dziadek zajął pozycję strategiczną i w tym momencie ujrzał z radością zbliżającą się do ławeczki parkę.

Dziadunio zamarł, czując przedsmak widowiska, ale kochankowie nie zaczęli się całować, najwyraźniej mieli inne plany. Parka oparła się o balustradę, dziadek omal się nie rozplakał, tak był rozczarowany, no, co za bydlaki! Przyszli w miejsce przeznaczone do erotycznych uciech, żeby po prostu sobie pogadać.

Przez lornetkę wszystko było dobrze widać.

Kobieta wyciągnęła przed siebie szczupłą rękę i zaczęła pokazywać

palcem coś na wodzie. Mężczyzna przechylił się przez balustradę i w tym momencie baba złapała go za nogi i spuściła w dół. Cała akcja została przeprowadzona błyskawicznie. Dziadek omal nie umarł, ale lornetki nie upuścił. Tymczasem zabójczynie szybkim krokiem oddaliła się, nie spoglądając za siebie.

Dziadek rzucił się do telefonu i wezwał milicję. Nie podał swojego imienia i nazwiska, tylko po prostu poinformował dyżurną, że był świadkiem zabójstwa. Naiwny staruszek nawet nie przypuszczał, że jego numer telefonu wyświetli się na monitorze. Godzinę później zapukali do niego funkcjonariusze MSW. Musiał się biedaczek przyznać do niezbyt przyzwoitego hobby i szczegółowo opisać zabójczynię.

Pomimo mocno zaawansowanego wieku, emeryt pamięć miał świetną, więc precyzyjnie odtworzył wygląd nieznanym: średniego wzrostu, szczupła, jasne włosy, różowa sukienka w niebieskie kwiaty. Ohydna, ale teraz baby normalnie oszalały i wkładają na siebie już naprawdę nie wiadomo co, on by nigdy nie pozwolił swojej świętej pamięci żonie tak się przyodzierać.

- No i co? - zapytała Wierka. - Pamiętasz ten ciuch? Idiotyczna kiecka Liki, którą Wiera przywiozła jej z Turcji.

Ohydna szmata, no, po prostu coś potwornego.

- Nie tylko ona mogła taką mieć - wymamrotałam. - Ale chyba nie to posłużyło za podstawę oskarżenia?

- Nie wiem! - Wiera aż podskoczyła. - Ale zakuli ją w kajdanki, znaczy, jest winna.

Ledwo doczekałam wieczoru i poleciałam do Diegtiariowa.

- Dowiedz się swoimi kanałami, co z Liką.

- Dobra - zgodził się bez entuzjazmu Aleksander Michajłowicz i dalej zdarzenia w Łożkinie potoczyły się zwykłym torem.

Najpierw zwymyślała mnie Mańka, której w końcu zapomniałam przynieść filmy, potem Kicia, gniewnie marszcząc nos, zapytała:

- Kto palił w łazience na parterze?

Pytanie absolutnie retoryczne, ponieważ w naszym domu tylko ja sobie popalam. Koniec dnia domownicy poświęcili na prawienie mi kazania na temat: „Palenie szkodzi zdrowiu”.

Nazajutrz wieczorem, ledwo na pierwszym kanale zaczął się dziennik, zjawił się pułkownik i oświadczył:

- To koniec.

- Co? - Aż podskoczyłam.

Aleksander Michajłowicz wzruszył ramionami:

- Lika się przyznała. Umówiła się z Jewgienijem na spotkanie, on przyszedł, potwierdził, że twardo żąda rozwodu, więc ona go wrzuciła do wody.

- Boże - przeraziłam się - toż ta Likuśka całkiem zwariowała.

Diegtiariow wyjął z kieszeni chustkę do nosa i otarł czoło. Zmęczony mówił dalej:

- Twierdzi, że nic nie pamięta, działała w afekcie.

- No to w takim razie powinni ją wypuścić! - krzyknęłam z radością.

- Czasowe zaburzenia świadomości pozwalają uniknąć kary.

Pułkownik krzyknął:

- Nie wciskaj mi tu ciemnoty, zostanie w areszcie śledczym do rozprawy!

Znów się wystraszyłam.

- No to co możemy dla niej zrobić?

- Praktycznie nic, tylko wspierać ją moralnie.

Wlepiłam w przyjaciela wzrok, po czym spytałam ostrożnie:

- A może, tego, no... rozumiesz, wcisnąć trochę forsy śledczemu?

Aleksander Michajłowicz poczerwieniał, ale nie zaczął wrzeszczeć, tylko dość spokojnym tonem mówił dalej:

- To już nie pomoże, łapówki daje się wcześniej, zanim zostanie przedstawione oskarżenie. Jedyne, w czym mogę pomóc, to spowodować, by sprawę Liki rozpatrzono w sądzie szybko, no, powiedzmy do października. W areszcie śledczym panują złe warunki, w więzieniu, choć może się to wydać dziwne, jest lepiej.

- To ci dopiero szybko! - żachnęłam się. - Kiedy będzie

październik?!

Diegtiariow westchnął głośno.

- Ty po prostu w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, ile czasu człowiek spędza w areszcie, oczekując na rozprawę, to może trwać nawet rok.

- Rok?!

Aleksander Michajłowicz kiwnął głową.

- Aha, a potem zaczyna się gadanie po próżnicy. Posiedzenie sądu zostanie odłożone albo znajdzie się jakieś niedopatrzenie formalne, przez które proces przesuwają się o pół roku.

- O pół roku? To jakiś koszmar!

Diegtiariow nalał sobie herbaty, wsypał cukier i zaczął mieszać łyżeczką, miarowo stukając o filiżankę.

- Czas płynie, a Lika będzie siedziała w dusznej celi w niezbyt przyjemnym towarzystwie. Dobra, zobaczę, co się da zrobić, żal mi jej, bardzo żal, ale przestępca musi ponieść karę.

„Złoczyńca powinien siedzieć w więzieniu” - ożyło nagle w mojej pamięci.

Aleksander Michajłowicz nie zawiódł. Pierwszego października Lika została skazana, przy czym stało się to bardzo szybko, podczas jednego posiedzenia sądu. Już naprawdę nie wiem, jakim cudem Diegtiariowowi udało się na to namówić sędzinę, wyjątkowo paskudne babsko około pięćdziesiątki, z małymi wrednymi oczkami i wąskimi, zaciśniętymi ustami.

Zjawiliśmy się w sali rozpraw całą rodziną, zresztą i bez nas było tam tłoczno, a kiedy konwojenci wprowadzili bladą, trochę wychudłą Likę, obecni na sali fotoreporterzy wnet rzucili się do stojącej w zadrutowanej klatce ławy oskarżonych. Jewgienij był dość znany w świecie biznesu, więc jego śmierć, w dodatku z rąk żony, strasznie podnieciła pismaków, którzy dzięki niej znaleźli temat do wysmażenia nowych artykułów.

Proces zrobił na mnie przygnębiające wrażenie. Wszystko było przygnębiające: odrapana sala rozpraw, tłum dziennikarzy, znajomi Liki i Jewgienija, którzy przybiegli do sądu, by zaspokoić swoją ciekawość, złośliwie przerywająca wszystkim sędzina, obrzydliwie sprawiedliwy prokurator, trajkocząca adwokatka, młoda dziewczyna, sekretarka, cały czas dłubiąca w nosie, smród kanalizacji, który nie wiadomo czemu docierał do świątyni Temidy, ale najbardziej żalony widok przedstawiała sama Lika.

Przyjaciółka była w eleganckim tweedowym kostiumie i białej bluzce. Włosy jej trochę odrosły, wyglądały na czyste i nawet zadbane, na twarzy miała makijaż. Ale kiedy zaczęła zeznawać, ścisnęło mi się serce. Jej głos brzmiał głucho, dosłownie jakby mówiła spod poduszki, wypowiedzi były zupełnie pozbawione emocji.

- Tak - niczym automat mówiła Likuśka - tak, spotkaliśmy się. Nic nie pamiętam. On zaproponował rozwód...

- To wszystko? - Sędzina zmrużyła oczy.

- Tak.

- No, to niewiele. Oskarżona nie pamięta, jak popychała obywatela Twierdochlebowa do rzeki?

- Nie.

- Proszę opowiedzieć, o co poszło.

- A więc on zaproponował rozwód...

- Dalej.

- Nie pamiętam.

- No to pamięta oskarżona czy nie? - rozzłościła się sędzina.

- Tak, to znaczy nie, a może tak - odparła zakłopotana Lika i obojętnie przebiegła wzrokiem po zebranych tłumie gapiów.

Kiedy jej spojrzenie przemknęło po mojej twarzy, wzdrygnęłam się.

Oczy Likuśki przypominały guziki - błyszczące i całkowicie puste.

- Nie ma sensu udawać niepoczytalnej - rozsierdziła się sędzina. - W aktach sprawy mam zaświadczenie o poczytalności oskarżonej. Oskarżona Twierdochlebowa obrała złą taktykę, takie zachowanie sąd uznaje za obrazę.

Arkaszka pochylił się i obruszony zapytał:

- Gdzieście znaleźli tę jej adwokatkę?
 Spojrzałam na grubą babę, z klimakterycznym rumieńcem na twarzy i odparłam szeptem:

- Nie wiem, wszystkie sprawy załatwiali Jura i Wiera Karapietowa. Potem zaczęły się zeznania świadków. Do sali dziarskim krokiem wmaszerował maleński staruszek, podobny do grzyba i podskakujący przy każdym ruchu. Niespodziewanie okazało się, że ma dźwięczny, wręcz donośny głos. Bez śladu zażenowania dziadunio opowiedział o lornetce. Od razu rozpoznał Likę, pamięć miał w najlepszym porządku, nadawał żwawo:

- Sukienka taka charakterystyczna, w kwiaty, oskarżona miała jeszcze torebkę i pantofle na obcasach. Całkiem niczego kobitka, atrakcyjna, wpadała w oko.
 Adwokatka ospale usiłowała podważyć zeznania świadka, ale dziadyga z honorem odparł atak.

- A tak, ja świetnie widzę, nawet okularów nie noszę, o nawet stąd mogę przeczytać, że tamten chłopak ma na czapce napis „Ues”.

- Yes - poprawił go młodzieniec.

- A no bo to człowiek języków się nie uczył - odparował dziadek. - Nie władam bisurmańskim, tylko rosyjskim.

- Czyli świadek dobrze widział oskarżoną? - dopytywała się sędzina, postukując w stół ołówkiem.

- Jak teraz wysoki sąd. - Dziadunio pokiwał głową. - Na nodze miała przepaskę, akuratnie na kostce.

- Oskarżona doznała tego dnia kontuzji nogi? - zwróciła się sędzina do Liki.

- Tak - z zakłopotaniem odparła Lika - a może nie, nie pamiętam. Wyrok poraził wszystkich - dziesięć lat. Jeszcze bardziej pobladła Likę wyprowadzono z klatki, my zaś pojechaliśmy do domu. Całą drogę Arkaszka wściekał się na beznadziejną adwokatkę, a ja siedziałam cicho. Cóż za różnica, żeby nie wiem co powiedziała ta baba, i tak daliby Likuśce przynajmniej osiem lat... Wątpię, by ją uniewinniono, dziadunio był po prostu, wybaczcie idiotyczny kalambur, zabójczym świadkiem, pamiętał wszystko, nawet opatrunek na nodze. Nieoczekiwanie do mojej duszy zakradło się zwątpienie: zabandażowana kończyzna? Coś tu nie grało, ale w tej samej chwili Kicia zaproponowała:

- Jedźmy do cukierni, mam wielką ochotę na ciastko - a ja ze zdziwienia zapomniałam o bożym świecie, takie to było do niej niepodobne.

Rozdział 4

Minał miesiąc. Na samym początku listopada wyjęłam ze skrzynki na listy blankiet opłat za usługi komunalne, który-co miesiąc przysyła mieszkańcom administracja naszego osiedla. Była tam jeszcze najzwyczajniejsza koperta zaadresowana na moje nazwisko. Prawdę mówiąc, zdziwiłam się. Już dawno wszyscy nasi znajomi korzystają z e-maila albo - jeśli są to zaproszenia na śluby czy przyjęcia - korzystają z poczty kurierskiej. Zwykłego listu, z naklejonymi znaczkami, nie dostałam już dawno. Z koperty wypadła kartka papieru w kratkę; zdumiona tym jeszcze bardziej rozwinęłam list.

„Droga Daszo, wybacz, że Ciebie właśnie obarczam swoją prośbą, lecz naprawdę nie mam do kogo się zwrócić. Wiera Karapietowa nie odpowiedziała mi, ale nie obraziłam się, tak jak się nie obrażę, jeśli Ty również nie odezwiesz się do mnie, mało kto chce mieć do czynienia z morderczynią. Mimo wszystko jednak, pamiętając o naszej przyjaźni, zaryzykuję i poproszę Cię o coś. Tutaj właściwie da się żyć, pracuję w szwalni. Jest jeden problem - marnie karmią. Jeśli to nie byłoby zbyt duży problem, przyślij mi paczkę żywnościową. Załączam listę dozwolonych smakołyków. Będę zobowiązana, jeśli dołożysz podpaski, jakiegokolwiek, jakieś najtańsze, zeszyty, pióro, zresztą dołączyłam jeszcze jeden spis. Jeśli zdecydujesz się mi pomóc, to paczkę należy dostarczyć piątego listopada, między ósmą rano a

trzynasta. Lika.

PS Aha, popsuł się tutaj telewizor, jeśli zafundujesz nowy, naczelnik na znak wdzięczności zgodzi się na widzenie ze mną, ale na to nawet nie robię sobie nadziei".

Omali się nie rozplakałam, wbiegłam do domu, gorączkowo przebiegając oczyma załączony spis: kawa, herbata, cukier, kakao, masło, herbatniki, konserwy mięsne... Na wolności Lika była namiętną wyznawczynią zdrowego stylu życia i żywienia, nie jadła mięsa, nic tłustego, słodkiego, ostrego, nie piła kawy i demonstracyjnie krzywiła się na widok kakao.

Piątego listopada, dokładnie o ósmej rano, weszłam do niskiego budynku, najbardziej obskurnego, jaki widziałam w życiu, i zwróciłam się do siedzącej za okratowanym okienkiem umundurowanej baby o małych świńskich oczkach:

- Na prośbę osadzonej Sołodko przywiozłam w ramach pomocy humanitarnej kolorowy telewizor.

- Sołodko... - wymamrotało babsko - Sołodko... chyba u nas taka nie siedzi.

Wtedy mnie olśniło, że Lika, wychodząc za Jewgienija, jak zwykle przyjęła nazwisko męża - Twierdochlebowa.

Najwyraźniej funkcjonariusze więzienni bardzo chcieli dostać nowy odbiornik firmy Samsung, ponieważ nie tylko bez robienia przeszkód wzięli ode mnie torbę z wiktuałami, ale i zaprowadzili mnie do maleńkiego pokoiku, umeblowanego z urzędowym szykiem: stół, dwa krzesła, zakratowane okno i portret prezydenta na ścianie.

Musiałam dość długo czekać, ale w końcu rozległy się jakieś kroki i do pomieszczenia weszła Lika. Udało mi się powstrzymać łzy. Miała na sobie waciak, na nogach ohydne buciorzy z cholewkami, jej głowę okrywała perkalowa chustka. Ale pomimo koszmarnej stroju Lika nie wyglądała najgorzej, zauważyłam nawet rumieńce na policzkach przyjaciółki.

Kilka minut gadałyśmy o niczym, w końcu zapytałam:

- No i jak tu jest? Lika skrzywiła się.

- Okazuje się, że człowiek może żyć wszędzie. W areszcie było gorzej, tutaj jest więcej swobody, powietrza, nawet kota sobie wzięłam.

W końcu wyczytała w moich oczach niewyartykułowane pytanie i poinformowała mnie:

- Jura nie przyjeżdża, jest koszmarnie zajęty, pisze pracę dyplomową, zresztą wcale nie prosię go o spotkania. Wszystko doskonale rozumiem.

W jej głosie usłyszałam tak straszny smutek, że nie wytrzymałam i wybuchnęłam:

- Boże drogi, po coś go zabiła?! Postanowił żyć z inną babą, no to Bóg z nim!

Lika westchnęła ciężko:

- Chcesz, to wierz, nie chcesz, to nie wierz - ale ja nic nie pamiętam.

- Jak to? Zupełnie nic?

- Tak, absolutnie nic. Spotkania z Jewgienijem, tego, jak go wrzuciłam do rzeki...

- W ogóle nic z tego dnia nie zostało ci w pamięci?

- No nie, do południa czułam się normalnie. Przespałam się u was w domu, coś zjadłam, Irka poczęstowała mnie ciastkami.

- Dalej.

- Potem zadzwonił Jewgienij i zaproponował spotkanie.

- Sam zadzwonił?

- Przecież mnie by nawet do głowy nie przyszło się do niego odezwać po tym, co mi zrobił.

- Co dalej?

- Czarna dziura. - Lika uśmiechnęła się. - Kompletne zaćmienie.

Ocknęłam się w domu, na łóżku, z uczuciem, że spałam. W ogóle nie mogę zrozumieć, jak się doczołgałam do swojego łóżka, nogi mi się uginały, ręce drżały...

- I?
 - Tyle, potem przyszli gliniarze.
 - Ale to przecież niemożliwe! Jechałaś przez całą Moskwę, metrem...
 - Nie, jakbym siedziała w samochodzie - Lika czyniła wysiłki, by coś sobie przypomnieć - a może i nie. W tym niby samochodzie chyba mnie zemdliło, słyszałam jakiś głos, obcy, pewnie szofera.
 - No i co on mówił? Lika nachmurzyła się.
 - Jakieś ple-ple... Złościł się.
 - Na co?
- Przyjaciółka znów wysiliła pamięć.
- Zaraz... może sobie przypomnę... coś mi się kołacze po głowie... a! „Zaraz się zrzyga, otwórz okno, siedzenia zapaskudzi, dziwka jedna”. Czy coś w tym stylu.
 - Czyli co, złapałaś taksówkę, w której już siedzieli pasażerowie? - zdziwiłam się. - Przecież kierowca z kimś rozmawiał.
 - A może to ze mną, nie pamiętam, mam mętlik w głowie.
 - Ciekawe - mruknęłam. - Dziad widział samochód?
 - Jaki dziad?
 - No ten z lornetką!
 - A, Kozłodojew - bąknęła Lika.
 - To jego nazwisko?
 - Ach, nie pamiętam, jak się nazywał - machnęła ręką Lika - ledwo wytrzymałam rozprawę, też miałam mętlik w głowie, ale już trochę mniejszy, przynajmniej mogłam mówić. Nie uwierzysz, w areście cały czas spałam: rano, w dzień, w nocy. Zawieźli mnie do sądu, a tu język w gębie ledwo-ledwo się obraca, jakbym w kisielu płynęła, dźwięki docierają słabo do uszu, a ty chcesz, żebym jeszcze nazwisko dziadka spamiętała. Staruszek Kozłodojew - to z piosenki Griebienyszczikowa, pamiętasz? „Po dachu pełźnie stary Kozłodojew...” A może Kozłodojew, w każdym razie coś z kozłem.
 - No i ten kozioł - westchnęłam - swoimi zeznaniami posłał cię do więzienia, wszystko sobie przypomniał, nawet opatrunek na nodze.
 - Wiesz co - burknęła Lika - potem, już tutaj, w baraku, kiedy wreszcie doszłam do siebie, długo to analizowałam. W tej historii jest jednak dużo dziwnych rzeczy.
 - Na przykład co?
 - No, chociażby to z tym opatrunkiem. Po co miałabym bandażować kostkę?
 - Może się zraniłaś?
 - A właśnie że nie - wykrzyknęła Lika. - Nic mnie nie boli, nie mam żadnej blizny.
- W głowie zaczęły mi się kłębić myśli.
- Jesteś pewna?
 - No oczywiście - kiwnęła głową Lika. - Zresztą mniejsza o nogę, ale ta suknia...
 - A co z nią?
 - Dziwna sprawa. Sama byłam kompletnie zaskoczona. Nie uwierzysz!
 - Gadaj.
 - Wiesz przecież, jak lubię tę sukienkę. Uśmiechnęłam się. Na mój gust, kiecka jest okropna: worek na ramiączkach, w najbardziej ordynarnych, jaskrawych kolorach.
 - Ale przecież tego dnia, kiedy wróciłam od was, włożyłam różowy lniany kostium - wyjaśniała Lika - i w nim poszłam na spotkanie z Jewgienijem. A wieczorem, kiedy się ocknęłam w łóżku, byłam właśnie w tej sukience. To jakiś nonsens!
 - Ale przecież ty nic nie pamiętasz!
 - No wiesz, co jakiś czas nagle coś mi w głowie świta. Nie, tego jestem absolutnie pewna: przyjechałam z Łożkina ispecjalnie włożyłam ten kostium: Jewgienij lubił stonowane kolory. Tak było! Szłam w nim do metra, jeszcze się denerwowałam, że ochlapałam po drodze spódnice... To pamiętam.
 - A w którym momencie wszystko zapomniałaś i gdzie się podział kostium?
 - Spódnica i żakiet wisiały w szafie - Lika westchnęła - a w którym

momencie zapomniałam, nie pamiętam... Cholera wie!

- Jewgienija widziałaś?
- Nieee.
- No to opowiadaj, co robiłaś, krok po kroku! Lika nachmurzyła się.
- Tak. Awantura w hotelu, on odszedł, ja zasnęłam, rozpirzyłam tam wszystko w drobny mak i skopałam, wpadłam w histerię, ale kto by się powstrzymał...
- Nie oceniaj zdarzeń, tylko je wyliczaj po kolei.
- Aha, obudziłam się i pojechałam do was, do Łożkina. Strzeliłam koniaczek i znów zasnęłam. Potem się ocknęłam, wypiliśmy kawę, no i wtedy zadzwonił Jewgienij: „Spotkajmy się o siódmej na nabrzeżu”.
- Dziwne miejsce wybrał.
- Dlaczego? Lubił tam spacerować, bo cisza, pusto.
- Jedź dalej.
- Popędziłam do domu, żeby się przebrać, i teraz jestem absolutnie pewna, że włożyłam różowy kostium. Rozumiesz, pomyślałam, że Jewgienij postanowił przeprosić mnie za wczoraj. Prawdę mówiąc, uważałam, że alkohol mu zaszkodził, rzucił mu się na mózg, na weselu dużo wypił, no to się wysztafirowałam w oczekiwaniu na pojednanie.
- Trochę to dziwne, że nie przyjechał po ciebie, tylko zaprosił cię na nabrzeże.
- No... może masz rację - zgodziła się Lika.
- Dobra, idźmy dalej.
- Ale nie ma dokąd! To wszystko.
- Jak to?
- Tak to. Dotarłam do stacji metra Sportiwnaja, wyszłam na plac, tam dziki tłum ludzi, zachciało mi się pić, kupiłam butelkę jakiegoś napoju i dalej - pustka.
- Wypiłaś napój?
- No, parę łyków.
- Czyli amnezja nastąpiła nie po zabójstwie, ale przed?
- Wygląda na to, że tak - z zakłopotaniem odparła Lika. -Ostatnie, co pamiętam: ona nie miała zębów!
- Kto? - pogubiłam się ostatecznie.
- Sprzedawczyni - ciągnęła Lika. - Ledwo wyszłam z metra, podbiega dziewczyna, wiesz, taka, co handluje na ulicy, i drze się na całe gardło: „Bierzcie coca-colę, dziś bezpłatnie”. Wsunęła mi w ręce butelkę, sama ją odkorkowała... A, właśnie! Miałam na sobie kostium, różowy kostium!
- Lika ożywiona zerwała się i przebiegła przez pokoik, wpadając na ścianę.
- O! Teraz już wszystko sobie świetnie przypominam. Kiedy ta dziewczyna wcisnęła mi coca-colę, z butelki wyskoczyła piana i chlapnęła na spódnicę! Zdenerwowałam się, że plama zostanie! Ot, idiotka bezzębna!
- Kto?
- Boże drogi, Daszka, jak z tobą trudno rozmawiać, zerowa pamięć! - krzyknęła Lika. - Sprzedawczyni nie miała dwóch zębów, przednich, górnych. Nawet sobie pomyślałam, no, nieźle, młoda dziewczyna, studentka, a wygląda jak Baba-Jaga, jakby nie mogła doprowadzić uzębienia do porządku, przecież aż przykro na nią patrzeć!
- Dalej! - ponagliłam zniecierpliwiona.
- Tyle, pełna zaćma, jakby mi kto worek na łeb zarzucił - zamruczała zdenerwowana Lika. - To dziwne.
- Piłaś gazowany napój?
- Tak.
- Kilka chwil patrzyłyśmy na siebie, w końcu Lika cicho spytała:
- Przypuszczasz, że tam coś było? Jakiś środek nasenny?
- Na to wygląda. Dlaczego nie opowiedziałaś tego śledczemu?
- Tłumaczyłam ci już, że byłam jak śnięta, nic nie rozumiałam, po prostu jak nakręcana zabawka, która potrafi się poruszać, ale nic nie rozumie - wyjaśniła dobitnie Lika. - No, więc tak to wygląda!
- Wiesz co - zdecydowanie wstałam od stołu - nie mów o tym nikomu, nie podoba mi się ta historia i nigdy nie podobała. Trudno uwierzyć,

że mogłaś utopić Jewgienija.

- Mnie samej trudno! - Lika przycisnęła dłonie do piersi.

- No to po co się w takim razie przyznałaś?

- Nie wiem! Nie pamiętam! Nic nie rozumiałam. Pytali mnie, a głowa sama mi się kiwała.

Pozostało się tylko dziwić, jakim cudem uznano Likę za po-czytalną. Chociaż nasi specjaliści z tej dziedziny nie wzbudzają we mnie zaufania. W czasach radzieckich właśnie pracownicy Instytutu Naukowo-Badawczego imienia Serbskiego zgodnie z zaleceniem komunistycznych władz uznawali wielu dysydentów za chorych psychicznie i wysyłali ich do klinik psychiatrycznych, gdzie nieszczęśników sumiennie „leczono” zastrzykami i tabletkami. W rezultacie takich działań niejeden z tych biednych ludzi stracił rozum. Najciekawsze, że wielu z owych „lekarzy” do dziś pracuje w wyżej wspomnianej placówce i nawet uważa się za specjalistów w swojej dziedzinie.

- Na razie spokojnie tu siedź - zaleciłam.

- A mam jakieś inne wyjście? - mruknęła Lika.

- Nie podskakuj, nie pisz do nikogo listów, nie rozsyłaj skarg.

- Aha! - uniosła się Lika. - Oczywiście, jestem ci wdzięczna, że przyjechałaś i zmusiłaś mnie do przypomnienia sobie, jak się rzecz miała, ale nie zamierzam trwonić dłużej ani chwili. Ktoś mnie spoił jakimś świństwem, nikogo nie zabiłam. Jednego nie rozumiem, po co zmienili mi ubranie? Zaraz idę złożyć pisemną skargę! Pokręciłam głową.

- Nie wygłupiaj się. Jeśli sprawy tak właśnie wyglądają, jak tobie i mnie się wydaje, to nie dam złamanego grosza za twoje życie.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że osoba, która obmyśliła i zorganizowała to przestępstwo, jest teraz zupełnie spokojna, rozumiesz? Przekonana, że nic nie pamiętasz. Jeśli natomiast podniesie się szum, ponowne śledztwo, to sama wiesz - efekt domina - i zrobi się zamieszanie... Wtedy, jak nic, cię zabiją.

- To co, mam tu przesiedzieć dziesięć lat? - oburzyła się Lika.

- Nie. Słuchaj, ja po cichutku wywiem się co i jak, spróbuję znaleźć tę studentkę, sprzedającą colę. Opisz no ją jeszcze raz.

Lika zmarszczyła czoło:

- Chuda, nie szczupła, tylko chuda, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, na szyi zawieszona skrzyneczka, czerwona, w niej upchane butelki... Co, nie widziałas takich? Stale kręcą się przy stacjach metra.

- Miała jakieś znaki szczególne?

- Braki w uzębieniu.

- Tylko tyle? A włosy, oczy, wzrost...

- Chyba czarnulka - zastanowiła się Lika - a może ruda, oczu w ogóle nie pamiętam, wzrost... Oj, nie wiem. Przecież jej się dokładnie nie przyglądałam, no, to, że nie ma dwóch przednich zębów, zauważyłam, a poza tym była całkiem przeciętna. Nie, to beznadziejna sprawa, nie znajdziesz dziewczyny.

- Spokój, najważniejszy jest spokój - mruknęłam - po ulicach nie biegają etatowi pracownicy firmy.

- Sama widzisz - podsumowała Lika - nic z tego! Będę tu kiblować do usranej śmierci.

- Sprytnie firmy zwykle najmują do pracy na ulicy studentów - zaczęłam głośno myśleć - tak jest korzystniej. Studenci gotowi są cały dzień podskakiwać na mrozie albo smażyć się w upale za byle jakie wynagrodzenie, poza tym młodzi ludzie są uprzejmi, towar podsuwają z uśmiechem, nie przeszkadza im bieganie ze skrzynką na szyi, a nawet ich to bawi.

- No i co? - przerwała mi Lika. - Może jest tak właśnie, jak mówisz, tylko że my nie wiemy, na jakiej uczelni studiuje ta szczerbatka.

- A no właśnie - ucieszyłam się - i o to chodzi! W każdej firmie jest księgowość, a tam na półce leżą dokumenty z podpisami osób, które otrzymały wynagrodzenie. Sprawa prosta. Najpierw się dowiem, kto pracował siedemnastego lipca koło stacji metra Sportiwnaja, no i

z jakiej uczelni były dzieciaki, a potem pojedę tam i wypytam je. Wątpię, żeby tam wszystkie dziewczyny chodziły bez zębów.

Nagle Lika wczepiła się w moje ramię.

- Daszka, wyciągnij mnie stąd! Błagam.

- Postaram się, tylko siedź cicho, a jeśli ktoś się przyczepi z jakimiś pytaniami, odpowiadaj w kółko: nic nie pamiętam, nie wiem, byłam w szoku.

Lika zaszlochała spazmatycznie.

- Za co to wszystko? W życiu nikomu nic złego nie zrobiłam. Do tej pory nie miałam żadnych wrogów.

Pogłaskałam ją po głowie.

- Już dobrze, uspokój się, wszystko będzie dobrze.

Lika otworzyła usta, ale dokładnie w tym momencie stanął w progu konwojent, zakasłał, spojrział w moją stronę i oświadczył:

- Koniec widzenia.

Lika pokornie wyszła na korytarz.

- Nie martw się - krzyknęłam za nią - będę co miesiąc przyjeżdżać, przywozić jedzenie i książki!

Likuśka obróciła się, ale nic nie odpowiedziała, a jej oczy powoli zaczęły napełniać się łzami.

- No idźże - rozkazał chłopak w mundurze.

Lika usłuchała w milczeniu. Podeszłam do zakratowanego okna i ujrzałam, jak zgarbiona Lika brnie z opuszczoną głową wąską wyasfaltowaną ścieżką między rzędami drutu kolczastego. Pod tym obrazkiem należało umieścić podpis: „Rozpacz”.

W mojej duszy zagnieździł się gniew. Koniecznie muszę znaleźć reżysera i scenarzystę tego zdarzenia i doprowadzę gnidę do takiego samego więziennego baraku.

Wróciłam do domu i ujrzałam w przedpokoju dwa ogromne jak czołgi buciory.

- Tylko nie mów, że znów mamy gości! - zaatakowałam Irkę, melancholijnie czyszczącą buty Arkaszki.

Gospoia odłożyła szczotkę. Trzeba to przyznać - Kiesza jest ulubieńcem naszej pomocy domowej. Kiedy Katierina ma zamiar brać się do gotowania obiadu, zawsze uzgadnia z moim synem, co by jego wysokość pragnął spożyć. Są dania, które uwielbiam, powiedzmy, budyń, ale spróbować tego przysmaku udaje mi się tylko wtedy, gdy Arkaszka wyjeżdża w delegację; ponieważ syn nienawidzi potraw mlecznych, Katierina nie

kupuje śmietany, kefiru, maślanki... Za to drób jest obecny w naszym jadłospisie we wszystkich możliwych postaciach, wraz z obrzydliwymi strączkami zielonej fasolki szparagowej, którą nasz adwokat jest w stanie pochłoniąć w każdej ilości. Irka ze szczególną sumiennością sprząta pokój pana. Ale kiedy wyciera kurz na stole w moim pokoju - rozrzuca wszystko bez ładu i składu. A ja potem, klnąc przez zaciśnięte zęby, próbuję znaleźć potrzebne papiery. Ileż razy prosiłam ją o większą staranność - bez rezultatu. Natomiast dokumenty znajdujące się w gabinecie mecenasa są nietknięte, choć kurz z nich został wytarty. A przy tym, zważcie, to ja robię Irce prezenty, a Kiesza stale się z niej naśmiewa.

- No i co to się na mnie złościć! - Irka wzięła się pod boki. -W końcu nie do mnie przyjechali!

- To ktoś przyjechał? - krzyknęłam przerażona.

- A to pani zapyta Diegtiariowa. - Gospoia nawet nie drgnęła. - On przyprowadził.

Omam nie wyszłam z siebie, ze złością szarpnęłam drzwi do jadalni i ujrzałam domowników siedzących wokół długiego stołu. Wszyscy z otwartymi ustami słuchali Arkadego.

- No i wyobraźcie sobie - z błyszczącymi oczami opowiadał Kiesza - na ławie oskarżonych siedzi niejaki Kowrow. Przy czym, zauważcie, mój klient ma za sobą masę wyroków, to złodziej ze stażem.

Cichutko przycupnęłam na swoim miejscu. Tak, sądząc z niebywale zadowolonej miny syna, wygrał sprawę i teraz chce zebrać oklaski jeszcze od członków rodziny. No dobra, niech się pochwali, potem się

wypyta, co to za ogromny, wyjątkowo ohydny typ siedzi koło Aleksandra Michajłowicza.

- Tak więc rozprawa się toczy - głosił Kiesza - wszystko jasne jak na dłoni. Ten Kowrow, po kolejnym zwolnieniu z aresztu, wybrał się do słynnego miasta Włodzimierza. Po drodze wysiadł w Moskwie, dojechał do sklepu „Świąt Dziecka”, gdzie próbował skrócić spodnie od dresu produkcji rosyjskiej, rzecz szkaradną i niewzbudzającą zainteresowania wśród kupujących. Złapano go w momencie, gdy trzymał rękę ze spodniami nad ładą. Jest świadek, baba jazgotała: „Widziałam, widziałam, ręka ze spodniami leżała na ladzie!”.

Kiesza objął wszystkich obecnych spojrzeniem.

- A składowi sędziowskiemu przewodniczyła Anna Filimonowna Kowalowa!

- Coś podobnego - pokręcił głową Diegtiarow - to nie człowiek, tylko maszyna.

- Powiedziałbym raczej, krokodyl. - Kiesza uśmiechnął się. - No więc przez całą rozprawę strugam wariata. Siedzę i uśmiecham się, oczy wybałuszam, w czasie mowy prokuratora kiwam głową. Jednym słowem, rzadki okaz głupola.

- A po co udawałeś kretyna? - przerwała mu Mania. Kiesza zaśmiał się zadowolony.

- O, dobre pytanie! A specjalnie, żeby Anna Filimonowna rozluźniła się i pomyślała: „Adwokat to idiota, więc nie oczekuję z jego strony żadnych podstępów”.

- I tak właśnie pomyślała? - nie mogła się uspokoić Maszka.

- Najwyraźniej - chichotał Kiesza. - Bardzo przekonująco grałem.

Potem przyszła moja kolej, więc wstałem i pytam: „Czy oskarżony przyznaje się do winy?”.

- Za takie pytanie powinno się adwokatowi urwać głowę! - Diegtiarow był porażony.

- No pewnie - radośnie potwierdził Kiesza. - A za następne to jeszcze i nogi na dodatek.

- A o coś zapytał? - zainteresowałam się.

- Może pozwolicie mi opowiedzieć, co było dalej? - odparł hardo Arkady.

Aleksander Michajłowicz zakrzuszył się i zaczął kasłać, Kiesza uderzył pułkownika w plecy i ciągnął relację:

- I wtedy Kowrow zaczyna mówić: przyjechałem do Moskwy, wlałem do sklepu, buchnąłem spodnie, wyszedłem na ulicę i zobaczyłem plakat: „Wszystko, co najlepsze, dla dzieci”. Nagle w notorycznym przestępcy obudziło się sumienie. „Kowrow - powiedział w duchu - jesteś łajdak, dzieciaki zaczęłaś okradać”. I złodziejaszek wrócił do sklepu, żeby odłożyć spodnie dresowe na miejsce. Właśnie układał je na ladzie, kiedy złapano go za rękę.

- No i co na to Anna Filimonowna? - przerwał Diegtiarow. Kiesza pełen zachwytu chwycił butelkę wody mineralnej.

- Jak nie wrzaśnie: „Przerwa!”. Tylko że to nic nie dało, i tak już udało się odwrócić kota ogonem, świadkowie oskarżenia teraz wybielali mojego Kowrowa. Owszem, ekspedientka widziała go i złapała za rękę, tylko że nie w chwili kradzieży, lecz w momencie zdecydowanej i ostatecznej skruchy!

- No i czym się sprawa zakończyła? - Mania odłożyła widelec.

- Mój Kowrow dostał wyrok w zawieszeniu - dumnie odparł Kiesza. - Nie uwierzycie, ale facet płakał! Zupełnie nie oczekiwał takiego finału, chociaż mu mówiłem: słuchaj się mnie - wszystko będzie miodzio. Ale co najważniejsze, Anna Filimonowna, już po rozprawie, wpadła na mnie na korytarzu i powiedziała...

- Zuch, Kiesza! - przerwała mu Masza. - Pochwaliła cię. Syn i Diegtiarow zaśmiali się.

- Tak jakby Kowalowa mogła kogoś pochwalić! - Diegtiarow znów się rozkasłał.

- Podeszła i oświadczyła - uroczyście rzekł Arkady - „Woroncow, szelma z pana, szkoda, że nie trafił pan na mnie trzydzieści lat temu, kiedy nasz radziecki sąd był sądem, a nie areną cyrkową, gdzie występują podobni do pana kłowni”.

- No to tak, jakby ci przypięła medal. - Aleksander Michajłowicz kasłał z wysiłkiem.
Kieszę rozpieierała duma.
- A jesteście pewni, że to była pochwała? - z powątpiewaniem zapytała Maszka. - Wygląda, jakby było odwrotnie - nagana.
- Ale to jest właśnie pochwała - wyjaśnił Diegtiariow. - Jak Anna Filimonowna zacznie obsypywać adwokata komplementami, to już koniec. Znow zaczął kasłać. Kiesz znow poklepał pułkownika po plecach.
- Napij się wody - zaproponowała Kicia.
- I nie gadaj z pełnymi ustami, najpierw przeżuj i przełknij - doradziła Maruśka.
Diegtiariow otarł oczy serwetką.
- Najwyraźniej się przeziębilem. Temperatury nie mam, ale męczy mnie kaszel.
- Musisz zażyć coldrex! - krzyknęła Kicia.
- Fuj - skrzywiła się Maszka - cała tablica Mendelejewa w jednej szklance, to dopiero świństwo! Mamuśku, co ty mi dawałaś? Takie zwykłe, duże białe tabletki, nasze, krajowe.
- Nasi producenci to oszuści i złodzieje - wtrąciła się Kicia. - Zmuszają ludzi do pracy dwadzieścia godzin na dobę, a płacą im nędzne grosze.
- Ale ich lekarstwa są tańsze od importowanych - oświadczyła Mania. Pułkownik zaczął znow rzezić.
- Daj mu coldrex - odwróciła się do mnie Kicia - najsmaczniejszy jest bananowy.
- Mdli mnie od tego - udało się jakoś Diegtiariowowi poinformować nas między atakami kaszlu. - Połknę wszystko, co dacie, byle nie o smaku bananowym.
- Przynies tę białą tabletkę - poprosiła Mania.
- Nie wolno popierać naszych producentów! - zapiszczała Kicia. - To nieuczciwe, powinniśmy zdecydowanie potępić oligarchów.
Mania poczerwieniała.
- Aha, sama wczoraj widziałam w telewizji serial Zaczarowana duszal
- No i co z tego? - zdumiała się Kicia.
- Jak to, przecież wszyscy wiedzą, że pieniądze na jego produkcję dał Bierzowski - triumfalnie oświadczyła Maruśka - a Bierzowski to w ogóle całą Rosję rozkradł!
- Posłuchajcie - przerwał im Arkady - może zamknijmy posiedzenie tej żywiolowo powstałej w naszym domu filii Dumy Państwowej i damy biednemu Diegtiariowowi lekarstwo, bo jeszcze chwila i wykaszle żołądek.
Pobiegłam do apteczki, znalazłam potrzebne opakowanie, przyniosłam je do jadalni i powiedziałam:
- Nie ma się o co kłócić, bo ten preparat wyprodukowano na Węgrzech. Aleksander Michajłowicz wsunął białą pigułkę do ust i skrzywił się.
- Szczypie.
- No to nie ssij, tylko połknij - poleciła Mania, podając pułkownikowi filiżankę wody mineralnej. - No już, szybko. Pułkownik usłuchał w milczeniu.
- Jeśli cały kraj przestanie kupować produkty Verejn - ciągnęła Kicia - to Bryncałow pójdzie z torbami.
- A niby dlaczego Bystrow jest od niego lepszy? - zaatakowała ją Mania. - Produkuje niejadalne świństwo za dzikie pieniądze.
- No i nie należy tego kupować! - Kiciusia uderzyła piastką w stół.
- Wszyscy oni są siebie warci!
- O matko! - krzyknęła Irka, wnosząc do pokoju tacę z ciastkami. Spojrzałam na małe rumiane drożdżoweczki, przełknęłam ślinę i zapytałam:
- Nie poparzyłaś się? Następnym razem włoś kuchenne rękawice, talerz pewnie parzy.
- Ależ niech pani spojrzy na pułkownika! - piszcziała przerażona Irka. - O Boże, on umiera!
Upuściłam widelec, na którym próbowałam nadziać gorące ciastko, i odwróciłam głowę.

Diegtiariow, wyprostowany, jakby zamiast pigułki przełknął szczotkę na kiju, siedział w fotelu, wybałuszywszy oczy. Z jego ust wypełzała obfita, pęcherzykowata piana.

- Źle się czujesz? - Mania rzuciła się w stronę pułkownika.

Aleksander Michajłowicz próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Kicia chwyciła za telefon.

- „Medycyna dla Ciebie”? Proszę przyjąć zamówienie z osiedla willowego Łożkino, mamy tu chorego, atak epilepsji...

Diegtiariow zbladł.

- Masz, wypij. - Maruśka krzątała się, podsuwając pułkownikowi do ust wodę mineralną Perrier. - Zaraz ci ulży.

Nie wiadomo dlaczego po kilku spazmatycznych łykach, które Aleksander Michajłowicz zdołał posłusznie przełknąć, zaczął jeszcze silniej toczyć pianę z ust.

- Połóżcie go na kanapie - polecił Kiesza.

- Nie wolno, udławi się językiem! - krzyknęła Kicia. - Przecież to epilepsja!

- Skąd to przypuszczenie? - zapytałam.

- Pracowała u nas dziewczyna - wyjaśniała Olga - która kiedyś też tak padła w drgawkach i toczyła pianę z ust... Strach było na to patrzeć.

- Ale pułkownik nie ma drgawek - zaproponowała Mania. - Siedzi sztywny, jakby kij połknął.

- Po stadium drgawek następuje odrętwienie - oświadczyła autorytatywnie Kiciusia.

- Jak u trupa - wymamrotał Kiesza.

Aleksander Michajłowicz był już w kolorze ściany, ale nawet nie drgnął. Kolejnych dziesięć minut bezładnie kręciliśmy się wokół niego, wlewając w nieszczęśnika po kolei: wodę mineralną, zwykłą wodę, sok jabłkowy. Z każdym kolejnym łykiem płynu piany przybywało. W końcu zjawił się lekarz, spojrzął na stół i zapytał:

- Co to?

- Gdzie? - obróciła głowę Maruśka.

- No tam.

- Pułkownik Diegtiariow, jest chory, ma atak epilepsji - jednym tchem wypaliła Kicia.

Lekarz obrzucił spojrzeniem Aleksandra Michajłowicza i odparł z przekonaniem:

- A skąd! Co on zjadł?

- Sałatkę - zaczęłam wyliczać - schabowego z ziemniakami, chciał jeszcze ciastko spałaszować, ale nie zdążył, chwycił go atak padaczki. Proszę powiedzieć, można to wyleczyć, czy tak już mu zostanie na zawsze?

Aleksander Michajłowicz zajęczał i zamknął oczy.

- Niechże pan coś zrobi! - oburzyła się Kicia. - Człowiek źle się czuje. Może zaraz umrze, a pan wypytuje o jedzenie.

- Skąd pani przyszła do głowy epilepsja? - zapytał doktor, badając pułkownika. - To kompletna bzdura! Co on połknął?

- Przecież już mówiłam - oburzyłam się - sałatkę, kotlet...

- Ależ tu nie o to chodzi - skrzywił się doktor - przecież od razu pytałem: co to?

Jego palec wskazujący z krótko obciętych paznokciem wycelowany był w paczkę tabletek leżącą na stole obok nakrycia Diegtiariowa.

- Lekarstwo na kaszel.

- Jakie?

- No, nie pamiętam nazwy, najzwyklejsze, absolutnie nieszkodliwe...

- Aha - żywo zareagował lekarz, obrócił opakowanie w dłoni i oświadczył: - Wszystko jasne! Łazienka w domu jest?

- Cztery - odparła Kicia. - Chciałby pan skorzystać z prysznic? Sądzę, że nie czas na to.

- Dobra, Oleg, przygotuj wszystko do płukania żołądka - spokojnym głosem polecił sanitariuszowi eskulap.

- Po co? - zapisała Mania. - Wujek Sasza ma epilepsję, a wiem, że na przykład małpy leczy się zupełnie innymi metodami!

Pułkownik otworzył oczy, natychmiast je zamknął i wydał z siebie tak straszny dźwięk, coś między jękiem a krzykiem, że Hootchuś, który do tej pory spokojnie spał na kanapie, usiadł i zawył jak wilk podczas pełni księżyca.

- Masz ci los - teatralnym szeptem ozwała się Irka, upuszczając ręcznik kuchenny - a to dopiero! Psy zawsze czują nadchodzącą śmierć! I zaczęła się żegnać znakiem krzyża.

- Ale z ciebie madrala - z niezadowoleniem skrzywił się doktor, patrząc na Manię - wiesz wszystko o małpach i epilepsji. No to jeszcze przeczytaj, co jest napisane na opakowaniu.

Maruśka chwyciła paczuszkę.

- „Hydroperit, tylko do użytku zewnętrznego”.

- Suchy nadtlenek wodoru! - krzyknęła Kicia. - No, to nieźle!

- I dlatego tworzy się piana - załapał Kiesza - a tyś już postawiła diagnozę: epilepsja, epilepsja!

- No i dlaczego podała mu pani doustnie środek, którym kobiety rozjaśniają sobie włosy? - złośliwie zainteresował się terapeuta. - Oczywiście, nie da się człowieka czymś takim uśmiercić, ale płukanie żołądka to też wątpliwa przyjemność.

- Chcieliśmy ulżyć pułkownikowi w kaszlu - bąknęłam.

- Jak mogłaś się tak pomylić?! - zaatakowała mnie Kicia. Rozłożyłam ręce.

- To przypadek, opakowania są podobne.

- Zwariować można - nie mogła się uspokoić Olga - jak to, nie przeczytałaś nazwy lekarstwa?

- Nie - odparłam zgnębiona.

- Co za potworny brak odpowiedzialności. - Kicia aż kipiała z oburzenia, widząc, jak prowadzą pułkownika do łazienki. -A jakbyś mu tak wcisnęła cyjanek potasu, to co wtedy?

- Nie trzymam czegoś takiego w domu - pisnęłam ledwo dosłyszalnie.

- Spodziewam się, że w naszej apteczce nie ma też strychniny - nie ustępował Kiesza - oraz trutki na szczury.

- Odczepcie się od mamuśki - stanęła w mojej obronie Mania - przecież chciała jak najlepiej.

- A wyszło jak zawsze - natychmiast ucięła sprawę Olga.

- Mogłabyś się w końcu zamknąć! - wściekła się Maruśka. -Kto zimą wpakował Mitinej zamiast suprastinu koci specyfik na obniżenie libido?

Staralam się nie roześmiać. Rzeczywiście, parę miesięcy temu przyszła do nas właścicielka sąsiedniej willi i poprosiła o tabletkę przeciw alergii. Kicia, jak zawsze, śpieszyła się do pracy i podała Lenie Mitinej środek, jakim częstujemy Fifinę i Kleopatrze, żeby nasze kotki nie szwendały się po osiedlu w poszukiwaniu kawalerów. Najciekawsze, że Lena połknęła tabletkę i prawie od razu wyleczyła się z łzawienia oczu, kaszlu i innych oznak kataru siennego. Tak więc Kiciusia nie miała żadnego prawa demonstrować teraz świętego oburzenia.

- Ale przecież Diegtiarior przestał kasłać! - niechcący wyrwało mi się z ust.

Kicia fuknęła i wybiegła, Mania poleciała za nią.

- No, niezły z ciebie numer - rzekł z oburzeniem Kiesza.

Obawiając się, że zaraz zacznie mi prawić morały, postanowiłam szybko zmienić temat rozmowy i odwróciłam się do nieznanego mężczyzny, mówiąc:

- Przepraszam bardzo, ale nie znam pańskiego imienia. Ja nazywam się Dasza.

Facet, który do tej pory siedział cicho, dosłownie jak myszka, jeśli na miejscu jest porównanie mężczyzny stukilogramowej i dwumetrowej tuszy z drobnym gryzoniem, odparł głębokim basem:

- Dzieńdoberek. Kowrow. Grigorij Kowrow, może pani mówić po prostu Grisza.

I wyciągnął do mnie ogromna, jak łopata, dłoń. Uścisnęłam ją ostrożnie i wtedy dopiero jego słowa dotarły do mojego mózgu. Kowrow!

- Chwileczkę - zagadnęłam - to właśnie pan... eee... zakosił te

spodenki w „Świecie Dziecka”?

Grisza kiwnął głową i wlepił wzrok w podłogę.

- Ty, Grigorij - przesadnie dziarskim tonem zachęcił faceta Kiesza - idź z Ira, pokaże ci pokój!

Człowiek-góra usłuchał w milczeniu. Kiedy zniknął w przedpokoju, Kiesza zwrócił się do mnie:

- No, mam! Tak nie można!

- Jak?

- „Zakosił spodenki”!

- No, przecież je ukradł, czy też coś źle zrozumiałam?

- Każdy może się pomylić.

- Toż przecież mówiłeś, że Kowrow to profesjonalny złodziej.

- Jest po prostu nieszczęśliwym człowiekiem, który wciąż wplątuje się w idiotyczne sytuacje - rzekł z westchnieniem Kiesza. - Wychowywał się bez rodziców. Mając piętnaście, wpadł w złe towarzystwo. Mając dwadzieścia, postanowił z tym skończyć, ale znów trafił do pudła, z głupoty. Wynajął się jednemu typowi do przenoszenia rzeczy z ciężarówki do samochodu, ale przez pomyłkę złapał aktówkę jakiegoś faceta, który siedział na ławce przed bramą. Ten podniósł krzyk, wezwał milicję, Grisza zaczął wyjaśniać, co i jak, że niby zaniósł do innego mieszkania. Ale menty zażądały dokumentów, a chłopak ma w kieszeni zamiast dowodu świadectwo zwolnienia z więzienia. Odsiedział za niewinność, wyszedł, płatał się trochę tu i tam, do pracy nigdzie nie chcieli go przyjąć, zaczął żebrać i z głodu ukradł w sklepie dwa batoniki. Dostał nowy wyrok, odsiedział, i znów zgrzeszył: zmarzł na kość, więc skręcił spodnie. Biedaczek nie ma żadnych krewnych, ani pieniędzy, ani swojego kąta, ani pracy, ani dowodu...

- A po co go do nas przywlokłeś? - udało mi się w końcu zadać pytanie.

- Mam! - krzyknął Kiesza z wyrzutem. - No, naprawdę, nie spodziewałem się po tobie takiej bezwzględności! Wyszedłem z sali sądowej, a Grisza siedzi na skwerku na ławce, no to go spytałem: „Co tu tak marzniesz?”.

- Nie mam dokąd iść - wyjaśnił uniewinniony szabrownik. No więc Kiesza przywiózł typka do Łożkina.

- Wiesz co - tłumaczył mi teraz - Grisza wyglądał, jak porzucony piesek, maleńki, bezradny, nierozgarnięty. Taki sam nie przeżyje. Spojrzałam z ukosa na Kieszę. Grisza, przy jego wzroście i wadze, już prędzej przypomina bezdomnego słonia.

- Długo tu nie zabawi - podsumował Arkaszka - pogadam, z kim trzeba, we Włodzimierzu, załatwią mu pracę, miejsce w hotelu pracowniczym, w końcu trzeba dać mu jakąś szansę. A na razie niech pomaga Iwanowi w gospodarstwie.

Kiwnęłam głową i poszłam do siebie. W naszym domu do pełnego szczęścia brakuje tylko złodzieja recydywisty.

Rozdział 5

Do wizyty w biurze koncernu Coca-Cola przygotowałam się najstaranniej, jak umiałam, obwiesiłam się klejnotami i włożyłam kupiony w Paryżu spodniem. Dotąd jeszcze ani razu nie miałam go na sobie. Prawdę mówiąc, to Kicia zmusiła mnie do nabycia tego strasznie drogiego ciucha, ale dziś miałam wyglądać na damę, która nie tylko nie wstydzi się swojego bogactwa, ale wręcz pyszni się nim.

Usłyszawszy pytanie: „Gdzie tu u was zatrudniają sprzedawców ulicznych?”, ochroniarz zerknął na moje brylantowe kolczyki i odparł:

- Korytarzem na lewo, ostatnie drzwi.

Znalazłam potrzebny gabinet, weszłam do środka i z radością odkryłam tam tylko jedną, nader poważną młodą osobkę, mniej więcej dwudziestopięcioletnią.

- W czym mogę pani pomóc? - próbowała się dowiedzieć z ostentacyjną uprzejmością. - Proszę spocząć.

Zapadłam w fotel i wyszczebiotałam:

- Moja droga, czy to pani przyjmuje do pracy tych, co to płaczą się

po ulicach ze skrzynkami na szyjach?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Tak, nazywam się Wiktorja, proszę tylko nie mówić, że chce pani u nas pracować.

Zaśmiałam się.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie czym mogę służyć? Przewróciłam oczyma i zaświergotałam:

- Ach, droga Wikusiu, tylko od pani zależy szczęście mojego biednego, nieszczęśliwego syna.

- Nie rozumiem - spieszyła się dziewczyna.

- Już wyjaśniam - obiecałam i zaczęłam opowiadać wymyśloną w nocy historyjkę.

No tak, oczywiście, to nieładnie się przechwalać, ale jestem niewiarygodnie bogata. Po prostu śpimy na pieniądzech, mamy wszystko: dom, samochody, złoto, brylanty, jemy z platyny, chodzimy po srebrze. Jasna sprawa, że jednemu synowi mogę kupić wszystko. Chłopak ma pięć samochodów, trzy mieszkania, cztery fakultety...

Na sekundę przyhamowałam. Ostatnia informacja - to było już nadto, wystarczyłyby mu dwa dyplomy. Ale Wika nie zwróciła uwagi na tę niedorzeczność, słuchała gościa z otwartymi ustami.

- No i stało się nieszczęście - wzdychałam - wielki dramat.

Siedemnastego lipca mój Arkaszeńka kupił przy stacji metra Sportownaja u ulicznej sprzedawczynie butelkę tego świństwa, to znaczy, proszę wybaczyć, kochaniutka, waszej niezwykle smacznej coca-coli.

- I co? - zapytała Wika. - Struł się?

- W sensie moralnym - tak! - wykrzyknęłam. - Zakochał się w dziewczynie, która mu sprzedała tę butelkę. A ona, spryciara, nie podała swojego imienia ani nazwiska, znikła w tłumie. Teraz mój biedny chłopczyk nie może sobie miejsca znaleźć, płacze, odmawia przyjmowania posiłków...

Znów przerwałam. Ale mnie poniosło! Trzeba się opanować. Ale Wika uwierzyła we wszystko, oczy jej zapłoneły.

- O tak, mają ludzie szczęście! - westchnęła. - A mnie wiecznie trafiają się golcy! Nawet na piwo ich nie stać.

- Proszę mi pomóc - starannie udawałam, że powstrzymuję szloch - niech pani nie pozwoli zginać zakochanemu chłopakowi i powie mi, z jakiej uczelni byli studenci sprzedający napój?

- Proszę się nie zadręczać. - Wika postanowiła ukoić mój ból. - Sprawa jest prosta. Zaraz sprawdzę.

Dalej wycierałam suche oczy chusteczką. Po pięciu minutach miałam w rękę kartkę z informacją: „Wyższa Szkoła Ekonomii, Psychologii oraz Nauk Społecznych”.

- Tylko że nie znam adresu uczelni - zafrasowała się Wika. - Mam listę sprzedawców, to osiem osób, same dziewczyny, ale nie mam adresu.

- Poradzę sobie - ucieszyłam się. - A czy mogę dostać listę osób?

- Zaraz zrobię pani ksero - zapewniła Wika.

Godzinę później zaparkowałam pod dużym obskurnym budynkiem i przeczytałam tabliczkę, no cóż, przedziwnie się teraz nazywają niektóre uczelnie.

Wewnątrz budynek okazał się jeszcze bardziej ponury niż na zewnątrz. Na suficie widniały ślady zacieków, po ścianach pełzały pęknięcia, a ciemnordzawy parkiet skrzypiał groźnie. Podeszłam do drzwi, na których była tabliczka: „Dział ds. studenckich”, zajrzałam do pokoju i zapytałam siedzące przy biurkach urzędniczki:

- Przepraszam bardzo, czy mogą mi panie podpowiedzieć, gdzie znajdę studentki Klukwina, Siergiejewa, Szerszniewa i Łambinas?

- A po co one pani? - czujnie zapytała jedna z kobiet.

- Panie pozwolą, że się przedstawię, Daria Wasiljewa, z Co-ca-Coli. Te dziewczyny, plus jeszcze Nikitina, Raczkina i Sołomonina pracowały dla nas latem, omyłkowo nie wypłaciliśmy im całej kwoty, no więc

przyniosłam pieniądze, chcę im oddać!

Panie urzędniczki oderwały się od papierów.

- Co to się teraz na świecie porobiło! - Najstarsza pokręciła głową.

- Wszystkie uczą się w jednej grupie, drugi rok, pani podejdzie do auli numer siedem, niedługo będzie dzwonek, to złapie pani je wszystkie. Też coś! Postanowili oddać pieniądze!

Ruszyłam korytarzem, odczytując tabliczki na drzwiach. Kiedy po dzwonku wyszła z auli ładna rudowłosa dziewczyna, chwyciłam ją za ramię.

- Szukam Klukwiny, Siergiejewej, Szerszniewej, w ogóle wszystkich dziewczyn z tej listy.

- A po co? - leniwie zapytała ruda, mamląc gumę do żucia. - No bo ja akurat jestem Swietłana Szerszniewa.

Wyjęłam chusteczkę i zaczęłam snuć opowieść. Sama po sobie wiem, że nic tak nie wzruszy dziewczęcego serca, jak historia o potędze miłości. Po dziesięciu minutach stały koło mnie wszystkie postaci dramatu.

- Może pani przywiezie tutaj syna, a on sam dojdzie, w której się zakochał? - zaproponowała Swietłana.

- A jak pani chce - ochoczo zaproponowała niższa brunetka, chyba Klukwina - to same się do niego wybierzemy.

- Nie, nie - odparłam szybko - ta dziewczyna, moja przyszła ukochana synowa, ma pewną cechę charakterystyczną.

- Brak jej dwóch przednich zębów.

Zapadło milczenie, które w końcu przerwała Swietłana:

- No proszę, mają szczęście idiotki. Kto by pomyślał!

- Znacie ją? - ucieszyłam się.

- Aha - kiwnęła głową Klukwina - nawet bardzo dobrze.

- No więc która to z was? - spytałam niecierpliwie. - Która?

Dziewczyny posępnie spojrzały po sobie.

- Tu jej nie ma.

- A gdzie jest?

Swietłana wzruszyła ramionami.

- A kto ją tam wie, Aśka wyleciała za słabe stopnie i wagary.

- Pani powie swojemu synowi - cicho rzekła najszczuplejsza z nich, Lena Siergiejewa - że Asia to bardzo niedobry człowiek.

- Złodziejka - dorzuciła Swieta. - Sańce Nikitinej zwinęła kosmetyczkę.

- No, przecież nikt jej za rękę nie złapał - rzekła z westchnieniem krótko ostrzyżona Sania.

- A kto, jeśli nie ona? - z gniewem kontynuowała Swietłana.

- W dodatku jeszcze - dodała Lena - Asia, jak by to naj-ogłędniej powiedzieć, hm, w każdym razie... ona...

- ...ona - wywaliła prosto z mostu Swieta - bzykała się z całym rokiem, zaliczyła wszystkich co bogatszych chłopaków.

- Wie pani, jak Aśka straciła zęby? - ożywiła się Lena.

- To może ja opowiem - wtrąciła się do rozmowy Margarita Łambinas. - Olga Zotkina, z drugiej grupy, miała chłopaka, nawet całkiem niczego sobie facet, w banku pracował, jeździł samochodem, własne mieszkanie i dom za miastem.

- Kroiło się już wesele - zagłębiła się Margarita w szczegóły - aż tu wepchnęła się Aśka, a że jest ładna...

- Co też ty pleciesz! - Swietłana aż klasnęła w ręce. - Wyleniała kotka!

- Dziewczyny - z wyrzutem upominała Lena - spróbujmy być choć odrobinę obiektywne. Aśka ma niezłą powierzchowność, to trzeba przyznać, a inna sprawa, że jest obrzydliwym typem bez żadnych hamulców.

- Dziwka! - Swieta pokręciła głową.

- Przykre, ale prawdziwe - dodała z westchnieniem Lena.

- No więc - Margarita nie dała się zbić z tropu - Aśka postanowiła odebrać Oldze narzeczonego, uznała, świnia jedna, że taki akurat by się jej nadał. W każdym razie, znaleźli się na tej samej imprezie, Aśka zaczęła się chłopakowi wieszać na szyi, no to zmiękł. A który

chłop by odmówił? Tylko że Aśka na darmo rozpętała całą aferę.

- No bo ją przeleciał - wyjaśniła Swieta - ale ożenił się z Olgą.
- Zotkina o wszystkim się dowiedziała - przejęła watek Margarita - ale mężowi nic nie powiedziała, tylko poskarżyła się swojemu starszemu bratu. A ten zaczął się na Aśkę koło domu i wybił jej dwa zęby.
- A bo się szmacie należało - podsumowała Swieta.
- Asia była z wami w jednej grupie? - zapytałam.
- Dzięki Bogu, nie - odparła Lena.
- No to w jaki sposób znalazłyście się razem przy stacji metra?

Margarita wskazała palcem milcząca do tej pory dziewczynę w czerwonym spodniem.

- To wszystko przez Elkę Sołomoninę, bo zachorowała.
- No przecież nie zrobiłam tego umyślnie - odpowiedziała obrażona Ełła.
- Z tobą zawsze są jakieś problemy - odszczeknęła jej Swieta.

W milczeniu słuchałam jazgotliwych panienek. Po kilku minutach sytuacja się wyjaśniła. W czasie wakacji dziewczyny postanowiły trochę dorobić i poszły do pracy do Coca-Coli. Najlepiej, to znaczy najwięcej, płacono grupie, która pracowała zgodnie z grafikiem: dwanaście godzin - dzień wolny - dwanaście godzin. Można się było zatrudnić na krótszą dniówkę i otrzymywać ruble codziennie, ale dziewczyny wybierały się w sierpniu na obóz i potrzebowały pieniędzy, dlatego też wybrały najcięższe warunki pracy. Coca-Cola wymagała, aby grupa zawsze pracowała w pełnym składzie, a administracja zawsze wysyłała kogoś, żeby ją sprawdzał. Dlatego kiedy Ełła Sołomonina skrzyła nogę, pozostałe członkinie zespołu najpierw wpadły w rozpacz, a potem zaczęły szukać kogoś na zastępstwo. Ale, jak na złość, wszystkie dziewczyny z innych grup odmówiły płatania się przy stacji metra i pobrzękiwania butelkami. No i wtedy pojawiła się Asia. Jasna sprawa, że nie miały ochoty mieć z nią cokolwiek wspólnego. Ale co mogły poradzić? Asia pracowała przez tydzień, a potem Ełła znów stawiła się w pracy.

- A ta - kręciła głową Swieta - dobrze to pamiętam, paradowała bez zębów i w ogóle jej to nie krępowało.
- Bardzo dobrze, że ją wywalili z uczelni - z satysfakcją w głosie oświadczyła Margarita.

Dziewczyny spojrzały z ukosa na przyjaciółkę, ale nic nie powiedziały. Najwyraźniej między Asią a Ritą przemknął kiedyś tłusty czarny kot.

- Nie wiecie, gdzie teraz może być Asia? - zapytałam.
- Nawet nie chcemy wiedzieć! - Lena skrzywiła się.
- Dajcie mi jej numer telefonu.
- No, ale po co ona pani? - zaatakowała mnie Swieta. - Własnymi rękami kopie pani dołki pod synem. On przy takiej żonie nieźle sobie popłacze, niech pani lepiej Aśki nie szuka, chłopak poprzeżywa i uspokoi się, faceci szybko się pocieszają.
- A może to miłość! - westchnęła Sania. - Proszę zapisać.
- Niech pani najpierw do niej pojedzie - nie mogła się uspokoić Lena - i ją obejrzy. Jeszcze pani wspomni moje słowa i pomyśli: „Miała rację ta Siergiejewa, po co mi taka szlaja w domu”.
- Jak pani chce, to my pani synowi wyswatamy świetną dziewczynę - wtrąciła Sania. - Wspaniale gotuje, szyje, porządna, za chłopami nie biega, chce urodzić troje dzieci. Prawda, Lenka?

Siergiejewa poczerwieniała i zrobiła się podobna do dojrzałej bułgarskiej papryki.

- No wiesz, ale wymyśliłaś! Ja nikogo nie potrzebuję, lepiej znaleźć porządną pracę.

Podziękowałam dziewczynom i wyszłam na dwór. Wsiadłam do peugeota, kiedy podbiegła do mnie ziajzana Swieta.

- Pani ten... tego...
- Co się stało?
- Sańka mówiła o Lence najprawdziwszą prawdę - wypaliła Swieta. - Lepszej synowej pani nie znajdzie. Jeśli tylko będą pieniądze, będzie

siedziała w domu i rodziła dzieci. Jak pani sobie obejrzy Aşkę, proszę tu wrócić.

- Dziękuję - kiwnęłam głową - tylko sama pani rozumie, namiętność ma to do siebie, że nie zawsze trafia na odpowiedni obiekt.
- To prawda - odparła smutno Swieta. - Miłość jest ślepa, każe pokochać nawet potwora...

W domu Asi natychmiast odebrano telefon.

- Mamusiu - krzyknął w słuchawkę cienki dziecięcy głosik -no, gdzie ty jesteś?
- To nie twoja mama, poproś do telefonu Asie.
- Nie ma jej - poinformowała dziewczynka.
- A kiedy przyjdzie?

Nie otrzymałam odpowiedzi.

- Jest na uczelni?
- Nie.
- A gdzie?
- Nie wiem, nie pamiętam, chyba w Mitinie.
- Jest ktoś dorosły w domu?
- Sama siedzę - ze smutkiem odparła moja rozmówczyni. -Jestem chora, mam zapalenie ucha środkowego.
- Zapalenie ucha? To bardzo bolesne!
- Aha, okropnie.
- A jak się nazywasz?
- Ała.
- Powiedz mi, Ałłoczko, kiedy wrócą rodzice?
- Ja mam tylko mamę - prostodusznie odparło dziecko. -Jest telefonistka, kończy pracę o pierwszej.

Spojrzałam na zegarek: wpół do pierwszej.

- Dobrze, malutka, podaj mi wasz adres.
- O, jaka sprytna! - Dziewczynka była bardzo czujna. - Za nic w świecie!
- A, ty go po prostu nie znasz, małe dzieci nie wiedzą, gdzie mieszkają.
- Ja jestem mała? - oburzyła się Ała. - Mam sześć lat, chodzę do pierwszej klasy i świetnie znam adres. !!
- No, to słucham.
- Przejazd Piotra Ratnikowa trzy - odparła z dumą Ałłoczka.

Zapaliłam silnik i ruszyłam. Rozgarnięta, bystra mała dziewczynka, która została sama w domu, powinna dobrze znać prostą zasadę: nikomu, nawet paniom o miłym głosie, nie wolno podawać informacji, że nie ma nikogo starszego. Nastęstwa mogą być wyjątkowo przykre.

Już drzwi do mieszkania Asi sygnalizowały, że właściciele lokalu nie opływają w dostatki. Nie żelazne, nie stalowe, nie an-tywłamaniowe, lecz najzwyklejsze drewniane drzwi, pomalowane ciemnobrązową farbą. Z boku na drucie zwiisał dzwonek. Nacisnęłam przycisk, drzwi natychmiast się otwarły.

- Pani do kogo? - ze znużeniem spytała szczupła i jakaś wyblakła kobieta.
- Mogę rozmawiać z Asią Koroszewą?
- Nie - powiedziała właścicielka mieszkania, opuszczając oczy. - To absolutnie niemożliwe.
- A kiedy przyjdzie?
- Kim pani jest?
- Pracownikiem firmy Coca-Cola, pani pozwoli, że się przedstawię, Daria Wasiljewa, menedżer działu płac. Asia Koroszewa latem pracowała u nas jako sprzedawca uliczny, jesteśmy jej winni pewną sumę.
- A dużo? - zainteresowała się kobitka.
- Tysiąc rubli.
- Może pani mi oddać te pieniądze? - ożywiła się moja rozmówczyni.
- A kim pani jest dla Asi?
- Matka. Sofia Nikołajewna Koroszewa.
- Bez problemu, lecz musi pani wypełnić formularz.
- Nie ma sprawy - zakrzętała się Sofia Nikołajewna. - Proszę wejść, tylko niech pani zdejmie buty, bo akurat pomyłam podłogi.

Dostałam obrzydliwie zimne gumowe klapki i weszłam do niewielkiego, skromnie umeblowanego, ale sterylnie czystego pokoju.

- Niech pani tu usiądzie - zapraszała gospodyni - przy stole będzie wygodnie pisać.

Wyjęłam z portfela niebieski banknot, położyłam na przetartej ceracie i poprosiłam:

- Proszę mi dać dowód Asi.

- A bez niego się nie da?

- No, właściwie można, tylko dlaczego nie chce pani pokazać dowodu tożsamości?

- Odebrano mi go - wyjaśniła Sofia Nikołajewna.

- Dlaczego? - zdziwiłam się.

- Taka jest procedura przy wydawaniu świadectwa zgonu. Przez chwilę usiłowałam przetrwać zaskakującą informację, w końcu wykrzyknęłam:

- Asia umarła?! Przecież była taka młoda!

- Dopiero skończyła dwadzieścia lat - odparła kobieta.

- To straszne!

- Zależy, z której strony na to spojrzeć - ucięła Sofia Nikołajewna.

Na chwilę straciłam kontenans, ale szybko wzięłam się w garść.

- Boże, co pani mówi! Z jakiegokolwiek strony by na to spojrzeć - to katastrofa.

- Dobrze pani tak mówić - obruszyła się Sofia. - Pani z nią nie mieszkala, a ja się męczyłam piętnaście lat.

- Jak to piętnaście? - Postanowiłam przyłapać babę na kłamstwie. - Dopiero co mówiła pani, że dwadzieścia.

- Tak, to prawda - kiwnęła głową Sofia - tylko że ona nie była moja rodzoną córką, ale nieślubnym dzieckiem mojej siostry Zinki. Kiedy dziewczynka miała pięć lat, siostra rzuciła się z okna. Taka nieodpowiedzialna, zostawiła dziecko, myślała tylko o sobie. Zince to dobrze, sama już w grobie, a ja...

Na chwilę przestały do mnie docierać jej słowa. Niedawno moja najlepsza przyjaciółka, Oksanka opowiedziała mi dowcip. Pewnemu facetowi oświadczone, że został mu jeden dzień życia i ani godziny dłużej. Wrócił więc do domu i oznajmił żonie, co go czeka. Ta powzdychała, popłakała, no i w końcu położyła się spać. Zasnęła, nieszczęsny mąż próbuje ją obudzić, a baba niezadowolona powiada: „Odczep się, Wania. Tobie to dobrze, nie musisz jutro iść do roboty, a ja rano wstaję”.

- ...trzeba było oddać do domu dziecka - usłyszałam znowu głos Sofii - ale żal mi się zrobiło Aśki. Ech, zawsze cierpię przez swoje miękkie serce.

Najwyraźniej w duszy Sofii Nikołajewny nzbierało się dużo negatywnych emocji, dlatego mówiła teraz bez przerwy. Tak rzeka znosi zapórę zagradzającą wodzie drogę i rozlewa się szerokim morzem.

Asia rzeczywiście wyrosła na trudne dziecko. Co prawda, w szkole dobrze się uczyła, miała głowę na karku. Ale za to już w drugiej klasie zaczęła kraść, najpierw drobiazgi, to zwędziła gumki, to pióra, spinki, notesiki, zabawki. Później zaczęła szperać po kieszeniach w szatni, a w dziewiątej klasie zwinęła nauczycielce geografii portfel z pensją. Sofia Nikołajewna ledwo--ledwo uprosiła geografkę, by ta nie zawiadamiała milicji. Im dalej, tym gorzej.

Pojawili się podejrzani znajomi, papierosy, pijaństwa, modne ciuchy. - Skąd masz tę spódnicę? - wypytywała z furją Sofia Nikołajewna. - A kosmetyki? Za czyją forszę paradujesz w takich drogich szmatach?

- Odwal się - Asia wyrwała kiedyś ramię ciotce - stoję na rogu Twerskiej, a tobie co do tego?

Sofia Nikołajewna przestraszyła się. Ona, tak samo jak świętej pamięci siostra, nie wyszła za mąż i urodziła córkę. A jeśli pozbawiona skrupułów Aśka naprawdę postanowiła parać się prostytutką? Jeszcze zarazi dziecko AIDS.

- Dobrze mi się dała we znaki - skarżyła się Sofia Nikołajewna. - Nie miałam nawet siły płakać po jej śmierci. Zresztą wszystko ku temu zmierzało.

- Jak Asia zginęła? - zapytałam cicho. - I kiedy?

- A w lipcu, dwudziestego, co prawda, poinformowano mnie sporo później, ciało leżało w kostnicy, niezidentyfikowane.

- Nie zdziwiła się pani, kiedy dziewczyna nie wróciła na noc?

- A toż ona potrafiła nieraz i tydzień balować! - wyjaśniła Sofia Nikołajewna. - Dziewczyna zupełnie głowę straciła, znikła nie wiadomo gdzie, a potem jakby nigdy nic - dzień dobry, wróciłam. Ale pani mnie nie zrozumie. Pewnie pani dzieci po piwnicach się nie szlajają, wódki nie piją i nie puszczają się z całą ulicą. Westchnęłam z głębi duszy. To prawda. I Arkady, i Maszka nigdy nie przysparzali mi szczególnych zmartwień, okres dojrzewania przeszli bezboleśnie, bez wyskoków. Ale gdyby sobie wyobrazić na chwilę, że w naszej rodzinie dorasta taka Asia, czy mogłabym spokojnie położyć się spać, wiedząc, że dziewczynka gdzieś się włóczy? Najpewniej nie, zaczęłabym szukać nieusłuchanego dzieciaka. Zresztą łatwo kogoś osądzać, a jakby tak trzeba było biegać za dziewczynką co noc? Niektóre dzieci wyciskają ze swoich rodziców miłość jak pastę do zębów z tubki, aż nic nie zostanie.

- Asia wpadła pod samochód - spokojnie poinformowała Sofia - gdzieś na MKAD, przebiegała jezdnię, pijana.

- Kierowcę odnaleziono? Sofia machnęła ręką.

- Pewnie że nie. Zwłoki odkryli tirowcy. Przypiliło ich, więc pobiegli w krzaki, a tam Asia. Widocznie ten, co ją potracił, wyrzucił ciało na pobocze i uciekł. Pochowałam ją na Mitinie, teraz postawię pomnik, i tyle, sumienie mam czyste.

- Miała koleżanki?

- Całe podwórko.

- Nie pamięta pani, jak się nazywają?

- Po co?

- Trzeba wezwać świadka, który mógłby w razie czego potwierdzić, że przekazałam pani pieniądze.

- Proszę poczekać - powiedziała Sofia i wyszła.

Nie zdążyłam pomyśleć, co muszę kupić, kiedy wróciła gospodyni razem z chudą dziewczyną, chyba najbardziej szpetną, jaką kiedykolwiek w życiu widziałam.

Przybyłe dziewczę miało trójkolorowe włosy. Teraz to bardzo modne, Kicia również nosi różnokolorowe pasemka. Tylko włosy Olgi delikatnie przechodzą od odcienia jasnoróżowego przez popielaty do blondu, a stojąca przede mną dziewczyna miała na łepetynie jaskrawoniebieskie sterczące kosmyki, grzywka przypominała przejrzały bakłażan, a na skroniach cieszył wzrok odcień trawiastej zieleni.

Z uszu ślicznotki zwisała cała wiązka kolczyków, na szyi pysznił się tatuaż: czerwono-czarny motylek.

- To jest Gala - poinformowała mnie Sofia.

W milczeniu napisałam na kartce kilka słów i oddałam banknot Sofii. Na klatkę schodową wyszłam w towarzystwie Gali.

- Ma Sońka szczęście - zagaiła Gala zachrypłym, czy to od przeziębienia, czy od papierosów głosem - złapała taką kasę za nic.

- Jeśli odpowie pani na moje pytania, może pani dostać tyle samo - zaproponowałam szybko.

Gałoczka się ucieszyła.

- A o co będzie pani pytać?

- Mogę do pani wstąpić? Pani chyba mieszka gdzieś tutaj? Gala zaśmiała się i pchnęła drzwi.

- Tak, po sąsiedzku. Weszłam w wąski korytarz i omal się nie udusiłam zapachem. Gałoczka zapytała spokojnie:

- Co, śmierdzi?

- No... niezbyt przyjemny zapach.

- Ojczym robi w rzeźni - wyjaśniała Gala - przyniósł robocze łachy do prania. Jak się popatrzy na jego kombinezon, odechciewa się kiełbasy. Pani idzie do mojego pokoju.

Usiadłam w fotelu obok niepościelonego łóżka i starając się nie patrzeć na szarą od brudu powłoczkę, przystąpiłam do przesłuchania.

- Dobrze pani знаła Asie?

- Przecież mieszkamy po sąsiedzku.
- Miła z niej była dziewczyna?
- Gównno, wiecznie wszystkim wszystko skręcała.
- Nic pani nie opowiadała o historii z coca-cola?
- Z czym?
- Asia latem zatrudniła się jako sprzedawczyni napojów przy stacji metra.

Gala nagle zmrużyła oczy.

- Niech pani nie kłamie.
- Zawsze mówię prawdę! Pani koleżanka stała przy stacji Sportiwnaja.
- Do dupy z tym. Może mnie pani nie sprawdzać, wszystko wiem o firmie, zresztą ja też mogę bardzo dobrze pracować.

Pogubiłam się.

- O czym pani mówi?
- Jasne - z satysfakcją zauważyła Gala - chce się pani upewnić?

Przecież Aśka wszystko mi wygadała! Chociaż ją uprzedzaliście, że nie wolno. Papła z niej była i złodziejka, ale ja taka nie jestem, będę uczciwie pracować.

- Mówisz o Coca-Coli?
- Oj - pogroziła mi palcem Gałoczka - oj, jaka spryrciula z pani!

Mogę opowiedzieć, w czym rzecz, to wtedy mnie weźmiecie?

- Zaczynaj - poleciłam.

I Gałoczka zaczęła sypać informacjami. Jeśli opuścić liczne wulgarne przekleństwa, którymi dziewczyna zupełnie bez skrępowania przetykała swoją wypowiedź, pokrótce rzecz się miała następująco.

Asia zatrudniła się w „firmie”, jak mówiła Gala. Praca okazała się bardzo szczególnego rodzaju, należało spacerować koło stacji metra z telefonem komórkowym, obserwując bezdomnych; jeśli nagle wywiązała się bójka albo inna awantura, dziewczyna miała natychmiast powiadamiać o incydencie gliniarzy dyżurujących na sąsiedniej ulicy.

Rozdział 6

Wyobrażacie sobie, jak osłupiałam, słysząc tę informację.

- Obserwować bezdomnych i wzywać milicję? Chyba sobie ze mnie żartujesz?

Gala wyjęła z nocnej szafki paczkę drogich papierosów So-branije.

Trochę mnie to zdziwiło, na moje oko w żaden sposób nie powinno być jej stać na podobne luksusy.

- No dobra, wystarczy tego udawania! Mówię przecież, że wiem wszystko! Jak pani chce, to powiem, ile Aśce płacono.

- No?

- Pięćdziesiąt dolców za zmianę.

- Przecież to jakiś obłąd! Za wzywanie milicji do bezdomnych?!

- Nieżle pani się zgrywa. - Gala pokiwała głową z uznaniem. - Weźmie mnie pani zamiast Aśki? Przecież pani pewnie przyszła szukać torebki, domyśliła się pani, że to Koroszewa ją skroiła? Sto razy jej mówiłam: nie podpierdalaj ludziom rzeczy, bo wpadniesz!

Zwykle szybko się orientuję, jak należy reagować na takie czy inne wypowiedzi, ale teraz pogubiłam się i tylko mrugnęłam oczami, spoglądając ze zdumieniem na Galę. Ta najwyraźniej uznała, że gość się waha, dlatego zaczęła argumentować swoją prośbę.

- I tak będziecie musieli wynająć ludzi, to dlaczego nie mnie?

Wzięliście Aśkę, ale z niej główniany pracownik, złodziejka i idiotka. Ja jestem o wiele lepsza, nigdy cudzych rzeczy nie podwędzę.

- A papierosy? - olśniło mnie nieoczekiwanie. - Chyba nie stać cię na takie drogie paliwo?

- A co to za kradzież! - Gala wybałuszyła na mnie oczy. -Też coś!

Poszłyśmy z dziewczynami do knajpy, na browarek, paczka leżała na stole, ktoś zapomniał, to sobie wzięłam, szkoda, żeby się fajki marnowały. Dobra, wiem, przyszła pani po torebkę, myślała pani, że Aśka skitrała ją w domu. Ale ona nic nie trzymała u siebie, wszystko do mnie przynosiła. Sofia Nikołajewna jest za bardzo wścibska. Ledwie Aśka wyszła za próg, a macocha biegiem do jej pokoju, całą szafę przewali do góry nogami, potem wyłożył ciuchy na stół i jęczy: „Skąd

to wzięłaś?". Jasne, że schaltowała, po kiego tak się drzeć? Ojej, niech mnie pani weźmie, widzi pani, jaka jestem uczciwa. Po tych słowach Gala się schyliła, wyciągnęła spod łóżka reklamówkę popularnego supermarketu, strzasnęła z niej klęby kurzu i podała mi. Machinalnie wzięłam zawiniątko, otworzyłam i w środku zobaczyłam niewielką czarną męską torebkę, nazywaną powszechnie „pedałówka” lub „pederastka”.

- To ta?

Nic nie mówiąc, zajrzałam do środka skórzanej torebki. W trzech przegródkach była cała masa rzeczy - chustka do nosa, superdrogie wieczne pióro, pęk kluczy, wizytownik, tabletki od bólu głowy, platynowa karta kredytowa VISA i maleńkie pudełeczko wypchane wizytówkami.

Wyciągnęłam jedną. Jurij Miefodjewicz Samojlenko, dyrektor generalny zjednoczenia Gazniefbizniesprom. Poniżej w kilku linijkach numery telefonów, na górze dopisany piórem numer, zaczynający się od cyfr 799. Najwyraźniej były to zwykłe wizytówki, ja też tylko niektórym osobom podaję numer mojej komórki i tak samo zapisuję go w prawym górnym rogu.

- Bardzo dziwne - wyrwało mi się.

- Niby co? - odezwała się Gala.

- Gdzie portfel? Czyżby w torebce nie było gotówki? Gala się roześmiała.

- No przecież Aśka zwinęła saszetkę dla kaski. Ale ja nic nie wiem, do mnie przyniosła już tak, bez portfela.

- No a skąd ona ją wzięła? Dziewczyna pokręciła głową.

- Ale pani przebiegła! Mówię przecież, że wiem wszystko. Torebka należała do jednego z bezdomnych. Zostawił ją w samochodzie, w mercedesie, ochroniarzom. Jak się Aśka tam dostała, cholera wie, ale jakoś wlaźła... zdolniacha z niej była.

Już miałam totalny mętlik w głowie. Bezdomny, który ma przy sobie torbę wartą mniej więcej z pięćset dolarów, razem ze złotym piórem Monte-Christo i platynową kartą VISA? Dobra, to jeszcze da się jakoś wyjaśnić, ale to, że margines zostawił torbę w mercedesie u swojego ochroniarza, to w ogóle nie mieści mi się w głowie!

- Sam poszedł na Dworzec Leningradzki - spokojnie wyjaśniała Gala - a Aśka dobrze się zakręciła. To jak, bierze mnie pani do firmy? Jakoś zebrałam resztki rozumu do kupy.

- Dobra, przekonałaś mnie, pogadam z szefostwem, potrzebujemy takich fajnych, konkretnych dziewczyn, ale torebkę zabieram ze sobą.

- No pewnie - pokiwała głową Gala - tylko niech pani nie zapomni o mnie! Będę czekać, potrzebuję forsy jak nie wiem.

Wsiadłam do peugeota i natychmiast wybrałam numer zapisany na wizytówce.

9

- Halo - odezwał się przyjemny baryton.

- Jurij Miefodjewicz Samojlenko?

- Tak, słucham.

- Nazywam się Daria Wasiljewa.

- Słucham - powtórzył rozmówca.

- Nie znamy się.

- Całkiem prawdopodobne.

- Widzi pan... zupełnie przypadkiem znalazłam właśnie skórzaną torebkę, a w niej pańskie wizytówki, pióro, kartę kredytową...

- Jeśli przywiezie ją pani w ciągu trzech godzin - przerwał mi biznesmen - otrzyma pani nagrodę.

- Cóż - kontynuowałam - z pewnością ma pan problemy związane z utratą karty VISA, dobrze, niech będzie, proszę podać adres.

Biuro Samojlenki porażało przepychem. Znajdowało się na dziewiątym piętrze supernowoczesnego szklanego budynku, luksusowy gabinet po prostu przytłaczał gościa: skórzane meble, robione na zamówienie, stół i regały książkowe, wykonane z masywnego dębu, żyrandol najwyraźniej przywieziony z Anglii. Jest w Londynie pewien maleńki sklepik, zbliżony wielkością do naszej kuchni w czteropiętrowym bloku w Miedwiedkowie, handlujący sprzętem oświetleniowym za nieziemskie

pieniądze. Firanki ręcznie haftowane, a dywany utkane przez pracowite turkmeńskie kobiety. Jeśli ktoś wam zacznie wmawiać, że najwspanialsze kobierce można kupić w Egipcie albo Turcji - nie wierzcie. Ekskluzywne dywany, prawdziwe dzieła sztuki, wyrabiane są tylko w Turkmenii. Na całym świecie określenie „turkmeński dywan” jest tak samo dobrze znane, jak „rosyjski kawior”, „francuskie perfumy” czy „szwajcarskie zegarki”. Jurij Miefodjewicz obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. Najwyraźniej znał się na biżuterii, dlatego natychmiast stał się uprzejmy.

- Proszę spocząć. Wybaczy pani, że dość szorstko z nią rozmawiałem, ale sama pani rozumie, że sytuacja była trochę dziwna. Torbę skradziono mi gdzieś w połowie lipca, a teraz mamy listopad...

- Doskonale pana rozumiem. - Skinęłam głową, a żeby już ostatecznie rozluźnić rozmówcę, wyciągnęłam z portfela swoją kartę kredytową i pokazując ją, oświadczyłam: - Kiedyś udało mi się zgubić ten plastikowy prostokąt. Nie wiem, jakie procedury obowiązują w pańskim banku, ale mój urządził całe przedstawienie. Dlatego postanowiłam panu pomóc!

- Alena - wezwał Jurij sekretarkę - podaj szybko kawę, słodczyce, koniak, zestaw dla VIP-ów...

Uśmiechnęłam się.

- Lepiej herbatę, a za alkohol dziękuję, przyjechałam samochodem, chociaż mój syn Arkady już dawno upiera się, żeby matkę woził szofer.

- Arkady - mruknął Jurij - rzadkie imię, mój przyjaciel nie tak dawno rozwiódł się z żoną i znalazł adwokata. Bardzo doświadczony chłopak, też nazywał się Arkady.

- Jeśli jego nazwisko brzmiało Woroncow, to był to mój syn. Jurij klepnął się dłonią w czoło.

- Ale ze mnie bałwan! Przecież pani powiedziała - Dasza Wasiljewa! Była żona Maksa Polańskiego!

- Tak jest. Zna pan Maksa?

- Boże, oczywiście! Prowadzimy teraz wspólne interesy.

W tym momencie na stół wjechała herbata, czekoladki, cytryna, konfitury i zestaw dla VIP-ów: notatnik, kalendarz, zegar biurowy razem z piórem kulkowym.

Pogadaliśmy parę minut i odkryliśmy masę wspólnych znajomych. Bez namysłu przeszliśmy na „ty”.

- Przypominam - uśmiechnęłam się, wskazując na prezenty - że obiecano mi wynagrodzenie pieniężne.

Jurij roześmiał się.

- Wybacz, nie wiedziałem przecież, w czyje ręce trafiła torebka.

- A gdzieś ty ją posiał? Jurij spojrział na zegarek.

- Masz czas?

- Ach - machnęłam ręką, udając kapryśną bogatą damę, umierającą z nudów - prawdę mówiąc, nie wiem, co z nim robić!

- To wiesz co, pojedźmy na obiad - zaproponował Jura - a po drodze opowiem ci ciekawą historię.

Oczywiście wiedziałam, że żony bogatych ludzi, a często i oni sami umierają z nudów. Wszystko, czego im potrzeba, już mają: kupione i umeblowane domy, samochody, dzieła sztuki... Wcześniej czy później następuje ten moment, kiedy nabywanie kolejnych rzeczy przestaje człowieka interesować. Na przykład, jedna moja znajoma, Anna Płotnikowa, ma siedem futer z norek, wkłada je w zależności od dnia tygodnia. W poniedziałek popielate, we wtorek białe, w środę beżowe... Sami się domyślcie, że w podobnej sytuacji zakup ósmego okrycia nie ucieszy. Żeby wyładować kipiącą energię, ja prowadzę prywatne śledztwa, Anna zaś biega na rauty. Restauracja, impreza, koncert. Jedem das Seine - jak mówią Niemcy, czyli po naszemu: dla każdego coś miłego. Ale tak jak mnie okropnie podoba się zabawa w prywatnego detektywa i prowadzenie śledztw, tak Anna nudzi się i próbuje rozszerzyć krąg rozrywek, uczestnicząc w balach, maskaradach, zawodach w jedzeniu pizzy na czas... W Moskwie jest kilka świetnie prosperujących firm, które zajmują się organizowaniem rozrywek dla znudzonych bogaczy. Cóż za pomysły przychodzą ludziom do głowy! No,

ale to, co opowiedział Jurij, przeszło moje najśmielsze wyobrażenia. Jego żona, Ninoczka, oczywiście nigdzie nie pracuje. Jura nie może się skarżyć na swoją towarzyszkę życia: bardzo wartościowa kobieta, niepijąca, nierozwydrzona. Ale... Ich jedyny syn dorósł, skończył naukę i ożenił się. Dom prowadzi gospodyni, teren wokół domu obsługuje ogrodnik - jednym słowem, Nina nie ma absolutnie żadnego zajęcia, zaczęła więc kisić się z nudów, od czasu do czasu urządzając mężowi awantury. Jura przyzwoicie traktuje swoją lepszą połowę, są parą od czasów studenckich, wiele razem przeżyli, zanim stali się bogaci, dlatego też ze spokojem znosił napady hysterii, rozumiejąc, że żona po prostu nie ma się czym zająć. Ale w końcu jego też poniosło i też zaczął krzyczeć. Nie wiadomo, czym by się wszystko skończyło, gdyby nie to, że Nina nagle poweselała i zaczęła znikać wieczorami.

Porzekadło „w starym piecu diabeł pali” odnosi się nie tylko do mężczyzn, więc Jurij zaczął podejrzewać żonę, że go zdradza. Ale będąc człowiekiem przyzwoitym, nie kazał żony śledzić, tylko po prostu zaproponował:

- Jeśli masz romans, powiedz mi o tym otwarcie. Ninoczka roześmiała się i wyśpiewała wszystko. Jedną z jej przyjaciółek, tak samo bogata i udręczona nicnierobieniem Kira Toporkowa, zaproponowała jej niezwykłą zabawę.

Wieczorem, koło dziewiątej, damy przyjeżdżały do firmy organizującej rozrywki i przebierały się. Eleganckie suknie, drogie pantofelki, wspaniałe torebki i ekskluzywne ozdoby zostawiały w sejfie. W zamian otrzymywały minispódniczki, obcisłe bluzeczki, pończochy kabaretki i buty na niewiarygodnie wysokich obcasach. Obrazu dopełniał odpowiedni makijaż i peruka. Potem „nocne motyle” wyfruwały na ulicę. A następnie zaczynała się najbardziej interesująca część programu: polowanie na klientów. To nie było takie proste - złapać mężczyznę pragnącego sprzedanej miłości. Ninoczka i Kira już świętowały swoje czterdzieste urodziny. Ale w końcu znajdowały amatorów i zaczynały się targi o cenę. Całą sytuację obserwowali ochroniarze, siedzący w zaparkowanych nieopodal żiguli dziewczynkach z przyciemnianymi szymbami. Jeszcze bliżej miejsca akcji stało kilku chłopaków ogolonych na łyso, wciśniętych w obcisłe dżinsy i krótkie do pępka skórzane kurtki, udając sutenerów. Za rogiem stał radiowóz zapchany gliniarzami. I dokładnie w chwili, kiedy „ prostytutki” już miały wsiąść do wozu klienta, jeden z „sutenerów” dawał znak i z zasadzki wyłaniał się patrol. Milicjantów opłacano bardzo przyzwoicie, więc byli gotowi uczestniczyć w zabawie przez całą dobę.

- Wczoraj poderwałam aż trzech - szczebiotała Ninoczka z błyszczącymi oczami - ależ przy tym adrenalina skacze!

- A Siemion wie? - był tylko w stanie zapytać Jura. - Co sądzi o waszej nowej zabawie mąż Kiry?

Nina roześmiała się:

- No pewnie, że wie! Jeździ z nami, udaje sutenera! Słuchaj, wiesz co, może wieczorem pojedziemy razem?

Jura był tak zaskoczony, że się zgodził i wszedł do gry. Już dawno nie chodził po ulicach pieszo: patrzył na świat przez szybę samochodu, jadał w zamkniętych klubach i nie odwiedzał zwykłych sklepów. A tu trzeba było sterczeć kilka godzin w deszczu, pić paskudną kawę rozpuszczalną w tanim barze, pełnym najzwyklejszych ludzi; co jednak najdziwniejsze, Jura znów poczuł się młody i wesoły, widok zaś Ninoczki w spódniczce ledwo zakrywającej pupę zrobił na nim duże wrażenie i małżonkowie przeżyli drugi miesiąc miodowy.

Ale w końcu zabawa się przejadła, no i wtedy firma zaproponowała nowy, znacznie bardziej ekstremalny „sport”. Jeśli wcześniej klienci wychodzili „do pracy” wieczorem, bliżej nocy, i stale widzieli wokół siebie ochroniarzy, to teraz należało wybierać się w dzień, a w pobliżu już nikogo się nie dostrzegało. To znaczy, security, oczywiście, było obecne, firmie nie są potrzebne nieprzyjemności, więc strzegła swych klientów niczym formułę paliwa do rakiet, lecz uczestnicy gry nie wiedzieli, gdzie znajdują się ich bodyguardzi.

Pokrótce rzecz wyglądała następująco. Grupę bogatych ludzi, siedem czy osiem osób, przebierano za bezdomnych. Przy tym od każdego pobierano po pięćset dolarów i chowano je w sejfie, „kloszardów” zaś przywożono na dworzec i tam zostawiano, by żebrali o jałmużnę. Następnie podliczano utarg. Ten, kto zebrał najwięcej pieniędzy ze wszystkich, zwyciężał i rozbił bank, zabierając całą pulę, chronioną w metalowej kasetce. Jeśli zaś „bezdomni” wracali z pustymi rękami, dolary przejmowała firma, jako dodatek do niemałej opłaty, której żądała za swoje usługi.

- Nie wyobrażasz sobie, jaka to frajda - z entuzjazmem opowiadał Jura. - Czysta adrenalina! Siedzi człowiek na gazecie, wkoło miotają się ludzie. Chcesz do nas dołączyć?

- A co to za grupa? - zapytałam.

- Sami swoi - uspokoił mnie. - Kostia Kajkow, właściciel Ris-Banku, Taisja Cwietkowa, właścicielka sieci sklepów, Josif Wiediajew, wydawca. Chodź z nami, zabawisz się. Ech, Żeńka nie żyje, a taki był z niego figlarz! Wyobraź sobie, że śpiewał piosenki, akompaniując sobie na harmonii, zbierał najwięcej datków ze wszystkich!

- Jaki Żeńka? - zaniepokoiłam się.

- Jewgienij Twierdochlebow - wyjaśnił Jura - biznesmen, on chyba rzeczywiście zajmował się nie tym, czym powinien! Taki artysta! Żeńka był prawdziwym klonem, wielka strata, żona go zabiła, zaraz po weselu! Małośmy nie oszaleli, usłyszawszy tę wiadomość.

No i zaczął opowiadać znaną mi dobrze historię o Lice i lubieżnym staruszku. Przybrałszy minę absolutnego zdumienia i ciekawości, udawałam, że słucham Jury, ale po głowie chodziło mi zupełnie co innego.

Tak, teraz jasne, dlaczego Asia, wyposażona w telefon komórkowy, obserwowała bezdomnych. To nie byli ludzie z marginesu, tylko przebrani uczestnicy show. I Jewgienij też brał udział w zabawie. Może ja również powinnam posiedzieć w łachmanach na gazecie? Może rozwiązanie zagadki jest gdzieś blisko?

- Ojej, ale super - podskoczyłam w fotelu - po prostu bomba! No bo już sama nie wiem, co mam ze sobą zrobić! Ta nuda mnie wykańcza.

- To ci sprawi kolosalną przyjemność. - Jurij zatarł ręce. - Będziesz jeszcze za to dziękować. A więc tak, jutro o trzynastej przyjedź pod ten adres, mówię ci, nie pożałujesz!

W świetnym nastroju wybierałam się już do Łożkina, ale nagle zahaczyłam wzrokiem o wielki sklep. Nic tak nie poprawia samopoczucia, jak zakup absolutnie niepotrzebnej, wręcz bezużytecznej rzeczy. Kobiety mnie rozumieją. O, no pewnie, miło jest kupić sobie płaszcz albo futro, na które od dawna odkładało się pieniądze, ale o wiele przyjemniej po prostu wpaść do sklepiku i długo się nie zastanawiając, złapać, no, powiedzmy, filiżankę, ozdobioną wizerunkami piesków. Wprawdzie macie z czego pić herbatę, ale ta filiżaneczka, choć niby niepotrzebna, daje tyle radości... Zapomniałam o bożym świecie, obleciałam piętra sklepu i wyszłam z niego, ściskając w ręku pluszowego mopsika. Absolutnie rewelacyjna rzecz, nikomu niepotrzebna i do niczego nieprzydatna. Usiadłam za kierownicą, przejechałam kilka przecznic i zrozumiałam, że natychmiast muszę znaleźć toaletę.

Rozdział 7

Nazajutrz o ustalonej godzinie weszłam do niewielkiego domku, który przycupnął na tyłach wysokiego budynku z jasnej cegły. Nie widać było żadnej tabliczki informacyjnej, żadnego szyldu nad drzwiami, po prostu samotne żelazne drzwi i dzwonek.

- Pani do kogo? - usłyszałam przez domofon.

- Do firmy Relaks - odparłam i po chwili wpuszczono mnie do środka.

Już na pierwszy rzut oka było jasne, że właściciele oczekują bogatych klientów. Skóra, brąz, mozaikowy parkiet i dziewczyna w recepcji, bardziej przypominająca fotomodelkę niż sekretarkę.

Po krótkiej chwili, poświęconej na formalności, zaprowadzono mnie do garderoby. Obejrzałam wieszaki z łachmanami i cofnęłam się. Wątpię,

bym mogła się zmusić do włożenia tych brudnych łachów. Ale w tym momencie do pokoju weszła dama, roztaczając zapach moich ukochanych perfum Miracle, i zaszczebiotała:

- Jestem Żanna, stylistka, wydaje mi się, że najbardziej będzie pani pasował ten kostium!

Cofnęłam się na widok tandetnej chińskiej kurtki, którą podała mi dama. Okrycie było poszarpane i niemożliwie wyszmelcowane. Żanna uśmiechnęła się.

- Proszę się nie bać, widzi pani metkę? Wszystko jest zupełnie nowe, nigdy nienoszone, po prostu ciuszki są z wierzchu specjalnie wybrudzone, od środka czyste. No i jeszcze dres i buty.

Nie było innego wyjścia, musiałam włożyć proponowane odzienie.

- Własną odzież wierzchnią proszę zostawić na przechowanie - troskliwie doradziła Żanna. - Najpierw charakteryzacja.

W sąsiednim pokoju, nie żałując profesjonalnych kosmetyków, pomalowano mi twarz. Prawdę mówiąc, sama się nie poznałam, kiedy uprzedzająco uprzejma Żanna podała mi lustro. Bezduszne zwierciadło ukazało odbicie babska w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, z gębą usianą siniakami i krwawymi podbiegnięciami. Przednie zęby miałam pokryte specjalną farbą, tak że dawało to efekt luki w uzębieniu. Charakteryzatorka nie zapomniała o szyi ani o rękach. Z paznokci zniknął lakier, zostały ozdobione „żałobą”, a zewnętrzna strona dłoni pokryła się odrażającymi wrzodami i plamami. Gdybym spotkała podobne stworzenie, zwiewałabym bez namysłu na drugą stronę ulicy. Potem zaprowadzono mnie do następnego pokoju, gdzie poznałam pozostałych „bezdomnych”. Było nas pięcioro: dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Wypaliliśmy po papierosie i wsiedliśmy do samochodów, które niezwłocznie dostarczyły „desant” na miejsce przeznaczenia: plac trzech dworców. Tutaj zajął się nami dyspozytor, facet koło czterdziestki, w eleganckim, drogim płaszczu i wytwornym obuwiu. Odprowadził mnie do przejścia podziemnego, gdzie płatały się babulinki z kwiatami i innymi darami natury.

- Dzień dobry, Borysie Siergiejewiczu - zaczęły się kłaniać w pas staruszki - zdrówka życzymy, pomyślności i szczęścia!

- Dzień dobry - odparł uprzejmie kierownik, po czym zapytał surowszym tonem: - No i co tu u was nowego?

- Oj, dziękujemy - dziarsko odparła najmłodsza, sprzedająca antonówki - do końca życia będziemy się za pana modlić! Dziękujemy! Wczoraj tu jakoweś chamy podlażyły, ale Dimoczka, daj mu Panie Boże dobrą narzeczoną, wszystkich ich mordami o asfalt stłukł. Zęby wypłuli i uciekli.

- Wspaniały chłopak - zawtórowała druga staruszka, handlująca skarpetkami robionymi na drutach - pilnuje nas! Sweterek mu udzierngam. O, tam stoi, czujny jaki!

Mimowolnie spojrzałam w kierunku, który wskazywał koślawy palec babci, i ujrzałam wysławianego Dime, którego w najbliższym czasie czekał podarunek od wdzięcznej staruszki.

Góra mięśni, wbita w skórzaną kurtkę, spoczywała na klocowatych nogach. Całą budowlę wieńczyła okrągła ogolona głowa, miarowo poruszająca szczękami. Dimoczka najwyraźniej dbał o zbilansowany poziom pH w ustach i dlatego intensywnie żuł gumę Orbit.

- Dobra - łaskawie kiwnął głową Borys Siergiejewicz - no to w porządku, Dima jest zuch chłopak, pochwałę go.

- Pan się poczęstuje jabłuszkiem - przypochlebnie proponowały staruszki. - Wybierzemy dla pana najlepsze.

- Nie lubię niczego kwaśnego - skrzywił się szef. - Chciałbym tu dziewczynkę ulokować... - I popchnął mnie do przodu.

- Dzień dobry - wymamrotałam.

- I pani też życzymy dobrego dnia - uprzejmie odparły babuleńki.

- Jeśli ją kto obrazi - surowo oświadczył Borys Siergiejewicz - będzie miał ze mną osobiście do czynienia.

Następnie, w mgnieniu oka zmieniając ton na uprzejmy, powiedział

cicho:

- Proszę tu stać, nigdzie nie odchodzić, a jeśli się pani zmęczy, może pani usiąść na ziemi. Gwizdnie pani na Dime, to przyciągnie dla pani kartony. Niech pani sama się stąd nie rusza. No to życzę wygranej.

Oparłam się o szeroką balustradę podziemnego przejścia. Borys Siergiejewicz wszedł w tłum i zniknął.

- A to łajdak! - westchnęła babka ze skarpetkami.

- Cicho bądź, Rajka! - Kobieta z pietruszką szarpnęła ją i wskazała wzrokiem na mnie.

Raisa zamknęła usta. Westchnęłam. Staruszki, które korzystają z ochrony tego bandyty Dimoczki, nie ruszą mnie, bo boją się Borysa Siergiejewicza, ale też nie będą prowadzić towarzyskich rozmów z „kloszardką”.

Rozdział 8

Po kwadransie zrozumiałam, że praca żebraczki jest ciężka.

Przechodzący obok ludzie obojętnie zbiegali do przejścia, nikt się nie śpieszył ze wsparciem bezdomnej choćby rubelkiem. Dobrze, że podarte z wierzchu łachmany od środka były całe, dzięki czemu przynajmniej nie zmarzłam. Pół godziny później posmutniałam. Po jaką cholere ja tu sterczę? Po pierwsze, wiadomo, że przegram, do tej pory nie udało mi się wyżebrać nawet dziesięciu kopiejek, po drugie, co mi to da, czego się tu dowiem? To był jednak głupi pomysł...

- Słuchaj no, kobieto... - usłyszałam gdzieś z dołu.

Obejrzałam się. U moich nóg stało stworzenie nie wiadomo jakiej płci, wzrostem trochę wyższe od kota.

- Może chcesz wygrać?

- Aha. - Byłam tak zaskoczona, że powiedziałam prawdę, ale zaraz ugryzłam się w język: - T-to pomyłka, chłopcze, po prostu stoję tu sobie, proszę o wsparcie.

Stworzenie ni to się zaśmiało, ni to zakaszało.

- Bujasz, kobieto, jesteś z tych przebierańców. Pawłuchy nie nabierzesz.

- A kto to taki?

- Pawłucha to ja - wyjaśnił człowieczek i spojrzał na mnie wyblakłymi, zmęczonymi oczkami. - Ja wiem wszystko! Tu o was na placu wszyscy gadają. No to ile dziś masz w banku?

- Cóż-zaczęłam-tak właściwie...

- Przecież się po pół tysiąka zieleńców zrzucacie?

- No... a ty skąd to wiesz?

Pawłucha roześmiał się ochryplym głosem.

- Tu się akurat da coś ukryć! Znaczy się tak, liczyć umiesz?

- Jeśli niezbyt trudne słupki, to tak.

- No to rusz mózgownicą - Pawłucha splunął na podłogę -jak dasz mi trzysta baksów, to ile ci zostanie?

Szybciutko wykonałam w pamięci zadanie.

- Dwa tysiące pięćset, właściwie dwa tysiące na czysto, bo w tej kwocie pięćset doków jest moich.

- No to jak? Umowa stoi? Wygrasz! Aha, i jeszcze wszystko, co uzbierasz w rublach, potem mi oddasz!

- Jak to? Przecież wszystko jest nagrywane na wideo.

- Nie bój żaby, najpierw gadaj, czy się zgadzasz? Milczałam, zastanawiając się, jak postąpić. Ale chłopak moje milczenie odebrał jako znak zgody.

Pawłucha roześmiał się zadowolony i zniknął w tłumie ludzi. Już miałam zawołać Dime i poprosić go o karton, kiedy przystanąła przede mną dość sympatyczna kobieta i rzuciła do pustego pudełka dziesięć rubli.

No i zaczęło się. Ludzie zatrzymywali się z zaskakującą regularnością, kobiety i nastolatki. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że było ich tylko troje, po prostu „zespół” stale się przebierał.

Kobieta wkładała różne chustki i płaszcze, a dzieci przybiegały w

coraz to innych kurtkach.

Dwie godziny później zjawił się Borys Siergiejewicz. Najpierw z troską w głosie zapytał:

- Nie zamarzła pani? Dziś wiatr po prostu zwala z nóg. Potem spojrzął do pudełka i zdziwił się:

- Ależ pani ustrzeżliła! Tu chyba będzie z tysiąc, jak nic rozbije pani bank. Tak, początkujący zawsze mają szczęście.

Złapałam „skarbonkę” i ruszyłam za nim do samochodu.

Po niedługim czasie znaleźliśmy się w pomieszczeniach firmy.

Przebraliśmy się i przeliczyliśmy łupy. Miałam najwięcej. Jurij powiedział z radosnym uśmiechem na twarzy:

- Żółtodzioby zawsze mają szczęście, zobaczymy, kto wygra następnym razem. No, a znasz naszą tradycję?

- Jaka? - zapytałam ostrożnie.

- Zwyczajca zaprasza pozostałych do lokalu - poinformowała ze śmiechem Nina, żona Jury. - Trzeba to oblać. Jaka kuchnię preferujesz? Wybór należy do ciebie.

Wolę ryby niż mięso, dlatego ruszyliśmy do restauracji „Trzy Kiełbie”. Spędziliśmy tam kilka godzin, opowiadając sobie kawały i kretyńskie historyjki. Dość szybko się wyjaśniło, że szukanie wśród moich „kolegów kloszardów” człowieka, który zabił Jewgienija i zrobił Likę, jest zupełnie jałowym zadaniem. Przy stole siedziały ze mną dwie pary małżeńskie: Jura i Nina Samojlenko oraz Piotr i Walentyna Czernobutko. Z Jewgienijem spotkali się tylko kilka razy i właściwie nic o nim nie wiedzieli.

- Wesoły był z niego facet - westchnęła Nina - grał na harmonii. Śpiewał różne więzienne pieśni, nie wiem, skąd je znał, takie w stylu: „Stój, parowozie, stukot kół niech ucichnie...”.

- Albo tę - ożywił się Piotr: - „Jam prostytutka, choć rodu wielkiego...”.

- Szkoda chłopca - pokręciła głową Walentyna. - Coś niesamowitego, zginął z rąk własnej żony.

- Ja też mam czasem ochotę udusić Jurkę - oznajmiła Nina. Jura zrobił wystraszoną minę.

- Oj, nie, tylko nie to! Nina się roześmiała.

- Ale przecież szkoda! Tyle lat go hołubiłam, żywiłam, ubierałam i teraz zabić!

- Nawet nie żartuj w ten sposób - Walentyna pokręciła głową.

- Dość tych smutków - przerwał rozmowę Piotr. - Lepiej posłuchajcie, znam świetny kawał...

Mniej więcej po godzinie poszliśmy z Niną do toalety, gdzie ujrzałyśmy ogromne, umocowane w ścianie akwarium.

- Ojej, wpuścić tutaj moje koty - uśmiechnęła się Nina - zaraz by urządziły polowanie.

- Ja też mam dwa koty - podchwyciłam temat. - Nazywają się Fifa i Klepcia. A jakie zwierzęta miał Jewgienij?

Ninoczka obojętnie wzruszyła ramionami.

- A kto go tam wie.

- Nigdy nie odwiedzaliście go w domu? - zaczęłam drażnić.

- Nie.

- Jak to możliwe?

- Nic w tym dziwnego - odparła Nina, poprawiając rajstopy - nie przyjaźniliśmy się.

- Tak? Ale razem odgrywaliście kloszardów.

- No to co? Grupa mogła mieć dowolny skład - rzuciła obojętnie madame Samojlenko, odkręcając wodę. - Przypadkowo znaleźliśmy się razem, i nikt nikomu nie narzucał się z przyjaźnią! Tylko wygłupialiśmy się wspólnie, a w normalnym życiu nasze drogi się nie przecinały.

Ostatecznie zrezygnowana wróciłam do sali, odczekałam, kiedy Walentyna zdecyduje się poprawić makijaż, i poszłam razem z nią. Po krótkiej rozmowie byłam już pewna: Wala i Pietia też znali się tylko z widzenia z Jewgienijem, nic przeciw niemu nie mieli, ale też szczególnie nie przeżywali jego przedwczesnej śmierci.

Wyszło na to, że zupełnie niepotrzebnie marziałam dwie godziny na wietrze, żebrząc o jałmużnę. Nikt z moich nowych znajomych nie żywił urazy do Jewgienija i nie znał dziewczyny imieniem Asia. Wszystkich graczy rozstawiał na placu Borys Siergiejewicz. Oczywiście ochrona i pracownicy firmy, nagrywający całe zdarzenie na kamerze wideo, mieli nas na oku, tylko ja nie widziałam ani ochroniarzy, ani „operatora”, tak sprytnie się chowali. W polu widzenia był jedynie gorylowaty Dimoczka, a potem podszedł do mnie drobniutki Pawłuszka. Niech to diabli! Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że okłamałam chłopaka, przecież on czeka na trzysta dolarów. Bardzo nieładnie wyszło. Ledwo dotrwałam końca kolacji, obiecałam nudzącym się parom wziąć jeszcze udział w zabawie i pobiegłam do samochodu. Teraz było już ostatecznie jasne: i Nina, i Wala mówiły szczerą prawdę o kontaktach z Żenią. Najwyraźniej towarzystwo spotykało się z nim tylko w czasie zabawy w kłoszardów. Wiecie, w jaki sposób doszłam do tego wniosku? Kiedy wychodziłam, nikt z obecnych nie zapytał mnie o adres i telefon, nie wręczył też swojej wizytówki. Od razu było jasne: kontaktujemy się wyłącznie w czasie rozrywkowego spektaklu, w normalnym życiu każdy ma swoje grono przyjaciół. Na dworzec dotarłam około dziesiątej wieczór. Koło podziemnego przejścia straż trzymały już inne staruchy, te nie handlowały jabłkami ani pietruszką, tylko wódką i zakąską. Nie widać też było ochroniarza Dimy. Najwyraźniej chłopak uczciwie odpracował zmianę i teraz leżał na kanapie przed telewizorem, czule obejmując butelkę piwa. Przebiegłam wzrokiem po placu i ujrzałam grupkę bezdomnych chłopców, palących koło kiosku papierosy.

- Znacie Pawłuchę? - zapytałam najwyższego, w klubowym szaliku Spartaka Moskwa.
- A po co ci on? - Chłopak był czujny.
- Chcę mu oddać dług.

Małolat spojrział na mnie z powątpiewaniem, ale w końcu odparł:

- Poszedł sobie.
- Dokąd?
- Do siebie.
- To on ma mieszkanie? - Byłam zaskoczona.
- Każdy ma swój dom - filozoficznie zauważył chłopaczek.
- Podaj mi jego adres.
- Nie znam.
- A kto mi może pomóc w tej sprawie? Chłopak wzruszył ramionami i splunął.
- A bo ja wiem?

Wyjęłam z portmonetki sto rubli.

- Jeśli podasz mi namiary Pawłuchy, dostaniesz dwa razy więcej. Dzieciak podrapał się brudną, spierzchniętą ręką w ucho.
- Może zapytam Katkę? Żyła z nim jakiś czas. Pani tu poczeka. Pokornie zastygłam pod kioskiem. Było bardzo zimno, dobrze, że przynajmniej wiatr się uspokoił i nie atakował ludzi jak pies łańcuchowy. Przemarziałam już na wylot, więc kupiłam w budce kubek gorącej kawy, ale nie zdążyłam jej wypić, bo nie wiadomo skąd pojawiły się dwie istoty: znajomy chłopaczek i dziewczyna okutana w podartą kurtkę.
- No - zażądał chłopak - dawaj forszę. To jest Katka, ona zna adres.
- Za mniej niż trzy stówy nie zaprowadzę. - Dziewczyna zakasłała ochryple.

Otworzyłam portfel, rozliczyłam się z nimi i zapytałam:

- A daleko to?
- E, nie - machnęła ręką Katka - widzisz ten budynek, o tam, gdzie pizzę sprzedają? No to zajdziesz na podwórek, a tam będzie jeszcze jeden dom, wejdiesz na pierwsze piętro, jego mieszkanie tam kole okna, ostatnie.
- Numeru nie pamiętasz?
- A, ja tam, cyfry znam tylko do dziesięciu. - Katka pociągnęła

nosem. - Chcesz, to cię zaprowadzę na miejsce.

- Dziękuję, nie odmówię.
- Za dziękuję tylko koń wozi - burknęła Kątka. - Dawaj jeszcze stówkę.
- Mówiłaś, że cyfry znasz tylko do dziesięciu - nie wytrzymałam - ale na forsie to się nieźle znasz.
- Na rublach każdy dureń się zna - odparowała. - Idziem, tam na lewo.
- A na pewno znasz adres?
- Przeżyłam z Pawłuchą cały rok - obojętnie wyjaśniła dziewczyna - ale potem zwał do Lenki.
- Ile ty masz lat? - wyrwało mi się.
- Jedenaście - poinformowała, rozgrzebując błoto zbyt dużymi butami.
- Coś koło tego.
- A Pawłucha? - Tylko o to jeszcze mogłam zapytać.
- Trzynaście. Pani nie patrzy, że on nie wyrósł - wyjaśniała Kątka.
- Bo to jego ojciec ciągle tłukł matkę, to i taki się urodził, niedorobiony. Za to mądry bardzo, ma tu wielkie poważanie.

Zapomniałam języka w gębie. No, ale kto by na moim miejscu nie stracił daru mowy?

- Czyli Pawłucha ma rodziców?
- A co się pani dziwi - rzuciła Kątka - no, chyba nie myśli pani, że dzieci się znajduje w kapuście?
- Nie, oczywiście, ale Pawłucha żebrze na dworcu...
- No to co?
- To dziwne, kiedy rodzina jeszcze żyje.
- A co, ja tam też mam babkę - skrzywiła się Kątka - jak nie przyniosę jej flaszeczki, to mnie zabije. A Pawłucha ma tylko ojca, matka nie żyje, zatłukł ją na śmierć. Pawłuchą nie znosi swego tatuńcia, ale gdzie pójdzie? Ma swoją dumę, nie będzie się szlajał po piwnicach. O, jesteśmy na miejscu! To tutaj!

I zaczęła walić podartym butem w futrynę.

- Kogo tam cholera niesie? - zapytał głos zza drzwi, które po chwili otwarto i w progu zjawiła się dziewczynka w dresie, na oko nieco młodsza od Maszy.
- Kątka? - zdziwiła się. - Co cię tu przyniosło? Dawnoś po mordzie nie zarobiła? Już całkiem cię po...
- To ona przyniosła pieniądze dla Pawłuchy, dług miała - wyjaśniała Katia, cofając się na schody. - Ty się, Lenka, o chłopca bardziej staraj, bo inaczej ci go która zabierze.
- A może ty się chcesz koło niego zakręcić? - Lenka uśmiechnęła się złośliwie. - Wynocha, ale już!

Katkę jakby wiatr zdmuchnął, nie usłyszałam, jak zbiegła po schodach, wydawało się, że dziewczynka przefrunęła nad stopniami, nie dotykając ich.

- Dawaj forszę. - Lenka zdecydowanie wyciągnęła dłoń po pieniądze. Miała czyste ręce, a na paznokciach pobłyskiwał niewiarygodnie czerwony lakier. Postanowiłam być twarda.
- Proszę zawołać Pawłuchę.
- Teraz odpoczywa - Lenka ani drgnęła - przyszedł z pracy. Dawaj kaskę.

W jej oczach błysnął niedobry, złośliwy ogienek. Trochę się przestraszyłam. Najwyraźniej dom zamieszkuje sam margines, a ja mam w torebce pieniądze, telefon komórkowy, karty kredytowe, w uszach i na palcach biżuterię, której nawet małe dziecko nie weźmie za sztuczną, a jeszcze zegarek... Niejednego człowieka zabito za mniejszy łup. Ale przy Lence nie wolno okazywać strachu. Z kamienną twarzą wycedziłam przez zęby:

- Dziecino, ty się tu nie rządź, tylko wołaj gospodarza.
- Ja tu jestem gospodyni - już nie tak pewnie odparła Lenka.
- Nie wciskaj mi kitu, kicaj po Pawłuchę - przeszłam na łatwy do zrozumienia slang.
- To niech se pani sama idzie - zaproponowała obrażona Lenka - jak

go ściągnę z wyra, to mi gębę obije... Pani włązi na korytarz. Mieszkanie było ogromne, miało chyba ze sześć pokoi, nie mniej, w każdym razie w długim, wijącym się korytarzu było mnóstwo obdrapanych, zamkniętych na cztery spusty drzwi.

- Idź, nie stój - ponaglała mnie Lenka.

Nagle jedne z drzwi się otwarły i do moich stóp, najzupełniej dosłownie, padł mężczyzna ubrany w brudne domowe spodnie i wyświechtany podkoszulek.

- Ej!...-zawył.-Kurwa!

- Wstawaj, bydlaku... - rozkazała Lenka i kopnęła mężczyznę. - Rozwalił się drań, ludziom przejść nie da!

- Ach, ty... - niespodziewanie trzeźwo odezwał się typek, złapał dziewczynę za stopę i szarpnął z całej siły.

Lenka nie spodziewała się ataku, runęła na ziemię i najwyraźniej dość mocno się uderzyła, ponieważ z jej ust, umalowanych bordową pomadką, wyrwał się lekki okrzyk. Mężczyzna sprytnie się przewinał, chwycił Lenkę za długie włosy, omotał je sobie wokół pięści i zaczął walić głową dziewczyny o podłogę, dogadując:

- A masz, kurwo! Przestraszyłam się.

- Proszę natychmiast puścić to dziecko!

Ale alkoholik nawet nie spojrzał w moją stronę. Na brudnym linoleum pojawiły się krople krwi.

- Pawłucha! - rozdarłam się jak nigdy. - Na pomoc!

- Czego tam znowu? - usłyszałam leniwy głos i chłopiec, ziewając, wyszedł na korytarz.

- Szybciej! - krzyczałam. - On ją zaraz zabije!

- Gdzie tam - obojętnie odparł małolat - Lenka sama sobie winna, wiecznie pierwsza zaczyna. Ej, stary, odważka od foczki, bo jak umoczysz, nie będę słać fajur do pierdła.

Ale czuły ojciec nie zamierzał słuchać kochającego syna, tylko jeszcze silniej walił głową nieszczęsnej dziewczynki o podłogę. W rozpaczy rozejrzałam się dookoła, zobaczyłam zawieszoną na ścianie miednicę, zerwałam ją i długo się nie namyślając, trzasnęłam łajdaka w potylicę. Tatuńcio puścił dziewczynę, odwrócił się, obrzucił mnie mętym spojrzeniem czerwonych oczu, chrząknął, splunął i zaczął się powoli podnosić, mamroczać:

- Ach, ty... poczekaj no... ach, ty...

Przywarłam do ściany i podniosłam miskę. Tak łatwo się nie poddam!

- Ale cię dziś nosi! - Pawłucha pokręcił głową. - Normalnie Terminator, wszyscy robią po nogach ze strachu!

Po tych słowach chłopiec złapał ojca i bez trudu, jakby miał do czynienia z kociakiem, a nie zdrowym, silnym mężczyzną, wrzucił go do pokoju. W maleńkim Pawłuszy kryła się cudowna moc.

- Ej, wstawaj - nakazał chłopiec Lence.

Ta usiadła i potrząsnęła głową; wokół rozbryznięły się czerwone kropelki.

- Nie paćkaj mi tu! - zdenerwował się chłopiec. - Ech, nasyfiłaś mi tu, spadowa, dalej już na schody!

- Trzeba by wezwać lekarza - podsunęłam. Pawłucha zaśmiał się ochryple.

- Jeszcze czego! To dla niej nie nowina!

- Czy można być tak okrutnym wobec osoby, którą się kocha? - próbowałam odwołać się do jego miłosierdzia.

Chłopczyna się skrzywił.

- Co? Kocha? Uczepiła się jak rzep psiego ogona, nie ma gdzie mieszkać, ale u mnie nie noclegownia, wynocha stąd, Lenka, bo jeszcze ja ci dołożę, obrzydłaś mi już!

Dziewczynka wstała w milczeniu. Spojrzałam na jej szczuplutką, lekko zgarbioną figurkę, potem podałam chłopakowi trzysta dolarów i tysiąc rubli.

- Bierz, chcę wyrównać nasze rachunki. Pawłucha gwizdnął.

- Nie poznałem pani w tym ubraniu. Forsę pani przyniosła! To ci dopiero!

- A co w tym dziwnego? - zapytałam. - Przecież się umówiliśmy.

Paweł schował pieniądze do kieszeni i skonstatował spokojnie:

- Pani to chyba jest na głowę chora, mogła pani nie oddawać, skoro przegapiłem sprawę i od razu nie wziąłem szmalu.

Jego drobna twarzyczka o szczerzych rysach przybrała pogardliwie drwiący wyraz. Poczulałam wstręt. Bez pożegnania wyszłam na klatkę schodową i ujrzałam Lenę siedzącą na schodku.

- Wstań, bo się przeziębisz - powiedziałam.
- Odczep się - odburknęła dziewczynka.
- Nie siedź tutaj, idź do domu, powinnaś się umyć i koniecznie posmarować skaleczenie jodyną.

Nagle Lena podniosła na mnie ciemne, prawie czarne, podobne do przejrzałej wiśni oczy.

- Ale ja nie mam dokąd pójść.
- Jak to? - zdziwiłam się. - A gdzie ty mieszkasz?
- Na dworcu kimałam - wyjaśniła - a potem u Pawłuchy... No nic, jutro znowu mnie wpuści.
- Więc gdzie będziesz nocować?
- A tu, pod kaloryferem - odparła Lenka i dotknęła brudnym palcem rozbitego czoła. - Boli, cholera. Ażeby zdechł!
- Na schodach? Na podłodze?
- No to co? Przywykłam, od siódmego roku życia jestem sama.

Przysiadłam koło Lenki na stopniu.

- Masz rodziców?
- Kiedyś miałam - smutno odparła dziewczynka - potem tatko nas rzucił, matka wydała się za drugiego, ojczym lubił wypić, no i zatłukł matkę taboretom.
- Poszedł siedzieć?
- Nie-e.
- A dlaczego?

Lenka wzruszyła ramionami.

- A kto go tam wie! Ożenił się z Zinką, ale ona ma własną córkę, no to mnie wygnali.
- Siedmioletnią dziewczynkę?! Sama, na ulicę?
- A co? Normalka. - Lenka wzruszyła ramionami. - Niech pani z naszymi pogada, pełno takich jak ja. Ma pani fajki? Pani mi zostawi paczkę, jak pani żal.
- Ile masz lat? - wypytywałam dalej.
- Chyba dwanaście - odparła Lenka bez przekonania. - Zapomniałam.
- Wiesz co - pociągnęłam ją za rękaw - jedziemy.
- Dokąd? - zaniepokoiła się.
- Do mnie do domu.
- A niby po co?
- Umyjesz się, zjesz normalnie, wypisz się, a jutro zobaczymy, co i jak.
- A co będę musiała za to zrobić?
- Nic.
- Nie mam kasy, żeby pani zapłacić za nocleg.
- Jedziemy, ja nie potrzebuję pieniędzy.
- Nie - upierała się mała kloszardka - nie nabierze mnie pani. Już Wierka z jedną poszła, a potem finito - sprzedali ją handlarzom organów. Niech pani lepiej stąd idzie.
- Ale ja chcę ci pomóc.
- Dzięki, obejdzie się. Wyjęłam z notesu fotografię.
- Popatrz, to moja córka Masza, trochę starsza od ciebie, zrozum, jest mi po prostu ciebie żal.

Lenka wzięła zdjęcie i zapytała nagle:

- A co ona trzyma w rękach, jakby małą, tylko jakąś dziwną...
- To Hootchuś, mops, jest taka rasa psów, mamy ich pięć, to znaczy psów.

Nagle Lenka wstała.

- Dobra, pojedę, jak pani ma psy, to mnie pani nie skrzywdzi.
- Lubisz zwierzęta? - zapytałam, gdy już dojeżdżałyśmy do Łożkina.
- Aha - kiwnęła głową Lenka - miałam psa, Almę, ojczym ją wyrzucił z balkonu, bardzo szczekała, przeszkadzała mu.

Mojego małego gościa przekazałam Maszce.

- To Lena, musi się umyć i przebrać.
 - Jasne - kiwnęła głową Mania - chodźmy.
- Lenka popatrzyła na Maruszkę i w milczeniu ruszyła za nią. Weszłam do salonu, gdzie ujrzałam moją przyjaciółkę Oksanę oraz kryminalistę Griszę. Na małym stoliku leżały rozłożone karty.
- No - huczał basem złodziej - nie rozumie pani? Niech pani patrzy uważnie, raz, raz, raz... Jaka mam kartę?
 - Pik - odpowiedziała Oksanka. Grisza zachichotał.
 - Damę kier.
 - Jak ty je podmieniasz? - Moja przyjaciółka nie mogła wyjść z podziwu.
 - Przecie tłumaczę! Ależ pani mało pojętna!
 - Co robicie? - Postanowiłam zakłócić idyllę.
 - Chodź zobacz - ożywiła się Oksanka. - Grisza ma damę, kładzie ją tutaj, a teraz znów bierze. I co ma w rękach?
 - Damę - odpowiedziałam - to przecież jasne, też mi wyczyn.
 - A właśnie że asa kier - oznajmił wesoło Grisza. - Trochę zręczności w rękach i żadnego oszukaństwa, już ja panią nauczę, będzie pani wszystkich ogrywać, tu mądrości nie trzeba, tylko refleks jest ważny.

Następną godzinę spędziłyśmy razem z Oksanką na kursie wstępnym dla młodych szulerów i nauczyłyśmy się kilku podstawowych trików.

- Jutro pokażę to w pokoju lekarskim - cieszyła się moja przyjaciółka.
- Pani przyniesie trzy kubki i kulkę - zapalił się Grisza. - Mogę też w trzy kubki.
- Mycie zakończone - poinformowała Mania, wpadając do pokoju.

Za nią do salonu weszła Lenka. Ze zdziwieniem popatrzyłam na gościa: okazało się, że włosy ma nie kasztanowe, tylko blond, karnację nie smagłą, lecz jasną, wręcz porcelanową. Dziewczynka była prawdziwą pięknoscią: wąski nos, duże ciemnopiwnie oczy, wytworna linia warg i zgrabna figurka. Maszka dała jej swoje džinsy i pulower, ubranie było na Lenkę za duże i wisiało na niej.

- Obejrzyj jej głowę - poprosiłam Oksankę.
- Resztę wieczoru spędziliśmy miło, zabawiając się grą w trzy kubki. Lena i Grisza ograli na czysto mnie i Oksanę, tylko Maszce udało się z nimi wygrać, i to zaledwie jeden raz, przy czym zupełnie przypadkowo.

Koło północy zjawił się Arkady, szybkim spojrzeniem omiół cały pokój i wszedł na górę. Ja posiedziałam jeszcze chwilę i też udałam się do siebie.

Ułożyłam Hootchusia pod kołdra, ale nie zdążyłam nawet zamknąć oczu, gdy zapaliło się światło i w progu stanęła wzburzona Kicia.

- To po prostu skandal! - zatrajkotała. - Kogoś ty tu przyprowadziła? Co to za moda, żeby przyprowadzać wszystkich spotkanych na ulicy ludzi! Najpierw ten kryminalista, teraz ta bezdomna...

Lekko otwarłam jedno oko.

- Zwracam uwagę, że Griszę przywłókł tu Arkaszka!
 - Z tobą nie da się rozmawiać! - rzuciła Olga wściekła i wyszła.
- Przyciągnęłam bliżej siebie spokojnie posapującego Hootchusia. Dobra, rano jest mądrzejszy od wieczora, nie ma co rozwiązywać problemów po nocy.

Rozdział 9

Nie wiem, dlaczego obudziłam się o szóstej rano i utkwiałam wzrok w suficie. Zupełnie nie chciało mi się spać. Obróciłam się na drugi bok i zrozumiałam, że Morfeusz ostatecznie mnie porzucił. Wsunęłam się spod kołdry, zeszłam do kuchni, zaparzyłam sobie kawę i zaczęłam ją popijać, patrząc na ogród. Większość drzew straciła już liście i przez konary brzoź widać było dom Syromytników. Ogromny, trzypiętrowy, z czerwonej cegły, kryty zielonymi dachówkami. Po pochmurnej, ponurej, szarej deszczowej

środku, przyszedł - sądząc z czystego błękitu nieba - słoneczny czwartek. Spojrzałam jeszcze raz w okno i drgnęłam. Nie wiadomo dlaczego przed oczami zamajaczyła mi drobna, przygarbiona figurka Liki, idącej przejściem między słupami ogrodzenia z drutu kolczastego. Czas płynie, a ja niczego się nie dowiedziałam. Zamyślona usiadłam przy stole. A więc spróbujmy uporządkować fakty. Bez wątplenia Asie ktoś wynajął. Wsunął jej do ręki butelkę z coca-cola i nakazał: „Widzisz tę babkę? No to szybko wciśnij jej napój”. Rzecz została dobrze pomyślana. Upalny dzień, duszne metro, palące słońce... To jasne, że Lika wzięła butelkę z napojem... Ale co się zdarzyło potem?

Zaczęłam wyjmować z cukiernicy kostki cukru i budować z nich wieżę. Ciekawe, jak potoczyły się dalsze wypadki. Najprawdopodobniej Lika źle się poczuła, może nawet upadła. Czyżby nikt tego nie zauważył? No i jeszcze jeden szczegół. Jewgienij i kobieta, która wrzuciła go do rzeki, dość długo, wedle słów dziadka, który obserwował parę przez lornetkę, rozmawiali o parci o balustradę. Czy mężczyzna nie zdawał sobie sprawy, że to nie Lika? Może był pijany? W jaki sposób nieznamna kobieta, ubrana w sukienkę Liki, nawiązała z nim rozmowę? Czemu miała służyć historia z przebraniem? Po prostu kręci się od tego wszystkiego w głowie!

Wskazówki zegara niespiesznie zbliżały się do cyfry siedem, jeszcze dwadzieścia minut i nasz dom ożywi się. Piszcząc: „Spóźnię się!”, zbiegnie schodami Maruśka, Kicia zacznie buczeć z niezadowolenia, Arkaszka się wścieknie, bo zorientuje się, że jak zawsze posiał gdzieś kluczyki od samochodu.

Zdecydowanym ruchem wstałam. Trzeba jechać na uczelnię, do dziewczyn, które sprzedawały coca-colę koło stacji metra. Wszystko jest bardzo proste. Lika została spojona jakimś specyfikiem, a kiedy straciła przytomność, została najprawdopodobniej zaciągnięta do samochodu. Może któraś ze studentek zwróciła uwagę na to zdarzenie, zapamiętała jakiś szczegół; dla mnie wszystko jest ważne. Kiedy dziewczyny usłyszały, że Asia nie żyje, odsunęły się ode mnie.

- To ci dopiero - pierwsza wydusiła z siebie Szerszniewa.
- Doigrała się - złośliwie skonstatowała Łambinas. - Było jasne, że tak się skończy.

- No to nakłamała nam pani o synu - domyśliła się Nikitina. - Nie ma żadnego zakochanego chłopaka.

- Mam syna, ale jest już od dawna żonaty - odparłam.

- No to czego pani od nas chce? - zaniepokoiła się Szerszniewa.

- Jeśli gdzieś w pobliżu jest kawiarnia, mogłybyśmy tam pójść i porozmawiać - zaproponowałam. - Oczywiście, ja zapraszam.

Studentki spojrzały po sobie.

- A co? - mruknęła Nikitina. - Lepsze to niż wykład z geografii.

Usiadłyśmy przy stoliku i opowiedziałam dziewczynom wszystko: o Lice, Jewgieniju, staruszku, butelce coca-coli, po czym poprosiłam:

- A teraz wyświadczcie mi przysługę i spróbujcie sobie przypomnieć tamten dzień, siedemnastego lipca.

- To było dawno. - Szerszniewa pokręciła głową.

- Ja zachorowałam piętnastego - przypomniała sobie Sołomonina. - W urodziny Ritki.

- Racja - podchwyciła Łambinas. - Wieczorem poszliśmy do „Sbarro”, na pizzę, ale ciebie z nami nie było.

- Jasna sprawa - skrzywiła się Ełła - wyście się obżerały smakołykami, a ja leżałam w łóżku.

- Szesnastego Aśka wyszła po raz pierwszy - ciągnęła Rita - wymalowała się, normalnie obłęd, później cały tusz jej spłynął.

- Aha - kiwnęła głową Szerszniewa - a następnego dnia zjawiała się dwie godziny później.

- No właśnie - przytaknęła Rita. - Oj, chyba mi się coś przypomniało...

Przerywając sobie nawzajem, zaczęły zarzucać mnie informacjami, a ja starałam się je jakoś usystematyzować.

Pokrótce sytuacja wyglądała następująco. Siedemnastego Aśka nie

przyszła do pracy o ustalonej godzinie. Jak na złość, akurat tego dnia zjawił się kolejny kontroler z Coca-Coli i surowo zbeształ grupową - Ritę Łambinas.

- Wcale mi się to nie podoba - narzekał chłopak, pomimo upalnej pogody w garniturze i krawacie - według dokumentów, powinna być inna liczba pracujących, niż jest w rzeczywistości, ale pod koniec miesiąca chcecie dostać wypłatę dla wszystkich!

Przeklinając w duszy nieobowiązkową Aśkę, Rita próbowała się usprawiedliwiać.

- Ależ nie, jesteśmy tu wszystkie, po prostu jedna poszła do toalety, brzuch ją rozboleł.

- No dobra - poszedł na ustępstwa kontroler - przyjdę jeszcze w południe, jeśli znów nie będzie kompletu, to inaczej porozmawiamy. Rita natychmiast rzuciła się do telefonu i zaczęła wydzwaniać do Aśki do domu, ale tam nikt nie podnosił słuchawki, a po mniej więcej dwudziestu minutach ślicznotka zjawiła się osobiście, klapnęła na murku okalającym skwerek, powiesiła na ogrodzeniu swoją skrzyneczkę z napojami i oświadczyła bezczelnie:

- Wielkie rzeczy, trochę się spóźniłam.

Asia jawnie się obijała. Kiedy pozostałe dziewczyny uwijały się w tłumie, gorliwie wypatrując klientów, ta świnka Aśka siedziała sobie w cieniu, pałac jednego papierosa za drugim. Rita Łambinas nie wytrzymała i zwróciła jej uwagę:

- Pamiętaj, że w czasie jednej zmiany musimy sprzedać określoną liczbę butelek, inaczej zapłacimy karę. Nie podoba mi się, że chcesz dostać wypłatę w całości, a od roboty się migasz.

- Dobra, nie wkurzaj się - odparła ugodowo leniwa koleżanka - co to, nie można już chwilę posiedzieć?

Rita chciała zwrócić uwagę, że Asia odpoczywa w chłodzie znacznie dłużej niż chwilę, ale wtedy z głębin torebki spóźnionej koleżanki dobiegł dzwonek komórki. Rita zdziwiła się: Aśka

ciagle narzeka na brak pieniędzy, a tu nagle... telefon komórkowy.

- Halo - rzuciła Aśka do słuchawki - aha, jasne, dobrze, zrozumiałam.

W tej samej chwili wstała i ruszyła do wyjścia z metra. Mijały ją tłumy ludzi. Dziewczyna nie zdążyła zrobić kilku kroków, kiedy podszedł do niej mężczyzna.

- Proszę o jedną butelkę...

- Zjeżdżaj! - Asia nieoczekiwanie uchyliła się i podskoczyła w kierunku kobitki koło czterdziestki, ubranej w różowy kostium.

- Może życzy sobie pani napój? Proszę wziąć, rozdajemy bezpłatnie w ramach kampanii reklamowej.

Rita wybałuszyła oczy ze zdziwienia. Coś podobnego! Dopiero co Aśka przegnała faceta, który chciał kupić butelkę coli, a teraz rozdaje napój za darmo! Może się upaliła trawą albo naćpała?

Już miała zamiar podejść do Aśki i dać wyraz swemu niezadowoleniu, ale w tej właśnie chwili obstała ją gromada uczniaków. Z pięć minut, a może więcej dziewczyna musiała poświęcić na obsłużenie dzieciaków, więc kiedy znów spojrzała w stronę Asi, ta siedziała na murku. Spędziła tam resztę dnia, z rzadka pokrzykując leniwie:

- Komu napój?

Więcej już nie podbiegała do wyjścia z metra.

- A co się stało z kobietą w różowym kostiumie, nie pamiętacie?

- No, to nam pani zadała zagadkę! - wykrzyknęła Swietłana Szerszniewa. - Też coś! Ja, na przykład, w ogóle jej nie widziałam, nawet na Aśkę nie patrzyłam.

- Źle się poczuła w tym upale - włączyła się nagle do rozmowy milcząca dotychczas dziewczyna nazwiskiem Klukwina.

Poczułam, jak twarz zalewa mi rumieniec; starając się opanować, zapytałam:

- Skąd takie przypuszczenie?

- A bo mnie akurat wtedy skończyły się butelki, wszystko sprzedałam

- ochoczo wyjaśniła Klukwina - no to pomyślałam, że sobie zapalę. A tu podchodzi jakiś dziadyga i jęczy: „Mała, otwórz napój...”.

Olesia Klukwina spróbowała wyjaśnić staruszkowi, że ma teraz przerwę na papierosa, ale ten się zdenerwował i zaczął krzyczeć:

- To dawaj mi natychmiast adres firmy, wyślę skargę! Zresztą jestem weteranem wojennym i nie będziesz mi tu, gówniaro jedna, pyskować! Wtedy do Olesi dotarło, że ma przed sobą człowieka nie całkiem zrównoważonego, więc usiłowała załagodzić sytuację. Odszukała wzrokiem swoje koleżanki, zatrzymała spojrzenie na Asi i powiedziała:

- O, weźmie pan od tamtej dziewczyny.

- Ale ja chcę od ciebie - upierał się staruszek.

- O Boże - nie wytrzymała Olesia - a co to za różnica! Wszystkie mamy taki sam napój. Mnie się akurat skończył.

- A właśnie że nie taki sam - surowo oświadczył weteran - zobacz, dziewczuszka wzięła od tamtej napój i się struła.

Olesia odwróciła głowę w stronę, którą staruszek wskazywał pomarszczoną ręką. Najpierw ją to rozbawiło. Kobitka, którą dziadek nazwał dziewczuszką, miała już ze czterdziestkę. Co prawda, ubrana była dobrze, w różowy płócienny kostium, ale mimo wszystko określenie „dziewuszka” w stosunku do kobiety, która przeżyła już na tym świecie cztery dyszki, nie bardzo pasuje. Olesia już miała się roześmiać, kiedy dotarło do niej, że kobieta rzeczywiście źle się poczuła. Jakoś tak dziwnie zaczęła się osuwać na asfalt, a Aśka wyglądała, jakby jej to wcale nie przestraszyło, podtrzymywała tamtą za łokcie.

- O - zaplawał się dalej staruszek - patrz, napiła się tego świństwa i zemdleje.

- Niechże pan przestanie wreszcie pleść głupoty! - krzyknęła w rozdrażnieniu Olesia. - Po napoju mogłaby się tak źle poczuć? Pewnie ten upał tak ściał ją z nóg.

Olesia odsunęła marudnego starucha i pobiegła na pomoc Asi, ale wyprzedziła ją dziewczyna mniej więcej dwudziestoletnia, w krótkiej białej spódniczce i jasnobłękitnej obcisłej bluzeczce.

- Mamó! Źle się czujesz!? Dima, pomóż, szybko!

Nie wiadomo skąd pojawił się chłopak, wielki jak słoń. Bez trudu podniósł kobietę w różowym kostiumie i błyskawicznie wsadził ją do samochodu zaparkowanego niedaleko, za kioskami. Cały incydent trwał kilka minut, nikt na placu nawet nie zdążył nic zauważyć.

Wyjęłam z torebki kilka zdjęć i podsunęłam Olesi.

- Przyjrzyj się uważnie.

- To ona - odparła po chwili studentka, wskazując palcem na fotografię Liki. - To ta sama kobieta.

- Jesteś pewna, że była w różowym kostiumie? Olesia kiwnęła głową.

- Aha, sama chciałam sobie taki kupić, teraz len to szczyt mody, tylko kosztuje, że ho-ho, lepiej zapomnieć! Nawet markę znam, sklep, w którym ta kobieta kupiła kostium. To ogromny salon na Twerskiej, wstąpiłam tam wiosną, kiedy pojawiła się nowa kolekcja, i przymierzyłam kostium: spódnica do pół łydki, na dole skórzane frędzle, króciutki żakiet, guziki w kształcie maleńkich srebrnych dzwoneczków, na kołnierzu haft! Ekstra leżał! Po prostu cud!

- No to dlaczegoś sobie nie kupiła? - zainteresowała się Rita.

- Dobra jesteś! - Olesia aż klasnęła. - Sama spódnica kosztuje dwieście dolców! A do niej jeszcze potrzebny żakiet, zresztą bardzo fajny, fikuśny, zamiast paska ma pleciony sznurek z klamrami. Ech, superciuch, ale brakuje mi kasy!

- A ja tam kupiłam sobie sukienkę z tej firmy na bazarze - z zadowoleniem oświadczyła Swietłana. - W kratkę, kosztowała raptem czterysta rubli.

- Fu - skrzywiła się Olesia - daj spokój. Nabrali cię, to droga firma.

- MEXX też robi świetne rzeczy - wtrąciła się do rozmowy Rita. Zrozumiałam, że teraz dziewczyny zaczną w zapamiętaniu omawiać problemy mody, spróbowałam więc zawrócić rozmowę na interesujące mnie tory.

- Powiedz, Olesiu, możesz opisać dziewczynę, która nazwała Likę mamą?

Klukwina zamyśliła się.

- Biała spódniczka z Mango, tegoroczna kolekcja, ładna, mierzyłam podobną. W talii na gumkę...

- A jakie miała włosy?

- T-shirt z firmy Tommy Hilfiger - ciągnęła Olesia, jakby nie słysząc mojego pytania - ale z zeszłego roku, tego lata mieli tam takie z kolorowymi rękawami...

- Przypomnij sobie twarz: oczy, usta, nos... Olesia wydeła dolną wargę.

- A nie pamiętam, gęba jak gęba, w okularach przeciwsłonecznych Emporio Armani, też z ubiegłorocznej kolekcji, kocie, teraz już się takich nie nosi, wszyscy chodzą w nietoperzach...

Ciężko westchnęłam. Olesia to nieoceniony świadek, jeśli chodzi o garderobę i dodatki, ale najwyraźniej prócz ubrania dziewczyna nic nie widzi.

- A jaki to był samochód? Olesia wzruszyła ramionami.

- Granatowy, nie, wiśniowy, a może zielony...

- A markę pamiętasz?

- Nie, w ogóle się na tym nie znam.

- Racja - rzekła ze śmiechem Ritka - po Lizkę Rokszyną przyjechał chłopak, a Oleska mówi: „Ale twój Wowka ma beznadziejny wóz, przecież to wstyd jeździć wołgą”. Normalny obciach!

- Myślę, że macie rację, nie wolno wyśmiewać krajowych marek, to brak patriotyzmu.

Ritę rozbawiło to jeszcze bardziej.

- Wołga to gównno, nikt nie zaprzecza. Tylko że Oleśce wszystko się pomieszało. Wowka jeździ nie wołgą, tylko bentleyem, to jedna z najdroższych, ekskluzywnych marek. Oleski nie ma nawet co pytać o markę samochodu.

- A chłopaka, który pomagał „córce”, pamiętasz? Olesia wzruszyła ramionami.

- Gruby, w koszulce z bazaru i džinsach, nic ciekawego, o, ale sandałki były super! Różowe, na szpileczkach...

- Chłopak miał takie? - zdziwiłam się. - Różowe sandałki na szpilkach? Nie mylisz się?

Olesia się roześmiała.

- Ale się pani udał dowcip! Chłopak był w adidasach, tanich, chińskich, podróba. Sandały miała dziewczyna, piękna rzecz, ze sklepu „TJ Collection”, nie można było od nich oczu oderwać. Chociaż na jej nogach nie najlepiej wyglądały, może przez ten opatrunek...

- Przez co? - wykrzyknęłam.

- No, miała zabandażowaną kostkę - spokojnie wyjaśniła Olesia - pewnie zwichnęła nogę. Fatalnie to wyglądało, różowy rzemyk, wysadzany koralikami, akurat zachodził na bandaż. Już raczej powinna była włożyć saboty.

Natychmiast przypomniały mi się zeznania lubieżnego dziadka, który twierdził, że Lika miała wtedy zabandażowaną nogę.

Pożegnałam się z dziewczynami i wróciłam do peugeota; po drodze przypomniałam sobie, że skończyły mi się papierosy, więc zatrzymałam się koło kiosku. Gruba sprzedawczyni podała mi paczkę gauloise'ów, następnie przewiesiła się przez ladę i krzyknęła:

- Ej, Warka, przegrałaś! Ta znowu w nowym futrze! Drgnęłam i upuściłam papierosy wprost do brudnej kałuży.

Podnosić paczkę, żeby włożyć do torebki ubłocone opakowanie, nie miało sensu, więc poprosiłam o papierosy jeszcze raz i zapytałam z wyrzutem:

- Po co pani tak krzyczy? Przestraszyłam się.

- A co pani taka nerwowa? - bez śladu skruchy w głosie odcięła się kioskarka. - Nudno nam tu, to sobie żartujemy z Warką. Zwróciłyśmy uwagę na jedną babę, no, nie uwierz pani, co dzień wkłada inne futro. Ile to trzeba mieć forsy! A człowiek tu siedzi dzień w dzień za marne kopiejki.

Upuściłam drugą paczkę i wlepiłam wzrok w papierosy, które prawie

tonęły w rzadkiej kaszy pierwszego śniegu. Że też ja wcześniej nie wpadłam na takie proste rozwiązanie! Na placu koło stacji metra Sportiwnaja jest pełno kiosków i w każdym umiera z nudów sprzedawca. Większość rozgląda się po okolicy, zwłaszcza latem, w czasie upalnej pogody. Z reguły właściciele budek wychodzą z ciasnych i dusznych pomieszczeń na zewnątrz i oczekują klientów na świeżym powietrzu, jeśli to, czym latem oddychamy w Moskwie, można tak nazwać.

Zapomniałam już o papierosach i pobiegłam do samochodu.

- Ej - krzyknęła kioskarka - ej, ty, głupia kozo, zgubiłaś swoje gauloise'y, podnieś paczkę!

Ale ja już siedziałam za kółkiem i wrzucałam wsteczny.

Rozdział 10

Przed wycieczką do stacji metra Sportiwnaja musiałam podjechać do domu Liki i obejrzeć ten różowy kostium. Drzwi otworzył Jura i zapytał cicho:

- Dasza? Co się stało?

- Poczekaj. - Odsunęłam go i weszłam do pokoju Liki. Otworzyłam szafę i zaczęłam przesuwać wieszaki. Wreszcie trafiłam na różowy płócienny kostium. Tak, rzeczywiście, w dobrym gatunku, widać, że nienagannie leży, nazwa firmy na metce się zgadza, szkoda tylko, że Lika już więcej go nie włoży! Na żakiecie i spódnicy były ciemne plamy. Może coca-cole produkują się z naturalnych, ekologicznie czystych surowców, ale na ubraniu napój zostawia niespieralne ślady.

- Widzisz te plamy? - zaatakowała Jurę.

- No - z zakłopotaniem odparł chłopak - tak, mama czymś się ochlapała, szkoda, bo to droga rzecz!

- Nie! - krzyknęłam radośnie, rzucając się do drzwi. - To po prostu cudowne, że Lika była tak nieuważna! Co za szczęście! Nie dotykaj kostiumu, w żadnym wypadku nie waż się go prać albo oddawać do czyszczenia! Lika niedługo będzie wolna!

- Dobra. - Jura cofnął się. - Nawet do głowy by mi nie przyszło go prać, pomyślałam, niech sobie wisi, mnie nie przeszkadza, nie wyrzucam ubrań mamy, jakoś nie mogę!

- Broń Boże - zaklinałam go. - Mama niedługo wróci.

- Jest pani pewna? - zapytał Jura z nieśmiałą nadzieją.

- Absolutnie! - krzyknęłam, wybiegając z mieszkania. - Ale na razie nic nikomu nie mów. Słyszysz? Trzymaj język za zębami, a niedługo będziesz ścisnął w objęciach mamę.

- Nie myli się pani? - szepnął młody człowiek.

- Nie! - zapewniłam i pobiegłam.

Przy wejściu na stację Sportiwnaja toczył się ożywiony handel. Każdy, kto chciał zejść do metra, musiał mijać rząd kiosków oferujących tytoniowo-czekoladowo-gumowy asortyment.

Były tu jeszcze stragany z chlebem i mlekiem, maleńki warzywniak oraz stoiska z książkami i gazetami.

Rozejrzałam się i postanowiłam zacząć od papierosów. Nabyłam trzecią tego dnia paczkę gauloise'ów, przezornie schowałam ją w torebce i zapytałam sprzedawczynię:

- Pewnie teraz to nie ma zbyt dużo klientów.

- A gdzie tam! Kupują ludzie, nie narzekam - dziarsko odparła.

- Ale latem chyba handel lepiej idzie?

- Nie wiem.

- A pani tu stoi tylko jesienią?

- Ja tam we wrześniu przyjechałam, z Mołdawii - wyjaśniła młódka.

Musiałam pójść do następnego kiosku, potem do trzeciego, czwartego... Pół godziny później, kiedy już zziębłam na wietrze, weszłam na stację metra, żeby się ogrzać. Niestety, większość ludzi handlujących na placu rozmaita tandetą nie jest z Moskwy. Pod koniec sierpnia i na początku września niemal wszyscy gastarbeiterzy wyjechali do domu, a ich miejsce zajęli nowi przybysze z Mołdawii i Ukrainy. Z pewnością nie miało sensu kontynuować tego bezpłodnego obchodu, przecież to jasne, że w pozostałych kioskach, do których jeszcze nie zajrzałam,

siedzą tacy sami „moskwianie”. Ale Diegtiariow po powrocie do domu czasem kładzie się na kanapie i oświadcza:

- Podstawą naszej pracy jest dokładność i upór. Nigdy nie wolno porzucać sprawy w pół drogi, myśleć, że już więcej niczego ciekawego się nie dowiemy. Nie, skoro już człowiek zaczął obchód mieszkań, powinien się przejść po wszystkich, a nuż w tym ostatnim czeka go sukces!

Nabrałam na nowo otuchy, wyszłam na plac i drażylałam dalej, ale kiedy tylko kobiety, do których się zwracałam z pytaniem, otwierały usta, ogarniało mnie rozczarowanie. „Szczo?”, „Pani, poczekaj chwyłynu”, „Skilki wam daty?”. Same Ukrainki.

Straciłam już nadzieję na sukces, podeszłam do stoiska z książkami i wlepiłam wzrok w jaskrawe tomiki, na wszelki wypadek okryte przezroczystą folią. Sprzedawca, mężczyzna mniej więcej w moim wieku, zgrabnie zmiotł z niej szczołeczką drobny śnieg i zapytał:

- Czego pani sobie życzy? Jakiś kryminał czy może romans? To był rodowity moskwianin. Poznałam go wymową.

- Pani zobaczy, wyszła nowa Anna Biersieniewa - gorliwie zachwalał mi towar handlarz. - Świetnie schodzi, po prostu znika w lot.

- Nie lubię kobiecej literatury - oświadczyłam - chociaż Annę Biersieniewą jeszcze jako tako da się czytać.

- Ta autorka uprawia gatunek romansu miejskiego - wyjaśniał mężczyzna. - Nie znajdzie pani u niej takich głupot w stylu: „Podszedł do Rozy, a jego błękitne oczy pociemniały z namiętności”. O, to już naprawdę brednie. A Biersieniewą może pani wziąć, nie pożałuje pani. Zresztą niech pani spojrzysz tutaj, mam też książki kucharskie, o robótkach ręcznych, i o wychowaniu dzieci.

- Czyli na każdy gust.

- Dla każdego coś miłego - zapewniał sprzedawca - a mogę też przyjąć zamówienie. Proszę napisać tytuł książki i wydawcę. Jutro przywiozę, bez żadnej zaliczki.

O tak, czasy bardzo się zmieniły. Kiedyś, pod koniec lat siedemdziesiątych, byłam namiętną czytelniczką kryminałów, wypraszałam je w osiedlowej bibliotece, w czytelni, na jedną noc. Na szczęście w bibliotecznym magazynie pracowała moja sąsiadka, której wnuczka miała same dwóje z francuskiego. Więc zawarłyśmy umowę - dziś by się to określiło jako: „stosunki barterowe”: Irma Łazariewna zaopatrywała mnie w upragnionego Jamesa H. Chase'a i Agathę Christie, a ja wprowadzałam jej leniwą wnuszę w tajniki odmiany czasowników nieregularnych. A teraz można dostać wszystko czego tylko dusza zapagnie, sprzedawcy znajdują co trzeba i przywiozą do domu. Ech, żyje się teraz łatwiej, bez dwóch trzeli!

- A może woli pani „różowe landrynki”? - Handlarz mrugnął do mnie i zajrzał pod ladę. - Proszę, Rozpustne zakonnice. Niech się pani nie wstydzi, sam też przeglądałam te rzeczy, bardzo zabawne i odprężające, są nawet obrazki, i wcale nie tak drogo, oddam za stówkę.

Odruchowo wzięłam do ręki pornograficzną książeczkę.

- Jest pan jedynym moskwianinem na całym placu.

- Ech - machnął ręką handlarz - teraz w stolicy to ze świecą szukać prawdziwych moskwian. Sami Czeczeńcy, czarni miasto przejmują, nas niedługo wsadzą do rezerwatów. Gdzie tylko człowiek spojrzysz, wszędzie oni: w taksówce, na bazarze, na budowie. A pani myśli, że kto tu na tym placu jest gospodarzem? A ten, Ahmed, zakazana mordą, tfu.

- A ja jak szukałam papierosów, to ciągle natykałam się na Ukrainki i Mołdawianki.

- I tego dobra też od groma. Ja się urodziłam na ulicy Kirowa, dzisiejszej Miasnickiej, w tej kamienicy, gdzie był sklep „Kawa i Herbata”.

- No proszę, a ja tuż obok, po drugiej stronie ulicy, może pan pamięta, był tam sklep rybny.

- No pewnie - ucieszył się handlarz - bardzo często tam chodziłem, po gromadnika dla kota, wiecznie tam były kolejki, koszmar. A potem

nas przesiedlili do Czertanowa.-

- A nas do Miedwiedkowa - odparłam, czując się prawie krewną tego faceta. - Chodziłam do szkoły przy Bolszym Kozłowskim, potem ją zamknęli.

- To ci numer! - Facet klepnął się po bokach. - I ja tam biegałem, chodziłem na francuski, oj, obrywałem od Natalii Lwowny!

- Krasnowej? - Aż podskoczyłam. - Ona była wychowawczynią mojej klasy, równa babka! Robiła tort z pianki owocowej i kondensowanego mleka, jeździła z nami do Leningradu i stale się o nas troszczyła. A była jeszcze Walentyna Siergiejewna, nauczycielka matematyki.

- I Taisja... jak jej tam, od biologii.

- Maksimowna - podpowiedziałam. - Pamiętasz, jak biegała po korytarzach i łamała sobie obcasy?

- A Josif Moisiejewicz Cejtlin? Miał romans z uczennicą.

- No - uśmiechnęłam się - z taką piękną, nazywała się Łarisa, wspinała włosy, figura, oczy! Wszyscy chłopcy się w niej kochali, a ona owinęła sobie Josifa Moisiejewicza wokół palca. Jak ja jej zazdrościłam! Romans z nauczycielem!

Nagle handlarz zapytał:

- A ty jak się nazywasz?

- Dasza Wasiljewa, chodziłam do klasy „b”.

- Zwariować można! - krzyknął księgarz. - Daszka! Poczekaj no, a ludzie mówili, że ty już od dawna mieszkasz we Francji, że wyszłaś za mąż za takiego starego miliardera i wozisz go w wózku inwalidzkim! W ogóle cię nie poznałem!

- A kto to tak ci nakłamał o moim sparaliżowanym mężu? -oburzyłam się.

- Zojka Kolesnikowa!

- Od dziecka była kłamczuchą! Nie mam męża miliardera. A ty jak się nazywasz?

Mężczyzna przymrugał oczy.

- Nikita Skoków.

Omam nie padłam z wrażenia koło jego straganu.

- Nikituki!

- Aha!

- Niemożliwe! Przecież byłeś rudy i gruby.

- A teraz jestem łysy i chudy - westchnął Nikita. - Co za spotkanie! Słuchaj, tam jest bar, chodź, zajrzemy, chlapniemy po maluchu za spotkanie.

- Jestem za kółkiem.

- Chodź, chodź! - Nikita zaczął mnie ciągnąć w stronę baru szybkiej obsługi. - Zjemy sobie pielmieni, pierwszorzędna rzecz na taki ziąb. Ja zapraszam. Ej, Gałka, rzuć okiem na moje stoisko, skoczę tylko coś przekąsić.

Mieliście czasem takie wrażenie, że czas cofnął się i zawrócił was do lat młodości i dzieciństwa?

Weszłam do baru i znalazłam się nagle w połowie lat siedemdziesiątych. Laminowane stoliki, zawsze lepkie, na nich starannie pocięte w trójkąciki papierowe serwetki w szklaneczce. Lada, za nią babsko, przewiazane - jak w zamierzchłych czasach - brudnobiałym fartuchem, obszarpany jadłospis, żelazne szyny, po których przesuwa się plastikową tacę z talerzami, aluminiowe łyżki i widelce, brak noży, pokrajany na ogromne pajdy biały i czarny chleb, zwalony na tacy koło kasy. I jak uwienczenie całości herbata i kawa. Tylko nie z torebek, ale wciąż jeszcze z ogromnych, poobijanych emaliowanych czajników z drewnianymi rączkami. Nawet nie przypuszczałam, że gdzieś jeszcze zachowały się podobne relikty. Smak napojów był adekwatny do miejsca: herbata pachniała ścierką, a w kawie trudno było odnaleźć najmniejsze wspomnienie o szlachetnych ziarnach; miała smak palonych żołądź i jęczmienia w morzu słodkiego zagęszczonego mleka. Do tego baru należało przyprowadzać wycieczki ludzi tęskniących za minioną epoką. Słynnej restauracji „Pietrowicz” daleko do tego lokalu. Tam specjalnie wszystko zaaranżowano, a tu jest samo życie.

Najpierw pokrzepiliśmy się z Nikitką pielmieniami. Ja zmołam tylko dwie sztuki: grube, niczym z kartonu, ciasto, zamiast farszu coś, co przypominało gotowane sznurki.

- Czym się teraz zajmujesz? - zainteresował się Nikita, kiedy już obgadaliśmy wspólnych znajomych.

Chwilę milczałam, po czym odpowiedziałam:

- Prowadzę agencję detektywistyczną.
- O w mordę jeża!
- Rozpracowuję akurat zawiłą sprawę.
- Ja cię kręcę!
- Potrzebuję twojej pomocy.
- Mojej?!
- Tak.

- Ale... z jakiej mańki... nie rozumiem...

- Słuchaj - oświadczyłam, odsuwając od siebie talerz ze zlepionymi, wystygłymi pielmieniami - bez ciebie w żaden sposób nie ruszę z miejsca.

Pół godziny później, kiedy fontanna tryskających ze mnie informacji wyschła, Nikita wyjął papierosa.

- Pamiętam tę babkę.
- Tak? No i?
- Aha, chłopak, który ją wsadzał do samochodu, ukradł mi książkę.
- Jak to?
- Zaraz ci opowiem. Zamieniłam się w słuch.

Nikita zajmuje swoje stanowisko pracy wcześnie rano, żeby nie przepuścić pierwszych klientów, tych, którzy jadą do pracy. Potem ma zastój, a po szesnastej handel znów zaczyna się kręcić. Siedemnastego lipca Nikita zobaczył w hurtowni nowy tytuł, kieszonkowy leksykon broni strzeleckiej. Oryginalne opracowanie, ładna okładka, mnóstwo ilustracji. Mimo że było to wydanie kieszonkowe, leksykon kosztował aż dwieście rubli, więc Nikita wziął tylko jeden egzemplarz. I gratulował sobie później ostrożności. Nikt nawet nie spojrzał w stronę pięknego wydania. Tylko jeden człowiek się nim zainteresował, wielki

chłop o twarzy przypominającej maskę samochodu Gazelle. Złapał w ogromne łapska książkę i zaczął ją kartkować, śliniąc palce.

Nikita wkurzył się, razi go ten zwyczaj.

- Ej, trochę ostrożniej - surowym tonem zwrócił uwagę młodzieńcowi - nie myśl, że ją kupisz, to droga rzecz.

- Zamknij się - leniwie odparła góra sadła - nie będę przecież wykładał kasy, dopóki nie przejrzę książki.

Nikita był wściekły, ale zmilczał. Od każdego sprzedanego egzemplarza dostaje procent, dlatego nie może sobie pozwolić na odstraszenie potencjalnych, choćby najobrzydliwszych, klientów.

Chłopak, śliniąc palce, wciąż szeleścił stronicami.

- Pomóż, szybko! - krzyknął ktoś na placu. - Dima, ona się źle poczuła!

Nikita odruchowo zwrócił wzrok w stronę, skąd dochodził głos, i zobaczył, że jakaś kobieta, najwyraźniej krewna klienta, zasłabła.

Osunęła się na jedną z dziewczyn sprzedających colę.

Gruby chłopak pośpieszył z pomocą. Zgrabnie pochwycił tracącą przytomność kobietę i wpakował ją do zaparkowanego tuż obok straganu z książkami samochodu. Po chwili Nikita zapomniał o całym zdarzeniu na placu. Przed stacją metra wiecznie coś się dzieje: wdają się w bójki bezdomni, awanturują się pijani studenci, grasują kieszonkowcy. Przypadkowy przechodzień, tracący przytomność z upału - taki obrazek zupełnie nie zdziwił Nikity. W lipcu w Moskwie panował taki skwar, że wiele osób miało problemy zdrowotne. Zatem wspomnienie takiego incydentu natychmiast wyparowałoby z głowy Skokowa, gdyby nie nader przykre odkrycie, jakiego dokonał.

Samochód, do którego wsadzono zemdloną kobietę, nie zdążył jeszcze ruszyć z miejsca, gdy Nikita zauważył, że ze straganu znikła książka, to właśnie najdroższe kieszonkowe wydanie leksykonu. Gruby chłopak zabrał egzemplarz, nie płacąc za niego ani kopiejki. Nikita nawet nie

chciał myśleć, że został okradziony. Najpierw przypuszczał, że w chwili, kiedy rozległ się pierwszy krzyk, wzywający chłopaka na pomoc, ten po prostu odruchowo włożył książkę do kieszeni. Naiwny Nikita

spodziewał się wręcz, że za jakiś czas grubas wróci i powie zakłopotany: „Wybacz, bracie, tu są pieniądze, głupio wyszło”. Takie wypadki się zdarzały, ale tym razem Nikita się nie doczekał. Książka znikła razem z górą sadła, a Skoków musiał wyłożyć pieniądze za leksykon z własnego, prawdę mówiąc, niezbyt grubego portfela. Hurtownikowi jest wszystko jedno, co się stało z egzemplarzem. Nie ma książki - oddaj utarg.

- No i tak to! - westchnął Nikita. - Dwie setki odfrunęły, piątek i sobotę pracowałem za darmo, przykra sprawa. Potem długo jeszcze rozglądałem się w tłumie, myślałem, że może ten grubas czasem przechodzi koło stacji Sportiwnaja, to go złapię i ściagnę z niego dług, ale w końcu przestałem mieć nadzieję, dostałem po kieszeni. Co prawda i dawniej ludzie podwędzali książki, ale tańsze, a taką drogą po raz pierwszy ktoś mi podprowadził.

- A samochód pamiętasz? - zapytałam bez jakiegokolwiek nadziei.

- No właśnie, to mnie najbardziej oburzyło! - Nikitka aż podskoczył.

- Czerwony merc kabriolet, droga zabawka dla niewiarygodnie bogatych idiotek, a na tablicy rejestracyjnej trzy litery O, wyobrażasz sobie, kogo stać na taką brykę! Wsadzili tę babkę do środka, chłopak usiadł za kierownicą, dziewczucha na przednim siedzeniu i gazu!

Zacząłem grzebać widelcem w zlepionych bryłkach pielme-ni. Trzy litery O. Drogówka nigdy nie zatrzyma samochodu z podobnym numerem na tablicy rejestracyjnej, ponieważ dobrze wie: taką serię mogą mieć tylko nader ważne osobistości: deputowani do Dumy Państwowej, ministrowie albo bardzo, bardzo bogaci ludzie, którzy nie poskapiają ogromnej sumy za „prestiżowy numer” - równywartości żiguli. Nagle w mojej głowie przemknęła opowieść Liki. Jewgienij zapałał namiętnym uczuciem do nieznanym piękności, która zjawiła się na uczcie weselnej w czerwonym mercedesie kabriolecie; na tablicy rejestracyjnej samochodu były trzy litery O.

Czując, że dopada mnie migrena, z wysiłkiem poplotkowałam jeszcze kilka minut z Nikita, w końcu zostawiłam mu swój numer telefonu i wyszłam. Całą drogę do Łożkina analizowałam w myślach nieoczekiwane odkrycie: kobieta, nieznana

femme fatale, piękność, która przedstawiła się jako Nastia i w której w mgnieniu oka zakochał się Jewgienij, oraz dziewczyna w białej spódniczce, z zabandażowaną kostką, nakazująca zanieść Likę do samochodu - to ta sama osoba. Skąd taka pewność? Mercedes kabriolet w kolorze czerwonym, z charakterystycznym numerem na tablicy rejestracyjnej! Raczej mało prawdopodobne, żeby po ulicach Moskwy jeździły tabuny takich bryczek. Pozostawał jeszcze mały problem. Trzeba się dowiedzieć, kto jest posiadaczem tego elitarnego środka transportu. I mogę to zrobić raz-dwa. Diegtiarjow... Chociaż nie, lepiej pułkownikowi nic nie opowiadać, natychmiast mnie zamknie w Łożkinie, przykuje łańcuchem do kaloryfera. Zresztą po co mi grubas? To zbyteczny problem.

Skręciłam w lewo, potem w prawo, potem znów w lewo, no i już byłam na Gorbuszce.

Wbiegłam na bazar i zaatakowałam pierwszego z brzegu handlarza.

- Ma pan bazę danych drogówki?

- No...

- To ma pan czy nie?

Handlarz obrzucił mnie leniwym spojrzeniem.

- Jaka?

- A są dwie?

W oczach chłopaka zamigotał uśmiezek.

- Aha. Jedna zwykła, druga pełna, z zastrzeżonymi numerami.

- Chcę tę drugą.

- Sto pięćdziesiąt doków.

Najprawdopodobniej sprytny chłopaczek, oceniwszy wartość mojej

biżuterii i zegarka, mocno wywindował cenę dysku, ale ja tak pilnie potrzebowałam tego nośnika informacji, że nie próbowałam się targować z beczelnym handlarzem.

Drogę do Łożkina pokonałam w najkrótszym możliwym czasie. Z wielką nadzieją, że nie ma domowników, wpadłam do holu i odetchnęłam z ulgą: rzeczywiście nikogo nie było. Nie zdejmując butów, wpadłam do pokoju Maruśki, odsunęłam na bok stosy skórek z mandarynek, zdmuchnęłam z klawiatury papierki po cukierkach, włączyłam komputer, wsunęłam dysk i omal nie podskoczyłam z radości. Handlarz mnie nie oszukał, wszystko działało jak należy, seria 000 była zaprezentowana w całości, mercedesów w niej bez liku, ale czerwony kabriolet jeden jedyny, a właściciel nazywał się Marlen Fridrichowicz Kolczużkin; obok podano jego adres.

Wyłączyłam komputer i złapałam za telefon.

- Tak - z niezadowolaniem w głosie odezwała się Wiera Karapietowa - co tam znowu?

- Znasz człowieka nazwiskiem Kolczużkin?

- Zawsze dzwonisz nie w porę - odparła Wierka - znam, oczywiście, kto by go nie znał, chyba tylko ty.

- A kto to jest?

- Marlen?

- Tak!

- No i czego tak krzyczysz? - odparła Wiera z rozdrażnieniem w głosie. - A gdyby cię to interesowało, siedzę w wannie, farbuję włosy, woda zalewa mi oczy, więc może oddzwonię do ciebie za pół godziny.

- Nie! - krzyknęłam. - Teraz!

- Ktoś rodzi? - wściekła się Wiera.

- Nie, ale...

- W takim razie za pół godziny.

W słuchawce rozległo się monotonne buczenie. Przeklinając obrzydliwą Wierkę, poszłam do salonu i natknęłam się w korytarzu na Grigorija. Chłopisko wyglądało naprawdę komicznie. Jego potężna, wysoka i opasła postać była zakutana w stary szlafrok Kici. Olga stara się udawać damę, która ma ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, i trzeba przyznać, że na osobach postronnych robi takie wrażenie, ale ja wiem, że Kiciusia mierzy tylko metr sześćdziesiąt cztery. A fałszywe wrażenie osoby wysokiej stwarzają niewiarygodnie wysokie obcasy, na których bohatercko kuśtyka. Ale wszystkie szlafroki Kicia ma krótkie, dlatego też białe-różowe odzienie z falbankami ledwo zakrywało Grigorijowi miejsce, z którego tak dumni są mężczyźni. Szlafrok był na Griszę również za ciasny - odsłaniał umiarkowanie owłosioną klatkę piersiową, ozdobioną tatuażem.

- Dzieńdoberek - nieśmiało odezwał się Grisza - proszę wybaczyć, że tego, nie jestem ubrany.

- Nic nie szkodzi - machnęłam ręką - jest pan przecież w domu. Nie zimno panu?

- Trochę zmarzłem - przytaknął mężczyzna. - Nogi mi zlodowaciały.

Przeniosłam wzrok na dół. Złodziej miał na nogach delikatne japonki, a właściwie w gumowych klapkach mieściło się pół stopy, reszta spoczywała na podłodze.

- Ubrałbyś się trochę cieplej - doradziłam, porzucając ceremonialne „pan”. - Czemu chodzisz w szlafroku?

Grisza zawahał się.

- Ira zabrała moje spodnie i sweter do prania.

- I co?

- Są mokre.

- Włóż inne - rzuciłam bezmyślnie. Grisza uśmiechnął się zakłopotany.

- Ale nie mam więcej ubrań, tylko jeden komplet. Arkady Konstantinowicz zaproponował mi swój garnitur, cóż, kiedy nie jestem w stanie go włożyć. On nosi rozmiar czterdzieści sześć, a ja pięćdziesiąt cztery. No to znalazłem szlafroczek. Jak baby mogą to nosić! Śliski, zimny.

Wstrząsnęły nim dreszcze. Poczułam wyrzuty sumienia. Głupio wyszło; skoro już zaprosiliśmy przestępcę w gości, należało pomyśleć o tym, że on nie ma nic, żadnego ubrania.

- Dobrze, Grisza, zaraz przyniosę panu sweter i spodnie Diegtiariowa, włoży je pan i pojedziemy do sklepu, kupię panu jakieś rzeczy.

- Nie trzeba - cofnął się Grisza - dam sobie radę. I tak już mieszkam u pani, jem, piję, żadnego ze mnie pożytku, jeszcze będzie pani wydawać na mnie pieniądze!

- Ale nie może pan chodzić w tym szlafroku!

- Już niedługo, spodnie zaraz wyschną!

Spojrzałam na niego surowo i poszłam przeszukać szafę pułkownika.

Sweter znalazłam od razu, co prawda, rękawy były troszkę za krótkie i ogromne łapska Griszy sterczały z nich groźnie. Spodnie Diegtiariowa natomiast idealnie pasowały na Griszę na szerokość, ale zupełnie nie pasowały na długość. Kiedy wciągnął dżinsy pułkownika, wyglądał w nich jak w bryczesach. Poniżej widać było dwie krzywe włochate łydki,

w

skarpetkach w biało-czerwoną kratkę, a na samym dole buciory o zaokrąglonych nosach, pospolicie zwane gównochodami.

- Coś nie bardzo tego... - wymamrotał Grisza, przeglądając się w lustrze.

- Jest świetnie - zapewniałam nieszczerze - po prostu wspaniale. W szlafroku i japonkach wyglądałby pan w sklepie dużo gorzej. Zresztą daleko nie jedziemy, dosłownie dwa kroki od Łożkina, przy wjeździe do Moskwy, jest bardzo dobry sklep, myślę, że zaopatrzymy się we wszystko, czego nam trzeba.

Rozdział 11

Grisza ruszył na podwórze, ja podreptałam za nim. Kolejny problem pojawił się przy wsiadaniu do peugeot. Francuzi wyprodukowali bardzo wygodny samochód dla kobiet. Mały, zwinnie, z pojemnym bagażnikiem - idealny dla pani domu, która zmuszona jest robić zakupy dla całej rodziny. Nie przysparza też żadnych problemów w eksploatacji, mój ani razu się nie popsuł. Jedyna niewygoda, że ten model jest dwudrzwiowy i dość niewygodnie wsiada się na tylne siedzenia. Ale tu już sama sobie jestem winna, trzeba było kupić czterodrzwiowy, a nie wydziwiać.

Grisza podszedł do małolitrażowego pojazdu i postępując, wcisnął się na przednie siedzenie. Jego głowa podpierała dach, kolana dotykały uszu, a długie ręce nie mieściły się po bokach. Francuzi najwyraźniej nie przewidzieli, że do niewielkiego samochodziku wsiądzie stukilogramowej tuszy chłopisko.

Przy wjeździe z Łożkina wpadłam na śpiącego policjanta. Trzeba było wysadzić Griszę, pokonać przeszkodę bez pasażera, a potem wepchnąć chłopca na jego poprzednie miejsce.

W sklepie nie wzbudziliśmy zachwyty, sprzedawczynie z pewnością zdziwiły się na widok ekscentrycznej pary, ale ich twarze nie wyrażały nic prócz profesjonalnej uprzejmości. Dość szybko dobraliśmy dla Griszy całą stertę ubrań: koszulę, parę swetrów, kamizelkę, marynarkę, krawat, skarpetki, bieliznę... Problem był tylko ze spodniami. Właściwie takie najzwyklejsze, wełniane, kupiliśmy od razu, ale dżinsy... Te, które były dobre na szerokość, majtały mu się nad kostką. Dłuższe ledwo się zapinały.

W końcu miałam dość biegających dziewczyn ze spodniami w rękach i podjęłam decyzję.

- Bierzemy te długie. Dżinsy zwykle rozciągają się w noszeniu.

- Bardzo słusznie - przytaknęły ekspedientki - w tych pani mężowi jest bardzo dobrze.

Grisza lekko poczerwieniał i zapytał:

- Mogę od razu w nich wyjść? Mam już dość tych przebieranek.

- Oczywiście, oczywiście - zgodnie kiwały głowami dziewczyny - tylko odetniemy metki.

Już na parterze, przy wyjściu, kupiłam Griszy szczoteczkę do zębów, golarkę i wodę kolońską.

Mężczyzna powąchał flakonik, natychmiast odkręcił korek, plusnął sobie na dłoń sporą porcję żółtawego płynu, następnie poklepał się po policzkach i z dziecięcą radością oznajmił:

- Ale zapach! Lubię, kiedy coś ładnie pachnie.

Kiedy Grisza polewał się wodą kolońską, ja stanęłam przy stoisku z upominkami i zaczęłam przebierać wśród ceramicznych figurek myszek, pieszków i kotków.

- Podobają ci się? - huczał mi nad głową Grisza.

- Bardzo sympatyczne - uśmiechnęłam się - szczególnie ta kicia z różową kokardką, wykapana Fifina. Dobrze by wyglądała na kominku w salonie.

- To niech ją pani sobie kupi!

Z ciężkim sercem odstawiłam na ladę wyrób z palonej gliny. Na kominku Kicia rozstawiła ohydne potworki z marmuru, autorskie prace szalonego Wiktora Nogę, okropnie modnego malarza, który w ostatnich latach postanowił się przekwalifikować i zostać rzeźbiarzem. Trzeba powiedzieć, że nie był to dobry pomysł. Obrzydliwe kamienne popiersia, z głowami mnie osobiście przypominającymi głowę profesora Dowella*, straszą w

* Patrz: książka klasyka radzieckiej fantastyki naukowej, Aleksandra Bielajewa (1884-1942), Głowa profesora Dowella (wydanie polskie 1984) (przyp. tłum.).

pokojach praktycznie wszystkich naszych znajomych. Kicia też padła ofiarą tej mody. Jeśli ja teraz przywlokę tego sympatycznego kiciusia, pochodzącego wprost z Chin, i ustawię go obok „nieśmiertelnych rzeźb” Wiktora, to ryzykuję, że padnie wiele nieprzyjemnych uwag pod moim adresem. Od razu stanęła mi przed oczami Kicia, ze wzgardą marszcząca swój śliczny nosek.

„No i kto wpadł na pomysł, żeby obok dzieł sztuki postawić coś takiego? Zresztą, możecie nie odpowiadać, sama wiem kto” - zabrzmiał mi w uszach zjadliwy głosik Olgi.

Rzuciłam pełne ubolewania spojrzenie na koteczka, który wpadł mi w oko, i mruknęłam:

- Nie, nie.

- Nie podoba się pani?

- Jest słodki.

- To dlaczego nie chce go pani wziąć?

- Za drogi - chlapnęłam. Grisza, zasmucony, pokręcił głową.

- No proszę! Ubrała mnie pani od stóp do głów, a teraz nie stać pani na taki drobiazg!

Wściekłam się sama na siebie. Fatalnie to wypadło, zupełnie jakbym teraz wypominała Griszy zakupy.

- Mam pieniądze - zaczęłam się głupio tłumaczyć - ale nie na kota, to znaczy wystarczyłoby i na niego, ale nie ma sensu... No! Dość o tym! Po prostu go nie potrzebuję.

Poszliśmy do samochodu.

- Bądź tak uprzejmy i usiądź z tyłu - poprosiłam. Grisza z powątpiewaniem obejrzał wóz.

- Nie uda mi się tu wcisnąć.

- Postaraj się.

- A dlaczego nie mogę usiąść z przodu? Westchnęłam; nie powiem przecież facetowi prawdy, że tak się polał płynem po goleniu, że zaraz dostanę ataku niepowstrzymanego kaszlu.

- Widzisz, jesteś potężnym mężczyzną i zasłaniasz mi boczne lusterko

- znalazłam w końcu wymówkę - a w ten sposób łatwo o wypadek.

- Aha. - Grisza kiwnął głową i sapiąc, zaczął się lokować na tylnym siedzeniu.

Nie od razu mu się to udało, dopiero po trzeciej próbie jako tako się umościł.

- Wygodnie ci? - zapytałam.

- Bardzo - mruknał.

Obejrzałam się. No tak, ten złodziej jest człowiekiem naprawdę delikatnym. Grisza znów głową podpierał sufit, kolana sterczały mu koło uszu, a ręce zarzucił za głowę.

- Wytrzymaj chwilę - poprosiłam - to raptem pięć minut drogi.

- Jest mi całkiem dobrze - zapewnił Grisza. - Gorzej było w siedmiu na przycy.

Włączyłam radio i przy akompaniamencie smętnego śpiewu obdarzonej niezbyt dźwięcznym głosem piosenkarki dotarliśmy do Łóżkina bez żadnych przygód.

Wysiadłam z samochodu i poleciłam Griszy:

- Wychodź, dojechaliśmy. Ale on nie ruszał się z miejsca.

- Czemu siedzisz? - zdziwiłam się. - Wyłaź!

- Jak?

- Bardzo prosto, odsuń przednie siedzenie do oporu i wyjdź.

- Ono się nie rusza - ze smutkiem w głosie stwierdził Grisza.

Spróbowałam poruszyć oparcie siedzenia. To ci dopiero! Dopiero co bez problemu przemieszczało się na płozach, a teraz ani drgnie.

- No to spróbuj nacisnąć - doradziłam.

- Boję się popsuć.

- Nie bój się, peugeot jest mocny.

Grisza zaczął szarpać przeszkodę, ale nie zmieniło to sytuacji.

- Ej, mam - wychylił się z drzwi Arkady - Wiera Karapietowa prosi cię do telefonu, już piąty raz dzwoni i wścieka się, że przedtem wyciągnęłaś ją z wanny, a sama sobie gdzieś pojechałaś.

- Teraz nie mogę! - krzyknęłam. Arkady wyszedł na ganek.

- A co ci przeszkadza pogadać z Wierą? Przecież ją znasz, będzie wydzwaniać co dwie minuty, nie da za wygraną.

- Lepiej mi pomóż przesunąć siedzenie.

- No i co wy byście zrobili beze mnie? - Kiesza pokręcił głową.

Wyjęłam papierosy.

- Mam alergię na dym - odezwał się Grisza - zaraz zacznę się dusić. Musiałam odejść na bok. Ciekawe, jak on przeżył w więzieniu z uczuleniem na dym tytoniowy?

- Mówiłem przecież - furczał Kiesza, zaglądając pod siedzenie - uprzedzałem, ostrzegałem wielokrotnie: nie szuraj bez końca fotelem. I co?

- Co? - zapytałam.

- To - postawił diagnozę Arkady - że go popsulaś! Teraz nie da się ruszyć.

- Zupełnie?

- No cóż, trzeba pojechać do serwisu, tam chyba potrafią coś poradzić.

- I ja mam się teraz telepać z Griszą do stacji serwisowej? - oburzyłam się.

Arkady patrzył na mnie przez chwilę, potem z ironią w głosie oświadczył:

- Mam, rusz mózgownicą!

- Przestań - zdenerwowałam się - sam szybko wymyśl, jak wydostać stamtąd Griszę.

- A co tu wymyślać - odciął się nasz adwokat - siedzenie dla pasażera nie odsuwa się!

- To i bez ciebie wiedziałam!

- W związku z tym należy odsunąć siedzenie kierowcy - dokończył myśl Kiesza. - Zawsze zawodzi cię logika. Od razu wpadasz w panikę, zamiast przeanalizować sytuację do końca.

No proszę, teraz będzie sobie ze mnie stroił żarty. Rzeczywiście, głupio wyszło, nie przyszedł mi do głowy fotel kierowcy.

- Zresztą - spokojnie rozwijał wątek Kiesza - podobne zachowanie jest typowe dla przedstawicielek płci żeńskiej, rzadko która osóbką nie zacznie pisać, widząc, że ekspres do kawy nie działa, zamiast najpierw sprawdzić, czy aby na pewno wtyczka jest wetknięta do kontaktu!

Tak, teraz mi przypomni, jak to dwa tygodnie temu zdenerwowana

powiedziałam:

- Popsuł się ekspres, trzeba jechać po nowy.
- No, ale kto by pomyślał, że głupia Irka, wycierając kurze, nie wiadomo po co wyjęła wtyczkę z gniazdko! Najbardziej przykre jest to, że Kieszka stale będzie mi wypominał ten głupi przypadek.
- No nie - nieoczekiwanie oznajmił mój syn - coś takiego mogło się przydarzyć tylko tobie!
- Co? - wystraszyłam się.
- Popsuł się mechanizm, nie jesteśmy w stanie odsunąć żadnego fotela.
- Mówisz serio?
- Zupełnie.
- Może coś pomyliłeś - czepiałam się ostatniej deski ratunku - nie zorientowałam się...
- Mamo - oburzył się Kieszka - jeśli chodzi o samochód, nie ma takiej możliwości, żebym nie załapał, w czym tkwi problem! Cóż, to szczerza prawda. Nawet jeśli Arkaszka nie jest w stanie czegoś naprawić, to zawsze stawia dokładną diagnozę. Kieszka ma zadatki na wielkiego mechanika samochodowego.
- Czyli jednak trzeba będzie jechać do serwisu - powiedziałam ze smutkiem, obliczając w myślach, ile czasu stracę na tę podróż. Dwie godziny w jedną stronę, tyle samo z powrotem... Chociaż...
- Kochanie - uśmiechnęłam się przymilnie do Kieszki - może sam odstawiś peugeota? Za pół godziny dojedziesz...
- Mamo - nie dał mi dokończyć zdania Arkaszka - jak ja mogę prowadzić tę klatkę na kółkach dla kanarka? Przecież nie da się odsunąć siedzenia! Nogi mi się nie zmieszczą. A zresztą dziś nie dostaniesz się do serwisu.
- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Jakoś powolutku dojadę.
- Spójrz na zegarek, już dziewiąta, mechanicy poszli do domu, trzeba czekać do jutra.

Zdrętwiałam.

- Do jutra? A Grisza? To co, ma tak tu siedzieć?
- To żaden problem - odezwał się kryminalista - ciepło, radio gra.
- Trzeba go jakoś wyjąć! - Tupnęłam nogą ze złości.
- Więc co proponujesz? - Kieszka zmrużył oczy.
- Może - zaczęłam kombinować - niech spróbuje przejść między fotelami.

Kryminalista chrząknął.

- Nie, nawet ręka mi się tam nie zmieści.
- Jest jeden sposób - mruknął w zamyśleniu Kieszka.
- Jaki? - ucieszyłam się. - Mów szybko!
- Otworzymy bagażnik, wyrzucimy tylne siedzenie i wtedy on wylezie na zewnątrz.
- Świetnie! Zaczynamy!
- Mamo! - krzyknął Arkady, podnosząc drzwi bagażnika. - Ileż ty wozisz ze sobą rozmaitego chlamu!

W milczeniu zaczęłam wszystko wyjmować z bagażnika. Dobrze, że przynajmniej Kieszka nie wsunął swego ciekawskiego nosa do schowka, wtedy dopiero mógłby się naprawdę zdziwić. Prawdę mówiąc, sama nawet nie wiem, co w nim leży. Wrzucam tam wszelkie rozmaitości, trzeba by je przejrzeć, ale nie mam czasu.

Po chwili Kieszka, ocierając czoło, powiedział:

- Nie, nie opuszczają się oparcia, totalna wpadka. Grisza, będziesz musiał przesiedzieć tu całą noc.
- To dla mnie nie nowina - odezwał się kryminalista. - Jak siedzieć, to siedzieć. Wielkie mi rzeczy. Ustępliwość złodzieja rozzłościła mnie do granic możliwości. Ależ z niego ciepłe kluchy! Czyż można się tak szybko poddać losowi? Trzeba z nim walczyć.

- Dość tych bzdur! Niech wyłazi!

- Ale jak? - zainteresowali się jednogłośnie Kieszka i Grigorij.

Zamyśliłam się na chwilę. Rzeczywiście, jak? Ale w tej samej chwili przyszło mi do głowy genialne rozwiązanie.

- Boże! Przecież to takie proste! Niech Grisza lekko się podniesie, położy na plecach i przeczołga się między górą foteli a sufitem.

- Ale tam są zagłówki! - zaproponował Kiesza. - Peugeot ma je przecież zamontowane i z przodu, i z tyłu.

Spojrzałam na syna pobłaźliwie.

- No to co? Przecież można je zdjąć!

Kiesza chrząknął i usunął poduszki, które w chwili wypadku powinny uratować kark przed złamaniem.

- No widzisz - uradowałam się - niech on się teraz podniesie, wygnie plecy... No, zaprzyj się nogami, już, już.

- Dżinsy mi przeszkadzają - wysapał Grisza - są za ciasne!

- To nic, nic - dodawałam mu otuchy - wyłaż, głową do tyłu, do bagażnika, och, ale z ciebie niezdara!

Po kilku minutach Griszy udało się przyjąć pozycję leżącą. Znalazł się pod samym sufitem samochodu. Nogi złodzieja leżały na oparciu przedniego siedzenia, głowa wystawała z otwartego bagażnika.

- Co robicie? - zainteresował się Diegtiarow, wychodząc na dwór.

- Wyjmujemy Griszę z samochodu - odpowiedziałam, kolejny już raz dziwiąc się zwyczajowi zadawania idiotycznych pytań w każdej sytuacji.

- A dlaczego w taki niezwykły sposób? - Aleksander Michajłowicz wciąż się zdumiewał.

- Potem ci wytłumaczę - rzuciłam na odczepnego. - No, Grisza, dlaczego się nie ruszasz?

- Zaklinałem się - odpowiedział kryminalista - łepetyna przelazła, a brzuch utknął.

- O Boże - zdenerwowałam się - nic nie możesz zrobić po ludzku! Nawet nie umiesz wyjść przez bagażnik.

- Wątpliwe, żeby człowiekowi w życiu była potrzebna podobna umiejętność - natychmiast wtrącił się Diegtiarow. -A dlaczego on nie wysiadł po prostu drzwiami?

Poczułam wielkie pragnienie, by strzelić pułkownika w łysą makówkę. Co on sobie myśli, że dookoła są sami idioci?

- Mamuś! - zapiszczała Mania, wyskakując na ganek w otoczeniu psów.

- Ojej, a dlaczego Grisza tak dziwnie leży?

No, tylko jeszcze Maszki tu brakowało z jej pytaniami. Oraz Kici, Irki, kucharki Kątki i ogrodnika Iwana. Nie zdążyłam pomyśleć o pozostałych członkach rodziny, gdy natychmiast się zmaterializowali na drodze, dosłownie jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Najpierw zadawali idiotyczne pytania, potem zaczęli udzielać nie mniej idiotycznych porad.

- Trzeba przeciąć dach - najzupełniej serio zaproponowała Kicia.

- Jak? - zainteresowała się Mania.

- Palnikiem.

- Ale po czymś takim samochód będzie do wyrzucenia! - postanowiła wyrazić sprzeciw Irka. - Szkoda!

- Griszy bardziej szkoda - natychmiast odpowiedziała Mania. - Dobra, trzeba przynieść palnik.

- Ale nie mamy go - spokojnym głosem oznajmił Diegtiarow.

- Nie trzeba odcinać dachu - odezwał się Grisza - mnie się bardzo dobrze leży, nawet lepiej niż siedzi.

- No, ale nie możesz w ten sposób spędzić reszty życia - słusznie zauważyła Kicia.

- A jakie mamy narzędzia? - wypytywała Mania Iwana.

- No, różne - zamruczał niezbyt rozgarnięty ogrodnik.

- Na przykład? - nie dawała mu spokoju Mania.

- Siekierę.

- Aha! - ucieszyła się dziewczynka. - Trzeba nią porąbać tylne siedzenie i wtedy Grisza wyjdzie.

- Fotel jest wykonany z superwytrzymałego stopu - przerwał jej Kiesza. - Nie każde ostrze sobie z nim poradzi.

- Korek z butelki usuwa się korkociągiem - wypowiedziała się Katierina.

Zapadło milczenie. W końcu Kicia zapytała zjadliwie:

- Jeśli dobrze zrozumiałam, proponujesz, żeby wkręcić nieszczęsnemu Griszy w głowę korkociąg i w ten sposób go wyciągnąć?

- Oj, nie, naprawdę - zareagował wystraszony kryminalista. - Mnie jest bardzo dobrze, tak jak jest.

- Trzeba rozbić przednią szybę - znów wpadła w zapał Kicia - i wyciągnąć go za nogi.

- No i coście się tak uparli, żeby samochód zamienić w kupę złomu! - krzyknęła Irka. - Nie rozumiem, co Griszy przeszkadza wyleźć?

- Brzuch - rzekł Diegtiarion - nie przechodzi.

- Bzdura! - radośnie krzyknęła pomoc domowa. - Trzeba go tu zostawić na tydzień, schudnie i prześlizgnie się.

- Czasem lepiej ugryźć się w język zamiast gadać po próżnicy - westchnął Kiesza.

Irka zrozumiała, że ukochany pan jest niezadowolony, więc obrażona zamilkła.

- Macie jakieś sensowne propozycje? - zapytał Kiesza.

- Tak - odparłam.

Zebrani domownicy odwrócili się w moją stronę, przy czym wszyscy od razu mieli wypisane na twarzach: „No to teraz dopiero usłyszymy rewelację!”.

- Trzeba pojechać do serwisu, a tam już fachowcy coś wymyślą.

- Aha - pokiwał głową Kiesza - jest tylko jeden problem. Ar-mand już dawno jest zamknięty.

- Za to dwa kroki stąd, przy drodze, jest warsztat samochodowy - nie poddawałam się. - Codziennie koło niego przejeżdżam i jestem absolutnie pewna, że jest tam napisane: „całodobowy”.

- Ale peugeot można naprawiać tylko w „Armandzie” - upierał się Kiesza - w umowie jest taki ustęp: jeśli odstawisz samochód do innego serwisu, tracisz gwarancję.

Uśmiechnęłam się.

- Dobra, a co w umowie jest napisane na temat rozbiórki samochodu?

- Nie rozumiem - zdziwił się Kiesza.

- Przecież jesteś adwokatem, sam pomyśl, masz tam w papierach: „zabrania się naprawy”. Ale nie chcemy peugeota naprawiać, tylko rozebrać, a o tym w umowie nie ma ani słowa. Co nie jest zakazane, jest dozwolone!

- Po prostu dealerom nie przyszło do głowy, że coś takiego jest możliwe - odparł zakłopotany Kiesza.

- Dobra, nie ma się co spierać - przejął inicjatywę pułkownik. - Jasne jest jedno, chłopaka trzeba wyciągnąć. Siadaj za kółkiem. Usiadłam na miejscu kierowcy, ale pech nadał mnie prześladował. Grisza nie był w stanie ruszyć się ani w przód, ani w tył, głowa sterczała mu na zewnątrz, nie dało się zamknąć bagażnika. Przez następne pół godziny próbowaliśmy przywiązać podniesione do góry drzwi.

- Jedź ostrożnie - prosiła Kicia - nie daj Boże drzwi opadną - i zadziałają jak gilotyna.

- Bez przesady - uspokajał pułkownik. - Zabić nie zabija, najwyżej złamiamy nos albo szczękę.

- To może lepiej nigdzie nie jechać - zajęczał przestraszony Grisza.

- Mnie tu jest, chwalić Boga, bardzo dobrze, po prostu nigdy mi nie było tak wygodnie! Ciało ma ciepło, a głowa świeżo.

Ale nikt już nie słuchał kryminalisty. Znów usiadłam za kierownicą.

- Ej - wrzasnęła Mania - stój! Zobacz!

Obejrzałam się i ujrzałam, że córka przytasiaczyła girlandę czerwonych papierowych chorągiewek, którą zwykle wieszamy na choince.

- A to po co niby? - zapytała Irka.

- Ależ z ciebie ciemna baba - rzekła z westchnieniem Mania, omotując sznurkiem z trójkątnymi chorągiewkami szyję nieszczęsnego złodzieja.

- W przepisach drogowych jest wyraźnie podkreślone, że jeśli człowiek wiezie niestandardowych rozmiarów ładunek, należy go oznakować.

- Ale Grisza to pasażer - zaprotestowała Irka.

- Dość tego dobrego - warknął pułkownik. - Wszyscy milczeć. Daria, jedź. Ej, Maszka, a ty dokąd?

- Czyż można mamuszkę puszczać samą w takiej sytuacji? -zasapała Mania, gramoląc się na przednie siedzenie.

Rozdział 12

Wykręciłam na szosę i jechałam w zółwym tempie, z napięciem wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność. Maruśka, jak zawsze, ględziła bez przerwy. Niezbyt lubię bawić się w szofera Mani z powodu pewnej jej cechy wrodzonej: moja córka nawet na chwilę nie zamyka ust. O ile wiem, w czasie jazdy, całą uwagę należy poświęcić drodze. Dlatego też milczałam, od czasu do czasu odpowiadając krótko „tak”, jeśli Maruśka zaczynała już zanadto oburzać się brakiem reakcji z mojej strony.

- Grisza - wierciła się dziewczynka - wygodnie ci?

- Owszem, bardzo - uprzejmie odparł złodziej.

- Dlaczego tak dziwnie mówisz?

- Proporczyki włożą mi do ust - wyjaśnił Grisza. - Wiatr je nawiewa.

- Wytrzymaj, niedługo dojedziemy. - Mania uspokoiła go i zaczęła mnie szarpać. - Mamuśka, nie możesz szybciej?

- Już i tak pędzę - wycedziłam przez zęby.

Przy szosie nie było ani jednej latarni, jadący z naprzeciwka kierowcy włączali długie światła, więc widoczność była zerowa, plus jeszcze oślepiające reflektory.

- Na szybkościomierzu masz trzydzieści kilometrów - jęknęła Maszka - toż do rana nie dojedziemy, dodaj gazu!

- Nie.

- Chociaż troszёнkę.

Zdenerwowałam się na dobre i już miałam zamiar oświadczyć: „Jak nie przestaniesz, to w ogóle nie pojedę”, ale wtedy Mania wrzasnęła:

- Stój!

Wiecznie tak samo! To przyśpiesz, to zahamuj. Już chciałam powiedzieć, co o tym myślę, kiedy tuż przed peugeotem wyskoczyła brudna kłapa ciężarówki z numerem. Noga odruchowo wcisnęła w podłogę pedał hamulca. Za późno.

Rozległ się głuchy odgłos, potem straszny trzask, wreszcie niezbyt głośnie „pach”. Nie wiadomo skąd wyskoczyło coś sprężystego i dość boleśnie uderzyło mnie w twarz. Utknęłam nosem w pachnącej gumą przegrodzie. Aha, czyli zadziałała poduszka powietrzna. I w tej samej chwili posypał się na moją głowę deszcz odprysków.

- No, do kurwy nędzy - wrzeszczał typek w brudnej kurtce, otwierając drzwi z mojej strony - tak myślałem! Baba za kółkiem! No i co? Nie widziałeś znaku awaryjnego postoju? Wystawiłem jak trza! O żeż ty!...

- Strasznie ciemno - wybełkotałam.

- Ty masz w głowie ciemno - złościł się szofer - w domu siedź, jak nie umiesz hamować, małpo jedna!

- Sam jesteś osioł - oświadczyła Mania, strząsając z siebie szklany pył.

- Odpowiesz za tego osła! - Szoferak poczerwieniał. Przestraszyłam się, brakowało mi jeszcze tylko awantury.

- To ty odpowiesz - zapiszczała Mania - osioł jesteś i tyle! Jaki masz znak?

- Wiadro - odparł - do góry dnem.

- No i coś ty myślał, jak miałyśmy to zobaczyć w ciemnościach? - Dziewczynka skrzywiła się pogardliwie.

Przez następnych pięć minut moja córka i kierowca wrzeszczeli na siebie, w końcu szofer przystopował i z nieskrywanym zachwytem powiedział:

- No, mała! Do tej pory tylko nasz kierownik zajezdni potrafił mnie przekrzyczeć!

- Przespacerowałbyś się u nas na dużej przerwie! - Maszka uśmiechnęła się.

Zaniepokoiłam się. Niezłe porządki panują w szkole, skoro... Ale w tym momencie wszystkie myśli wyleciały mi z głowy, bo zobaczyłam... że peugeot jest pusty.

- Maniu - wymamrotałam sztywniejącym językiem - gdzie jest Grisza?

- Jak to gdzie? - Maszka oderwała się od fascynującego procesu

wyjaśniania sobie wzajemnych relacji z kierowcą, następnie odwróciła się i wrzasnęła: - O-o-o, Grisza!!!

Staralam się nie zemdleć. A więc przy uderzeniu peugeota w ciężarówkę nieszczęsny złodziej wyleciał z samochodu przez otwarty bagażnik. Teraz pewnie w stanie zamroczenia leży gdzieś na drodze. Ze wszystkich stron szosę okalała ciemność, o żadnym oświetleniu nawet nie było co marzyć...

- Maniu - wychrypiałam - łap latarkę, biegnij na tył i pokazuj wszystkim kierowcom, żeby nas objeżdżali drugą stroną. Dziewczynka zniknęła w ciemności. Przy całej swojej gadatliwości Maruśka posiada rzadką cechę: w chwili prawdziwego zagrożenia zawsze można na niej polegać. Natychmiast przestaje się wygłupiać i zaczyna pomagać.

Złapałam komórkę i w tejże chwili ją odłożyłam. Padła bateria.

- Kto? Czego? Co? - dopytywał się kierowca.

Wyjaśniłam mu sytuację. Chłopina złapał się za głowę i wyciągnął swoją latarkę. Pobiegliśmy do tyłu. Maruśka machała wiązką światła, zganiając samochody na lewą stronę, deszcz lał jak z cebra, wokół panowały egipskie ciemności. Nie znaleźliśmy Griszy w części przejezdnej, więc przebiegliśmy ze sto metrów i zatrzymaliśmy się.

- Jak się nazywasz? - zapytał szofer, otrząsając się jak pies.

- Dasza, a ty?

- Kolka - odparł kierowca. - Nie mógł tak daleko odlecieć, pewnie, wpadł do rowu. Ej, Grisza! Odezwij się, jeżeli żyjesz!

Ruszyliśmy z powrotem, oświetlając dół wypełniony grząskim błotem. W tym samym momencie z wyjąca przeraźliwie syreną i błyskającym kogutem nadjechał patrol drogowy.

- Co jest? - rozdarły się menty, wyłażąc na drogę. Zaczęliśmy wyjaśniać sytuację.

- Słuchaj, Kostian - rzekł jeden z patrolujących - zamknij tam ruch, a ty, Saszka, uruchom wóz i poświeć reflektorami.

- Jednego nie rozumiem - pokręcił głową Saszka, wypełniwszy polecenie. - Jak on mógł wylecieć przy takiej lekkiej stłuczce i w dodatku jeszcze przez tył! Co? Piętka?

- Bo leżał na wierzchu - wyjaśniła Mania.

- Z głową w otwartym bagażniku - dodałam. Gliniarzom szczęki opadły.

- A dlaczego tak? - ożył w końcu Pietia.

- Bo chciał tamtędy wyjść, ale utknął - westchnęłam.

- No i dlatego wieźliśmy go w takiej pozycji - weszła mi w słowo Maszka - ale zgodnie z przepisami, na szyi miał czerwone chorągiewki! W oczach Pieti i Saszy dało się zauważyć jakby lekki strach. A co wy byście się nie wystraszyli, gdybyście znaleźli się nocą na drodze w towarzystwie matki i córki, które najwyraźniej uciekły z kliniki psychiatrycznej. Sama nie wiem, jak by postąpili dziarscy sierżanci, ale nagle Kola krzyknął:

- Jest, o tam, spójrzcie, leży w rowie!

Przebrnęliśmy przez mniej więcej metr lepkiego błota i dotarliśmy do rowu.

- Rzeczywiście - potwierdził Sasza nie wiadomo dlaczego szeptem - ma chorągiewki na szyi.

- Grisza! - Maszka rzuciła się do kryminalisty, a ja za nią.

- Żyjesz? - krzyknęłyśmy chórem.

- A bo co? - odparł Grisza. - W porządku! Leżę sobie i tyle, no, przyznaję, przestraszyłem się, kiedy wyleciałem, ale długo to nie trwało. Nawet żem się nie uderzył, normalnie na siano spadłem.

- Wstawaj - poprosiłam.

- Nie mogę.

- Nogę złamałeś? - zapytał Pietia, który również zszedł do rowu.

- Nie-e.

- No to co jest?

- Dżinsy ciasne, nie dam rady usiąść.

- O, w mordę! - Kolka pokręcił głową.

- No to ściągaj portki!

- Całkiem? - upewnił się niezbyt rozgarnięty Grisza.

- Nie, do połowy - rozzłościł się szofer. - My tu latamy po drodze z latarkami jak te sumaki, a ten się spokojnie wyleguje w rowie! Według mnie, Nikołaj nie miał racji. Po pierwsze, sumaki, te sympatyczne, szybko nogie zwierzęta, nie korzystają z latarek, a po drugie, leżenie w rowie wypełnionym rzadkim błotem w żaden sposób nie można nazwać wylegiwaniem się.

- Pomóżcie mi - postękiwał Grisza - co za diabelskie spodnie! Wspólnymi siłami wytrzasnęliśmy złodzieja z džinsów.

- Ale masz fajowe slipy, z pokemonami - zachwycił się Pietia.

- Dostałem od Arkadego Konstantinowicza - wyjaśnił Grisza.

Byłam absolutnie zaskoczona: skąd Kiesza wziął majtki z bohaterami popularnej kreskówki?

- No i jak tam? - zapytał Sasza. - Możesz chodzić czy wezwać karetkę?

- W porządku, panowie - wysapał Grisza, dziarsko człapiąc przez błoto - mnie to konwojent wylał raz na plecy czajnik wrzątku i nic! Patrolujący spojrzeli po sobie.

- W siłach bezpieczeństwa wewnętrznego służą same bestie. - Pietia pokręcił głową. - Komu by coś takiego przyszło na myśl! Lać człowiekowi wrzątek na kręgosłup!

- Nie, to niechący - wyjaśniał Grisza - potknął się, a ja się akurat napatoczyłem.

Dotarliśmy z powrotem do miejsca wypadku.

- Jakies roszczenia? - zainteresował się Pietia.

- Nie, oczywiście, przecież sama wjechałam w Nikołaja.

- A ty masz coś do niej?

- Nie. - Nikołaj machnął ręką - Mojej ciężarówce nic się nie stało.

- Dobra - poweselały menty - no to spadamy!

Nie zdążyłam nic powiedzieć, jak funkcjonariusze działu kontroli ruchu drogowego migiem wskoczyli do samochodu i pomknęli w dal.

- I co teraz zrobimy? - zapytała skłopotana Mania, oglądając powgniatanego peugeota. - Jak dotrzemy do domu?

- Ech - westchnął Nikołaj - trzymajcie brezent, zaraz zmienię koło i dowiozę was. Dziewczynka do szoferki, reszta na pakę.

Pół godziny później razem z Griszą szczękaliśmy zębami w żelaznym koszu, po którym hulał wiatr.

- Włożyłbyś spodnie - poradziłam, choć moje zmarznięte usta nie były zbyt posłuszne.

- Są zupełnie mokre - rzekł basem Grisza, ale mimo to zaczął je naciągać - nie dopinają się, cholery. Coś tu przeszkadza. A właśnie, zupełnie żem zapomniał! Masz, prezent dla ciebie!

W mojej dłoni leżał ceramiczny kotek, ten sam, którego oglądałam parę godzin temu w sklepie.

- Dziękuję, kupiłeś mi tę figurkę! To bardzo miło z twojej strony. Grisza zakasłał.

- No tak, widziałem, że ci się podoba.

- Ale kiedy zdążyłeś?

- A co tam! To sekunda. Wtedy do mnie dotarło.

- Ukradłeś tego kota!

Grisza odwrócił się w drugą stronę i nic nie odpowiedział. Złapałam go za rękaw pulowera.

- Żeby mi to było ostatni raz, jasne? Złodziej kiwnął głową i odburknął:

- Ale o czym tu gadać, to badziewie kosztowało raptem parę kopiejek. Wsunęłam kota do kieszeni.

- Za prezent dziękuję, rzeczywiście przypadła mi do gustu ta kicia, ale nie waż się nigdy więcej!:

- Aha - pokiwał głową Grisza - dobra.

Deszcz ze śniegiem padał w Łóżkinie również rano, a właściwie po południu, jako że zmęczona nocnymi przygodami spałam do obiadu. Zresztą mogłabym leżeć w łóżku dłużej, gdyby do sypialni nie weszła Irka i nie wsunęła mi do ręki słuchawki.

- O co chodzi? - zapytałam, ziewając.

- Telefon - odparła inteligentnie gosposia.

- To widzę, ale kto dzwoni?

Irka zatkała dłonią mikrofon i wyszeptała:

- Karapietowa. Przepraszam, że panią obudziłam, ale ona wydzwania od rana, zdażyła już dać wszystkim w kość.

Usiadłam w łóżku. Wiera jest tak zawzięta, że każdego człowieka może doprowadzić do ostateczności.

- Ciekawa sprawa - zabrzmiało w słuchawce pełne niezadowolenia staccato - to ja w pośpiechu, na łapu-capu myję głowę, wyłażę z wanny, myśląc, że masz jakieś problemy, i co? Dzwonię, dzwonię... Gdzieś ty znikła? Coś wczoraj robiła, co?

Wysłuchiłam Wierki w milczeniu. No, przecież nie będę jej opowiadała o Griszy i wyprawie do serwisu.

- A co ty tak nieprzyzwoicie długo kisisz się w łóżku? - ciągnęła Karapietowa.

Znów nic nie odpowiedziałam. Normalnie wstaję o dziesiątej, ale wczoraj, po powrocie do domu, zadzwoniłam po pomoc drogową, która przyprowadziła porzuconego na drodze peugeota do nas na podwórze. Sami więc rozumiecie, że położyłam się nad ranem.

- Z łóżka należy wstawać o ósmej - kategorycznie oświadczyła Wiera - tak jak ja to robię.

Tak, to cała ona. „Rób jak ja, słuchaj mnie, tylko ja wiem, jak należy postępować”. Niestety, wielu wykładowców grzeszy mentorstwem, płynnie przechodzącym w nudziarstwo. Zresztą, większość nauczycieli nabiera tej cechy w toku życia zawodowego, ale jeśli się chwilę zastanowić, to w fakcie tym nie ma nic dziwnego. Wyobraźcie sobie, że codziennie, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, bezustannie wyjaśniamie ludziom, jak należy prawidłowo pisać, czytać, liczyć albo mówić w obcym języku. To jasne, że prędzej czy później człowiek zwariuje i zacznie mu się wydawać, że już pozjadał wszystkie rozumy i jest najmądrzejszy z całej wsi.

Ale Wierka Karapietowa była taka od dziecka. Chodziłyśmy do jednej klasy, mało tego, mieszkaliśmy po sąsiedzku, w tej samej kamienicy, w której mieścił się sklep „Ryby”, przy ulicy Kirowa, obecnie Miasnickiej. Od szczeniących lat Wierka wyróżniała się osobliwym, patologicznym wręcz nudziarstwem i hipertroficznym zarozumiałstwem. Wchodzenie z nią w spór było sprawą beznadziejną, nigdy nikomu nie udało się przekonać Karapietowej do jakiegokolwiek sprawy. Nikt prócz mnie nie chciał się z nią przyjaźnić. Prawdę mówiąc, to mnie też średnio cieszyło spędzanie z Wierką wolnego czasu, bo ona zawsze ustalała swoje zasady we wszystkich grach i zabawach, ale sąsiadka sama do mnie przychodziła i rozkazywała:

- Zostaw lekcje, idziemy do kina. Według mnie, siedzenie nad podręcznikami po siódmej wieczorem jest szkodliwe.

Należy jednak przyznać, że Karapietowa świetnie się uczyła i nauczyciele zawsze stawiali ją nam za wzór. Razem zdawałyśmy na studia i trafiłyśmy do jednej grupy; od tego momentu też zaczyna się nasza przyjaźń z Liką. A właściwie to ja się przyjaźniłam z Liką i Wierka, a one - każda oddzielnie - ze mną. Natomiast między sobą nie mogły dojść do porozumienia i co jakiś czas wszczynały kłótnie, zresztą wiadomo dlaczego.

Nudziara Wierka próbowała dyrygować narwaną Liką. Sami rozumiecie, że do niczego dobrego nie mogło to doprowadzić.

- Cholerna lizuska, wstrętne wazeliniara - syczała Lika na widok Wiery.

- Jak możesz się zadawać z tą nieodpowiedzialną trójkarą? - oburzała się Wiera, napierając na mnie swoim potężnym ciałem. - Pamiętaj, że ten, kto zostaje w tyle, zawsze okazuje się zdrajcą.

Prawdę mówiąc, o wiele bardziej podobała mi się wesoła Lika niż poprawna do obrzydzenia Wiera. Ale Karapietowa aktywnie podtrzymywała naszą przyjaźń, a ja, choć ciążyła mi ta znajomość, nie wiedziałam, jak ją przerwać. W końcu jednak zdarzyło się coś, co zasadniczo zmieniło sytuację.

W połowie piątego roku studiów nieoczekiwanie zwołano zebranie Komsomołu. Kiedy weszłam do wypełnionej po brzegi sali,

ujrzałam w prezydium po lewej stronie długiego stołu Wierę, co bardzo mnie zdziwiło. Karapietowej nie było od dziesięciu dni na uczelni, a na moje telefony jej babcia odpowiadała cicho:

- Wieroczka jest ciężko chora, ma anginę, na razie, Daszeńko, trzeba jej dać spokój.

Ostatni raz usłyszałam to zdanie poprzedniego dnia wieczorem, a tu proszę, Karapietowa wygląda na zdrową i siedzi w prezydium. Druga dziwna okoliczność, to miejsce, jakie zajmowała Wierka. W owym czasie była sekretarzem organizacji komsomolskiej naszego instytutu, chciała wstąpić w szeregi KPZR i zawsze zasiadała pośrodku stołu prezydijskiego. Zwykle prowadziła zebrania, doprowadzając zebranych do spazmatycznego ziewania niekończącymi się, ogłupiającymi przemówieniami. Ale teraz Wierka kuliła się z boku, główne miejsce zaś zajmował Anton Parszykow, który... żądał usunięcia komsomołki Karapietowej z szeregów Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży. W pierwszym rzędzie siedział nasz dziekan, większość wykładowców i sekretarz organizacji partyjnej uczelni - wszyscy mieli kamienne, nieprzeniknione twarze.

Ja jak zwykle spóźniłam się i przegapiłam początek, więc nie rozumiałam, o co chodzi. Szarpnęłam Wańkę Mamlejewa za ramię:

- Co jest grane?

- Koszmar - westchnął Wania i szeptem zaczął wyjaśniać mi sytuację.

Im dłużej mówił, tym bardziej opadała mi szczęka. Rodzice Wiery Karapietowej pracowali w jakimś instytucie naukowo--badawczym. Rodzina żyła w dostatku. Prawdę mówiąc, nigdy nie zastanawiałam się, skąd Wierka ma takie śliczne futro z wiewiórek, piękne złote pierścionki i świetne ciuchy nierodzimej produkcji. Ja sama nic takiego nie miałam, ale moja mama wcześniej zmarła, ojciec zniknął z naszej rodziny tak dawno, że prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy w ogóle kiedykolwiek był, babcia natomiast, choć starała się ze wszystkich sił, nie była w stanie zapewnić dostatniej egzystencji sobie i swojej wnuczce. Do tego Fasia była karciarą... Zresztą już o tym opowiadałam*.

Ale Wiera miała i mamę, i tatę, i babunię Ałłę Jurjewnę, więc stabilna sytuacja materialna rodziny nikogo nie dziwiła.

Karapietowowie mieli też domek za miastem, a rok temu jako jedyni na naszym podwórku kupili samochód marki Moskwič.

A teraz właśnie wyszła na jaw straszna prawda: rodzice Wierki tak naprawdę byli spekulantami, przy czym handlowali nie importowanymi ciuchami, nie kosmetykami, nie obuwem... tylko walutą: amerykańskimi dolarami i markami niemieckimi. Dzisiaj, kiedy w Moskwie na każdym kroku są kantory wymiany walut, nikt już nie pamięta, że jeszcze nie tak dawno w naszym kodeksie karnym był artykuł przewidujący za operacje walutowe bardzo wysoki wymiar kary.

Rodzice Karapietowej zostali aresztowani, a nam nakazano teraz wyrzucić ją z szeregów Komsomołu. Siedziałam na krześle, zdrętwiała, a moi koledzy z roku po kolei wchodzili na scenę i piętnowali Wierę za haniebne przestępstwo rodziców. Wielu wykorzystało dogodny moment, żeby zemścić się na mającej zawsze rację Karapietowej. Sama Wierka nigdy nie przebierała w słowach, ganiąc wagarowiczów i dwójkarzy.

Kiedy na trybunę weszła Lika, poczułam się całkiem źle. Miesiąc temu Wierka stała na tej samej scenie i wskazując Likę palcem, mówiła:

- Takich jak ona należy wyrzucać z instytutu! Same tróje w karcie egzaminacyjnej i opuszcza zajęcia.

W napięciu oczekiwałam, że usłyszę, jak Likusia topi Wierę, ale jej wypowiedź wstrząsnęła mną.

- Jak wam nie wstyd! - grzmiała Lika. - Zapomnieliście, co powiedział Stalin? „Dzieci nie ponoszą odpowiedzialności za rodziców"! A wy co, wczoraj była waszą koleżanką, a dziś już tylko śmieciem? Jesteście skończonymi łajdakami! Za co chcecie wyrzucić Wierę, co? Przecież przez wszystkie lata studiów nie miała nawet jednej czwórki, same „bardzo dobre"! W sali huczało. Dziekan zaczął coś szeptać z sekretarzem

* Patrz: Daria Doncowa Basen z krokodylami.

organizacji partyjnej. Obu panom uszy płonęły żywym ogniem. Przewodniczący zebrania chciał ściągnąć Likę z mównicy, ale ta się nie poddawała.

- Póki nie wypowiem się do końca, nie zejdem - zaparła się. -Możecie nawet milicję wezwać. A co to, znów mamy trzydziesty siódmy rok?

- Dobrze mówi! - krzyknął ktoś z sali. - Czy to wina Wierki, że jej rodzice to spekulanci?

Uszy przewodniczących jeszcze bardziej poczerwieniały. Ostatnia wystąpiła Wierka; pokrótce jej wypowiedź brzmiała tak: o przestępczej działalności ojca i matki nic nie wiedziała, ale teraz odcina się od rodziców. Z Komsomołu możecie mnie wyrzucić, ale nie wyrzucajcie z uczelni, pozwólcie mi zrobić dyplom, zostało tylko pół roku nauki. Następnie doszło do głosowania, w którym większość opowiedziała się za pozostawieniem Wiery i w Komsomole, i na studiach.

Wierka jednak stała się pariasem, przyjaźniłyśmy się teraz z nią tylko ja i Lika. Karapietowa otrzymała dyplom, nawet z wyróżnieniem, chociaż na egzaminie państwowym dziekan próbował ją oblać. Ale żadnej porządnej posady Wierka nie dostała, poszła więc uczyć w najzwyklejszej szkole. Aż do pierestrojki pracowała jako nauczycielka, nie awansowała, i, rzecz jasna, nie została przyjęta do partii. Nie jeździła również za granicę, do słonecznej Bułgarii. I dopiero kiedy runęła potężna KPZR, Karapietowa podniosła głowę. Co najciekawsze, jej mąż, Siemion, jeden z pierwszych utworzył w stolicy kantor. Teraz Wiera już nie ma niezaspokojonych potrzeb, jeździ po całym świecie, a jej niezachwiana sytuacja finansowa opiera się właśnie na handlu walutą. Los bywa przewrotny.

I coś jeszcze. Mniej więcej rok po pamiętnym zebraniu, koło godziny drugiej w nocy, ktoś zadzwonił do drzwi mojego mieszkania.

Lekko zdziwiona spojrzałam przez wizjer i zobaczyłam Wierę. W tym czasie nie mieszkaliśmy już w tej samej kamienicy. Karapietowom skonfiskowano mieszkanie. Ałłę Jurjewnę i Wierę wysiedlono do baraku, na obrzeża miasta. A ja z babcią Fasią przeprowadziłam się do Miedwiedkowa.

- Co się stało? - spytałam przestraszona, otwierając drzwi.

Wiera w milczeniu wsunęła mi do ręki jakiś blankiet z pieczętkami i usiadła na taborecie przy wejściu.

„Wykonanie wyroku przewiduje się na dzień 25 stycznia...” Zadrżały mi ręce. Czyli Wazgena Owanesowicza i Anastasję Siergiejewnę... Boże! I co mam Wierze powiedzieć? Jak zareagować?

Nieoczekiwanie Wierka podniosła zupełnie suche oczy i głosem pozbawionym jakiegokolwiek zabarwienia emocjonalnego zapytała:

- Jak myślisz, czy ich razem... czy każde oddzielnie? Mama pewnie chciałaby stać obok taty.

Nie daj Boże nikomu przeżyć tego, co ja w tamtej chwili.

Rozdział 13

- No więc dlaczego chciałaś mnie wyciągnąć z wanny? - pytała wciąż oburzona Wierka.

Postarałam się rozwiać ponure wspomnienia i wrócić do rzeczywistości.

- Znasz Marlenu Fridrichowicza Kolczużkina?

- No!

- Tak czy nie?

- Tak.

- I kto to jest?

- Tylko tobie mogło przyjść do głowy takie pytanie - rzekła z westchnieniem Wierka. - Koń by się uśmieł! Nie czytasz gazet?

Zawahałam się.

- Bardzo rzadko.

- Zaspokój moją ciekawość - jakie?

- „Skandale”, bo piszą tam zabawne rzeczy o człowieku--kocie albo ufoludkach!

- A telewizję oglądasz?

- Tak. Gliny, Zabójczą siłę i jeszcze, zaraz...

- Posłuchaj, Daszka - przerwała mi Wiera - jesteś niemożliwa! Przecież wszystkie środki masowego przekazu od roku trąbią o Kolczużkinie! Jest właścicielem browaru „Kolczuga”, a teraz zgłosił swoją kandydaturę do parlamentu.

- Czy ktoś z jego rodziny ma czerwonego merca?

- Nie mam pojęcia.

- Dopiero co powiedziałaś, że go znasz! - oburzyłam się.

- No, ale przecież nie osobiście - odparowała Wierka cios -tylko z gazet i telewizji.

- A kto z naszych znajomych może go znać osobiście? Karapietowa prychnęła ze złością.

- A bo co?

Chciałam jej opowiedzieć o Lence, butelce coca-coli, omdleniu i kabriolecie, który wywiózł naszą przyjaciółkę, ale nie wiadomo dlaczego skłamałam.

- No bo dostałam od niego zaproszenie na imprezę, ale nie rozumiem dlaczego. Postanowiłam najpierw rozeznaczyć się w sytuacji.

- W żaden sposób nie mogę ci pomóc - ucięła Wierka. -Osobiście nie włączę się po obcych ludziach i tobie też radzę tego nie robić, nie jedź do Kolczużkina, to człowiek, oględnie mówiąc, nie z naszego kręgu, gangster, bandyta.

- Dobra - zgodziłam się szybko, rozłączyłam i wybrałam numer swojego byłego męża, Maksa Polańskiego.

- Po co ci Marlen? - zdziwił się Maks. - Chcesz znów wyjść za mąż? Ale on ma żonę, są chyba dobrym małżeństwem!

- Muszę się z nim zobaczyć.

- Po co?

- Muszę!

- Dobra - poddał się Maks - niech ci będzie, poczekaj, zaraz rozwiążę twój problem.

Poszłam do jadalni, nalałam sobie kawy i zauważyłam pod cukiernicą kartkę: „Mamo! Zadzwoń do serwisu. Peugeot już tam jest. I pamiętaj: tylko Gisławied”. Dziwne imię - Gisławied, do tej pory nigdy się nie spotkałam z podobnym, zapewne muzułmańskie. Długo się nie zastanawiając, wybrałam numer.

- Centrum serwisowe, słucham - usłyszałam miły męski głos.

- Chciałam rozmawiać z Gisławiedem.

- E-e... a kto mówi?

- Nazywam się Daria Wasiljewa - przedstawiłam się i wyjaśniłam sytuację.

Po kilku minutach facet powiedział:

- Chwileczkę.

W słuchawce zabrzmiała muzyka, po czym usłyszałam inny, tym razem kobiecy głosik.

- Halo.

- Chciałam rozmawiać z Gisławiedem. Dziewczyna zachichotała.

- Z kim?

- Gisławiedem.

- A kto dzwoni?

Musiałam znów wyjaśniać całą sytuację. W końcu dotarłam do odpowiedniego pracownika, który spokojnie wyjaśnił, że peugeot można naprawić w ciągu jednego dnia.

- Proszę przyjechać jutro koło dziesiątej, samochód będzie gotowy.

- Dziękuję, panie Gisławiedzie! - ucieszyłam się. Chłopak nieoczekiwanie zarechotał.

- Nie ma za co, to nasza praca.

Poweselałam na myśl, że już nie będzie problemów z peugeotem. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Słuchaj, wszystko złożyło się nad wyraz pomyślnie - zagrział głos Maksa. - Marlen sprzedaje swój dom za miastem, powiedziałem, że z przyjemnością go obejrzysz.

- Ale ja nie potrzebuję domu!

- Przecież nikt ci go nie każe kupować - zdenerwował się Maks. -

Chciałaś zobaczyć się z Marlenem, więc ci to zorganizowałem. Jutro o trzynastej u niego, może być?

- Tak, dziękuję.

- No to trzymaj się! - dziarsko krzyknął Maks i rozłączył się. Następnego dnia rano Kiesza podwiózł mnie do serwisu.

- Możesz już jechać do pracy - powiedziałam, wysiadając przed wejściem do centrum serwisowego.

- O nie - zdecydowanie zaprotestował Arkady - pójdę obejrzeć samochód.

Peugeot wyglądał jak nowy, szyba wstawiona, zderzak wymieniony.

- Dziękuję, panie Gisławiedzie - wykrzyknęłam z radością. Chłopak, który przyprowadził mnie do samochodu, roześmiał się.

- Mamo - Kiesza aż podskoczył - daj spokój.

- Dlaczego? - zdumiałam się. - Co złego zrobiłam? Nie mogę podziękować z całego serca temu wspaniałemu panu Gisła-wiedowi?

W tej chwili zachichotali pozostali pracownicy. Ja tylko intensywnie mrugałam oczami - co takiego śmiesznego jest w moich słowach?

Postanowiłam nie zwracać uwagi na tych głupich ludzi i kontynuowałam:

- Panie Gisławiedzie, jest pan świetnym fachowcem! Jeśli pan chce, chętnie wpiszę podziękowanie do książki.

Dziewczyna, która wystawiała rachunek, zanosila się śmiechem.

Chichotali również pozostali klienci, oczekujący w kolejce.

- Mamo - złapał mnie za ramię Kiesza - przestań się wygłupiać!

- Ale ja po prostu dziękuję chłopakowi i zupełnie nie rozumiem, co w tym śmiesznego!

- Przestań nazywać go Gisławiedem.

- To pan nie jest Gisławied? - dotarło do mnie.

- Nie - chłopak pokręcił głową, szczerząc zęby w uśmiechu - od urodzenia nazywam się Siergiej.

- A gdzie jest Gisławied?

- W magazynie - zarzął Siergiej - w większej ilości, a poza tym w pani peugeotcie.

Już zupełnie się pogubiłam.

- Pracuje u was kilku ludzi o takim egzotycznym imieniu? Chwileczkę, a co tu ma do rzeczy mój samochód? Wasz pracownik w nim siedzi?

Od chóralnego śmiechu zatrzęsły się ściany. Kiesza bezceremonialnie wyciągnął mnie na dwór, na deszcz.

- Naprawdę przesadziłaś! - oświadczył z wyrzutem, wychodząc za mną.

- Urządziłaś cyrk na kółkach. Teraz, zapamiętaj już cię na całe życie, wstyd, normalnie, wstyd!

- Ale zupełnie nie rozumiem, co ja takiego zrobiłam...

- Po coś nazywała chłopaka Gisławiedem?

- No, pomyliłam się, i co w tym takiego śmiesznego? Dlaczego wszyscy tarzali się po podłodze?

- „Gisławied” to nie imię, tylko nazwa firmy produkującej opony samochodowe - wyjaśnił zrezygnowany Kiesza.

Oniemiałam na chwilę, po czym krzyknęłam.

- Ale przecież sam mi zapisałeś na kartce: „Peugeot w naprawie, prosz Gisławieda”. No to doszłam do wniosku, że on naprawia mój samochód!

- Jak ty czytasz? Czym? - westchnął Kiesza. - Napisałem coś zupełnie innego: „Zadzwoń do serwisu. I pamiętaj: tylko Gisła-wied”. Chodziło o to, żebyś zażądała zmiany opon konkretnie na te, bo niedługo zaczniesz się gołoledzi Teraz już chyba rozumiesz, dlaczego wszyscy rżeli, kiedy z zupełnie poważną miną zaczęłaś chwalić majstra i nazywać go Gisławiedem?

W milczeniu wsiadłam do samochodu i zapaliłam silnik. Fakt, głupio wyszło.

Dom Kolczużkina znajdował się w obrębie osiedla chronionego, ale bez przeszkód zostałam przepuszczona. Działka Mar-lena Fridrichowicza była ogromna - hektar, nie mniej, a budynek wystawiony na sprzedaż wyglądał nawet bardziej pompatycznie niż willa naszego sąsiada, bankiera Syromytnikowa.

Otworzyła mi kobieta w nieokreślonym wieku, która przedstawiła się jako Inga Fiodorowna; gospodarzy nie było widać.

- Marlen Fridrichowicz musiał wyjechać w sprawach służbowych - wyjaśniała damulka - a jego żona, Malika Jusupow-na, jest teraz nieobecna, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, ja pokażę dom.

- A kim pani jest dla Kolczuzkinów? - nie mogłam powstrzymać ciekawości.

- Gospodynią - dumnie wyjaśniła Inga Fiodorowna - prowadzę dom, zarządzam służbą. Przecież sama Malika Jusupow-na nie może kontaktować się z ogrodnikiem, sprzątaczką czy kucharką! Zaczęłyśmy wędrowkę po licznych pokojach.

- Jeśli pani sobie życzy, może nabyć dom wraz z meblami -oświadczyła Inga Fiodorowna.

Westchnęłam cichutko. Nawet gdybym potrzebowała domu, to za nic w świecie nie chciałabym tu mieszkać. Ogromne sale zamiast normalnych, przytulnych pokoi, koszarne meble, głównie białe ze złoceniami, absolutny brak zasłon plus żyrandole na wiele żarówek, zwisające na łańcuchach z brązu w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Straszły również korytarze, długie i kręte, oślepiająco białe ściany i czarny parkiet. To nie dom, tylko koszmar. Ale zrobiłam minę pełną zachwytu i zaczęłam paplać:

- Co za wytworne wnętrze!

- Indywidualny projekt, Malika Jusupowna sama kierowała pracami wykończeniowymi.

- Niezwykły gust!

- Malika Jusupowna jest artystką.

- To widać! Co za dobór kolorów! A jest tu garaż?

- Oczywiście - Inga Fiodorowna kiwnęła głową.

- Proszę mi pokazać.

Gospodyni wyprowadziła mnie na dwór.

- Garaż stoi oddzielnie. Malika Jusupowna nie chciała, żeby na parterze czuć było zapach benzyny.

- Bardzo słuszna decyzja. - Pokiwałam głową. - Malika Jusupowna jest mądrą kobietą.

- Co dzień dziękuję Bogu, że miałam szczęście trafić do domu takich ludzi - zupełnie serio oświadczyła Inga Fiodorowna, pstrykając pilotem.

Ciężkie żelazne drzwi bezszelestnie uniosły się do góry i przed moimi oczami pojawiło się pomieszczenie przypominające hangar, całkowicie puste. Prawdę mówiąc, można by tu urządzić niewielką bazę samochodową, ale ja powiedziałam z niezadowolaniem:

- Cóż, trochę za mało miejsca.

- Co też pani mówi! - gospodyni ze zdziwienia aż uniosła brwi. - Tu się mieści pięć samochodów.

- Niemożliwe! A jakich?

- Dżip lexus, obok sześcisetka, bliżej wejścia volkswagen golf - zaczęła wyliczać Inga Fiodorowna - a w najdalszym kącie brabus i jeszcze mercedes kabriolet.

- Wspaniały samochód! - wykrzyknęłam. - Niedawno widziałam na szosie takiego dwudrzwiowego merca, jasnoniebieskiego. Czy przypadkiem nie jechała nim pani Malika?

- Malika Jusupowna jeździ płomiennoczerwonym - spokojnie wyjaśniła Inga Fiodorowna.

- No dobrze - kiwnęłam głową - wszystko już wiem, to bardzo elegancki dom.

- Ale nie obejrzałyśmy jeszcze drugiego piętra, sauny i domku dla gości! - zapobiegliwie przypomniała gospodyni.

Musiałam więc kontynuować zupełnie niepotrzebną wycieczkę po sterylnie czystych pokojach, zupełnie pozbawionych charakteru, jakby mieszkały tu bioroboty, a nie zwykli ludzie. U nas w Łożkinie zawsze panuje lekki bałagan. W salonie na kanapie zawsze walają się skotłowane plеды i poduszki, a na małym stoliku, obok miękkiego welurowego fotela nieodmiennie stoi czyjaś pusta filiżanka i leżą resztki ciastka, papierki po cukierkach i gazety, na podłodze zaś porozrzucane są zabawki psów. Zresztą psy też mają swój udział w nieporządkach: Hootchuś kocha zrzucać na podłogę jaśki i wałki, Bundy

zawsze szuka okazji, żeby wejść z głową pod narzutę na moim łóżku, Snap zdolny jest spałaszować suchara na kanapie, a Cherry i Julie to małe złodziejki, potrafią wskoczyć na stół, by pochłonąć zapomniane tam marmoladki. Nie dalej jak przedwczoraj zauważyłam w jadalni na dużym stole porozrzucane kawałki cytryny, majaczył też pusty spodeczek. Najwyraźniej Irka, sprzątając po herbacie, zapomniała o cytrynie, a Cherry albo Julie postanowiły spróbować jej smaku i pogryzły kwaśne krawki. Nie przypadły im one jednak do gustu, więc pudelka i jorkszyrka, wypływając ohydne kawałeczki, uciekły. Gwoli sprawiedliwości należy dodać, że do swojej sypialni również nie chciałabym wpuścić niespodziewanych gości. Na szafce nocnej panuje bałagan, na oparciu fotela wiszą spodnie... W pokoju Maszki jest jeszcze gorzej: wszędzie porozrzucane są CD, kasety wideo, skórki mandarynek, opakowania po rajstopach...

Natomiast u Kolczużkinów nawet nie można było się domyślić, czy w domu są dzieci. Niezliczona ilość pokoi z dokładnie zasłanymi łóżkami, idealnie wytartymi szafkami nocnymi i równo zawieszonymi obrazami. Teraz, kiedy już dobrze wiedziałam, że Malika Jusupowna jest właścicielką mercedesa kabrioletu, miałam wielką ochotę z nią porozmawiać, ale jak to zrobić? Sama nie chciała nawet pokazać domu potencjalnej na-bywczyni. Przed jednym z wielu drzwi Inga Fiodorowna zatrzymała się i oświadczyła uroczyście:

- Sypialnia gospodyni.
- Nie możemy tam wejść?
- Nie, dlaczego, proszę bardzo.

Do ogromnego pokoju światło wpadało przez cztery okna. Mimo woli skuliłam się, w takiej sali jest nad wyraz nieprzytulnie i nawet trochę strasznie, bliższa memu sercu jest architektura starej Moskwy: niewielkie, nawet małe sypialnie.

- Proszę się przyznać! - wykrzyknęła Inga Fiodorowna. - Pani chlebodawczyni nie ma tak wspaniałej sypialni!

W głosie gospodyni brzmiała prawdziwa duma. Dopiero teraz dotarło do mnie, że wzięła mnie za kogoś ze służby, kto miał obejrzeć dom. Indze Fiodorownie nawet do głowy nie przyszło, że stoi przed nią nowa potencjalna właścicielka budynku. Najwyraźniej żona Kolczużkina nigdy nie zajmowała się sprawami domowymi. Chociaż podobno sama zaprojektowała wystrój wnętrza! Tak bym chciała z nią porozmawiać. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

- Na jak długo wyjechali pani chlebodawcy? - zapytałam Inge Fiodorownę.

- Dlaczego wyjechali? - zdziwiła się.
- Bo w domu nikogo nie ma.

- Malika Jusupowna jest w pracowni - wyjaśniała gospodyni - wraca stamtąd do domu około dziesiątej wieczór, a Marlen Fridrichowicz przeważnie o północy, chociaż teraz wyjechał służbowo.

Jeszcze bardziej zapragnęłam poznać tę kobietę. No proszę, ma wspaniałą, ogromny dom za miastem, a jeździ do pracowni! Dlaczego nie miałyby urządzić sobie miejsca do pracy tutaj?

Schyliłam się i zajrzałam pod łóżko.

- A jednak! Podłogi są odkurzone byle jak, tam jest pełno kurzu!

- To niemożliwe! - oburzyła się Inga Fiodorowna i również się pochyliła.

Potrzebowałam sekundy, żeby ściągnąć z nadgarstka drogi, ozdobiony brylantami zegarek i wsunąć go pod poduszkę.

- Jeszcze dziś zwolnię sprzątaczkę! - gniewnie krzyknęła Inga Fiodorowna, prostując plecy.

Następnym pokojem była sypialnia Marlena Fridrichowicza, również absurdalnych rozmiarów, zapchana ciężkimi meblami z masywnego drewna. Wskazałam palcem fotografie stojące na długiej półce, umieszczonej nad łóżkiem.

- Kim jest ta piękność?

Prawdę mówiąc, byłam trochę nieszczera, nazywając pięknnością czarnowłosą kobietę, uwiecznioną na zdjęciach. Damulka mocno

przypominała wronę: chuda, o niewielkich okrągłych oczach i zbyt długim nosie.

- To Malika Jusupowna - poinformowała mnie z dumą Inga Fiodorowna. - Marlen Fridrichowicz uwielbia żonę, wszędzie porozstawiał jej fotografie: w domu, w pracy, nawet w samochodzie.

Postarałam się nie uśmiechnąć. W ostatnich latach nasi politycy zaczęli usilnie podkreślać swoje silne więzi rodzinne. Z pewnością zrozumieli, że prostym ludziom, w szczególności kobietom, które stanowią większość aktywnego elektoratu, prędzej przypadnie do gustu porządny mężczyzna niż lekkomyślny kawaler, przefruwający z kwiatka na kwiatek. Dlatego też gazety zapełniły rodzinne fotografie najróżniejszych kandydatów na wszelkie możliwe stanowiska. Czasem te zdjęcia były śmieszne, czasem idiotyczne, czasem zainscenizowane, ale fakt pozostaje faktem. Większość urzędników państwowych średniego i wyższego szczebla również zaczęła ozdabiać biurka portretami swoich małżonek i dzieci. Wprowadził taką modę, choć może się to wydawać dziwne, Bili Clinton. W swoim czasie telewizja pokazała wywiad z amerykańskim prezydentem, którego udzielił w Sali Owalnej Białego Domu. Kamera zademonstrowała widzom biurko „pierwszego obywatela Ameryki”, a tam, w rzeźbionych ramkach, widniały portrety jego żony Hilary i córki Chelsea. Tak więc Kolczużkin w przededniu wyborów udaje przykładnego, rodzinnego człowieka. I wtedy pojawiła się w mojej głowie jeszcze jedna myśl. Znow się nachyliłam i kontynuowałam: - No wie pani! Nasz dom może nie jest tak wytworny, jak wasza willa, za to gospodyni Irina skrupulatnie pilnuje czystości! A tu pod łóżkiem spokojnie można sadzić kartofle!

Inga Fiodorowna nabrała koloru ugotowanych buraczków ćwikłowych i zajrzała pod dwumetrowe łożo. Ja natychmiast chwyciłam jedną z fotografii, schowałam do torebki.

- Skandal - zimnym głosem oświadczyła gospodyni. - Bardzo dziękuję, że zwróciła mi pani uwagę na nieporządek. Jak dotąd ufałam naszej sprzątacze, tymczasem okazuje się, że zbyt pochopnie.

Straciłam kilka godzin na oglądanie domu i ogrodu. W końcu wsiadłam do samochodu i wyjęłam zdjęcie. Trudno by Malikę Jusupownę nazwać pięknoscią, lecz należy przyznać, że damulka miała dość oryginalną urodę, wąską twarz o wystających kościach policzkowych. Oczy nie były skośne, powieki lekko tylko unosiły się do skroni, nos, wprawdzie trochę za długi, a usta zbyt małe, ale czoło wysokie, czyste, włosy również wspaniałe. Nawet na tej amatorskiej fotografii widać, że muszą być gęste, ciężkie, błyszczące. Właściwie Malika Jusupowna robiła wrażenie osoby niezbyt sympatycznej, ale jej twarz, nieco egzotyczna, wschodnią, łatwo było zapamiętać. I na tym fakcie budowałam swoje proste wnioski.

Lubieżny staruszek, spędzający czas przy oknie z lornetką polową, mógł widzieć twarz kobiety, która z zimną krwią wrzuciła Jewgienija do rzeki. Coś mi podpowiadało, że damulką odzianą w sukienkę Liki była Malika Jusupowna. Istniał tylko jeden sposób na potwierdzenie tego przypuszczenia, więc pojechałam na nabrzeże.

Nie znałam ani adresu, ani nazwiska, ani imienia dziadka. Pewnie w sądzie, podczas rozprawy, odczytywano wszystkie jego dane, ale wyleciały mi już one z głowy. Nie traciłam jednak ducha. Znam miejsce, gdzie dokonano przestępstwa, i pamiętam jeszcze, że dziadunio mieszka na poddaszu. W tej okolicy rzeka lekko skręca, a na nabrzeżu stoi tylko jeden budynek mieszkalny, wysoki, wielopiętrowy, z jedną klatką schodową. Staruszek musi mieszkać właśnie w tym domu, nigdzie indziej, wokół jest pusto, widać tylko jakieś garaże.

Rozdział 14

Dotarłam na miejsce i musiałam stwierdzić ze smutkiem, że na ławeczce przed klatką schodową nie ma nikogo. To zrozumiałe, w końcu siąpił cały czas okropny drobny deszczyk, więc nawet najbardziej zawzięte plotkary wolały siedzieć w domu i patrzeć w kolorowe telewizory, emitujące meksykańskie seriale. Zastanowiłam się chwilę, po czym weszłam na przedostatnie piętro i zadzwoniłam do drzwi jakiegoś

mieszkania. Usłyszałam szuranie, i zaraz w progu stanęło niewiarygodnej tuszy babsko, mniej więcej w moim wieku, może trochę starsze. W ślad za tłuszciochą na klatkę schodową wypłynął odurzający zapach zupy na mięsie. Olbrzymka trzymała w rękach bochenek białego chleba.

- Dzińdby - burknęła. - Myślałam, że to mój chłop wrócił.

- Dzień dobry - rzekłam z uprzejmym uśmiechem.

- A pani czego potrzeba? - dość życzliwie zapytała góra mięsa z bułą.

- Mam pewną sprawę - zaczęłam się wahać - ale właściwie sama nie wiem, jak to powiedzieć...

- Że co? - Baba przechyliła głowę na bok. - Sprzedajesz różne duperele?

- Nie, nie, sprawa jest bardzo delikatna. Widzi pani, mam córkę, śliczną dziewczynę, ma dziesięć lat, ale wygląda na piętnaście, taka duża.

- Że co? - powtórzył babsztyl. - Nic nie łapię, co ja mam z tym wspólnego?

- Dziewczyna uczy się tutaj, szkoła jest niedaleko pani domu - kłamałam jak z nut.

- Aha - pokiwała głową grubaska - fakt, jest szkoła, moja Kątka tam chodzi.

- No właśnie. Więc córka, żeby sobie skrócić drogę do metra, biegnie przez plac zabaw. Wczoraj na waszym podwórku podszedł do niej jakiś staruszek, niski, niepozorny i powiedział: „Maleńka, jeśli rozbierzesz się przy mnie, dam ci sto rubli”. Oczywiście córka się wystraszyła i chciała uciec, ale straszny dziadunio złapał ją za ramię. „Nie bój się, jagódko, palcem cię nie dotknę, po prostu popatrzę z daleka. Czyżbyś nie chciała dostać za nic całe sto rubli?”. Moja córka wyrwała się i pobiegła do metra, a ten lubieżny łajdak krzyknął za nią: „Jeśli się namyślisz, to ja mieszkam w tym domu...”. I jeszcze podał jej numer mieszkania, ale wystraszone dziecko oczywiście go nie zapamiętało. Tak więc przyszedłam zapytać, czy nie wie pani, kto tu uprawia podobny proceder? Babsko wsunęło chleb do szafki.

- A to gnida, starych zabaw mu się zachciało! Mało mu jeszcze Mitka dołożył!

- Kto to jest?

Baba westchnęła głośno.

- A sąsiad, świntuch! Mieszka nad nami. Wie. pani, co on robi? Podgląda wszystkich przez lornetkę. Myśmy nie mieli o tym pojęcia. Chował się w parku i zapuszczał żurawia do mieszkań na niższych piętrach, a tu stoi tylko nasz blok, ludzie nikogo się nie wstydzili, firanek nie zasuwali. Ale wreszcie się wydało! Zaczął w bramie zaczepiać Lenkę Motkinę, namawiać, coś jak pani córkę, żeby się rozebrała, tylko nie obiecywał jej pieniędzy, ale nałgał, że niby zna tego najważniejszego z filmu, no tego, wasatego...

- Nikitę Michałkowa?

- Właśnie! Że niby tamten będzie kręcić film erotyczny, a Sawielij Pietrowicz jest jego agentem, poszukuje artystek. Widzicie go, jak wykombinował! Tylko że Lenka mu nie uwierzyła i odmówiła, a Sawielij powiedział jej wtedy: „A czego się wstydzisz, ja cię i tak co wieczór gołą widzę”.

Lena bardzo się zdziwiła i opowiedziała o wszystkim swojemu narzeczonemu Mitce, chłopak szybko załapał, o co chodzi, podpatrzył Sawielija w krzakach i porządnie przetrzepał mu skórę. A Lena powiadomiła sąsiadów o hobby dziadka, więc ludzie zaczęli zasłaniać okna i ze złością spoglądać na starego bezwstydnika.

- To on - kręciła głową grubaska - więcej tu takich nie ma, reszta jest normalna. No, wypija, pobija się, to się zdarza wszędzie... To Sawielij Pietrowicz, świntuch jeden, idź do niego.

Zbiegłam na dół, otworzyłam bagażnik i wyciągnęłam stamtąd kilka magazynów pornograficznych z nader śmiałyymi, niekiedy wręcz obrzydliwymi zdjęciami. Kupiłam je po drodze

w kiosku, płacąc zresztą za „różową landrynkę” niemalże pieniądze. Co sobie pomyślał sprzedawca, kiedy podeszła do niego dobrze ubrana kobieta i cichym głosem poprosiła o wyjęcie spod lady nieprzyzwoitych pism „Mister N” i „Chcę to zobaczyć”, tego nie wiem, ale grube kolorowe miesięczniki sprzedał mi bez mrugnięcia okiem.

Sawielij Pietrowicz przypominał białą mysz, która w wyniku jakiegoś nieporozumienia postanowiła udawać człowieka. Wą-ziuteńka twarzyczka, a właściwie, chciałoby się powiedzieć, pyszczek, z długim nosem, maleńkimi oczkami-paciorkami i zaskakująco szerokimi ustami, wilgotnymi i grubymi, krótka szyja przechodząca w spadziste, jak gdyby kobiece ramiona, na wysokości których od razu zaczynał się brzuch, kończący się praktycznie przy kolanach. Poniżej sterczały dwie patykowate nóżki w dywanowych kapciach. Sawielij Pietrowicz był korpulentny, choć drobny, jeśli rozumiecie, co mam na myśli: drobne kości, niski wzrost i gruba warstwa tłuszczu.

Ujrzawszy mnie, staruszek zapytał ze zdziwieniem:

- Pani do mnie? Mrugnęłam do niego:
- Cześć.
- Cześć - odparł lekko speszony dziadek.
- Mogę wejść?
- Proszę.

Weszłam do zagraconego przedpokoju. Oczywiście Sawielij Pietrowicz mieszkał samotnie, przecież żadna kobieta, nawet urodzony flejtuch, nie zniósłaby takiego bałaganu.

- Chodź tutaj - polecił gospodarz i popchnął drzwi do pokoju.

Nie było tam czystej.

- O co chodzi? - zainteresował się dziadunio, obmacując moją figurę kłującym spojrzeniem chytrych oczek.

Znów do niego mrugnęłam i wyłożyłam na stół, nakryty lepka ceratą, wyzywająco luksusowy magazyn „Mister N”.

- Ludzie mówią, że jest pan amatorem podobnych wydawnictw.

Sawielij Pietrowicz w milczeniu wziął do ręki pismo i zaczął je kartkować. Po paru sekundach na jego czole wystąpiły drobne kropelki potu, a palce odwracające kolejne kartki zaczęły drżeć.

- Podoba się? - Zmrużyłam oczy. - Śliczne dziewczyny! Oczu nie można oderwać, na każdy gust: blondynki, brunetki. Jeśli pan woli pulchniejsze, musi pan zajrzeć dalej, na ostatnich stronach są puszyste.

Sawielij Pietrowicz chrząknął.

- Tak, dobre są, ale na próżno się pani fatygowała.

- Dlaczego?

- Wiem, ile kosztuje taki magazyn, akurat cała moja emerytura poszłaby na to, nie kupię go.

- Nie podchodzą panu te lalunie? - wykrzyknęłam zatroskanym głosem i wyciągnęłam „Chcę to zobaczyć”. - Mam też inne.

- Dobra, dobra - rozzłościł się Sawielij Pietrowicz - ale ja nie mam środków na zakup tych pism.

- A kto tu mówi o pieniądzach? - zdziwiłam się fałszywie. Sawielij Pietrowicz lekko odsunął od siebie pornole.

- Nie rozumiem. Rozdajesz je bezpłatnie?

- Tak, zostawię panu oba egzemplarze.

- I nie weźmiesz ani rubla? - nie mógł uwierzyć dziadunio.

- Ani kopiejki - kiwnęłam głową - otrzymasz je gratis, to znaczy za darmo.

Sawielij Pietrowicz wyciągnął rękę w stronę magazynów.

- Musisz tylko odpowiedzieć na jedno pytanie - dodałam szybko.

- Aha, to ty przeprowadzasz badania - uspokoił się dziadek - a w nagrodę rozdajesz fotki.

Z oczu Sawielija Pietrowicza znikło wahanie.

- Dobra, wyjmij tę swoją ankietę - naglił mnie. Staruszkowi wyraźnie się śpieszyło, by jak najszybciej zostać

z „Misterem N” i „Chcę to zobaczyć” na osobności. Wyjęłam zdjęcie Maliki Jusupowny.

- No, niech pan popatrzy uważnie, zna pan tę damulkę? Sawielij

Pietrowicz wlepił wzrok w fotografię.

- A pytanie? - rzekł.

- To jest właśnie pytanie: czy widział pan kiedykolwiek tę osobę?

- Myślałem, że będziesz pytać o margarynę albo jakiś keczup - wyjaśniał dziadek. - A kim ona jest, może to jaka aktorka, chociaż raczej nie, straszna, okropna, czarna, jak jakaś wrona, mnie się bardziej podobają blondyneczki, takie jak ty.

Na wszelki wypadek odsunęłam się od Sawielij a Pietrowicza trochę dalej. Kto wie, co mu może strzelić do głowy.

- A, rozumiem - ucieszył się staruszek - czyli babeczkę pokazują w telewizorku, a ja mam podać jej imię. Jeśli zgadnę, dostanę pisemka! Trafiałem, tak?

- Dostanie pan te magazyny na pewno - uspokoiliam podenerwowanego staruszka - i imienia też nie musi pan podawać. Po prostu proszę spróbować sobie przypomnieć, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach widział pan tę osobę.

- Ależ nigdzie! - krzyknął Sawielij Pietrowicz i wyciągnął rękę po „Mistera N”, ale ja zręcznie pochwyciłam kolorowe pismo.

- Nie, musi pan sobie przypomnieć. Dobrze, jestem gotowa panu pomóc. Nie tak dawno występował pan w sądzie w roli świadka.

- No - na twarzy Sawielija Pietrowicza malował się wyraz napięcia - była taka sprawa, spełniłem swój obywatelski obowiązek, bo co?

- A może kobieta, która wrzuciła mężczyznę do rzeki, była podobna do tej na fotografii?

Sawielij Pietrowicz gwałtownie odrzucił od siebie zdjęcie, jakby to nie był kawałek papieru, tylko jadowita kobra.

- Nie pamiętam.

Posiedziałam chwilę bez ruchu, potem wyjęłam z torebki sto dolarów, położyłam je na okładce „Mistera N” i podsunęłam dziadkowi tę kanapkę.

- Teraz pamięć się odświeża?

Sawielij Pietrowicz zaśmiał się leciutko, wstał, podszedł do parapetu, odsunął długą, brudną firankę i kiwnął na mnie palcem.

- Chodź no tu. Podeszłam do okna.

- Masz - wsunął mi w ręce lornetkę - nastaw ostrość, pokręć tutaj i naprowadź na chłopca, o, tam idzie nabrzeżem.

Posłusznie pokręciłam czarnym pierścieniem i w tej samej chwili z mojej piersi wyrwał się okrzyk zaskoczenia. Twarz przechodnia znalazła się nieoczekiwanie blisko, tak blisko, że widać było włoski sterczące na jego nosie.

- Coś podobnego, przecież już ciemno - wymamrotałam.

- Optyka najwyższej jakości! - Dziadek aż mlasnął z zadowolenia. - Tamta kobieta była inna, blondyneczka, jasne oczy, pulchniutka, a ta jest czarna i chuda, z przodu muzeum, z tyłu też, szkoda gadać. Nie, to na pewno nie ona. Chociaż...

Sawielij Pietrowicz zamilkł.

- Co? - krzyknęłam zniecierpliwiona. - Co „chociaż”? Dziadek przygryzł dolną wargę, widać było, że się waha, ale odczekał kilka minut i w końcu powiedział zdecydowanie:

- Znaczy się, tak! Chcesz zobaczyć tę, która zabiła?

- Jak to zobaczyć? - osłupiałam. Sawielij Pietrowicz uśmiechnął się.

- Zwyczajnie. Mam jej fotkę.

Na sekundę utraciłam dar mowy, ale po chwili, z trudem odzyskując głos, krzyknęłam:

- Co pan ma?

- Zdjęcie - spokojnie wyjaśnił dziadek.

- Skąd?

- A sam zrobiłem.

- Jak?

- Aparatem fotograficznym.

- Niemożliwe!

Dziadunio pogroził mi palcem.

- Ot, jaka cwana! Myślisz, że tak po prostu ci pokażę? Co to, to nie, dawaj dwieście dolarów, to zobaczysz.

Wyjęłam z portmonetki pieniądze. Sawielij Pietrowicz próbował wyrwać mi banknoty z rąk, ale miałam się na baczności.

- O nie, najpierw zdjęcie!

Staruszek wstał, podszedł do starej szafy, wyciągnął stary album i zaczął kartkować grube stroniczki z wielowarstwowego kartonu. Przed oczami migały mi fotografie o nader frywolnej treści. Ludzie uprawiający na nabrzeżnej ławce miłość nie mogli nawet przypuszczać, że obserwuje ich, wstrzymując oddech, pożądlivy świadek. W końcu Sawielij Pietrowicz znalazł właściwą stronę.

- Masz - uderzył palcem w zdjęcie - nasyć się widokiem.

Pochyliłam się nad albumem. Aparat fotograficzny utrwalił balustradę nabrzeża i dwie oparte o nią postaci. Mężczyzna, nie-zdający sobie sprawy z tego, że za parę minut będzie trupem, miał na sobie jasnobeżową koszulę z krótkimi rękawami i brązowe spodnie, Lika zaś ubrana była w idiotyczną sukienkę w wielkie kwiaty, którą Karapietowa przywiozła jej w prezencie.

Ledwo ta myśl przemknęła mi przez głowę, od razu rozzłościłam się sama na siebie. Co tu ma do rzeczy Lika! Ale musiałam przyznać, że zabójczyni była bardzo podobna do mojej nieszczęsnej przyjaciółki. Takie same długie blond włosy, opadające poniżej ramion. Co prawda, Lika nigdy nie splatała ich w warkocz, nosi je rozpuszczone i zakręcone w loki, co uważam za trochę niestosowne dla pani, która przekroczyła czterdziestkę. Kobieta, którą wzięłam za Likę, stała bokiem. Dobrze było widać mały, lekko zadarty nosek i pełną dolną wargę, lekko wysuniętą do przodu. Miałam przed oczyma młodą dziewczynę.

Przesunęłam wzrok na jej figurę. Tak, teraz już jasne, dlaczego Sawielij Pietrowicz umieścił zdjęcie w albumie. Po nabrzeżu często hula wicher, a paparazzo wyzwolił migawkę dokładnie w tym momencie, kiedy kolejny poryw wiatru uniósł szeroki dół sukni. Spódnica podwinęła się prawie do pasa, wyraźnie ukazując dwie śliczne, zniewalająco zgrabne, piękne nóżki i okrągłą pupkę w delikatnych stringach. Na nogach dziewczę miało sandaalki na obcasach, lewą kostkę ścisnął bandaż.

Powoli odsunęłam od siebie album, w ostatnich latach stałam się dalekowidzem. Jak czasem powtarza Diegtiarjow, trzymając gazetę w odległości metra od twarzy: „Oczy widzą świetnie, tylko ręce za krótkie”.

Tak, teraz jest zupełnie jasne, że to nie Malika Jusupowna była na nabrzeżu. Ale z drugiej strony, miałam oto dowód, że z Jewgienijem spotkała się obca kobieta, w każdym razie nie Lika. Zresztą, patrząc na włosy i widoczną na zdjęciu część twarzy, spokojnie można uznać, że to Lika, no, ale nogi... Likusza zawsze nosi albo spodnie, albo długie spódnice. We wczesnej młodości, zimą, kiedy była jeszcze studentką, pojechała do Dombaju na narty. Upadła i złamała prawą nogę.

Pierwszej pomocy udzielono jej na miejscu, ale nieudolnie. Potem, w Moskwie, trzeba było łamać nogę i od nowa składać. W rezultacie zaraz nad kolanem Liki zaczyna się brzydki gruby szef. Blizna biegnie przez całe udo, aż do stawu biodrowego. Swego czasu Lika bardzo się martwiła, że nie może, jak inne dziewczyny, włożyć minispódniczki. Zresztą, nigdy nie miała takich pięknych, zgrabnych, długich nóg. Jej są znacznie krótsze, grubsze w udach, no i nie mają tak doskonałego kształtu, a tu, na zdjęciu, to po prostu supermodelka. No i te szpileczki! Lika woli obuwie na płaskim obcasie, wszystko przez ten niefortunny upadek. Choć zdarzenie miało miejsce wiele lat temu, złamana noga zaczyna ją boleć przed każdą zmianą pogody, więc o jakich obcasach tu może być mowa! Że już nie wspomnę o stringach, których Lika w życiu by nie włożyła.

Bardzo dobrze pamiętam, jak Kicia przy jakiejś uroczystości wręczyła jej komplet cudownej bielizny. Lika otworzyła pudełko i usilnie starała się udawać zachwyt, ale ja w mig pojęłam, że moja przyjaciółka po prostu nie chce urazić Olgi.

- Co, nie spodobał ci się komplecik? - zapytałam cichutko, kiedy

Kicia na chwilę wyszła z pokoju.

- Coś okropnego - szeptem odparła Lika - a zwłaszcza te majtki, które zamiast tylnej części mają nitkę. No, to już koszmarna niewygodna, za żadne skarby nie będę tego nosić.

Dobra, niechby nawet Lika zdradziła swoje przyzwyczajenia i wcisnęła się w stringi, ale po kiego diabła miałyby wkładać ten rzeczywiście niezbyt wygodny model pod szeroką spódnicę? Stringi są dobre do spodni, albo wąskiej, przylegającej do ciała sukienki. Wtedy przynajmniej wiadomo, po co się człowiek męczy. Chodzi o to, żeby pod cienką, opinającą ciało odzieżą nie odznaczały się wałki i fałdki, ale pod rozkloszowaną spódnicę Likusia z całą pewnością włożyłaby zwykle bawełniane figi, które uwielbia, najprostsze, białe, bez koronek, falbanek i kwiatuszków.

- Jak pan robi te zdjęcia? - zaatakowała Sawielija Pietrowicza. Dziadek w milczeniu wskazał palcem leżący na barku drogi aparat firmy Canon. Wlepiłam wzrok w sprzęt. No proszę, żyje z niewielkiej emerytury, w mieszkaniu, które od dawna wymaga remontu, siedzi na wgniecionym krześle, jada na kulawym stole, a kupił jeden z najlepszych modeli aparatów fotograficznych, produkowanych dla profesjonalistów.

- Dlaczego nie pokazał pan zdjęcia sędzi?

- A bo nikt mnie o nie nie pytał - Sawielij Pietrowicz uśmiechnął się obleśnie - zresztą po co? Od razu poznałem dziewczuchę: blondyna, nos zadarty, oczy niebieskie.

- A skąd pan zna kolor oczu? Nie widać ich na zdjęciu.

- No przecież muszą być jasne - oświadczył kategorycznie Sawielij Pietrowicz - a jakież by inne? Włosy blond, to oczy niebieskie. Omal go nie strzeliłam w szurczy pyszczek. Niezły świadek! Tylko że na podstawie jego zeznań Lika trafiła za kratki.

- I sukienkę poznałem - nie zauważając mojego oburzenia, spokojnie opowiadał dalej Sawielij Pietrowicz - śledczy podprowadził mnie do stołu i pokazał ubrania. Różne łachy tam leżały, ale ja od razu wskazałem na to, co trzeba, wyjątkowo charakterystyczny ciuch, takiego się z niczym nie pomyli.

Znow wlepiłam wzrok w zdjęcie. Zgoda, sukienka była Liki, ale na zdjęciu nie jest uwieczniona moja przyjaciółka.

- Niech pan mi da to zdjęcie!

- Pięćset doków - zareagował natychmiast Sawielij Pietrowicz.

- Zwariował pan.

- No, no ostrożniej - przybrał dumną postawę staruszek - jestem weteranem wojennym!

No i w tym momencie, jak mówi Maszka, piorun we mnie strzelił. Zerwałam się na równe nogi i chwyciłam obrzydliwego starucha za brudny kołnierz dawno niepranej koszuli.

- Jesteś zboczone bydlę! - krzyknęłam, jedną ręką potrząsając dziadym, a drugą wydzierając z albumu fotografię. - Obleśny, stary idiota, który wysłał do więzienia niewinną kobietę!

- Ej, ej, ej! - zadudnił mi nad uchem Sawielij, próbując się wyrwać.

- Bo zaraz milicję zawołam.

Puściłam zatłuszczony kołnierz, wsunęłam fotografię do torebki i ruszyłam do drzwi. Staruszek został na miejscu, najwyraźniej doszedł do wniosku, że w szarpaninie przewaga będzie po mojej stronie.

Wybiegłam na klatkę schodową i z całej siły trzasnęłam drzwiami. Zeszłam na dół, otworzyłam bagażnik, wyjęłam stamtąd butelkę wódki Russkij Standart, którą na wszelki wypadek zawsze wożę ze sobą, i wylałam ją na ręce. Nie mogłabym usiąść za kierownicą peugeota, gdybym wprzód nie zdezynfekowała dłoni.

Zakończywszy tę procedurę, podniosłam głowę. W jednym z okien na ostatnim piętrze coś połyskiwało. Sawielij Pietrowicz obserwował mnie przez lornetkę. Nie mogłam się powstrzymać i najpierw pokazałam mu język, a potem pogroziłam pięścią, ale błyski nie znikły. Ach, więc to tak, no to ja ci jeszcze pokażę! Wyciągnęłam ze schowka notes i napisałam na kartce: „Szanowni państwo! Sawielij Pietrowicz, zamieszkały pod numerem sto dwadzieścia dwa, właściciel

profesjonalnego sprzętu optycznego, posiada kolekcję waszych fotografii o nad wyraz intymnym charakterze. Kto chciałby otrzymać swoje zdjęcie, może dziś wybrać się do niego, album leży w pokoju, w szafie". Następnie nakleiłam anonimowy donos na ścianie koło windy i odjechałam.

Rozdział 15

Niewiarygodnie wściekła, wypatrzyłam jakąś kawiarnię, zamówiłam filiżankę herbaty z cytryną i zaczęłam się zastanawiać nad sytuacją. A więc na nabrzeżu nie stała Malika Jusupowna. Ale to ona jeździ po Moskwie czerwonym mercem z nietypowym numerem na tablicy rejestracyjnej i rankiem siedemnastego lipca była koło stacji metra Sportiwnaja, gdzie wpakowano do jej wspaniałego kabrioletu nieprzytomną Likę. I o czym to świadczy? Cóż, sprawa jest bardzo prosta, ale najpierw trzeba wyjaśnić, kto był na placu, na którym Asia sprzedawała coca-colę: Malika Jusupowna czy tajemnicza nieznajoma z zabandażowaną nogą?

Wypiłam herbatę i ruszyłam w stronę stacji metra, mając nadzieję, że Nikita wciąż stoi na placu przy swoim straganie z książkami.

Były kolega szkolny nie zawiódł.

- O, Daszka! - ucieszył się. - Chodź, zjemy coś.

Na wspomnienie o kleistych pielmieniach z farszem z mielonych wołowych żył wstrząsnął mną dreszcz.

- A jest tu jakiś inny bar? Nikita kiwnął głową.

- Do wyboru, do koloru, ale tam jest drogo.

- Chodźmy, ja stawiam.

- Bogaci ludzie mają swoje dziwactwa - roześmiał się Nikita - dla mnie i pielmienie są dobre.

Ja jednak zaprowadziłam go do „Sbarro” i zamówiłam pizzę.

- Co cię znów sprowadza w nasze strony? - zapytał Nikitka i wbił zęby w poczęstunek. - O-o, niebo w gębie!

Kiedy pełen zachwytu przełykał ogromne kęsy ciasta, obłożonego mielonym mięsem, pomidorami i roztopionym serem, wyciągnęłam z torebki obie fotografie i położyłam przed nim.

- Kto to? - zapytał zdziwiony Nikita, wycierając usta. - Ale nogi, cud-miód!

Mężczyźni to jednak dziwne istoty, zamiast zwrócić uwagę na twarz czy włosy, oglądają nogi.

- I pupcia cudowna - kontynuował Nikita.

- Ty mi lepiej powiedz, która z nich wpychała Likę do mercedesa.

- Kogo?

- No, tę kobietę, co straciła przytomność na placu! Nikita zaczął się wpatrywać w zdjęcia.

- Twarzy blondyneczki właściwie nie widać - powiedział w końcu - same nogi, ale to ona bardziej przypomina tę babeczkę z czerwonym kabrioletem. Na pewno nie ta czarna. Tamta to była młoda blondynka, ładniutka, w sandałkach, kostkę miała zabandażowaną. Sam nie wiem, czy to ona, czy nie, ale podobna.

Zerwałam się od stolika.

- Dziękuję.

- Ej, dokąd to? - zdziwił się Nikita. - A co z kawą?

- Wypij beze mnie - rzuciłam i pobiegłam do samochodu. Wygląda na to, że Malika Jusupowna nie ma z całą sprawą nic wspólnego, ale na pewno wie, jak się nazywa sympatyczna blondyneczka. Najprawdopodobniej to jakaś jej bliska przyjaciółka, która pożyczyła od niej na jeden dzień samochód.

Czułam się jak spaniel, który zwęszył dzikiego zwierza. Złapałam za telefon.

- Słucham - uroczystym głosem odezwała się Inga Fiodorowna.

- Chciałam prosić do telefonu Malikę Jusupownę.

- Pani przyjedzie o dwudziestej drugiej - oświadczyła gospodyni tonem mistrza ceremonii. - Czy mam jej coś przekazać?

Ale ja bardzo niegrzecznie rozłączyłam się. Do dziesiątej płatałam się po mieście. Z nudów nakupiłam masę niepotrzebnych rzeczy:

jasnoczerwona stretchowa bluzkę, której, rzecz oczywista, nigdy nie włożę, derkę dla Hootchusia, plastikową mydelniczkę i domowe papucie w kształcie głów króliczych. W końcu wskazówki zegara ustawiły się w odpowiedniej pozycji. Tym razem Inga Fiodorowna zapytała:

- A kto prosi?
 - A cóż to za niestosowna ciekawość, moja droga?
 - Ale jak mam panią zaanonsować?
 - Jako osobę, która chce kupić dom!
- Zapanowała cisza, zakłócona delikatnymi trzaskami, potem usłyszałam inny głos, głębszy i opanowany:
- Tak, słucham.
 - Malika Jusupowna?
 - Tak.
 - Pani pozwoli, że się przedstawię: Daria Wasiljewa, oglądałam dziś pani willę...
 - Bardzo mi miło - uprzejmie przerwała Malika Jusupowna. - Mam nadzieję, że pokazano pani wszystko.
 - Tak, dom wspaniały, wnętrza zachwycające, meble - aż słów brak.
 - Cieszę się, że przypadły pani do gustu.
 - Jestem zachwycona.
 - Wspaniale.
 - Ale zdarzył się pewien nieprzyjemny incydent.
 - Jaki? - zaniepokoiła się rozmówczyni.
 - Widzi pani, zgubiłam gdzieś w pani domu zegarek, taki markowy drobiazg, numerowany egzemplarz, kolor szarostalowy, cyferblat ozdobiony czterdziestoma brylancikami, a bransoletka wysadzana szafirami. Oczywiście, mogę sobie kupić nowy, ale ten zgubiony to prezent od kochanka, on mógłby się bardzo o to gniewać, a chwilowo nie mam w planach rozstania z tym mężczyzną.
 - Natychmiast każę służącej, żeby szukała zegarka! - krzyknęła Malika Jusupowna.
 - Proszę chwilę poczekać, wydaje mi się, że wiem, gdzie może leżeć. Widzi pani, bardzo spodobało mi się pani łóżko, więc zdecydowanie postanowiłam, że je sobie zostawię, dlatego odsunęłam, proszę wybaczyć bezceremonialność, poduszkę i pomacałam materac. Zgodzi się pani, że materac jest najważniejszy. Najprawdopodobniej zegarek zsunął mi się z ręki właśnie w tym momencie.
 - Może pani chwilkę poczekać przy telefonie? - zapytała właścicielka domu.
 - Tak, oczywiście.
 - Ingo - gdzieś w oddali rozległ się głos Maliki Jusupowny -proszę natychmiast pójść do mojej sypialni...
- Po paru minutach kobieta oznajmiła:
- Już mam pani zegarek.
 - O, Boże! - gorliwie zaczęłam udawać radość. - To wprost cudowne! Prawdę mówiąc, bałam się, że upuściłam go w ogrodzie, tam nigdy nie udałooby się znaleźć takiego maleństwa.
 - Kazałabym ogrodnikowi sprawdzić pod każdym źdźbłem trawy - zaśmiała się Malika Jusupowna - w przeciwnym razie przez pół życia miałabym wyrzuty sumienia.
 - Ale to przecież nie pani wina!
 - Mimo wszystko, rzecz zagubiona na mojej posesji. Proszę podać adres, pod jaki mam odesłać zegarek.
 - A gdybym sama po niego przyjechała? Ależ może jest zbyt późno? Pani pewnie kładzie się już spać?
 - Skądże znowu - zaśmiała się Malika Jusupowna - o tej porze dopiero życie się zaczyna. Za nic nie usnę przed trzecią.
- Zapуściłam silnik i ruszyłam pod znany mi adres. W naturze Malika Jusupowna okazała się jeszcze brzydsza niż na zdjęciu. Była niższa ode mnie, jej zgrabna, nawet szczupła figura rozszerzała się jednak ku dołowi i kończyła mocnymi krótkimi nogami, które przypominały o przodkach damy, galopujących konno przez stepy. Twarz była nie najgorsza, piwne oczy i równo nakreślone brwi wyglądały nawet przyjemnie, ale skóra miała niezdrowy żółty odcień, a nos szpeciły

rozszerzone pory. Za to włosy budziły zachwyt: gęste, ciężkie, granatowoczarne, lśniły w świetle żyrandola niczym lakierowane. Zresztą, być może, rzeczywiście były spryskane jakimś środkiem nabłyszczającym.

Zaproszono mnie do salonu, poczęstowano herbatą. Włożyłam swój zegarek i zaczęłyśmy z Maliką Jusupowną plotkować o niczym. W ciągu pół godziny odnalazłyśmy całą masę wspólnych znajomych i poczułyśmy do siebie sympatię. W końcu uznałam, że nadszedł odpowiedni moment, więc głośno zadałam pytanie:

- Nie przykrzy się pani samej w takim ogromnym domu? Malika Jusupowna uśmiechnęła się:

- Cóż, po pierwsze, najbardziej na świecie lubię samotność, a po drugie, późno wracam z pracy.

- Jest pani przecież artystką?

- Tak - potwierdziła skinieniem głowy - portrecistką. Niedawno miałam wystawę w galerii Rad.

- Ale czy artysta malarz musi jeździć do pracy? - udawałam idiotkę. Malika uśmiechnęła się.

- Obrazy nie spadają z nieba, trzeba je namalować, dlatego często spędzam w pracowni nawet dwanaście godzin. Być może będzie się to pani wydawać dziwne, ale sukces w sztuce w dziewięćdziesięciu procentach zależy od pracowitości.

- Ma pani taki cudowny dom, dlaczego nie maluje pani tutaj?

Malika spokojnie nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Od razu widać, że kobieta nie ma żadnych problemów ze zdrowiem, skoro późnym wieczorem popija sobie arabicę.

- Oczywiście, urządzenie pracowni tutaj nie stanowiłoby żadnego problemu - wyjaśniała - ale, jak już mówiłam, maluję portrety, przy czym bardzo często nie na zamówienie. Uwieczniam na płótnie ciekawe twarze. Czasem jeżdżę po mieście

i obserwuję tłum, nagle przemknie ktoś z niepospolitą twarzą.

Zaplanowałam teraz taki cykl prac pod wspólnym tytułem „Spójrz na współczesnego człowieka”. Jak pani widzi, nasz dom stoi za miastem, w osiedlu willowym, dojechać tu można tylko samochodem, więc żeby moi modele nie odmawiali pozowania, musiałam jeszcze kupić mieszkanie w centrum Moskwy, obok stacji metra, przy Aleksandrowskiej.

- Jasne - odparłam. - I po całych dniach pani pracuje?

- Tak.

- Ależ to straszne!

- Dlaczego? - zaśmiała się Malika.

- Czyżby nie mogła sobie pani pozwolić na to, żeby pracować nie pięć dni w tygodniu, ale, powiedzmy, dwa?

Gospodyni odrzuciła do tyłu burzę włosów.

- Ja stoję przy sztalugach nie pięć, lecz siedem dni w tygodniu.

- Jak to? W soboty i niedziele również?

- Oczywiście.

- Ale po co? Przecież nie dla pieniędzy! Wyobrażam sobie, jaka jest pani zmęczona.

- Wręcz odwrotnie, w czasie pracy odpoczywam.

- Przecież to niemożliwe!

- A jaki jest pani zawód? - zapytała Malika.

- Wykładowca języka francuskiego - odpowiedziałam. -Lubię to, ale kiedy tylko pojawiła się taka możliwość, natychmiast porzuciłam nauczanie.

Malika wyjęła długiego, cienkiego papierosa.

- A czy istnieje coś takiego, co lubi pani robić najbardziej?

„Prowadzić śledztwo w zagmatwanych sprawach kryminalnych” - miałam ochotę odrzec, ale na szczęście ugryzłam się w język i skłamałam bezczelnie:

- Uwielbiam gotować, wykupuję wszystkie książki kucharskie!

- A ja uwielbiam rozprawdzać farby po płótnie. - Pani domu uśmiechnęła się.

- Ale przecież czasem chce się człowiek rozerwać, wpaść, powiedzmy, do restauracji...

- Ja nie.

- No, dobrze, ale teatr, filharmonia, podróże zagraniczne...

- To przestało mnie ciekawić, byłam już wszędzie!

- Albo po prostu wybrać się do sauny z bliską przyjaciółką.

- Nie mam takich.

- Przyjaciółek?

- Tak. - Malika pokiwała głową. - Znajomych to całą masę, ale głównie męża. Jest bardzo towarzyskim człowiekiem, a ja wręcz odwrotnie - lekko autystycznym.

- I w ogóle nie ma pani przyjaciółek?

- Ani jednej - pokręciła głową - zresztą nie potrzebuję ich, sztalugi, pędzle i farby - to moi najlepsi przyjaciele.

- I codziennie...

Malika Jusupowna poprawiła niezliczone bransolety, brzęczące wokół jej przegubów.

- Żyję ściśle według rozkładu. Punktualnie o jedenastej przyjeżdżam do pracowni i przebywam tam do dziewiątej wieczór.

- Nie wychodząc na dwór?

- A po co mam wychodzić?

- Może to i lepiej, że nie ma pani bliskich przyjaciółek -mruknęłam - bo moje wiecznie wciągają mnie w jakieś kłopoty i nieprzyjemności. Na przykład Wiera Krotowa pożyczyła ode mnie na jakiś czas samochód, chciała się popisać przed kolegami z pracy i co?...

- Pewnie miała wypadek - spokojnie rzekła Malika.

- Otóż to! Rozbiła przednią szybę, wygięła zderzak... A pani pożyczka komuś swój samochód?

- Ja?! Samochód? Nigdy w życiu. Moim zdaniem, pożyczanie samochodu to to samo, co używanie cudzej szczoteczki do zębów.

- I nigdy by się pani nie zgodziła na korzystanie z jej samochodu?

Malika Jusupowna skrzywiła się.

- Dla mnie byłoby nieprzyjemne, nawet gdyby mąż zechciał z niego skorzystać. Co prawda, Marlen zna mój charakter, więc nigdy o to nie prosi, a zresztą, on ma trzy swoje samochody, toteż mój do niczego nie jest mu potrzebny.

- A czym pani jeździ?

- Mam mercedesa kabrioleta.

- Bardzo dobry model.

- Mnie odpowiada.

- Moja synowa też jest bardzo zadowolona, ma taki sam, tylko niebieski.

- Brunetce bardziej pasuje czerwony - uśmiechnęła się Malika - dlatego kupiłam wóz w tym kolorze.

- Bardzo smaczne ciastka - zvekslowałam rozmowę na całkiem innej tory.

- Nie lubię tłustego kremu, wolę delikatny, z białek albo jogurtu.

- Ach, jaki ma pani widok z okna! Bajeczny!

Wstałam i zajrzałam za firankę. Malika Jusupowna wciąż siedziała na krześle. Skorzystałam z tego, że gospodyni znów zaczęła dolewać sobie kawy, wyjęłam z torebki fotografię i krzyknęłam:

- Tutaj leży czyjeś zdjęcie!

Malika Jusupowna uniosła prawą brew.

- Tak?

- Proszę zobaczyć! Z pewnością jakaś pani znajoma albo krewna - kontynuowałam i podsunęłam jej zdjęcie pod nos.

Ta skrzywiła się.

- Nie, to dzieło sztuki nie należy do mnie. To jakaś półpor-nograficzna fotka.

- Pewnie ktoś ze służby jest amatorem tego rodzaju zdjęć... Malika krzyknęła nieoczekiwanie ostrym tonem:

- Inga!

Do pokoju natychmiast weszła gospodyni. Bardzo mnie to zdziwiło. Czyżby siedziała pod drzwiami? U nas Irki zwykle człowiek nie może się doprosić! A tu jeszcze zegar wskazuje prawie północ! O tak późnej porze nigdy nie niepokoimy pomocy domowej, a jeśli już w razie

jakiejś ostateczności wzywamy Irę, to ta zjawia się w szlafroku, rozczochna i ziewając, oświadcza: „Nie dadzą człowiekowi pospać ani odpocząć! No i co się znowu stało?”.

Inga Fiodorowna zaś zjawiała się nienagannie ubrana, fryzurę miała bez zarzutu, na twarzy dyskretny makijaż.

- Czekam na pani polecenia. - Gospodyni pochyliła głowę.

Malika Jusupowna dotknęła palcem zdjęcia, leżącego na stole.

- Proszę natychmiast wyjaśnić, do kogo to należy, i zwolnić tę osobę.

- Tak jest - Inga Fiodorowna kiwnęła głową i spojrzała na fotografię.

Nagle jej blade policzki zaróżowiły się.

- O... - zaczęła i zacięła się.

- O co chodzi! - krzyknęła wzburzona Malika Jusupowna. - Chyba dałam wyraźne polecenie!

- Tak, tak - szybko odparła Inga Fiodorowna - ale nie jestem w stanie wypełnić go dzisiaj. W domu znajdujesz tylko ochroniarz Wiktor, pozostała służba została zwolniona do domów.

- No to proszę zająć się tym jutro - z rozdrażnieniem przerwała jej gospodyni - i proszę mi nic nie mówić o trudnościach, jakie panią czekają przy wypełnieniu zadania. W ogóle nic nie chcę wiedzieć! Pani zarządza służbą, proszę znaleźć osobę, która śmiała zostawić na parapecie to obrzydliwe zdjęcie, i natychmiast się jej pozbyć! Na przyszłość zalecam bardziej uważać przy doborze personelu. A teraz może pani odejść.

Inga Fiodorowna jak milczący cień znikła za drzwiami.

- Gospodyni mieszka tutaj? - zainteresowałam się.

- Nie - padło w odpowiedzi - denerwują mnie obcy ludzie śpiący w moim domu.

Rozdział 16

Do łóżka trafiłam koło drugiej w nocy, więc starałam się tak przekraść do sypialni, żeby nie obudzić nikogo z domowników. Na łóżko padłam przed trzecią, toteż - sami rozumiecie - otworzyłam oczy dopiero w południe, i to tylko dlatego, że koło mojego łóżka znów stanęła Irka.

- A ty się jednak uparłaś, żeby nie dać mi pospać? - zapytałam, odrywając głowę od poduszki.

- Ta dziewczynka, Lena, no, ta, którą pani przywiozła... - zaczęła pomoc domowa.

- Co Lena? - zapytałam, wyplatuując się z kołdry.

- Ząb ją boli, przez noc jakoś się przemęczyła, a teraz policzek jej napuchł.

Narzuciłam szlafrok i poszłam do pokoju, w którym umieściłam Lenę.

Dziewczynka z nieszczęśliwym wyrazem twarzy siedziała w fotelu przed maleńkim telewizorem.

- Jak się czujesz, dziecinko?

- Bardzo dobrze - odparła Lena, zwracając w moją stronę opuchniętą twarzą.

- Wyglądasz jak chomik po dobrym obiadku - powiedziałam z uśmiechem.

- Zbieraj się.

- Dokąd?

- Do dentysty.

- Nie, samo przejdzie, to mi się często zdarza! - zaprotestowała Lena.

- To bardzo niedobrze - pokręciłam głową - infekcja w buzi jest bardzo niebezpieczna, zęby trzeba leczyć, w przeciwnym razie, jak dojdiesz do mojego wieku, stracisz je wszystkie i będziesz kłapać sztuczną szczęką.

- No to co? - nie poddawała się Lenka. - Z plastikowymi kłami jest bardzo wygodnie, nie trzeba ich myć i nie boją!

- Zbieraj się - poleciłam i poszłam się ubierać.

Po drodze do kliniki starałam się uspokoić Lenkę, jak tylko mogłam.

- Nie bój się, nie będzie bolało, zrobią ci małe zastrzyki,

szczęka zdrętwieje i tyle.

Lenka ponuro kiwała głową i od czasu do czasu łapała się za policzek; bez wątpienia ząb dawał jej się mocno we znaki. Podjechałam pod bramę przychodni i westchnęłam. Okna zamalowane białą farbą, drzwi otwarte na oścież, a na ścianie informacja: „Remont”. No ładnie, nie byłam tu rok, widać w tym czasie nastąpiły zmiany.

- To nic - dodawała mi otuchy Lena - zaraz znajdziemy innego lekarza.

Wybrałam numer telefonu służbowego Oksany. Moja najbliższa przyjaciółka jest chirurgiem, więc na pewno poleci mi świetnego dentystę. Ale najwyraźniej miałam dziś pecha.

- Halo - rozległ się w słuchawce soczysty bas.

- Mogę prosić Oksanę Stiepanownę?

- Jest na sali operacyjnej.

- O, cholera! - wyrwało mi się.

- Coś się stało? - zainteresował się nieznajomy lekarz.

- Dziecko strasznie boli ząb, chciałam zapytać Oksanę, dokąd najlepiej zawieźć dziewczynkę.

- Odpłatnie?

- Tak.

- Proszę bez wahania jechać do „Linii Uśmiechu”, tam są najlepsi specjaliści.

- Proszę mi podać adres - ucieszyłam się.

Najwyraźniej los postanowił, że na dziś wystarczy nieprzyjemności, ponieważ „Linia Uśmiechu” znajdowała się dosłownie dwa kroki od przychodni, w której do tej pory leczyłam zęby.

Wystrój lecznicy stomatologicznej informował klienta, że trafił do instytucji opływającej w dostatki. W holu leżały dywany, na ścianach wisiały obrazy w kosztownych ramach, wszędzie stały przytulne kanapy i fotele. Włożyłam na buty jednorazowe plastikowe ochraniacze i podeszłam do recepcji.

- Czy jest szansa, że doktor przyjmie zaraz? Przywiozłam dziecko z ostrym bólem.

Recepcjonistka obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.

- Oczywiście. Nazwisko pacjenta?

Poczułam nagle zakłopotanie, bo tego akurat nie wiedziałam! Ale nie mogłam przyznać się do swojej niewiedzy głośno.

- Wasiljewa.

- Bardzo proszę spocząć.

Usiadłyśmy z Lenką przy owalnym stoliku, zarzuconym kolorowymi magazynami. Podsunęłam dziewczynce czasopismo.

- Poczytaj sobie tymczasem.

Lenka posłusznie zaczęła kartkować pisemko.

- Wasiljewa - rozległo się z niewielkiego głośnika. - Proszę do gabinetu numer pięć.

- Posiedź chwilę - poleciłam, wstając. - Najpierw sama pogadam z dentystą.

Nie wiem, jak wam, ale mnie zawsze na widok fotela dentystycznego miękła nogi. Poza tym dentyści mają obrzydliwy zwyczaj rozkładania na widoku najróżniejszych ostrych żelaznych narzędzi. A kiedy tylko człowiek, godząc się z losem, siada w fotelu, natychmiast przed samą jego twarzą pojawia się odrażająca bormaszyna.

Mężczyzna z twarzą niemal w całości zakrytą maską chirurgiczną powiedział spokojnie:

- Proszę.

- Widzi pan...

- Proszę usiąść w fotelu.

- Ale... chciałam opowiedzieć...

- Nie trzeba, sam wszystko zobaczę - przerwał dentysta moją aktywność werbalną, popychając mnie w stronę fotela. - Proszę spocząć. Odruchowo usiadłam.

- Chciałam...

- Tak, tak, otwieramy buzię.

- Mam...
- Rozumiem, rozumiem...
- Na korytarzu...
- Wiem, bardzo przytulnie - pokiwał głową dentysta, naciągając rękawiczki - u nas jest jak w domu, cały wystrój działa kojąco.
- Niech pan posłucha!
- Nataszo - rzucił dentysta - co tak stoisz? Widzisz, że pani nie najlepiej się czuje, no już, szybciotko!
W tym momencie w rękę wbił mi żądło komar. Szarpnęłam się, ale lekarz trzymał mnie za ramiona i uspokajającym głosem powtarzał:
- Już, już.
W tym momencie zakręciło mi się w głowie i zachciało spać.
- Otwieramy buzię - dobiegał gdzieś z oddali głos.
- Dziewczynka... - próbowałam po raz ostatni się sprzeciwić, ale palce pachnące gumą nacisnęły na mój podbródek i po chwili miałam w ustach całą masę żelastwa i tamponików. Coś zachchręściło, zabrzączało, w dźwięk poczułam igłę.
- No proszę - uprzejmie rzekł lekarz - a pani się bała! Nic strasznego, trzeba tylko usunąć zęb mądrości, no bo po co on pani? Szczęka zaraz zdrętwieje.
Próbowałam się wyrwać z jego chwytnych rąk, ale niestety nie byłam w stanie nawet się poruszyć.
- Nataszo - polecił zwięźle stomatolog - załóż pani okulary i włącz muzykę.
Natychmiast założono mi na oczy okulary z ciemnego, prawie czarnego szkła, a do uszu wetknięto mi wtyczki. Oślepiłam i ogłuchłam. Ale po chwili popłynęła muzyka, najbardziej pasująca do uroczego, relaksu w fotelu dentystycznym. Taniec z szabłami Arama Chaczaturiana. Serce zaczęło mi walić w rytm szalonej muzyki. Później w oczy uderzył mnie snop światła.
Uśmiechnięty lekarz podsuwał mi szczypce, w których sterczał mój biedny ząb. Nieoczekiwanie wróciła mi energia, wyrwałam nauszники.
- Prawda, że wcale nie bolało? - dopytywał się dentysta. Chciałam coś powiedzieć, ale zdrętwiałe wargi nie były w stanie się poruszać, a język był jak nie mój.
- Za jakiś czas znieczulenie ustąpi, więc zębodół zacznie boleć - troskliwie uprzedzał stomatolog. - Proszę sobie kupić w aptece ketanov, rozpuścić i wypić w razie potrzeby. Niczym nie płukać, życzę powodzenia, rachunek w recepcji.
Ledwo przebierając nogami, szłam do holu, zapłaciłam za zabieg i poszukałam wzrokiem Lenki. Wcale nie zamierzałam usuwać zęba mądrości, mój dentysta nigdy tego nie proponował. Że też musiałam się władować w taką niewyobrażalnie idiotyczną sytuację. Przywieźć dziecko z bólem, a sama zostać pacjentką! Najważniejsze, żeby nikt się o tym nie dowiedział!
Przebiegłam wzrokiem hol. Przy stoliku zarzuconym magazynami siedziała dziewczynka o wystraszonej twarzyczce, ale zupełnie nie przypominała Lenki. Próbowałam zapytać recepcjonistkę, ale język nie chciał mnie słuchać i z ust wyrwało mi się:
- O... u... a... e...
- Toaleta jest tam, na lewo.
Na wszelki wypadek zajrzałam do nieskazitelnie czystego pomieszczenia i wróciłam do recepcji.
- LL.y... u...
- Czego pani sobie życzy?
- I... o... a...
- Tabletkę przeciwbólową?
- A... e... u... - wybełkotałam, wskazując palcem w stronę stolika.
Nieoczekiwanie wypowiedziałam całe słowo.
- ...magazyn.
- Chce go pani wziąć do domu? - ożywiła się recepcjonistka. - Oczywiście, nawet wszystkie.
Nagle poczułam się śmiertelnie zmęczona. Kto by pomyślał, że znieczulony język może przysporzyć tyle problemów! Postarałam się

wziąć w garść i jakoś wyartykułowałam:

- Dziwieszka, magazyn...

- A - domyśliła się w końcu recepcjonistka - pani pyta, gdzie jest ta dziewczynka, która panią przyprowadziła? Ona już dawno wyszła, od razu, jak tylko poproszono panią do gabinetu.

Pobiegłam do peugeot. Może Lence zrobiło się duszno i postanowiła wyjść na dwór? Ale przy samochodzie nie było nikogo. Usiadłam za kierownicą. No tak, dziewczynka przestraszyła się dentysty i zwała. I co teraz robić? Pozostawała niewielka nadzieja, że Lena pojechała do Maszki do szkoły. Wie, gdzie jest szkoła Maruśki. Złapałam za telefon.

- Tak - szepnęła Mania - proszę mówić szybciej, jestem na zajęciach.

- A... o... u...

Do mego ucha popłynął przerywany sygnał. Ponowiłam próbę.

- No - spytała Maruśka szeptem - kto tam się wydurnia?

- E... e... e...

- Dość tych wygłupów! - burknęła Maszka i w słuchawce znów rozległo się buczenie.

Kiedy po raz trzeci wybrałam numer Maniuni, usłyszałam: „Tu lodówka, automatyczna sekretarka zalała się w trupa, ale możesz zostawić wiadomość u mnie”. Maruśka włączyła pocztę głosową. Nie bardzo wiedząc, co robić, postanowiłam zadzwonić do Łóżkina. Telefon odebrała Irka.

- A...y...ju...

- Schlał się jak świnia i nie trafił palcem gdzie trzeba - zaczęła moja pomoc domowa od razu z grubej rury. - Idź spać, pijaczyno.

Cisnęłam telefon na siedzenie i pojechałam do apteki, odretwienie szczęki nie mijało, ale ząb, a właściwie miejsce, w którym spokojnie tkwił tyle lat, nie wiedzieć czemu zaczęło niemiłosiernie boleć. Do okienka ciągnęła się niewiarygodnie długa kolejka. W końcu jednak się doczekałam.

- A...o...y... <

- Proszę się nie denerwować - uśmiechnęła się farmaceut-ka, ładniutka brunetka z dużymi czerwonymi ustami - czego pani sobie... życzył

- I... a... e...

- Słucham?

- Ju...y..u...

- Ot, nieszczęście - westchnęła stojąca za mną staruszka -i kto to tak wypuścił downa samego?

- A... a... a... - oburzyłam się.

- Na oko nie jest debilką - włączył się do rozmowy chłopak w skórzanej kurtce. - Chyba chora.

- I... i... i... - próbowałam wyjaśnić sytuację.

- Jasne, jest po wylewie - postawiła diagnozę kobieta w niebieskiej czapeczce. - Mój ojciec ma to samo. Złości się, że go nie rozumiemy, zapluwa się!

Złapałam się za podbródek. To prawda, cała byłam zaśliniona, tylko że tego nie czułam. Muszę teraz przypominać naszego rottweilera Sna, on wiecznie chodzi z mokrym pyskiem.

- Downom też tak ślina cieknie - nie poddawała się starucha.

- Nie, jak nic miała wylew - trwała przy swoim baba w czapce.

Kilka minut kolejka spierała się w ożywieniu: czy jestem downem, czy zwykłym kretynem, czy też na wpeł sparaliżowaną nieszczęśnicą. W końcu kobieta w czapce podsunęła:

- Napisz na kartce, czego potrzebujesz!

Uradowana wykaligrafowałam: „Ketanov i butelka wody mineralnej”.

- Mówiłam, że chora - skonstatowała z zadowoleniem niebieska czapeczka. - Downy tak zgrabnie nie piszą.

- Nie, zdarzają się i wykształcone - ciągnęła swój watek staruszka. Spojrzałam na nią z rozdrażnieniem, odeszłam na bok, wsunęłam do ust tabletkę i spróbowałam ją popić wodą, ale okazało się, że znieczulonymi wargami nie da się pić z butelki.

- No proszę! - radośnie wykrzyknęła staruszka. - I kto miał rację?

To kretynka! Całą wodę na siebie wylała. Ot, nieszczęście, a nie daj Bóg, rodzinie uciekła?! Ej, ty tam, jak się zwiesz, kici-kici, chodź no tu, niebożatko. Trzeba ją odwieźć na milicję, zginie na ulicy albo kto ją zgwałci.

- A na co ona komu potrzebna? - Chłopak machnął ręką. - Przecież stara.

Zawrzałam z oburzenia, wyskoczyłam na ulicę i wsiadłam do peugeota. Tabletką powoli rozpuszczała się na języku. No dobra, skoro nie mogę się napić wody, to po prostu poczekam, aż lek rozpuści się w ustach, jako że nie potrafię połknąć nawet najmniejszej pigułki bez popicia. No i co mam teraz zrobić? Gdzie się podziała Lena? Z pewnością dziewczynka jedzie do Łożkina, może już tam jest, ale dopóki znieczulenie nie puści, nie mogę rozmawiać przez telefon. Nagle po lewej stronie, w potoku samochodów, przemknął mercedes kabriolet, ale nie czerwony, tylko czarny.

Moje myśli natychmiast popłynęły w innym kierunku. A więc Malika Jusupowna nikomu nie pożyczła samochodu. Wygląda na to, że nie kłamie. Kobieta codziennie przyjeżdża do swojej pracowni, parkuje samochód na podwórku i idzie malować. Jest człowiekiem z pasją, wiele godzin stoi przed sztalugami, zapominając o jedzeniu, a wieczorem wraca do domu. I siedemnastego lipca, jak zawsze, wodziła pędzlem po płótnie. Ale w jaki sposób jej samochód znalazł się koło stacji metra Sportiwnaja? Może w Moskwie jest jeszcze jeden mercedes kabriolet w wyzywającym kolorze, na którego tablicy rejestracyjnej są trzy litery O? Ale w bazie danych wydziału ruchu drogowego zarejestrowany jest tylko jeden taki wózek. To ci zagadka! Przecież fura nie może sama jeździć po mieście!

Nagle poczułam w ustach niewiarygodną gorycz. Najwyraźniej tabletką, pokryta z wierzchu warstewką lukru, w środku nie była słodka, ba, straszliwie gorzka. Zatrzymałam się, z tyłu od razu zaczęto trąbić. Nie, naszym kierowcom absolutnie brak kultury. Przecież to jasne, że skoro peugeot stanął w potoku jadących samochodów, to znaczy, że coś się stało. Ani jednemu kierowcy nie wpadnie to do głowy...

- Dlaczego pani stoi? - rozległ się głos z lewej strony. Próbuując przełknąć piekącą gorzką grudkę, odwróciłam głowę.

- Dlaczego się pani zatrzymała? - indagował milicjant.

- A... a... a... - próbowałam wyjaśnić sytuację i zamilkłam beznadziejnie.

Mało mi było znieczulenia, to teraz, po tabletkce, mój biedny język już do reszty zdrętwiał.

- Pijana! - zawyrokował chłopak i wrzasnął na kierowców hamujących obok: - No już, jedźcie, znaleźli sobie widowisko, blokujecie drogę!

- Ludzie jeszcze na obiad nie poszli, a pani już się zalała! Jak pani nie wstyd! I to jeszcze kobieta, w dodatku niemłoda... - znów zwrócił się do mnie.

Ostatnie jego zdanie rozzłościło mnie nie do wytrzymania, więc zaczęłam intensywnie kręcić głową.

- E... e... e...

- Wszyscy tak mówicie - zrozumiał mnie po swojemu gospodarz skrzyżowania. - No to dmuchnij!

Z chęcią wypełniłam jego polecenie. Posterunkowy chrząknął i na dobre przeszedł ze mną na „ty”.

- Nie ma co, pięknie! Już lepiej byś wódkę piła, zawsze to zdrowiej, niż dawać sobie w żyłę! I do tego kobieta, w dodatku niemłoda... Ale wredny, co się tak uczeplił mego wieku! Niemłoda! A przecież ja z tyłu wyglądam na dwudziestkę! Co prawda z twarzą sprawa wygląda trochę gorzej.

- Całkiem rozum straciłaś - pastwił się dalej milicjant - przyładowałaś w kanał, a potem siadasz za kółkiem.

Wyjęłam ze schowka kartkę papieru, długopis i nabazgrałam: „W ogóle nie piję alkoholu i nie biorę narkotyków. Nie mogę poruszać językiem, wracam od lekarza”.

Chłopak chwilę obracał kartkę w rękach.

- Aha - spuścił z tonu - chora, znaczy niemowa! Różne przypadki chodzą po ludziach, pani się nie denerwuje, na oko trudno rozpoznać, że inwalidka, całkiem normalnie pani wygląda, miła kobieta, choć niemłoda...

Staralam się powstrzymać całą siłą woli. Jeśli teraz przyłożę gołowosowi w nos, to mój czyn zostanie zakwalifikowany jako czynna napaść na funkcjonariusza w czasie pełnienia obowiązków służbowych.

- Proszę pokazać dokumenty - zażądał gliniarz i zaczął oglądać moje prawo jazdy i dokumenty wozu. Po paru minutach trochę rozczarowany zezwolił: - No dobrze, proszę jechać. I kto to pozwolił niemowie siadać za kierownicą?

Fuknęłam z niezadowoleniem. No, bo w rzeczy samej, dlaczego osobę pozbawioną mowy miałyby się pozbawiać prawa prowadzenia pojazdu mechanicznego? Rozumiem, że kierowanie pojazdem przez człowieka niewidomego może wywołać konsternację. Ale niemowa?

- Myślałam, że wzięła pani samochód bez pytania - nie dawał za wygraną ment - wsiadła pani bez zgody właściciela i...

Nagle mój język odzyskał władzę.

- O Boże! No pewnie! Wzięli mercedesa bez zgody Maliki Jusupowny! Gliniarz cofnął się.

- To pani umie mówić? No to po co się pani wygłupiała? Żartów się zachciało? Za coś takiego można stracić prawo jazdy!

- Nie, nie - zaczęłam trajkotać - byłam niemową, przez całe życie nie wypowiedziałam ani jednego słowa, a teraz popatrzyłam na pana i nagle jak ręką odjął. Może pan jest medium?

Teraz milicjant stracił zdolność mowy i zamarł z otwartymi ustami. Zostawiłam go stojącego jak słup soli i ruszyłam, skręcając w prawo, na ulicę, przy której znajdowała się pracownia Maliki Jusupowny. Czteropiętrowy długi budynek w zwartej zabudowie z połowy ubiegłego wieku stał tuż przy stacji metra. Spróbowałam wjechać na podwórze, ale poniosłam fiasko. Dość wąska część przejezdna była tak zastawiona samochodami, że zaparkowanie przy klatkach schodowych było niemożliwe i trzeba było peugeota zostawić na prospekcie.

Pogoda cieszyła dziś pełnym brakiem opadów, na niebie czule świeciło słoneczko, kałuże wyschły.

Pierwszy samochód, jaki zobaczyłam, po wejściu na podwórze, to był czerwony mercedes kabriolet, zaparkowany wprost pod oknami jednego z mieszkań na parterze. Czyli Malika Jusupowna jest teraz w swojej pracowni, w natchnieniu maluje kolejny portret. A ja muszę znaleźć jakąś bystrooką babcię, młodą matkę, spacerującą z wózkiem albo rozmowną gospodynię domową. Ale jak na złość podwórze było puste. A właściwie podwórza jako takiego właściwie tu nie było, tylko asfalt, cały zastawiony zaparkowanymi na styk samochodami. Babcia albo matka z dzieckiem mogą spacerować gdziekolwiek, ale z pewnością nie tu. Nie zdążyłam się zastanowić, co w tej sytuacji zrobić, kiedy na dwór wyskoczyła młoda dziewczyna w białym fartuchu i zaczęła krzyczeć:

- Jak pani nie wstyd! Sto razy prosiliśmy!

- Pani mówi do mnie? - cofnęłam się.

- A niby do kogo jeszcze? - krzyczało dalej dziewczę. - Przecież chcieliśmy załatwić sprawę grzecznie! Powiesiliśmy ogłoszenie, wszyscy zrozumieli oprócz pani. Wyjaśnialiśmy, tłumaczyliśmy. Nie! Tylko proszę pamiętać, że jak pani z nami, tak my z panią! I niech się pani nie zdziwi, kiedy na mercedesa spadnie cegła! Chociaż co to dla pani! Zaraz kupi sobie pani nowy!

- Ale co ja takiego zrobiłam?

- I jeszcze udaje idiotkę! - na dobre rozzłościła się dziewczyna. - Tu jest żłobek... Mamy tu około setki dzieci! A pani codziennie parkuje swój wóz pod sypialnią młodszej grupy! Wypuszcza pani spaliny...

- Ale...

- Proszę natychmiast przestawić samochód! Bo złożymy na panią skargę!

Próbowałam przerwać potok burzliwych, gniewnych słów, ale dziewczyna

nie dawała mi takiej szansy. Przyskoczyła do mnie, zacisnęła małe piąstki, oczy jej płonęły żywym ogniem, rozczochrane włosy opadały na ramiona.

- Kira - usłyszałam głos z prawej strony - to nie ona! Dziewczyna umilkła nagle.

- Tak?

Odwrociłam się i ujrzałam w oknie na parterze otwarty na oścież lufcik, a w nim głowę kobiety koło sześćdziesiątki.

- To nie ona - powtarzała głowa - tamta jest czarna jak wrona, mieszka w piątej klatce.

Kira wskazała palcem czerwonego mercedesa:

- To pani samochód?

- Nie.

- Proszę wybaczyć, ale stoi pani koło niego - zaczęła się tłumaczyć dziewczyna. - Pomyślałam, że skoro stoi pani obok, to merc jest pani.

- Po prostu zatrzymałam się obok, żeby złapać oddech, serce mnie zabolalo - skłamałam.

Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, z której strony piersi znajduje się najważniejszy organ układu krwionośnego, chyba po lewej stronie. A może po prawej? Nie, tam jest wątroba, to znaczy nie tam, tylko niżej. Z pewnością wyda się wam to dziwne, ale wątroba nigdy mnie nie boli, zresztą żołądek i pozostałe organy również. No, tylko głowa czasem trochę pobolewa...

- To na zmianę pogody - powiedziała Kira. - Zwariować można! Raz deszcz, raz śnieg, raz słońce, nawet koń tego nie wytrzyma. Jeśli pani chce, to przyniosę kropelki, valocordinę? Mam je w apteczce.

- Bardzo dziękuję. - Uśmiechnęłam się i ruszyłam za pielęgniarką.

Rozdział 17

Znalazłyśmy się w czystym gabinecie. Dziewczyna przyniosła menzurkę z ostro, ziołowo pachnącą cieczą i troskliwie usadziła mnie na krześle.

- Wyobrażam sobie, jak was ten mercedes denerwuje - wszczęłam rozmowę.

Kira aż klasnęła w ręce.

- Ach, szkoda gadać! Ile razy prosiliśmy, żeby nie parkowała pod oknami, bo tu są dzieci! Bez rezultatu, nie rozumie. I to tylko ona jedna! Nikt więcej tu nie stawia samochodu.

- A co ją tam nasze dzieci obchodzą. - Do gabinetu weszła zasapana kobieta, która wcześniej wyglądała przez lufcik. - O samochód się troszczy, boi się pewnie, że ktoś się o niego otrze, to utyka wóz w bezpiecznym miejscu, na chodniku, w kącie, lepszego miejsca do parkowania nie znajdzie na całym podwórzu!

- To jest Arina Jakowlewna, kierowniczką - przedstawiła kobietę Kira.

- Proszę nam wybaczyć - kontynuowała Arina Jakowlewna - naskoczyłyśmy na panią, nakrzyczyłyśmy.

- Doskonale was rozumiem - kiwnęłam głową - to strasznie nieprzyjemne, kiedy pod oknem nic tylko brud i hałas.

- Nawet nie mamy gdzie wyprowadzić dzieci na spacer - złościła się Kira. - Był placyk, to go zabrali. Nie, trzeba tej babie zrzucić cegłę na karoserię. Nie zrozumie, to jeszcze raz kamieniem zajechać, wtedy załapie, o co chodzi, przestanie tu parkować.

- Naprawa mercedesa bardzo dużo kosztuje - ostrzegłam pielęgniarkę.

- Jeśli właścicielka zwróci się do milicji i będzie w stanie dowieść pani winy, to zmuszą panią do zapłacenia rachunku, a to niejedyn tysiąc dolarów.

- To co, mamy już do końca życia rozkoszować się widokiem jej kabrioletu?! - Kira była wciąż wzburzona.

- Trzeba się zastanowić nad taktyką - ciągnęłam. - Przypomnijcie sobie, nic się tu szczególnego nie wydarzyło? Z jej samochodem?

Kira wzruszyła ramionami.

- Raczej nie, stoi tak cały dzień i stoi. Rano, co prawda, go nie ma, my tu przychodzimy na siódma, a ta łachudra przyjeżdża później,

może to prostytutka?

- Kira! - z oburzeniem wykrzyknęła Arina Jakowlewna. - Nie opowiadaj bzdur!

- A co? - nie dawała za wygraną pielęgniarka. - No to gdzie ona, według pani, pracuje? Nocą jej nie ma, zjeżdża dopiero w dzień.

Mercem się rozbija... To kim jest, pani zdaniem? Nauczycielką? Arina Jakowlewna westchnęła.

- Sama nie wiem.

- A na dodatek ma w tym wozie alarm! - nie mogła się uspokoić Kira.

- Ale za często go nie włącza - musiała sprawiedliwie przyznać Arina Jakowlewna. - Bardzo rzadko się zdarza coś takiego.

- Rzadko, ale gładko. - Kira przymrużyła oczy. - A co się stało z Loszą Konowem, co?

- Co się z nim stało? - zainteresowałam się.

- Mało nie umarł, a wszystko przez tego mercedesa.

- To znaczy?

Kira poprawiła rozczochrane włosy.

- Losza jest epileptykiem, matka alkoholiczka, ojciec narkoman, a biedny chłopczyk się męczy.

- Dobrze, że mieli na tyle oleju w głowie, żeby oddać dzieciaczka do żłobka tygodniowego! - dodała Arina Jakowlewna. - Doprowadziłyśmy go do jakiego takiego stanu, ataki praktycznie ustąpiły.

- Aha - przerwała jej Kira - leczeliśmy dziecko, leczeliśmy i co... W milczeniu słuchałam rozgniewanej pielęgniarki. Ponieważ mam wśród bliskich przyjaciółkę lekarkę, świetnie wiem, że atak epilepsji może wystąpić na skutek nagłego przerażenia, szczególnie kiedy rzecz dotyczy małego dziecka. Łóżeczko Loszy stoi pod samym oknem, dzieci z jego grupy kładzie się spać dwa razy dziennie, są jeszcze maleńkie. Koło jedenastej przedszkolanka okryła dzieci kołderkami, posiedziała z nimi w pokoju kwadrans i słysząc miarowe sapanie, postanowiła wyjść na herbatę. A tu pod oknami nagle zawył głośny alarm. Co prawda, od razu zamilkł, ale Losza obudził się, przestraszył i dostał ataku. Tym razem akurat Kira nie mogła sobie poradzić sama, trzeba było wzywać karetkę i odesłać dziecko do szpitala.

- A wszystko przez kretyńskiego mercedesa - złościła się pielęgniarka.

- Kiedy to się stało? - zapytałam. Pielęgniarka przekartkowała grubą księgę.

- Siedemnastego lipca, upał był niemiłosierny, dlatego pootwieraliśmy okna, chociaż jaki to ma sens? Z ulicy zalaływoło spalinami, ale nie mamy w pomieszczeniach klimatyzacji, tu nie Duma Państwowa, tylko żłobek, kto nam da co dobrego? No i Losza trafił do szpitala, a wszystko przez tę idiotkę. Zabiłabym ją tamtego dnia, tylko nie miałam czasu na awantury, z chłopczykiem naprawdę było źle.

- Warwara Stiepanowna zaczęła w nią rzucać klockami - uśmiechnęła się Arina Jakowlewna - wszystkie powyrzucała. Przewiesiła się przez parapet i zaczęła krzyczeć: „Ej, ty, cholero jedna, stój!”. Wszystkie dzieci pobudziła, potem przez godzinę płakały. Straszny dzień: Losza miał atak padaczki, reszta dzieciaków - dostała histerii!

- A dlaczego przedszkolanka krzyczała: „Stój”? - Nastawiłam uszu.

- A bo ta wydra wsiadła do mercedesa i uciekła - odparła Kira. - Warwara Stiepanowna jest kulturalną kobietą, przedtem pracowała w szkole muzycznej, ale nawet ona nie wytrzymała i aż piszczała ze złości: „Ożeż ty, albinosko pieprzona, jeszcze tu wrócisz”.

- „Albinosko pieprzona” - powtórzyłam powoli. - Ale przecież za kierownicą zawsze siedzi silna brunetka.

Kira przytaknęła:

- Aha, faktycznie.

- Czarna jak kruk - podchwyciła watek Arina Jakowlewna. - Widziałam ją ze sto razy.

- To dlaczego w takim razie „albinoska”?

- Nie wiem - mruknęła Kira. - Ale Warwara Stiepanowna tak właśnie krzyczała.

- A jest dziś w pracy?

- Oczywiście.

- Możecie ją poprosić?

Kira i Arina Jakowlewna spojrzwały po sobie.

- A o co właściwie chodzi? - czujnie zapytała kierowniczką. Bez żadnego uśmiechu odparłam:

- Właścicielka czerwonego mercedesa jest podejrzana o morderstwo. Proszę wybaczyć, że się nie przedstawiłam: oficer śledczy Daria Wasiljewa.

Kobiety przez chwilę patrzyły na mnie w milczeniu, w końcu Kira pisnęła radośnie:

- I może trafić za kratki?

- Tak, jeśli uda mi się rozwikłać sprawę, a w tym celu muszę porozmawiać z przedszkolanką.

- Chwileczkę - zerwała się Kira - zaraz ją przyprowadzę, proszę nie odchodzić.

Nie minęła nawet minuta, jak wróciła do gabinetu, ciągnąc ze sobą drobniutką, okrągłą, sympatyczną staruszkę o twarzy przypominającej pieczone jabłko.

- Dzień dobry - przywitała się Warwara Stiepanowna. - To pani jest z organów ścigania?

Przytaknęłam skinieniem głowy.

- A co ta od mercedesa przeszkrobała? - zainteresowała się staruszka.

- Dla dobra śledztwa nie mam prawa ujawniać informacji.

- No, ale chociaż ją wsadzicie? - spytała Kira z radosną nadzieją.

- Jeśli zdołam zebrać potrzebne dowody, z właścicielką czerwonego mercedesa będzie krucho - kłamałam dziarsko.

- Zaraz Warwara Stiepanowna wszystko sobie przypomni! - ożywiła się Kira. - Ona ma pamięć jak słoń.

- O czym tam gadacie, nic a nic nie rozumiem - wystraszyła się staruszka.

Postanowiłam przejąć inicjatywę.

- Pamięta pani ten dzień, kiedy Losza przerażony zniecka wyciem alarmu dostał ataku epilepsji?

- To było latem - pokiwała głową przedszkolanka - upał nieziemski, jak w Etiopii, a nie w Moskwie. Moja synowa po całym mieszkaniu porozstawiała miski, tak ją nauczyli robić w Syrii, ona tam mieszkała z pierwszym mężem. Ten jej mąż...

Rozumiejąc, że teraz babcia pozęgluje myślami w zupełnie innym kierunku, przerwałam jej wspomnienia:

- Czyli włączył się alarm...

- Nie - pokręciła głową Warwara Stiepanowna - on tak okropnie zawył jak syrena...

- Dalej.

- Losza zaczął się miotać.

- A co było potem?

- A nic - rozłożyła ręce staruszka - karetka przyjechała.

- A co się stało z mercedesem?

- Odjechał.

- No przecież jeszcze w niego rzucałaś klockami i darłaś się:

„albinoska pieprzona” - włączyła się do rozmowy Kira.

Warwara Stiepanowna spieszyła się.

- Tak było. Ręce same złapały te zabawki. No, nieładnie, fakt, ale strasznie się rozłościłam.

- Ale dlaczego krzyczała pani do kobiety siedzącej w samochodzie „albinosko”? - zadałam jej kluczowe pytanie.

- No bo była taka bieluteńka - powiedziała Warwara Stiepanowna.

- E tam, wszystko poplątałaś - Kira pokręciła głową. - Wóz należy do innej, czarnej, ohydnej baby.

- Tak? - przedszkolanka się spieszyła. - No to ty chyba wiesz wszystko lepiej ode mnie.

Zdenerwowałam się i surowo nakazałam Arinie Jakowlewnie i Kirze opuścić gabinet:

- Zostawcie nas same. Kierowniczką pociągnęła Kirę za rękę.

- Chodźmy.

Kira usłuchała z wyraźnym niezadowoleniem. Ledwo zamknęły się za nimi drzwi, zwróciłam się do Warwary Stiepanowny:

- No to proszę opisać tę „albinoskę”.

- Teraz to już nie jestem pewna... - Staruszka pokręciła głową z powątpiewaniem. - No bo skoro Kira mówi...

- Zostawmy Kirę w spokoju, ona nic nie wie! Proszę opowiedzieć, co pani widziała.

- No - zaczęła Warwara Stiepanowna - całkiem młoda, włosy długie, jasne, zaplecione w warkocz, nawet sobie pomyślałam, że teraz to już nikt się tak nie czesze. Nosek maciupki, zgrabny, trochę zadarty. Spódniczka króciuteńka, biała, do pępka, całe nogi na wierzchu... O! I jeszcze bandaż!

- Gdzie? - podskoczyłam.

- Na kostce - przypomniała sobie staruszka - może ciut wyżej, miała pantofelki na obcasach. Ładna dziewczucha. Przewiesiłam się przez parapet i dawaj rzucać w nią klockami, tylko po jakiego grzyba? Wsiadli i odjechali.

- Było ich dwoje? - chciałam rzecz doprecyzować.

- On siedział za kierownicą, chłop jak byk.

- Opowiedz o mišku - usłyszałam zza drzwi.

To Kira, która postanowiła podsłuchiwać, o czym rozmawiamy, nie wytrzymała i odezwała się.

- A właśnie - ożywiła się stara przedszkolanka - tak było! Ot, co znaczy młodość, Kirka wszystko pamięta, a mnie już z głowy wyleciało.

- Jaki znowu misiek? - krzyknęłam zniecierpliwiona.

- Pani zaczeka chwileczkę - Warwara Stiepanowna poderwała się z miejsca - zaraz pokażę!

Po kilku minutach trzymałam w ręce niewielkiego, ciężkiego, cudnego pluszowego miśka pandę. Na biało-czarnej mordce miał przyszyte niebieskie paciorki - oczy, przednie łapki trzymały czerwone serduszko, tylne sterczały na boki. Machinalnie poruszyłam zabawkę. Nie była wypchana lateksową pianką ani drobnymi kuleczkami, tylko jakimiś dziwnymi pałeczkami czy małymi łopatkami, ponieważ czułam pod palcami jakieś długie, zakończone płaskim rozwidleniem kształty.

- Na plecach ma zamek błyskawiczny - znów odezwała się Kira zza drzwi - a w środku są klucze.

Wymacałam zameczek i szarpnęłam go w dół, otwierając niewielką kieszonkę. Wewnątrz rzeczywiście znalazłam kilka kluczyków. Jeden jakby do sejfu, dwa tak zwane angielskie i jeden całkiem malutki i płaski, najprawdopodobniej do skrzynki na listy.

- Co panda ma wspólnego z tą historią? - zapytałam z napięciem.

Warwara Stiepanowna chrząknęła.

- Powyrzucałam klocki na podwórze, więc trzeba było pójść i zrobić porządek. Zaczęłam zbierać zabawki do reklamówki -patrzę, a tu misiek leży, nawet się zastanowiłam: chyba takiego-śmy nie mieli, ale mimo wszystko wzięłam. A dopiero w przedszkolu znalazłyśmy klucze i zrozumiwałyśmy, że to albinoska zgubiła.

Kira wpadła do pokoju.

- Dalej ja opowiem, dobrze? Ucieszyłyśmy się, pomyślałyśmy, że blondyna się spostrzeże i wróci po klucze. No to wtedy zmusimy ją, żeby sypnęła groszem. Wystraszyła chore dziecko, niech teraz płaci. Losza potrzebuje ubrań, on nic nie ma, same łachy. Czekaliśmy, czekały, ale się nie doczekaliśmy. Cały dzień wyglądałam przez okno, myślałam, że zaraz

się przywlecze, ale potem Lenoczce Małyszewej temperatura skoczyła...

Kira była zmuszona porzucić obserwację podwórza i zająć się swoimi obowiązkami zawodowymi: najpierw ułożyć maluszka w izolatce, potem dzwonić do jej rodziców, następnie siedzieć przy dziewczynce. (W każdym razie kiedy przekonała się, że dziecko zasnęło, znów poszła do młodszej grupy i wyjrzała przez okno, a wtedy ogarnęła ją wściekłość: czerwony mercedes stał na swoim miejscu. Bezczelność właścicielki auta spowodowała, że nawet spokojna zwykle Arina Jakowlewna omal nie wyszła z siebie.

- No, już ja jej teraz pokażę - zasyczała kierowniczką i wybiegła,

biorąc ze sobą miśka na klucze.

Wróciła zaskoczona. Malika wpuściła ją do mieszkania, spokojnie wysłuchiwała gniewnej tyrady i powiedziała:

- Pani się myli. Mój samochód nie wyjeżdżał dziś z podwórka. Stałam przy sztalugach koło jedenastej i przez cały dzień nie wychodziłam z pracowni.

Arina Jakowlewna nie zdążyła zareagować, gdy malarka otworzyła drzwi do pokoju i kierowniczką ujrzała pośrodku pomieszczenia kobietę siedzącą w wielkim, staroświeckim fotelu. Mało tego, Arina Jakowlewna świetnie ją znała - to była Ałła Szlagina, matka Kati Szlaginej, z młodszej grupy.

- Ałło Jewgienjewno - poprosiła Malika - proszę powiedzieć, kiedy i na jak długo dziś wychodziłam?

- Przecież stoi tu pani cały dzień - z zakłopotaniem odparła Szlagina - nawet herbaty pani nie wypija.

Portrecistka zwróciła się do kierowniczką:

- Czy sprawa jest już wyjaśniona?

- Ale nie pani siedziała za kierownicą, tylko młoda dziewczyna, blondyneczka.

- Nieprawda - ucięła Malika. - To niemożliwe.

- Widziałam na własne oczy.

- Niemożliwe.

Arina Jakowlewna podetknęła bezczelnej artystce pod nos pandę.

- Jeszcze klucze zgubiła, teraz nie dostanie się do domu. Malika wzięła pluszaka, z obrzydzeniem obracała go chwilę w rękach, następnie oddała kierowniczkę, otworzyła torebkę ze skóry krokodyla, wyjęła kółeczko ze złotym brelokiem, na którym wisiały klucze, i oznajmiła:

- Moje klucze są na swoim miejscu, a zresztą do głowy by mi nie przyszło, żeby używać podobnego futerału.

- Przecież nie powiedziałam, że misiek należy do pani - zaproponowała Arina Jakowlewna - tylko do osoby, która dziś jeździła pani samochodem.

- Proszę stąd wyjść - rzekła ostro Malika. - Ja muszę pracować. Nikt nie ma dostępu do mojego mercedesa.

- Parkuje pani samochód pod oknami żłobka!

- Tam nie ma znaku zakazu - odbiła Malika piłeczkę.

- A poczekaj no ty - nie wytrzymała Arina Jakowlewna -jeszcze za to zapłacisz. Rozbijasz się mercem, a choremu dziecku żałujesz na ubranka!

- A niby z jakiego to powodu miałabym dać choćby kopiejkę? - zdziwiła się Malika.

- Bo przez twojego merca Losza zachorował! Jeszcze raz postawisz samochód na chodniku, to ci zrzucimy cegłę na karoserię.

Malika lekko poczerwieniała, ale jej głos brzmiał spokojnie:

- Możecie nawet zawalić cały kabriolet kamieniami, kupię sobie nowy, ale z waszego żłobka nic nie zostanie. Powiem mężowi, to najpierw jego chłopaki powybijają wam okna, a potem i toba się zajmą, szantażystko jedna, złapią cię na klatce schodowej, przyduszą i rozwalą ci głowę o kaloryfer. Wynoś się stąd, póki nie wezwałam milicji. Najpierw trzeba udowodnić, że dzieciak przez mój samochód zachorował, a to, że ty tu stoisz i mi grozisz, to Ałła Jewgienjewna potwierdzi. Prawda?

I Malika odwróciła się w stronę kobiety siedzącej w fotelu. Ta z zakłopotaniem kiwnęła głową i powiedziała cicho:

- Arino Jakowlewno, lepiej niech już pani wraca do pracy, Malika Jusupowna naprawdę nigdzie nie wychodziła, coś się pani pomyliło! Arina Jakowlewna wyszła, nic nie wskórawszy.

- A gdzie mieszka ta Ałła Jewgienjewna? - zapytałam.

- W naszej kamienicy, druga klatka - poinformowała kierowniczką - mieszkania trzydzieści pięć.

Zabrałam miśka na klucze, jak najsurowiej zakazałam opowiadania komukolwiek o mojej wizycie i obiecując jak najszybciej wsadzić Malikę Jusupownę za kratki, poszłam szukać mieszkania numer

trzydzieści pięć.

Rozdział 18

- Kto tam? - usłyszałam czujny głos za drzwiami.
- Czy zastałam Ałkę Jewgienjewnę?
- A o co chodzi? - Kobieta wciąż nie otwierała drzwi.
- Przysłała mnie Arina Jakowlewna, kierowniczką żłobka, do którego oddaje pani córkę.

Zabrzączał łańcuch, zazgrzytały zamki i w progu stanęła młoda kobieta, szczupła, nawet chuda, o zmęczonej twarzy. Była w brudnych, niegdyś jaskrawoczerwonych spodniach i spranej bawełnianej koszulce.

- Dzieciak zachorował? - zapytała i cofnęła się w głąb przedpokoju.
- Z dziewczynką jest wszystko w porządku - odpowiedziałam szybko.
- No to o co chodzi?
- Mogę wejść?

- Niech pani wejdzie - mruknęła Ałła z wyraźną niechęcią.
- Jeśli pani przyszła w sprawie opłat, to już zaniosiłam blankiety byłemu mężowi, on wszystko ureguluje. Nie macie prawa wyrzucać dzieciaka ze żłobka, boście nie prywaciarze, tylko instytucja państwowa, znam swoje prawa.

Wciąż mamrocząc, weszła do pokoju, służącego w tym mieszkaniu za sypialnię, salon i dziecinny jednocześnie. Na rozłożonej pod ścianą kanapie leżał ściągnięty koc w poszwie nie pierwszej czystości, na podłodze zaś były porozrzucane magazyny „Lisa”, „Cosmopolitan” i stała filiżanka z resztkami kawy. W kącie migotał niebieskim światłem telewizor. W pokoju było duszno i zimno jednocześnie, w powietrzu wisiał zapach niedopałków, i nic w tym dziwnego, ponieważ na stole, między maselniczką a cukiernicą stała ogromna popielniczka, po brzegi zapełniona petami. Firanki, a właściwie dwie szare od kurzu ścierki, zwisały po bokach obłupanych ram okiennych, a ze szczelin sterczały kawałki zmiętej gazety.

- No więc o co chodzi? - jeszcze raz zapytała Ałła, opadając wprost na niezasałaną kanapę. - Jeśli zbiera pani pieniądze na zabawki albo dodatkowe zajęcia, to niepotrzebnie się pani fatygowała. Jestem bezrobotna, żyję w nędzy.

Coś podobnego! Ale na kawę, papierosy i kolorowe magazyny jej wystarcza!

- To dlaczego nie poszuka pani pracy? - wyrwało mi się. Ałła się skrzywiła.

- A co to panią obchodzi?

Po prostu żal mi pani, a właściwie, tu, na rogu, jest supermarket, na drzwiach wisi ogłoszenie: „Zatrudnimy kasjerkę i sprzątaczkę”. Może powinna pani tam zajrzeć, zainteresować się?

Ałła ziewnęła.

- Nie mam ochoty harować za marne kopiejki, wstawać o szóstej rano. Nie, ja szukam porządnej posady, żeby pensja nie była niższa niż tysiąc doków miesięcznie i trzy, no, góra cztery godziny roboty dziennie.

- A jakie ma pani wykształcenie?

Średnie.

- To raczej wątpliwe, żeby znalazła pani taką pracę, może lepiej chwilowo gdzieś się zaczepić. Sama pani przecież mówiła, że nie macie pieniędzy, a dziewczynkę trzeba nakarmić, ubrać, obuć, za żłobek zapłacić.

Ałła wzięła paczkę parlamentów.

- Dziewuchę razem robiliśmy, no to niech się tatuńcio zakręci.

Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, zaczęła zapalać papierosa. Z ogromnym wysiłkiem powstrzymałam się, żeby nie kontynuować rozmowy o pracy. Jestem całkowicie przekonana, że jeśli człowiek mieszkający w dużym mieście skarży się na brak zajęcia, to jest po prostu leniem. Na prowincji, owszem, zgadzam się, tam jest trudniej. Jeśli w waszym miasteczku zamknięto fabrykę, w której stała przy maszynach większość zdolnych do pracy mieszkańców - to nieszczęście. Ale w metropolii, gdzie mieszkają miliony ludzi?! Pomoc domowa, niania,

szofer, sprzątaczką... Mało to miejsc, gdzie można się zaczepić? Problem jedynie w tym, że nie wszyscy tak naprawdę chcą pracować. Niektórzy wolą leżeć przed telewizorem, pstrykając pilotem, i jęczeć o katastrofalnym braku pieniędzy. Zgoda, przekwalifikować się z inżyniera na sprzątaczkę to nieprzyjemne i psychicznie, i fizycznie, ale jeśli nie ma alternatywy? A już zupełnie nie rozumiem, kiedy rozmowę o głodnym życiu wszczyna nauczyciel. Cóż mu bowiem przeszkadza zająć się udzielaniem korepetycji? Mam jedną znajomą, „angielkę”, która ma zwyczaj, gdy przyjdzie gdzieś z wizytą, obrzucać spojrzeniem stół i oznajmiać z westchnieniem:

- No proszę! Wy jadacie ciastka, a mnie na chleb nie wystarcza. Prawdę mówiąc, kiedy usłyszałam to po raz pierwszy, nabawiłam się kompleksów, wyciągnęłam portmonetkę i wsunęłam Nadi pieniądze. Ale kiedyś Kicia zapytała mnie:

- Dlaczego dajesz Nadce dolary?

- Bo jest w ciężkiej sytuacji! Olga prychnęła ze złością:

- Ano przypomnij sobie: Nadia wzięła od ciebie pieniądze na wyciszające okna.

- Tak, mieszka niedaleko fabryki, hałas jej przeszkadza.

- Aha! Potem jeszcze na wyjazd na wakacje.

- No, przecież nie można trzymać dziecka całe lato w mieście.

- Następnie na operację dla jej brata ciotecznego.

- Mógł umrzeć.

- Posłuchaj - Kicia dosłownie wychodziła z siebie - a dlaczego twoja Nadia nie chce poszukać sobie uczniów? Dziesięć dolarów za godzinę. Trzech dziennie to trzydzieści doków, pomnożyć przez siedem - dwieście dziesięć tygodniowo. A dzieci jest bardzo łatwo znaleźć, wiele ma problemy z nauką języka, i to nawet w jej klasie.

- Nadia mówi, że zasady moralne nie pozwalają jej dawać prywatnych lekcji - rzekłam z westchnieniem.

- No to łajza - wybuchnęła Olga. - Po prostu woli wrócić do domu o drugiej i rozwalić się na kanapie niż biegać po uczniach. A przypomnij sobie, ty harowałaś! Niezłe ma zasady!

Zasady, które nie pozwalają pracować, tylko wyciągać od ciebie tyle pieniędzy, ile się da! Kapitalne rozwiązanie! Zrozum, że nie można wszystkim pomagać, niektórzy nie zasługują na to. Nadia bezczelnie cię wykorzystuje, przecież dzwoni i zjawia się tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebuje.

Wlepiłam wzrok w Kicię. Chyba mówiła rozsądnie. Bardzo dobrze pamiętam, jak sama biegałam po mieście, miałam całą rzeszę uczniów, więc wychodziłam z domu o ósmej rano, a wracałam o jedenastej w nocy... Nadka natomiast tylko jęczy.

Najwyraźniej ta cała Ała to rodzona siostra Nadi - leży na kanapie, użala się, ale nieśpieszno jej wziąć ścierkę do ręki. Co się ze mną dzieje? No, co mnie obchodzi Ała, przecież przyszłam tu w zupełnie innym celu, a tymczasem wzięłam się do wychowywania leniucha. Zła sama na siebie, zapytałam zbyt ostro:

- Mówisz, że nie masz pieniędzy? Ile dolarów byś chciała?

- A co trzeba za to zrobić? - spytała Ała leniwie. - Najać się za niańkę do waszego żłobka? Co to, to nie, nie mam ochoty tyrać za nędzne kopiejki.

- Nie martw się - uspokoiłam ją - nawet nie musisz złązić z kanapy, po prostu odpowiedz mi na kilka pytań!

Ałłoczka zamrugnęła. Wyjęłam z portmonetki zielony banknot i pomachałam jej nim przed nosem.

- No co, jesteś gotowa? Czy językiem w gębie też ci się nie chce obrócić?

- O co pani chodzi? - wymamrotała Ała.

- Znasz Malikę Jusupownę?

- Aha.

- Malowała twój portret?

- A co, nie wolno? - udała zdziwienie Ała. - Podeszła do mnie na podwórzu, przedstawiła się, powiedziała, że mam oryginalną twarz, i zaproponowała pieniądze. Jakby chłop coś takiego mi gadał, w życiu

bym się nie zgodziła, ale z kobietą poszłam. Kazała mi tylko siedzieć w fotelu, co prawda, to było trudne, nie wolno się ruszać, cała zdrętwiałam.

No tak, pieniądze, z zasady nie spadają z nieba, to, ile macie, zależy od waszego wysiłku i umiejętności. Jeśli się komuś nie chciało zdobyć wykształcenia, nie doskonalili się zawodowo, to zasługuje na kopiejki. Wśród fryzjerów są Siergiej Zwieriov, Dolores Kondraszowa i inni mistrzowie grzebienia, którzy zarabiają krocie, ale są i tacy, co potrafią tylko „strzyc na pazia” i „robić klasyczną trwałą”. No i kto jest winien temu, że ci drudzy nie chcą doskonaląc swoich umiejętności?

- Cały miesiąc do niej chodziłam - ciągnęła Ałła - w największe upały...

- Dobrze - przerwałam jej żale - już zrozumiałam, że okropnie się męczyłaś. Teraz powiedz, czy pamiętasz taką sytuację, że do mieszkania Maliki Jusupowny przyszła Arina Jakowlewna, kierowniczką przedszkola i kłóciły się.

- Aha - kiwnęła głową Ałła - tamta się darła, chodziło o samochód, że niby Malika Jusupowna gdzieś jeździła i zrobiła krzywdę jakiemuś dziecku. Tylko że Arina Jakowlewna coś pokręciła, bo Malika nigdzie nie wychodziła, to wariatka.

- W jakim sensie?

- W dosłownym, zwykła psychopatka.

- A w jaki sposób to się objawia?

- Stoi przy tych swoich ramach cały dzień, cała aż się trzęsie, nie je, nie pije, tylko macha pędzlami. Że też jej nogi nie wrosną w ziemię? Jak powiedziałam, że chcę do toalety, to zaraz zaczynała wzdychać i się krzywić. „No idź, idź, tylko szybko!”. Najpierw myślałam, że poczęstuje człowieka kawą, w końcu jest bogata, a tu nic z tego, nawet szklanki wody nie podała, kazała siedzieć i się nie ruszać.

- Nie pamiętasz, czy po wyjściu Ariny Jakowlewny Malika do kogoś dzwoniła?

Ałła pokręciła głową.

- Nie, znowu się wzięła do roboty, tylko się strasznie wściekała.

- I co mówiła?

- No... - zaczęła się zastanawiać Ałła - niby coś w ten deseń: „Ta kierowniczką myśli, że jestem bogatą idiotką i można ze mnie wycisnąć kupę pieniędzy. A to sobie wykombinowała! Ja mam w samochodzie zainstalowany superalarm, bez specjalnego breloka nie da się go wyłączyć, nawet nie warto próbować! Nikt moim samochodem nie jeździł, to kłamstwo. Miała ochotę wydusić ze mnie trochę dolarów. A za co? Będę stawiała

samochód tam, gdzie chcę, kupiłam w tej kamienicy mieszkanie, więc moje prawo korzystać z podwórka, mam gdzieś jej żłobek. Tam pod oknami stoi kupa samochodów, ale ona przyczepiła się akurat do mnie, bo mercedes zwraca uwagę. Bogatemu trochę zabrać to nie kradzież, tylko podział! Ale się pomyliła, nie dam ani kopiejki. Jakby przyszła do mnie po dobremu i grzecznie poprosiła: Maliko Jusupowno, błagam o pomoc, trzeba pomóc choremu dziecku, to zaraz bym się zainteresowała, o co chodzi. Ale skoro zaczęła od kłamstw o samochodzie, to niech się wynosi”. Ałła zamilkła.

- To wszystko? - zapytałam.

- Tak, potem włączyła wieżę, bo ona maluje przy muzyce, symfonicznej. Co za nudziarstwo, wciąż przy tym zasypiałam.

Do Łóżkina przyjechałam wieczorem i z radością zobaczyłam na wieszaku kurtkę Leny. Już chciałam pójść i skrzyknąć głupiutką dziewczynkę, ale wpadłam na dziwnie wzburzoną Maszę, która pokrzykiwała na Griszę:

- No już, zbieraj się, szybciej!

- Zaraz. - Kryminalista sapał, zawiązując buty.

- On tu zaraz przyjdzie - nie odstępowała go Mania - no, szybciej, ale z ciebie guzdrała!

- Dokąd się wybieracie? - zapytałam zdziwiona.

- Po prezent dla Aleksandra Michajłowicza.

- A dlaczego?
- Ty nic nie wiesz? - Maszka aż podskoczyła.
- Nie, a co się stało?
- Diegtiariow dostał odznaczenie! - wrzasnęła Maniunia. -Za zasługi, a na dodatek nagrodę pieniężną. Schwycił jakiegoś maniaka! Rano dzwonił Żenka i nam o tym powiedział. W południe minister wręczył pułkownikowi nagrodę. Teraz świętują w wydziale, a u nas wieczorem. Ej, Grisza, no, pośpiesz się!
- To ja pojedę z wami!
- Świetnie - Mania aż podskoczyła z radości - bo już chciałam prosić Irkę, żeby odwiozła nas do sklepu.
- Pamiętając o niedawnych komplikacjach, posadziłam Maszkę z tyłu, a złodzieja na przednim siedzeniu. Do marketu dotarliśmy bez przygód, trudności zaczęły się później, bo zupełnie nie wiedzieliśmy, co kupić, Diegtiariow ma już wszystko. Kicia bardzo dba o garderobę pułkownika. Znając jego aktywną niechęć do odwiedzania sklepów, Olga poradziła sobie w prosty sposób. Nie była w stanie zaciągnąć zaciekle sprzeciwiającego się pułkownika do GUM-u, na pierwsze piętro, więc podała personelowi jego miarę. Sama dwa razy do roku tam jeździ i przywozi Aleksandrowi Michajłowiczowi garnitury, koszule, swetry i skarpetki. Sklep specjalizuje się w dużych rozmiarach, fasony ubrań raczej nie są ekstrawaganckie, tradycyjne, zmieniają się jedynie wyłogi marynarek czy krój kołnierzyków przy koszulach, pułkownik zatem żyje w naiwnym przeświadczeniu, że już od wielu lat nie zmienia garderoby. Co prawda, raz włożył nowy garnitur i powiedział:
 - A to dziwne, noszę go już nie pierwszy rok, a dopiero teraz zauważyłem, że jest w takie drobne paseczki...
 - To po czyszczeniu chemicznym tak się uwidoczniły - znalazłam wyjaśnienie.
 - A-a-a - mruknął Diegtiariow i uspokoił się.
- Kiesza stawia mu na półce w łazience wodę kolońską i piankę do golenia, ja kupuję wszelkie drobiazgi i w rezultacie teraz nie wiadomo, co mu kupić w prezencie.
 - Trzeba znaleźć coś oryginalnego - kręciła się po sklepie Mania - coś niezwykłego...
 - Może kufelek-niepijek? - zaproponował Grisza. - Tam stoi. Należy sobie pułkownik piwa, podniesie kufel do ust i się obleje.
 - A dlaczego? - zdziwiła się Maszka.
 - Bo tam naokoło, przy brzegu, są takie dziurki - wyjaśnił Grisza. - To ci dopiero śmieszna rzecz! Kupmy mu, co?
 - Ależ to mu nie jest do niczego potrzebne - ucięłam dyskusję. - Pułkownik i tak wiecznie upuszcza sobie jedzenie na brzuch!
 - Ale będzie wesoło! - Grisza dalej się upierał. - Uśmiejemy się po pachy! Ech, szkoda, że nie mam pieniędzy.
 - Właśnie odwrotnie, dobrze, że ich nie masz - zaproponowałam. - Zapomnijmy o kufelku i chodźmy szukać prezentu.
 - Mamuś, spójrz - krzyknęła Maniunia. - To jest super! Figurka milicjanta!
- Przeniosłam wzrok w stronę, którą wskazywała Maszka, i drgnęłam. Na ladzie stał sierżant drogówki wielkości naszego mopsa Hootchusia. Oczywiście, to nie był prawdziwy milicjant, tylko jego kopia, pomniejszona, wykonana z jakiegoś półprzezroczystego tworzywa.
 - A dlaczego z tyłka sterczy mu kabel? - zdziwił się Grisza.Zaciekawieni tym podeszliśmy bliżej. Ekspedientka, do tej pory nudząca się w rogu stoiska, za ładą, widząc potencjalnych klientów, ożywiła się i zaczęła ochoczo prezentować towar.
 - To bardzo oryginalna nocna lampka z ukrytym mechanizmem. Dziewczyna nacisnęła na but „sierżanta”, a wtedy jego głowa momentalnie zapłonęła żółtaworóżowym światłem.
 - Ależ to koszmar! - krzyknął Grisza z autentycznym przerażeniem. - Człowiek budzi się nocą, a na nocnej szafce menciarsz świeci, no i gotowy zawał! Chodźcie, lepiej kupimy kufel, przynajmniej będzie zabawa!
 - A mnie się podoba posterunkowy - uparła się Mania. -Diegtiariow

doceni nasze poczucie humoru!

- Ech, szkoda, że nie mam pieniędzy - wyrzekął Grisza.
 - A ja mam! - ucieszyła się Maszka. - Dlatego teraz kupię lampkę, lepszego prezentu dla pułkownika nie można wymyślić!
 - W żadnym wypadku! - Byłam przerażona. Sprzedawczyni, w obawie, że ewentualni nabywcy zaraz odejda, powiedziała szybko:
 - Tu jest ukryty mechanizm! Widzą państwo płaszcz milicjanta...
 - Nie musi pani nam nic wyjaśniać - zdenerwowałam się -nie mamy najmniejszego zamiaru kupować tego kiczu! Chodźmy stąd!
 - Ale mnie się podoba! - skomlała Mania, wlokąc się na piętro. - Taki fajny!
 - Kufelek jest bombowy - marudził Grisza. - Siądzie sobie pułkownik, żeby się napić piwka, a ono mu pocieknie na brzuch! Uśmieć się można! Przy akompaniamencie ich żalonych jęków zatrzymałam się przed butikiem firmy Adidas.
 - Mam pomysł, kupimy mu dres!
 - Po co? - jednym głosem zakrzyknęli Mania i złodziej.
 - Diegtiariow tyje, to niech zacznie uprawiać sport. Opłacę mu jeszcze na rok z góry abonament do klubu „Planeta Fitness”, są tam przyrządy, basen, sauna... Szybko straci zbędny tłuszcz.
 - Banał - skonstatowała Mania.
 - A do kompletu - kontynuowałam - kupię mu czapkę, o, tę, ciemnoniebieską, wełniane rękawiczki i szalik.
 - To już Kicia lepiej wymyśliła! - krzyknęła Maszka.
 - A co ona postanowiła dać pułkownikowi w prezencie? - zainteresowałam się.
 - Słuchawki do telewizora, bezprzewodowe, zakłada się je na uszy i chodzi po całym domu, słuchając ulubionego programu. Roześmiałam się. Olga jest bardzo sprytna. Wszystkich nas denerwuje, że Diegtiariow włącza telewizor na cały regulator w salonie, a słucha programu w jadalni. Kiedy, próbując przekrzyczeć jakiegoś Chucka Norrisa, proszę: „Przycisz trochę albo włącz panasonica w jadalni, dlaczego telewizor dudni w pustym pokoju?” - Diegtiariow natychmiast się obraża i odpowiada:
 - Przyszedłem tu tylko na chwileczkę, a film jest bardzo ciekawy, nie chcę stracić wątku. Ale jeśli ci przeszkadza, mogę w ogóle wyłączyć telewizor.
 - Cóż, dzięki słuchawkom w końcu zapanuje u nas cisza!
 - Co za banalny prezent - piłowała Maszka, obserwując, jak sprzedawcy pakują do ozdobnego pudełka bluzę, spodnie, czapkę, rękawiczki i szalik.
 - Ale za to bardzo przydatny - odcięłam się. Zeszliśmy na dół.
 - Jest tu gdzieś budka telefoniczna? - zapytał nagle Grisza szeptem. Zdziwiłam się.
 - Chcesz zadzwonić?
 - No, właściwie tak...
 - Masz tu komórkę, nie krępuj się, nie mam limitu rozmów, gadaj, ile chcesz.
- Kryminalista lekko poczerwieniał:
- Nie, mnie jest potrzebna budka.
 - A czemu komórka ci nie odpowiada?
 - Wolę z budki - powtarzał Grisza w kółko i nie chciał wziąć nokii do ręki.
 - Posłuchaj - postanowiłam mu wszystko wytłumaczyć -raz w miesiącu płacę firmie B-Line ustaloną kwotę i mogę rozmawiać bez ograniczeń. Rozumiesz? Przez twoją rozmowę mój rachunek się nie powiększy, możesz plotkować choćby do bólu, masz!
 - Nie, mnie jest potrzebna budka! Westchnęłam ciężko.
 - Grisza, no, co jest? - mruknęła Mania. - Chcesz się wysikać? Złodziej kiwnął głową.
 - O tam, pod schodami - powiedziała Mania, wskazując gestem toaletę.
 - Chodź, to cię zaprowadzę.
 - Ale dlaczego szukałeś budki telefonicznej? - zdumiałam się. -

Dlaczego po prostu nie zapytałeś o toaletę?

- Nie wypada - mruknął Grisza - wypytywać przy wszystkich o wychodek, dobrze wychowany człowiek zawsze pyta o budkę telefoniczną, a ludzie go rozumieją!

- Mnie też nie zaszkodzi „zatelefonować”. - Maszka roześmiała się, po czym razem z Griszą zeszli po schodkach.

Poszłam do samochodu, ale po drodze zatrzymałam się przy niewielkim kramie z najrozmaitszymi drobiazgami. Strasznie lubię oglądać różne portmonetki, breloczki, papierośnice, zapalniczki...

- Może interesuje panią etui na klucze? - zapytała sprzedawczyni. - Mamy akurat bardzo zabawne i oryginalne!

Nie przestając gadać, dziewczyna położyła na ladzie... miśka pandę.

Odruchowo wzięłam go do ręki. Dokładnie taki sam leżał w mojej torebce. Trzeba, żeby nie wiem co, odnaleźć właścicielkę kluczy, ale jak to zrobić, nie mając żadnych namiarów na „pieprzoną albinoskę”?

- Na plecach misia jest zamek błyskawiczny - sprzedawczyni wciąż próbowała mnie namówić na zakup pandy - to bardzo wygodne, w środku mieści się duży pęk kluczy.

Machinalnie kiwnęłam głową, choć moje myśli płynęły w zupełnie innym kierunku.

- Można go prać w pralce - ciągnęła dziewczyna - a tutaj, pod łapkami, ukryta jest tajna kieszonka.

Nastawiłam uszu.

- Gdzie?

- Widzi pani, misiek trzyma serduszko?

- Tak.

- Jeśli je troszeczkę odsunąć, to jest tam maleńki schowek na wizytówki albo...

Przestałam słuchać sprzedawczyni, wyjęłam z torebki pandę, natychmiast odgięłam czerwoną poduszczkę w kształcie serca, wsunęłam palec w rozcięcie i wyczułam pod palcem karteczkę. Po chwili patrzyłam na niewielki prostokąt z kaligraficznym napisem: „Kusikowi od Pusika z miłością”. To było wszystko. Pobiegłam do peugeota. No tak, „Kusikowi od Pusika z miłością”. Spróbujcie znaleźć w Moskwie ludzi, którzy w swoim intymnym języku tak się do siebie zwracają. Zobaczą, czy wam się to uda!

Rozdział 19

Do domu dotarłam w wyjątkowo fatalnym nastroju. Masza i Grisza najwyraźniej czegoś się domyślali, bo siedzieli w samochodzie cicho jak mopsy, kiedy nabroją.

W jadalni lśniła porcelana. Przy tak uroczystej okazji Irka wyjęła z kredensu odświętny serwis.

- Jedzie! - krzyknęła Mania, rzucając się do holu. Wszyscy wyskoczyliśmy za nią. Kilka minut później w przedpokoju zjawił się Żeńka, kolega po fachu i bliski przyjaciel pułkownika. Pół życia przepracowali razem, tylko że Żeńka nie jest ani śledczym, ani oficerem operacyjnym, lecz biegłym w dziedzinie medycyny sądowej, zresztą nie wiem dokładnie, jak to się nazywa.

- Dzień dobry! - Żeńka uśmiechnął się głupio.

Hol wypełniły opary alkoholu.

- Dobry wieczór - lekko się zacinając, powitał nas Diegtiariow i popchnął przyjaciela w stronę pokoju.

Zapach alkoholu nasilił się. Najwyraźniej obaj panowie na-świętowali się po uszy.

- Zdejmij b-b-buty - nakazał pułkownik.

- Zaraz - wymamrotał Żeńka i spróbował usiąść na pufie. Biegły stracił już jednak zdolność oceny odległości i z wielkim hukiem runął na podłogę.

- Pardon - czknął Diegtiariow - gdzie jesteście? Dobry wieczór, milicjo. Proszę okazać dokumenty!

- Ojej - zafrasowała się Irka, ścigaając głupio uśmiechającemu się Żeńce buty - trzeba się legitymować! W domu jesteście, w domu.

- Jasna sprawa, że w domu - przytaknął Aleksander Michaj-łowicz. -

Tylko u kogo? Hyk. U kogo?

- U Pietkinów - oznajmił Żeńka, próbując zsunąć nogi razem. - Dwa trupy i kradzież. Uprasza się usilnie o niezadeptywanie miejsca zdarzenia. Osoby postronne proszone są o opuszczenie pomieszczenia. Chwileczkę, a kto to zostawił ślady butów na dywanie - człowiek czy zwierzę?

Słyszając ostatnie zdanie, omal nie popłakałam się ze śmiechu, ale w tym momencie do holu wpadła Kicia i Żeńka poinformował się:

- Trupiarka przyjechała? Dziewczyno, przekazuję pod pani opiekę, włącznie z wiktem i opierunkiem, tego oto trupa, który doznał bezsprzecznie śmiertelnego urazu w miejscu swego zamieszkania, czyli na wysypisku!

- Ależ oni są pijani! - Kicia formalnie osłupiała.

- Nie denerwuj się - rzekłam z uśmiechem - nie co dzień otrzymuje się order. Jednego tylko nie rozumiem, jak w takim stanie dotarli do Łożkina?

- Trzeba ich zawlec na górę - oświadczyła Olga.

- Czyli prezenty będziemy wręczać jutro? - zapytała Maszka. Żeńka zwiesił rozczochraną głowę na pierś i zachrapał.

- D-d-dla kogo prezenty? - ożywił się Diegtariow.

- Dla ciebie - westchnęła Kicia.

- D-d-dawajcie.

- Lepiej jutro - pokręciłam głową - dostaniesz, jak się wyśpisz.

- To Żeńka jest pijany - zaskakująco trzeźwym głosem oznajmił pułkownik - ze mną jest wszystko w porządku.

Zaprowadziliśmy więc Diegtariowa do jadalni, gdzie niezwłocznie zaczął patroszyć pudełka, pokrzykując:

- Ale utrafiliście w mój gust! Dres! Czapeczka! Rękawiczki! Szalik!

Takiego ładnego jeszcze nie miałem! Widziałem podobny u Hot-doga!

- U kogo? - zdziwiłam się.

- Prowadziliśmy śledztwo w jego sprawie - wyartykułował z trudem pułkownik. - Iwan Rymzin, ksywa Hot dog, nawet mu trochę zazdrościłem dresu. A teraz mam taki sam. Idę przymierzyć! Och, i jeszcze słuchawki!

Pułkownik wyszedł, lekko się zataczając i przyciskając do piersi pudełka.

- Żeńka na oko jest chudy - powiedział Kiesza, wchodząc do jadalni - a nie można go podnieść, ledwo gościa zataszczyłem na górę. Jak rozumiem, teraz niczego już nie będziemy świętować?

- W każdym razie do kolacji usiadziemy bez nich - oświadczyłam smutno.

- No to chodźcie, oblejemy order zaocznie - zaproponowała Mania.

- E tam - burknęła Kicia - siadajmy do stołu. Usiedliśmy przy długim stole, nałożyliśmy jedzenie na talerze i zaczęliśmy spożywać kolację.

- Przysuńcie mi chleb - poprosił Kiesza.

- Masz ochotę na pomidorka? - zapytała Maszka Griszę.

- Do wędliny wolę musztardę - odparł kryminalista. Aż tu nagle z korytarza dobiegł nas dziarski śpiew.

- ...i na tym, i na tamtym świecie będę wspominał w snach...

- A to co? - zdziwiła się Maszka.

- Raczej kto. - Kiesza uśmiechnął się. - Diegtariow śpiewa, całkiem go rozebrało.

Tym razem nieoczekiwanie rozległ się pisk Irki:

- Oj, mamuńciu kochana!

Nie zdążyliśmy ruszyć jej z pomocą, jako że drzwi do pokoju szeroko się rozwarły, i przed naszymi oczami, z trzaskiem uderzając o futrynę, stanął Aleksander Michajłowicz.

- ...te upojne rosyjskie wieczory w błękitnych mgłach...

Jeśli opiszę, jak wyglądał nasz dzielny, odznaczony Aleksander Michajłowicz, kiedy stanął przed nami, za nic mi nie uwierzycie. Na głowie miał ciemnoniebieską czapeczkę firmową Adidasa, pośrodku wełnianego nakrycia głowy, nisko naciągniętego na czoło, błyszczą nowiutki order, uszy pułkownika zakrywały słuchawki, wokół szyi zamotany był szalik. Diegtariow podrygiwał w takt muzyki płynącej mu

wprost do uszu, przytupując dziarsko. Na prawej stopie miał ciepły kapeć, na lewej - gumowy kłapek, na dłoniach natomiast - wełniane rękawiczki. Więcej nic. Tak, tak, nie przesłyszeliście się. Czapeczka ozdobiona orderem, słuchawki, szalik, rękawiczki i obuwie nie od pary. Jeśli nie liczyć tych drobiazgów, Diegtiarior był zupełnie nagi.

- Gdzie moja kamera? - zapiszczała Mania. - Och, coś takiego trzeba sfilmować!

Zaczepiając po drodze o stół i przydeptując Hootchusia, wyskoczyła z jadalni. Kicia zachichotała i przewróciła salaterkę z sałatką. Kiesza złapał pled z kanapy i zarzucił go pułkownikowi na ramiona.

- Gorąco mi - zaprotestował Diegtiarior.

- Chodźmy do łóżeczka. - Kiesza usiłował wyprowadzić pułkownika z pokoju.

- Nie chcę - zaczął protestować Aleksander Michajłowicz -należcie mi koniaku.

- Na dziś masz dość! - ryknął Kiesza i zwracając się do Griszy, nakazał: - No, pomóż mi!

Razem niemal wynieśli Diegtiariora.

- Idźcie wolniej - słychać było głos Maszy na korytarzu - filmuję na pamiątkę.

Nazajutrz o dziesiątej rano zeszałam na śniadanie i ujrzałam w jadalni te same osoby, do których dołączył jeszcze rozczochrany Żeńka, łapczywie pijący wprost z butelki wodę mineralną.

- Spóźniliście się do pracy! - krzyknęłam.

- Dziś jest niedziela - nieśmiało odparł pułkownik. - Wczoraj my chyba tego...

- Głupstwo. - Machnęłam ręką. - Nie ma o czym mówić, nie co dzień człowiek dostaje order.

- Byłeś po prostu+++++++ cudowny, całkiem goły, tylko w czapce i rękawiczkach! - Kicia zachichotała.

Diegtiarior poczerwieniał.

- Kłamiesz!

- Ja? - oburzyła się Kicia. - Kłamię tylko w pracy, kiedy zwracam się z ekranu do widzów, w domu zawsze mówię najczystsza prawdę.

- I to w żywe oczy - ofuknął ją Aleksander Michajłowicz. -Za nic nie uwierzę.

- Nagraliśmy cię na wideo, zaraz przyniosę kasetę - zapewniła go Mania.

- Nie trzeba - szybko powiedział pułkownik. - Już dobrze, wierzę.

Ale Maruśka z tupotem biegła po schodach na górę. Wstałam, przesiadłam się na fotel i niezauważalnie wyciągnęłam z gniazdka w ścianie wtyczkę odtwarzacza wideo. Jak Mania puści film, biedny Diegtiarior jeszcze dostanie zawału.

Ale Maszka wróciła, trzymając w rękach lampkę nocną w kształcie milicjanta.

Westchnęłam. A więc wyprawa do toalety była tylko pretekstem, sprytna dziewczynka mimo wszystko kupiła menta.

- To dla ciebie. - Wetknęła lampkę w ręce Diegtiariora.

- No, no - pokręcił głową pułkownik i wetknął wtyczkę do gniazdka - świeci się! Bardzo ładnie, dziękuję, Maniuniu, już dawno o czymś takim marzyłem!

- Patrzcie, on kręci głową - wpadła w zachwyty Kicia. Złapała milicjanta za czapkę i... nagle jego płaszcz rozsunał się, ukazując coś bardzo nieprzyzwoitego. Omal nie krzyknęłam. A więc taki sekret miała wczoraj na myśli sprzedawczyni! Dobrze sobie!

Takiego rodzaju rzeczy powinno się sprzedawać w sex shopach, a nie w zwykłych sklepach, gdzie mogą je kupić naiwne dzieci. Muszę zaraz wybrać się do tego centrum handlowego i zrobić tam porządną awanturę!

- Sprytna sztuczka - mruknął Kiesza.

Grisza zaczął kasłać, Żeńka zakrztusił się herbatą, Kicia wytrzeszczyła oczy...

- A to co? - spytała zaskoczona Mania.

- Bardzo zabawna lampka - oznajmił radośnie pułkownik. -Jeśli

nacisnąć but, zapala się głowa, a kiedy się przekręci czapkę, posterunkowy podnosi pałkę.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nieprzyzwoity na pierwszy rzut oka przedmiot jest pomalowany w biało-czerwone pasy.

- Przecież on jest z drogówki - westchnął z ulgą Kiesza.

- A ty co myślałeś? - spytała rozbawiona Olga.

- No, wydawało mi się, że... z kryminalnej - nasz adwokat umiał się znaleźć - ale kiedy podniósł pałkę, stało się jasne, że z drogówki. Pułkownik z dziecięcą radością zaczął obracać lampkę w rękach, chyba to szkaradziejstwo przypadło mu jednak do gustu. Wyraziwszy wielki zachwyt, chwycił stojący obok jego nakrycia kubek, podniósł go do ust i krzyknął:

- Cholera!

Po piersi Aleksandra Michajłowicza spływała herbata.

- Ależ ze mnie niezgrabiasz! - sumitował się pułkownik. - Dobrze chociaż, że przynajmniej już ostygła.

Spróbował jeszcze raz napić się z kubeczka - z takim samym skutkiem.

- O co tu chodzi? - Aleksander Michajłowicz był naprawdę zdumiony.

Grisza zakasłał.

- Wszystkiego najlepszego! To prezencik ode mnie, kufelek--niepijek. Fajne, co?

Byłam wściekła, ale zmilczałam. Budki telefonicznej szukał! Kretyn!

- Jak to działa? - zapytał pułkownik z autentycznym zainteresowaniem.

Kryminalista zaczął wyjaśniać:

- Można pić, ale nie tak jak zwykle, tylko wsysać płyn przez otwór w uchwycie.

- Wiesz co, Żeńka - cieszył się Aleksander Michajłowicz - tego menta postawię sobie na biurku, a kubek trzeba podsunąć Kostii Matwijence, nalać tam piwa i poczęstować go.

- Kostia dostanie zawału, kiedy poczuje, że piwo z Ostankinska spływa mu po brodzie zamiast do gardła - podchwycił radośnie Żeńka pomysł pułkownika.

Godzinę później, kiedy wszyscy już opuścili jadalnię i rozeszli się po pokojach, poszłam do Griszy i powiedziałam surowo:

- Obiecałeś mi, że więcej nie będziesz kradł.

- Ale to przecież taka duperelka, warta parę kopiejek.

- Przysięgnij, że to był ostatni raz.

- Żebym tak skonał - z żarem krzyknął złodziej - albo zapadł się pod ziemię, więcej nie będę!

- Dobra. - Kiwnęłam głową i wróciłam do siebie.

Etui na klucze leżało na szafce nocnej koło łóżka. Znów wyjęłam karteczkę „Kusikowi od Pusika z miłością”. Mogę czytać choćby sto razy, i tak nic to nie da. I nie wiadomo, kim jest ten Pusik: mężczyzną czy kobietą... Odwróciłam prostokącik. Boże, ależ ze mnie kretynka! Dlaczego wczoraj nie spojrzałam na drugą stronę karteczki! Przede mną leżała wizytówka: „Agencja Nieruchomości In-com. Budowa willi i rezydencji, starszy menedżer Fiodor Puškow”. Znalazłam Pusika!

Rzuciłam się do telefonu i wybrałam jeden z numerów podanych na wizytówce, ten zaczynający się od cyfr 8-903.

- Tak, słucham - usłyszałam w słuchawce.

- Czy mogę rozmawiać z panem Puškowem?

- Przy telefonie.

- Interesuje mnie budowa willi! Ale to bardzo pilne! Pracuje pan w niedzielę?

- Klient nasz pan - ostrożnie odparł Fiodor. - Przepraszam, pani nazwisko?

- Dasza Wasiljewa.

- Trochę się pogubiłem - odparł Puškow, wzdychając. - Proszę mi przypomnieć, gdzie pani nabyła działkę?

- W Łożkinie!

- Gdzie? - zapytał raz jeszcze zdumiony. - Ale Incom nie buduje tam osiedla.

- A gdzie? - atakowałam dalej.
- No, na przykład, wzdłuż Drogi NowoRyskiej.
- Dobrze, może być tam, jadę do pana! Proszę mi podać adres.
- Już dyktuję - odparł Fiodor z westchnieniem. Korzystając z okazji, że domownicy spokojnie zajęli się swoimi sprawami, pobiegłam do garażu.

Fiodor był zupełnie młodym chłopaczkiem o soczystym basie.

- Pani naprawdę chce kupić działkę? - zapytał. Postanowiłam najpierw przychylnie go do siebie usposobić, więc zakrzyknęłam:

- Tak, hektar ziemi, w lesie!
- Proszę obejrzeć plan osiedla Sherwood - ożywił się menedżer. - Proponujemy...

Całe pół godziny zachwalał mi uroki wznoszonego właśnie osiedla; w końcu uznałam, że nadszedł odpowiedni moment, i wskazałam palcem na tabliczkę stojącą na jego biurku.

- Tu jest napisane: „Fiodor Puškow”, to pan? Chłopak skinął głową.

- Z pewnością w szkole mówili na pana Pusik. Fiodor zagryzł dolną wargę.

- Próbowali, ale szybko powstrzymały ich moje pięści, w dzieciństwie nienawidziłem swojego nazwiska, był czas, że chciałem nawet przybrać panięskie nazwisko mamy i nazywać się Ratnikow. Wkoło sami normalni ludzie: Iwanów, Sier-giejew, Nikitin, a ja - Puškow! Makabra!

No, nie trafiło mu się jeszcze najgorsze nazwisko. Studiowała ze mną Gala Grób, a kiedy otrzymała dyplom i trafiła do pracy w instytucie, to w tej samej katedrze zatrudniony był Wasilij Pudełczik; zresztą i wśród studentów trafiały się bardziej niż oryginalne nazwiska, na przykład Kirył Niepijwoda, a Oksana pracowała kiedyś przy stole operacyjnym z doktorem Konowałowem.

- W końcu się przyzwyczailem - powiedział Fiodor - i przestałem się złościć.

- Z pewnością ukochanej dziewczynie pozwala pan mówić do siebie „Pusik”?

Fiodor odsunął teczkę z dokumentami.

- Czegoś tu nie rozumiem...

Wyjęłam z kieszeni etui na klucze i wizytówkę.

- To pan napisał?
- Skąd pani to ma? - Puškow podskoczył na krześle.
- Nieważne. To pański zapisek?
- Kim pani jest?
- Majorem milicji - warknęłam. - Odpowiadaj szybko, kto napisał: „Kusikowi od Pusika z miłością”?

- Pani jest z kryminalnego? - Fiodor zaczął się jąkać. - Adom?

- Co mnie obchodzi dom! Komu napisałeś tę dedykację?

- A co ona zrobiła?

- Zabiła człowieka.

- O matko! - wystękał Puškow i zrobił się biały jak jego dokumenty, drukowane na wysokiej jakości papierze, wyprodukowanym w maleńkiej Finlandii. - Tak myślałem, że wciągnie mnie w jakieś bagno.

- Otóż to! - Uderzyłam dłonią w biurko. Fiodor jęknął przerażony i zrobił się żółty.

- Przestań udawać idiotę, opowiadaj szybko, co wiesz o Kusiku, inaczej natychmiast wzywam tutaj oddział milicji...

- Tak, tak, tak. - Puškow skinął głową i posiniał. - Wie pani, ja nie mam z tym absolutnie nic wspólnego.

Rok temu Fiodor jechał szosą. Niedaleko wjazdu do Moskwy, koło drogowskazu „Konakowo” stała dziewczyna i machała ręką. Puškow jest młody, niedawno skończył dwadzieścia dwa lata, ale nieźle mu się w życiu powiodło. Miał chłopak szczęście i dostał pracę w Agencji Nieruchomości Incom, trafił do wspaniałego zespołu ludzi, gdzie kierownictwo nigdy nie oszukuje klientów i ceni solidnych pracowników. Starał się ze wszystkich sił i już zdążył odłożyć sobie na srebrne żiguli dziesiątkę, którym teraz z wielką satysfakcją wozi dziewczyny. Jak wszyscy młodzi mężczyźni, Puškow jest beztrojski i

lekkomyślny, więc zahamował koło dziewczyny i aż go zamurowało. Z bliska okazała się jeszcze ładniejsza niż z daleka, prawdziwa modelka.

Oczywiście, Fiedia zawiózł ją pod wskazany adres. Po drodze rozmawiali. Piękność poinformowała go, że nazywa się Nastia, mieszka sama w Konakowie, w osiedlu willowym, uczy się w moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych, ma mercedesa, ale dziś nie chciał odpalić, więc musiała złapać stopa na drodze.

Zakochany od pierwszego wejrzenia Fiodor nie zwrócił szczególnej uwagi na drobne nieścisłości w opowiadaniu Nastii. Zbliżała się noc, na jakież to zajęcia śpieszyła się dziewczyna? Chociaż może uczyła się na studiach wieczorowych? Dlaczego osoba mieszkająca w elitarnym osiedlu, właścicielka mercedesa, nie wezwała taksówki, tylko sterczała w ulewnym deszczu na drodze?

Ale, powtórzę, tego dnia Fiedii nie nękały żadne wątpliwości co do prawdziwości słów Nastii. W jej uszach kołysały się piękne kolczyki, włosy pachniały francuskimi perfumami, na ramieniu wisiała skórzana torebka, a co najważniejsze, Nastienka była po prostu zachwycająca. Nawiązał się między nimi romans, ale po kilku tygodniach Puškov zaczął mieć pewne podejrzenia. Po pierwsze, Nastia nigdy nie korzystała ze swojego mercedesa.

- Jest w warsztacie - rzuciła mu na odczepnego. - Jakaś skomplikowana sprawa. Jeśli sobie nie poradzą, kupię brabusa albo lexusa.

Fiodor bardzo się zdziwił. Mercedes to porządny samochód, co się z nim mogło stać?

Następna wątpliwość pojawiła się, kiedy pojechali na daczę do jego przyjaciół. Żiguli dziesiątka ugrzęzło w błocie i Fiodor poprosił Nastię:

- Siądź za kierownicą, ja popchnę wózek, a ty dodaj gazu. Dziewczyna kiwnęła głową. Puškov pchnął samochód, ale samochód nagle drgnął i zgasł.

- Nastiu! - krzyknął Fiodor. - Dlaczego nie wcisnęłaś gazu? Zmień bieg.

Ale za drugim razem też nic nie wyszło. Fiedia zajrzał do wnętrza wozu i zobaczył, że jego przyjaciółka szarpie dźwignię biegów, nie naciskając nogą na pedał gazu.

- Nie umiesz prowadzić samochodu! - olśniło go.

- A dlaczego miałabym umieć? - zdziwiła się ukochana.

- Ale przecież jeździsz mercedesem?

- No i co z tego?

- Więc w jaki sposób to robisz?

Nastia pobłażliwie spojrzała na swego kawalera.

- Mam kierownicę.

Fiodor ugryzł się w język, ale lekkie niedowierzanie pozostało.

Z czasem zaczęło mu się nie podobać, że Nastia domaga się prezentów i nigdy nie zaprasza go do domu. Parę razy podwoził ją do drogowskazu „Konakowo”, a dalej dziewczyna zawsze szła pieszo.

- Mój tata - wyjaśniała Fiedii - jest generałem Federalnej Służby Bezpieczeństwa, zabije mnie, jeśli ochroniarze zauważą obcy samochód i doniosą mu, że byłam z mężczyzną, lepiej wysadź mnie tutaj.

Potem zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Pewnego dnia Puškov pojechał z klientem oglądać obiekt, zabawił tam dłużej niż zwykle, więc kiedy pojał, że nie zdąży na spotkanie z Nastią, zaczął do niej wydzwaniać. Dziewczyna miała komórkę, no i proszę, jeszcze jedna intrygująca sprawa - numer zaczynał się od ósemki. Czyżby generała FSB, który postawił sobie dom w podmiejskim osiedlu willowym, nie było stać na bezpośredni numer dla córki?

- Abonent czasowo niedostępny - oznajmił miły głosik.

Fiodor pojechał wobec tego do Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Nastia wiele razy opowiadała swemu chłopakowi, że wykłady zaczynają się o ósmej wieczorem.

- Mamy mało sal wykładowych - wyjaśniała - i młodsze lata mają

zajęcia wieczorem.

Puśkow czasem zawoził przyjaciółkę na zajęcia, ale nigdy jej nie zabierał z uczelni.

- Tylko pamiętaj, niech ci czasem nie wpadnie do głowy przyjeżdżać do instytutu po zajęciach - uprzedziła go Nastia. - Ojciec sam mnie odwozi do Konakowa. Nie daj Boże, jeszcze cię zobaczy, to zabije! Ale tego dnia Fiedia czuł się winny wobec Nastienki, która czekała na niego w taki ziab, więc przyjechał na uczelnię. Tu jednak czekała niemiła niespodzianka: żadnych wieczornych zajęć dla studentów studiów dziennych nie było, ich seminaria kończyły się około trzeciej po południu.

Rozdział 20

Nazajutrz zjawił się w Instytucie Stosunków Międzynarodowych, gdzie poinformowano go, że Nastia Kusakina nie figuruje na liście studentów. Fiodor postanowił jednak chwilowo nie informować kochanki o nieprzyjemnym odkryciu, udawał więc, że nic się nie stało, ale coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Nastia nie jest osobą, za którą się podaje. Może nawet ma inaczej na imię, wiek też nie musi się zgadzać, a w istnienie tatusia generała Puśkow już od dawna nie wierzył. Trzeba było tylko sprawdzić, po co Nastia trzy razy w tygodniu o ósmej wieczorem przyjeżdża do Instytutu Stosunków Międzynarodowych.

W środę Fiodor, jak zwykle, wysadził dziewczynę przed wejściem na uczelnię. Ta wesoło pomachała mu ręką i zniknęła w środku. Ale Puśkow nie odjechał, tylko ruszył za kochanką. Ona, czując się zupełnie bezpiecznie, najpierw wstąpiła do toalety, następnie wyslizgnęła się na ulicę, skręciła za róg, podeszła do niewielkiej staromoskiewskiej willi i nacisnęła dzwonek. Drzwi lekko się uchyliły i Nastia wślizgnęła się do środka. Fiodor podszedł bliżej i przeczytał na szyldzie: „Laboratorium Instytutu Badania i Atestowania Leków Aptek--Farm”.

Puśkow zawahał się, ale po chwili nacisnął dzwonek. Drzwi się otwarły, Fiodor wszedł i natknął się na ochroniarza.

- Czego tu chcesz? - leniwie zasięgnął informacji funkcjonariusz ochrony.

Fiodor lekko się speszył i mruknął cicho:

- Weszła tutaj dziewczyna, blondynka, taka ładna. Chłopak w czarnym uniformie z naszywką „Berkut” na piersi, trochę starszy od Puśkova, uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Spodobała ci się, tak? Fiodor kiwnął głową.

- Piękna.

- Zapomnij o niej. - Ochroniarz machnął ręką. - Nie jest dla ciebie.

- Dlaczego? - ostrożnie zapytał Puśkow.

- Tu już wielu próbowało ją poderwać - ochoczo wyjaśniał ochroniarz - ale ona na nikogo nawet nie spojrzy, zakochana jest w profesorze.

- W jakim profesorze? - Fiodor postanowił dowiedzieć się wszystkiego do końca.

- Spadaj stąd - nachmurzył się rozmówca. - To obiekt chroniony.

- Powiedz mi przynajmniej, jak ona się nazywa! - zaczął go błagać Puśkow.

- Anastasja Kusakina - zlitował się nad nim ochroniarz.

- A czym tu się zajmuje?

- Oj chyba przesadzasz! Może podać ci jeszcze jej adres domowy? Jest laborantką, myszami się zajmuje.

- Jakimi myszami? - szczerze się zdziwił Fiodor.

W tej chwili cierpliwość ochroniarza się wyczerpała, więc parsknął: „Białymi”, i wystawił ciekawskiego chłopaka za drzwi.

Fiodor omal nie zaczął się jękać ze złości. Okazuje się, że studentka elitarnego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, córka generała FSB, w rzeczy samej czyści klatki gryzoni. Chłopakowi nagle dosłownie otwarły się oczy. Natychmiast przypomniał sobie, jak Nastia ciągała go po sklepach i żądała, by kupił jej to sweter, to spodnie, to buty.

Fiodor pracuje w dziale budowy willi i rezydencji, rozumiecie więc sami, że jego klienci nie należą do biednych, a zatem po kilku latach pracy Puškow znał się na markowych ciuchach. Nastia ogromnie mu się podobała i swego czasu bardzo się cieszył, że stać go na to, by kupić swojej dziewczynie bluzeczkę, która jej wpadła w oko. Uważał nawet Nastię za skromną, ponieważ nie wybierała ekskluzywnych butików, wolała zaglądać do popularnego Benettona, MEXX czy Mango. Uznał też, że jest dziewczyna wrażliwa i taktowna. Proszę, wychowana i mieszkająca w luksusie, a myśli o tym, że chłopakowi może zabraknąć pieniędzy na prezent dla niej, więc prowadzi go do sklepów z raczej przystępnymi cenami.

Ale teraz opinia Puškowa diametralnie się zmieniała. Dla laborantki z pensją koło tysiąca rubli MEXX to bardzo drogi sklep. Kipiąc z oburzenia, Fiodor zaczął się koło laboratorium. O dziewiątej rano Nastia wyszła z budynku i ruszyła ulicą. Puškow zostawił samochód i poszedł jej śladem. Myślał, że kochanka wsiądzie do metra, ale kłamczucha pokręciła się po uliczkach, po czym zniknęła w bloku mieszkalnym.

W Puškowie obudził się detektyw. Powąłęsał się chwilę po podwórku i niedługo znał już całą prawdę o Nastii, jego informatorką okazała się gadatliwa staruszka windziarka.

Żadnego taty generała nigdy nie było, zresztą Nastia w ogóle nie miała ojca. Matka pracowała jako sprzątaczką w domach bogatych ludzi, córka nie dostała się na studia, więc również podjęła pracę sprzątaczką w instytucie naukowo-badawczym, i chociaż nazywało się, że zatrudniona jest na stanowisku laborantki, zakres jej obowiązków się od tego nie zmienił.

- A ty, chłopcze, lepiej o niej zapomnij - troskliwie doradziła mu windziarka. - To niedobra dziewczucha. One się tu z matką sprowadziły, kiedy Nastia ledwo skończyła dziesięć lat, ale już wtedy była zepsuta. Przyjaźniła się z Sonią spod piętnastki, dopóki jej ojciec był dyrektorem szkoły, a kiedy Iwan Nikołajewicz zmarł, przestała się z nią nawet witać. Mała, a już zły człowiek. Taka też i wyrosła, teraz poluje na bogatych facetów, masz pojęcie, jakie tutaj samochody podjeżdżają! Ty przyszedłeś pieszo, więc na ciebie nawet nie spojrzę. Lepiej daj sobie z nią spokój, i to jak najprędzej.

Puškow nie wytrzymał i podczas następnego spotkania wszystko Nastii powiedział. Myślał, że dziewczyna się zawstydzi, zaczerwieni, ale w pięknych niebieskich oczach nie przemknął nawet cień zmieszania.

- Ojciec generał istnieje - wyjaśniła Nastia - rozwiódł się z mamą, jeździ do niego do Konakowa, studiuje w instytucie, tylko pod innym nazwiskiem, chodzi o bezpieczeństwo, tata przy tym się upierał.

- A po co w takim razie pracujesz w laboratorium? - oburzył się Fiodor.

- Ja tam nie pracuję.

- Sam widziałem!

- Zatrudniła się tam moja przyjaciółka, teraz zachorowała, więc chwilowo ją zastępuje.

- Ale ochroniarz powiedział, że laborantka nazywa się Nastia Kusakina.

- Zgadza się! Ania występuje tam pod moim nazwiskiem.

- Dlaczego?

- Jej ojciec jest członkiem rządu, więc Anka nie może podać swoich prawdziwych danych!

Fiodor chciał kontynuować rozmowę, zapytać, dlaczego córka członka rządu czyści klatki cuchnących gryzoni, ale w końcu dał sobie spokój. Najwyraźniej na wszystkie jego pytania Nastia miała natychmiastową odpowiedź.

- A więc skoro mieszkam w obskurnej kamienicy i zarabiam nędzne grosze, to ci się już nie podobam? - ruszyła do ataku.

- Nie - zaprzeczył Fiedia - możesz spać choćby w rowie, ale problemem jest kłamstwo. Po co mnie oszukiwałaś?

- Ja nigdy nie kłamię - spokojnie odpowiedziała Nastia.

Jej beczelność sprawiła, że Puškow stracił cierpliwość. Jeszcze

kilka razy spotkał się z Nastią, ale w końcu zrozumiał, że dziewczyna zdecydowanie przestała mu się podobać, nawet już nie wydawała się taka piękna. Była po prostu patologiczną kłamczuchą, przez cały czas ich znajomości nie powiedziała ani słowa prawdy. Jeśli na przykład mówiła: „Ach, jakie piękne słoneczko świeci”, to chciało się natychmiast wyrzucić przez okno, ponieważ było całkiem możliwe, że za oknem leje deszcz. Puškow zdawał sobie sprawę, że trzeba zakończyć tę znajomość, ale nie chcąc brutalnego zerwania, zwlekał, aż po miesiącu Nastia sama mu powiedziała:

- Odczep się ode mnie, znudziłeś mi się.

Fiodor odetchnął z ulgą i przestał się kontaktować ze ślicznotką, zresztą ona też już więcej do niego nie zadzwoniła.

- Nastia przypomina jabłuszko - wzdychał teraz Puškow - zdarza się, że człowiek kupi takie czerwone, błyszczące, po prostu cud natury, a jak odgryzie parę kęsów... Boże kochany, w środku sama zgnilizna! Proszę mi wierzyć, już od dawna się z nią nie spotykam, będzie z pół roku, nic o niej nie wiem...

- Adres Kusakinej masz? - przerwałam mu, wpychając etui na klucze do torebki.

- Oczywiście!

- Podaj go.

- Zaraz - usłużnie zgodził się Puškow i poszedł po notes - zaraz wszystko podam, ulicę, numer domu i telefon.

Zebrałam konieczne informacje i wybiegłam na ulicę. Nie mogąc opanować podniecenia, złapałam za telefon.

- Nie ma takiego numeru - poinformował mnie mechaniczny głos. Czyli albo łajdaczka zgubiła komórkę, albo zaopatrzyła się w nową kartę SIM. Zresztą to nawet lepiej. Zadzwoniłam, ulegając pierwszemu porywowi, a to był absolutnie niesłuszny krok. Należało najpierw pojechać do jej miejsca zamieszkania i tam przeprowadzić śledztwo. Kamienica Nasti stała w głębi cichej moskiewskiej ulicy. Byłam niedawno w tych okolicach, w sąsiednim zaułku mieszkała Asia. Dom został zbudowany zapewne w połowie ubiegłego wieku i już od dawna wymagał remontu. Fasadę pokrywał obłupany tynk, drzwi do klatek schodowych wisiały na przerdzewiałych zawiasach. Ciekawe, jaką to staruszkę windziarkę miał na myśli Puškow, kiedy opowiadał, jak zbierał informacje o Nasti? Nie było tu chyba nawet dozorczyń, brudniejszych schodów dawno nie widziałam. Stałam przy wejściu do klatki schodowej. Wokół nie było nikogo, listopadowa aura zagnała wszystkich ludzi do domów. Większość mieszkańców woli spędzać niedzielę przed telewizorem niż na ławeczkach. Gdyby teraz był lipiec, kłębiłoby się tu pełno dzieci i staruszek, a mężczyźni graliby w domino przy wkopanym w ziemię drewnianym stoliku. Chwilę się wahałam, w końcu jednak weszłam do klatki i wdrapałam na trzecie piętro. W budynku była winda, staroświecka kabina, przypominająca stojącą na sztorc trumnę, jeździła wewnątrz szybu, odgradzonego drucianą siatką. Ale po prostu bałam się skorzystać z tego rozklekotanego urządzenia.

Przed mieszkaniem numer czterdzieści osiem leżała prawie łyśa wycieraczka, która kiedyś była fragmentem jasnobieżowego dywanu. Dreptałam chwilę pod odrapanymi drzwiami, w końcu jednak zdobyłam się na odwagę i dotknęłam palcem dzwonnka. Dobra, zorientuję się na miejscu.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła kobieta mniej więcej w moim wieku, ubrana w wyświechtany dres. Włosy, miejscami już siwe, sterczały na wszystkie strony, najprawdopodobniej przed chwilą słodko spała.

- Czego się tak awanturujesz? - spytała z niezadowoleniem. Miała dziwne oczy, źrenice rozbiegane w różne strony, dosłownie jak u myszy, gdy zobaczy głodnego kota.

- Proszę mi powiedzieć... - zaczęłam, ale w tej samej chwili do moich nozdrzy wtargnął ostry zapach alkoholu, więc stało się jasne, że właścicielka mieszkania nie jest zezowata, tylko pijana.

- Dzisiaj mam wolne - kołysała się na miękkich nogach - odpoczywam, a

ty tu po kiego się szlajasz? Gadaj szybko, czego chcesz?

- Pani Kusakina?

Babsko zaśmiało się obrzydliwie.

- A jeszcze czego! Kusakina! Nazywam się Sobakina.

Z trudem powstrzymałam się od śmiechu. Coś podobnego, pomyliłam drzwi zamiast do Kusakinów, trafiłam do Sobakinów, to pewnie obok mieszkają jeszcze Drapkinowie i Koszkinowie.

- No, to tam - wyjaśniła pijaczka.

- Gdzie? - nie zrozumiałam. - Mieszkania czterdzieści dziewięć?

- Nie - babina czknęła - u nas, pokój koło kibla, za balkonem, włącz, tędy.

Po czym odwróciła się do mnie plecami i ruszyła długim ciemnym korytarzem, klapiąc kapciami o boscie pięty. Weszłam do mieszkania, usiłując zamknąć za sobą drzwi. Coś było nie tak, widziałam siedem czy osiem zamków, ale ani jeden nie chciał się zatrzasnąć. Poniósłszy druzgoczącą porażkę, po prostu przytknęłam drzwi i poszłam szukać pokoju koło toalety.

Korytarz wił się i giał pod niewiarygodnymi kątami; wydawało się, że mieszkanie nie ma końca. Nagle ściany się rozstąpiły i z prawej strony pojawiła się przeszklona przestrzeń. To mnie kompletnie zaskoczyło. Pierwszy raz spotkałam się z tym, żeby wyjście na balkon było nie z pokoju, tylko z korytarza.

Ubikację zauważyłam od razu, więc skręciłam na lewo, przeszłam jeszcze ze dwa metry i wlepiłam wzrok w drzwi. Na pukanie nikt nie zareagował. Pociągnęłam więc za ogromną klamkę, która najwyraźniej została tu jeszcze po pierwszych lokatorach. Przed oczami miałam duży, przegrodzony szafami pokój. Z pewnością mieszkańcy postanowili wygospodarować sobie w ten sposób sypialnię. Meble były stare, żeby nie powiedzieć przedpotopowe. Stareńka kanapa, przykryta narzutą, dwa krzesła i bułgarska ścianka meblowa; kiedyś podobne były prawie w każdym mieszkaniu. W środku stał telewizor, którego ekran zasłaniała serwetka.

- Jest tu kto? - krzyknęłam.

Za szafą rozległo się skrzywienie, a potem trochę zachrypiły głos zapytał:

- Kto przyszedł? -Ja.

W odgradzonej wnęce znów dał się słyszeć trzask, potem szuranie. Najwyraźniej właścicielka pokoju wstała z łóżka i zbliżyła się do drzwi.

- Ile razy już mówiłam - rozkaszała się - nie przyłaż tu więcej, nic ci nie pożyczę, i tak wszystko przepijesz! Wiesz, Gala...

Przerwała w pół zdania i stając przede mną, wykrzyknęła:

- Pani? O co chodzi? Kto panią przysłał?

Musiałam opanować zdumienie. Przede mną stała Inga Fiodorowna, gospodyni Maliki Jusupowny. Tylko tym razem zamiast eleganckiego ubrania miała na sobie sprany szlafrok, a po starannej fryzurze nie było nawet śladu.

Ja pierwsza przyszedłam do siebie i zapytałam surowo:

- Pani się nazywa Kusakina?

- Tak - kiwnęła głową zdziwiona Inga Fiodorowna - a o co chodzi? Jak mnie pani znalazła? Skąd pani wzięła mój adres?

- Kim jest dla pani Nastia Kusakina? Kobieta westchnęła głęboko.

- Córką.

- Zastałam ją w domu?

Inga Fiodorowna podniosła na mnie wzrok.

- Nie.

- Kiedy wróci? Gospodyni cofnęła się.

- A co się stało? - spytała.

Widząc jej zakłopotanie, nawet lekki strach, bezceremonialnie weszłam do pokoju, odsunęłam od stołu jedno z kulawych krzesel, usiadłam i oświadczyłam beczelnie:

- Ja tu zadaję pytania.

- A kim pani jest? - Inga Fiodorowna wciąż się przede mną cofała.

- Major milicji Daria Wasiljewa. Proszę powiedzieć, czy te klucze

należą do pani córki?

Inga Fiodorowna nieśmiało wyciągnęła rękę do miśka, następnie wzięła go i wlepiła weń wzrok. Na jej twarzy pojawił się wyraz najprawdziwszego przerażenia.

- Skąd pani to ma? - zapytała drżącym głosem.

- Ten misiek jest własnością Nasti! - krzyknęłam.

- Córka zgubiła go już dawno, jeszcze latem - bełkotała kobieta. - Okropnie ją skrzyczałam, pomyślałam zresztą, że znów mnie okłamała... Z oczu Ingi Fiodorowny trysnęły strumieniem łzy. Zakrywając twarz rękami, podeszła do kanapy i runęła na nią. Zobaczyłam na stole butelkę wody mineralnej, nalałam trochę do stojącej obok filiżanki i podałam płaczącej gospodyni.

- Proszę to wypić i uspokoić się.

- Dziękuję - wyszeptała Inga Fiodorowna, biorąc drżącą ręką kubek - dziękuję, dziękuję.

Mamrocząc bez ustanku słowa wdzięczności, wypila zawartość filiżanki i upuściła ją. Naczynie brzęknęło delikatnie i rozpadło się na dwie równe części, zupełnie jakby ktoś je przepiłował na zamówienie.

Inga Fiodorowna podniosła do twarzy zaciśnięte pięści i znów zapłakała, a raczej zaskomlała, jak zбитy pies. Serce mi się ścisnęło.

- Proszę pani, nie wolno tak się przejmować z powodu błahostki, filiżanka była całkiem zwyczajna, bez problemu kupi pani podobną. Kobieta chlipnęła i zamilkła. Postanowiłam kuć żelazo, póki gorące. Zapytałam surowo:

- Jak często pani córka bierze bez pozwolenia mercedesa Maliki Jusupowny?

Inga Fiodorowna poczerwieniała, potem zbladła, wreszcie znów nabrała koloru przejrzalego pomidora.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi. Jakiego mercedesa?

- Model kabriolet, czerwony. - Uśmiechnęłam się. - Malika Jusupowna zapomina o wszystkim, kiedy stanie przy sztalugach, końmi jej człówek od nich nie odciągnie. Nastia świetnie o tym wie, z pewnością opowiada pani córce o swojej pracodawczyni. No więc pani córunia sprytnie to sobie wykombinowała: Malika Jusupowna bierze się do pracy, a dziewczyna z kochankiem - myk do samochodu. Myślę, że pani jej pomagała, dała komplet zapasowych kluczyków z brelokiem do alarmu. Malika Jusupowna na pewno bardzo się ucieszy na wieść, że mercedes bez jej zgody jeździ po ulicach!

Inga Fiodorowna westchnęła ciężko.

- Tak, rozumiem. Tyle że żadnych kluczy jej nie dawałam, sama je sobie wzięła... Ma pani dzieci?

- Tak.

- Ile?

- Dwoje.

- Ja też mam dwoje - wyznała z goryczą Inga Fiodorowna - dwie dziewczynki: Ksenię i Nastię. Starsza jest w porządku, skończyła studia, wyszła za męża, mieszka teraz w Petersburgu, nigdy żadnych problemów nie miałam z nią. A Nastasja...

Inga Fiodorowna zamilkła, po czym ze smutkiem dokończyła:

- Nie daj Boże nikomu tego, co ja z nią przeżyłam. Do czego ta dziewczyna doprowadziła! Śmierci jej życzyłam, a kiedy zginęła, to nie mogłam sobie miejsca znaleźć, czułam się jak morderczyni... I znów się rozplakała.

- W jaki sposób zginęła Nastia? - zerwałam się na równe nogi.

- Samochód ją potracił - wyszeptała Inga Fiodorowna, skubiąc frędzle pledu leżącego na kanapie.

- Jak dawno? Kiedy to się stało?

Moja rozmówczyni podniosła zapuchnięte, czerwone powieki.

- Powiadomiono mnie o tym dwudziestego pierwszego lipca, ale wypadek miał miejsce dwudziestego, Nastia całą noc przeleżała w rowie, na poboczu. Ktoś ją potracił, wrzucił tam ciało i odjechał.

Znów opadłam na krzesło. Dokładnie to samo spotkało Asie, dziewczynę, która koło stacji metra napoiła Likę coca-cola.

- Nie wie pani, z kim ona jeździła tym mercedesem? Kto siedział za kierownicą?

Inga Fiodorowna pokręciła głową.

- Nie.

- Trudno uwierzyć - wyrwało mi się - córka zabawia się nie wiadomo z kim, a pani nawet nie interesuje się jej znajomymi. To naprawdę dziwne. Mieszka u mnie teraz jedna dziewczynka, Lena, a kiedy zniknęła, nie mogliśmy sobie miejsca znaleźć, dopóki nie wróciła do Łożkina. Dziecko przestraszyło się dentysty i uciekło z przychodni. Nie było Leny kilka godzin, i wszyscy się zamartwiali, a tu rodzona córka...

Inga Fiodorowna wytarła twarz.

- Łatwo pani mnie oskarżać! W porządku, zaraz opowiem, jak to wszystko wyglądało, wtedy może pani zrozumie, dlaczego w ostatnich czasach chciałam, żeby Bóg zabrał ją do siebie.

Rozdział 21

Ojciec Ingi Fiodorowny był bardzo dobrze sytuowanym człowiekiem, wybitnym naukowcem, ale, niestety, zmarł, kiedy córka była jeszcze całkiem młodą dziewczyną. Od tej chwili życie Ingi było ciągłym schodzeniem w dół po drabinie społecznej.

Studiów nie ukończyła, mieszkanie ojca zamieniła na mniejsze. Co prawda, w końcu szczęście na krótko uśmiechnęło się do niej: wyszła za mąż, urodziła dwie córki, ale wkrótce mąż ciężko zachorował i umarł, więc trzeba było się przeprowadzić do mieszkania komunalnego i samotnie wychowywać dzieci, chwytając się każdej możliwości zarobkowania: myć klatki schodowe, biegać po cudzych mieszkaniach ze ścierką, wyprowadzać psy na spacer. Wszystkie zarobione kopiejki wydawała Inga na ubóstwiane córeczki: Ksiuszę i Nastię. Między dziewczynkami była różnica tylko trzech lat, ale rosły tak do siebie niepodobne, że czasem do głowy Ingi Fiodorowny zakradała się idiotyczna myśl, że może Nastia została podmieniona w klinice położniczej? Przecież kulturalna, uczciwa kobieta, która nigdy nie poślazczyła się na cudzą kopiejkę, nie mogła urodzić takiej córki. Od najmłodszych lat Nastia tkła misterną sieć kłamstw, bez śladu zawstydzenia czy choćby rumieńca. Inga Fiodorowna tylko kręciła głową: ależ dziecko ma fantazję. W dziesiątej klasie załatwiła córce korepetycje. Indziej Fiodorownie bardzo zależało na tym, żeby dziewczynki nie powtórzyły jej losu, dlatego ze wszystkich sił starała się zapewnić im wykształcenie. Ksiusza po roku nauki u prywatnych nauczycieli bez trudu dostała się na studia. Inga Fiodorowna westchnęła z ulgą, odłożyła trochę pieniędzy i zafundowała takie same lekcje Nastii, która również regularnie na nie chodziła. Inga Fiodorowna odmawiała sobie wszystkiego: jedzenia, ubrania, nawet lekarstw.

„To nic - myślała - Ksiusza niedługo zrobi dyplom. Daj Boże, i Nastieńka będzie dobrze ustawiona”.

Ale Nastia oblała już pierwszy egzamin wstępny. Dziewczę zresztą zupełnie się tym nie przejęło, za to Inga Fiodorowna rozplakała się, w końcu tyle pieniędzy wyrzuconych w błoto! Godzina lekcji kosztuje dziesięć dolarów, Nastia miała zajęcia siedem razy w tygodniu, więc łatwo policzyć, jaką sumę dawało to miesięcznie! Nie tak łatwo tyle zarobić, myjąc podłogi i toalety!

Inga Fiodorowna przepłakała całą noc, zdenerwowała się i pojechała do głównego korepetytora Nastii. Ledwo otworzył drzwi, jak rozjuszona kobieta rzuciła się do niego z pretensjami:

- Oszukał mnie pan! Poleciał pan nauczycieli, naobiecował, że jeśli córka będzie regularnie przychodzić na zajęcia, bez problemów dostanie się na studia, i co? A ja nigdy nawet o jeden dzień nie spóźniłam się z zapłatą!

Nauczyciel spokojnie wysłuchał chaotycznej, nerwowej przemowy i wyraził zdumienie:

- Nastia Kusakina? Przychodziła do mnie na korepetycje?

- A co, może nie?! - Inga Fiodorowna straciła już resztki

opanowania. - Przychodziła, i to regularnie.

- Kusakina, Kusakina, Kusakina - powtarzał oszołomiony profesor. Następnie wyciągnął gruby notatnik, przekartkował go i wykrzyknął:

- Rzeczywiście! Anastasja Kusakina! Z polecenia Wasilija Fiodorowicza, ale dziewczynka ani razu się nie zjawiała. Dzwoniła jej matka i powiedziała, że rezygnuje z lekcji, bo podobno znalazła innego korepetytora!

Inga Fiodorowna omal nie padła trupem. Wprost od nauczyciela pojechała do „angielki”, gdzie też odbyła podobną rozmowę. Wyglądało na to, że Nastia w ogóle nie chodziła na korepetycje, choć matce mówiła: „Jadę na korki”, brała kopertę z pieniędzmi i znikwała nie wiadomo gdzie.

Inga Fiodorowna rzuciła się na córkę niemal z pięściami, ale Nastia podniosła na nią absolutnie spokojne niebieskie oczy i powiedziała:

- Mamusiu, jesteś bardzo naiwna. Ci korepetytorzy to prawdziwa mafia, oszuści i kanciarze. Gwarantowali, że dostanę się na studia, wzięli pieniądze za lekcje, ale nic nie zrobili, a teraz mówią, że do nich nie chodziłam. Myślisz, że byłabym zdolna aż tak cię oszukać?

Inga Fiodorowna zawahała się. Córka tłumaczyła rzecz bardzo przekonująco. A co najważniejsze, dziewczyna wcale się nie speszyła, nie przestraszyła, że została przyłapana na kłamstwie, nie rozpłakała się... A jeśli Nastia mówi prawdę? Inga Fiodorowna uwierzyła jej, bo bardzo chciała uwierzyć.

Następnego roku wysłała Nastię na kursy przygotowawcze przy uniwersytecie, płacać nie miała sumę za zajęcia. Córka posłuszenie uczęszczała na wykłady. Ale po Nowym Roku Inga Fiodorowna otrzymała telefonicznie wiadomość z dziekanatu:

- Anastasja Kusakina została skreślona z listy uczestników kursu za opuszczanie zajęć. Pieniądzy nie zwracamy.

Inga Fiodorowna zażądała od córki wyjaśnień. Ale ta tylko wzruszyła ramionami:

- Wiesz, mamusiu, zwykły człowiek nie dostanie się na uczelnię, trzeba płacić ogromne łapówki! Na kursach też siedzą sami kombinatorzy. Najpierw nabierali kupę ludzi i utworzyli duże grupy, a potem zaczęli obwąchiwać wszystkich rodziców. Zostawili tylko dzieci tych z grubszymi portfelami, a biednych, takich jak ja - wyrzucili.

- Ale powiedzieli mi, że opuszczając zajęcia! - przypomniała Inga Fiodorowna.

- No właśnie - kiwnęła głową Nastia - uczepili się bzdury! Opuściłam tylko dwa tygodnie, pamiętasz? Miałam grypę.

Inga Fiodorowna pamiętała. Rzeczywiście, córka chorowała... I znów matka uwierzyła słowom kłamczuchy. Z jednej strony Inga Fiodorowna była skrajnie naiwna, z drugiej, nie chciała dopuścić myśli, że córka zdolna jest do takiej podłości.

Anastasja została w domu, było już jasne, że nie zdobędzie wyższego wykształcenia. Dziewczyna wysypiała się do pierwszej, dużo czasu spędzała w łazience przed lustrem, a potem mówiła:

- Idę na rozmowę kwalifikacyjną. - I znikwała.

Kiedy wracała wieczorem do domu, matka zwykle pytała:

- No i co, dostałaś pracę?

- Nie - wzdychała Nastia - wiek im nie odpowiadał. Albo:

- Tam szukają ludzi z wyższym wykształceniem.

Przyczyny kolejnych niepowodzeń się nie zmieniały, pracodawcy najczęściej chcieli widzieć w swoich biurach osoby po trzydziestce z dyplomem wyższej uczelni w kieszeni.

- Chyba nie będzie innego wyjścia i zacznę myć podłogi - wycedziła kiedyś Nastia.

Inga Fiodorowna przeraziła się: jej córeczka ma biegać z wiadrem i brudną ścierką? Nigdy w życiu.

- Na razie siedź w domu - doradziła córce - jesienią pójdziesz na kurs, wybieraj, co cię bardziej interesuje: czy wolisz być fryzjerką, krawcową, manikiurzystką czy ekspedientką.

- Co każesz, to wybiorę - odparła pokornie Anastasja - ale nadal

będę szukała pracy.

Inga Fiodorowna omal się nie rozplakała ze wzruszenia. Jakaż to wspaniała dziewczyna wyrosła z jej córki, nie chce siedzieć na karku biednej matce.

Później największa plotkara z ich podwórka, Zinka, przyłapała kiedyś Inge Fiodorownę i na dzień dobry ją spytała:

- A twoja Nastia, co, na ulicę poszła? Inga Fiodorowna zdrętwiała.

- Zina, pomyśl tylko, co ty wygadujesz! Nastia to jeszcze zupełnie młoda dziewczynka!

- No, tym przecież baby nie zajmują się na starość. - Zinka zachichotała bezczelnie. - Uważnij się przyjrzyj tej swojej dziewczynie! Chłopy odwożą ją drogimi samochodami! Ciuchy też kupuje nie z twojej pensji.

Rzeczywiście, Nastia co jakiś czas miała nowe rzeczy, ale na wszystkie pytania matki odpowiadała bez mrugnięcia okiem:

- Święta mi pożyczyla na trochę. Albo:

- Starzy kupili Tańce spodnie, ale na nią są za ciasne, no to oddała biedniejszej koleżance.

Inga Fiodorowna postanowiła wyjaśnić sprawę kawalerów, ale Nastia zrobiła wielkie oczy.

- Kto ci nagadał takich głupot?

- Zina - odparła matka.

- I ty wierzysz takiej kłamczusze! - oburzyła się Nastia. Kobieta nadal nie straciła zaufania do córki. Rzeczywiście, Zina z wielką radością roznosiła najróżniejsze obrzydliwe plotki. W dodatku Inga Fiodorowna dostała świetną pracę, która pochłaniała większość jej czasu.

Przejrzała na oczy zupełnie niespodziewanie. Od czasu do czasu Nastia przyjeżdżała do niej do willowego osiedla. Zdarzało się to rzadko.

Ale minionej zimy Malikę Jusupownę odwiedził pewien krewniak z żoną, młody, bogaty chłopak imieniem Tachir. Przeniósł się do Moskwy z Uzbekistanu, miał mocno wypchany portfel, więc od razu zaczął szukać dla siebie willi, a na razie zatrzymał się u ciotki.

Nagle Nastia zaczęła częściej odwiedzać matkę, pomagać jej, ścielić łóżka... Inga Fiodorowna była tym zdziwiona, ale córka jej wyjaśniła:

- Za nic nie mogę znaleźć pracy, to przynajmniej w ten sposób ci dopomogę, nie martw się, właściciele mnie nie zobaczą, zresztą i tak cały dzień nie ma ich w domu.

Przez miesiąc Nastia myszkowała po domu, robiąc wszędzie porządki, aż w końcu do Ingi Fiodorowny podeszła cicha, zawsze milcząca Raida, żona Tachira, i powiedziała prawie szeptem:

- Pani córka podrywa mojego męża, chce mi go odbić. Proszę jej przekazać, że nic z tego nie będzie, bardzo szanuję Tachira, rodzice nas poženili i nie pozwolą nam się rozstać. Nastia nigdy nie zostanie jego oficjalną żoną. Kochanką - tak, zresztą osobiście nie mam nic przeciwko temu. Jeśli mężowi to odpowiada, to mnie również! Inga Fiodorowna rzuciła się z pretensjami do córki.

- Bzdury! - fuknęła Nastia. - Ta Raida to chyba jakaś wariatka!

- Wiesz co, dziecinko - westchnęła matka - na razie lepiej tu nie przychodź.

- Ale jak ty sobie beze mnie poradzisz? - zatroskała się Nastia.

- Nie martw się - zaczęła ją uspokajać Inga Fiodorowna - przecież pomogasz mi od niedawna.

- Dobrze - kiwnęła głową Nastia - tylko skończę myć to okno i jadę.

Rzeczywiście umyła okna na błysk i znikła z osiedla. Inga Fiodorowna zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Dziewczyna się stara, a ona jest wobec niej niesprawiedliwa.

Nazajutrz po „wygnaniu” Nasti w domu wybuchła wielka awantura. Malika Jusupowna zgubiła pierścionek - unikatowy klejnot, prezent od męża.

Artystka nakazała przeszukanie wszystkich pokoi. Pierścień się znalazł, ale nie w pokoju służby, jak przypuszczała Malika Jusupowna, tylko pod materacem, w łóżku Raidy. Tachir niezwłocznie odesłał żonę do rodziców, sam również opuścił dom ciotki. Malika Jusupowna długo nie mogła się uspokoić, powtarzając:

- Mówiliśmy mu, żeby nie żenił się z biedną dziewczyną, żeby wziął równą sobie, no i proszę!

Inga Fiodorowna oczywiście opowiedziała o całym zajściu Nastii. Ta uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją.

- Sama jest złodziejka, a innych oskarża o wszystkie grzechy. No i po co mi jej Uzbek, kiedy dookoła pełno Rosjan?

- I znów jej pani uwierzyła? - nie wytrzymałam. - Do tego stopnia była pani łatwowierna i naiwna?

Inga Fiodorowna westchnęła spazmatycznie, milczała chwilę, następnie odparła powoli:

- Już bardzo dawno przestałam jej wierzyć, wiedziałam, że Nastia nie powie słowa prawdy, skłamię, patrząc człowiekowi

prosto w oczy. Powinna zostać aktorką. Tylko że ja wciąż usprawiedliwiałam córkę. Najpierw myślałam: jest mała, z czasem z tego wyrośnie. Potem zaczęłam się pocieszać, że Nastienka pewnie chce dobrze wyjść za mąż, znaleźć bogatego mężczyznę, bo ma już dość biedy. A cóż złego w takim pragnieniu? No, na przykład Swieta Kozak, koleżanka Nastii z klasy, mieszka tu, w sąsiedniej kamienicy, znalazła sobie partię: profesor, dwadzieścia lat starszy, ma wszystko: daczę, samochód. Teraz młodą żonę nosi na rękach, bo urodziła mu dziecko. A czy Nastia jest gorsza? Tyle tylko... Zamilkła.

- Co „tyle tylko”? - krzyknęłam zniecierpliwiona. Inga Fiodorowna wstała i podeszła do okna.

- Tyle tylko, że ile razy Nastia próbowała nawiązać kontakty z porządnymi ludźmi, nigdy nic z tego nie wychodziło. Jej romanse nie trwały dłużej niż miesiąc, i naprawdę nie wiem, jaka była tego przyczyna.

Spojrzałam na kobietę z powątpiewaniem. Pomyślałam sobie, że chyba teraz buja, to przecież jasne, dlaczego dojrzali, dobrze sytuowani mężczyźni pryskali przed tą ślicznotką. Pewnie przyłapywali ją po prostu na bezczelnym łgarstwie. Tak, Nastia była bardzo ładna, o tam, na barku stoi fotografia: dwie dziewczyny, objęte, przy rozłożystym świerku. Jedna czarnulka, niezbyt sympatyczna, a druga blondynka, bardzo podobna do Marilyn Monroe, tylko z warkoczem. Jednakże pod anielską powierzchownością kryła się zgnilizna moralna, i to bardzo prędko odstraszało narzeczonych.

- I co, w ogóle nie pracowała? - postanowiłam kontynuować rozmowę.

- Na szczęście Swieta Kozak pomogła, załatwiła jej pracę.

- Gdzie?

- Mąż Swiety - profesor, znany naukowiec - cicho wyjaśniała Inga Fiodorowna - zatrudnił Nastię u siebie jako laborantkę. Nie bardzo się orientuję, czym się zajmuje profesor, zresztą Nastia też nie wiedziała. Doglądała myszy, uczeni przeprowadzają jakieś eksperymenty na gryzoniach, więc trzeba o nie dbać: karmić je, czyścić klatki. Najpierw chodziła tam w dzień, a z czasem zaczęła pracować nocą, bo za to więcej płacili...

Nagle Inga Fiodorowna usiadła na krześle i zapłakała.

- Byłam pewna, że ona źle skończy! Na dzień przed śmiercią Nastii bardzo się pokłóciłyśmy.

- O co?

- O pieniądze - odparła Inga Fiodorowna i zamilkła. Kiedy pauza zbyt się przedłużała, postanowiłam pobudzić rozmówczynię do dalszych zwierzeń.

- Nastia zabrała pani jakąś sumę bez pytania?

- Nie - pokręciła głową Inga Fiodorowna - zaczęłam sprzątać w jej pokoju, za kaloryferem znalazłam kosmetyczkę, wyciągnęłam ją, otworzyłam...

Kiedy matka zobaczyła, że w kosmetyczce leżą zielone banknoty, poczuła coś niedobrego. Przeliczyła pieniądze i przeraziła się: półtora tysiąca dolarów! Ogromna suma! Żadnych wątpliwości, skąd Nastia wzięła pieniądze, matka nie miała. Jasna sprawa, że nie zarobiła ich uczciwie, w laboratorium dostawała groszową pensję, z pewnością kogoś oszukała albo okradła.

Matka pokazała Nastii, co znalazła. Ta, jak zawsze, w ogóle się nie

speszyła.

- No i co z tego? - zapytała.

- Skąd masz pieniądze?

- Nie krzycz.

- Odpowiadaj natychmiast.

- Święta poprosiła, żebym je schowała.

- A co, ona nie może trzymać w domu swoich pieniędzy? - Inga

Fiodorowna nie mogła się uspokoić. - Po co ci je oddała?

- Chce kupić mamie futro - z absolutnym spokojem odparła Nastia. -

Jej mąż nie ma zamiaru robić teściowej takich drogich prezentów, więc Święta oszczędza na budżecie domowym, a żeby Paweł nie znalazł skrytki, przyniosła pieniądze do mnie. Niepotrzebnie, mamusiu, robisz z tego aferę!

Inga Fiodorowna, jak zawsze, udała, że wierzy córce, ale tym razem postanowiła sprawdzić prawdziwość jej opowieści. Po prostu zadzwoniła do Święty i zażądała stanowczo:

- Zabieraj swoje pieniądze!

- Jakże? - Przyjaciółka córki była najwyraźniej zaskoczona.

Wieczorem Inga Fiodorowna przeprowadziła bardzo po-

ważną rozmowę z Nastią, na której zakończenie córka oświadczyła:

- No tak, ty po prostu bardziej kochasz Ksenię niż mnie i dlatego się czepiasz!

Inga Fiodorowna zdenerwowała się i zaczęła na nią wrzeszczeć, a Nastia zerwała się z miejsca, rzuciła: „Wrócę jutro, jak ci histeria przejdzie”, i wybiegła z domu.

Inga Fiodorowna, pełna gorzkiego żalu, krzyknęła jeszcze za córką:

- A żebyś zdechła, ty szmato! Całą krew ze mnie wypilaś! Więcej już żywej Nastii nie widziałam. Los usłyszał to złorzeczenie i sprawił, że natychmiast się spełniło.

- Proszę mi podać adres Święty Kozak - poprosiłam.

Inga Fiodorowna wskazała ręką wysoki ceglany budynek z jedną klatką schodową, widoczny z okna.

- Mieszka tam, na szóstym piętrze.

- Numeru mieszkania pani nie pamięta?

- Nie, ale to nie ma znaczenia. Paweł jest człowiekiem dobrze sytuowanym, wykupił wszystkie mieszkania na piętrze. W jednym mieszkała jego matka, w drugim teściowa, a w trzecim on sam z żoną. Tak, niektórym to się układa! Mają dobre dzieci, córki, które szczęśliwie wychodzą za mąż, a ja...

Zgarbiła się na krześle.

- Ma pani zdjęcie Nastii? - zapytałam.

Inga Fiodorowna przytaknęła skinieniem głowy.

- Proszę je pokazać!

Wyjęła album, przerzuciłam kilka kartek, ale żadnych zdjęć młodej dziewczyny nie dostrzegłam, sami starcy i staruchy. W końcu natknęłam się na fotografię.

- Święta Kozak jest ładną dziewczyną? - Postanowiłam oderwać Inge Fiodorownę od ponurych myśli.

- Nic szczególnego, Nastia była o niebo ładniejsza.

- To one obie? - Wskazałam palcem fotografię.

- Nie, blondynka to Nastia - wyjaśniła Inga Fiodorowna - a brunetka - Asia Koroszeva. Nie podobała mi się ta dziewczyna, to spryciara, miała zły wpływ na Nastię.

Poczułam, że robi mi się gorąco.

- Asia była koleżanką Nastii?

- Tak - skinęła głową Inga Fiodorowna i spytała ze zdziwieniem: - Zna ją pani?

- Nie - odparłam szybko - pierwszy raz słyszę o tej dziewczynie.

Wezmę to zdjęcie. Proszę powiedzieć, gdzie Malika Jusupowna trzyma zapasowe kluczyki od mercedesa?

Inga Fiodorowna zrobiła się pasowa i nic nie odpowiedziała.

- Są schowane razem z brelokiem do alarmu? Kobieta kiwnęła głową.

- Tak, w garażu, w maleńkim pudełeczku.

- Nastia mogła je wziąć? Znów skinienie głowy.

- I brała je?

Inga Fiodorowna zamarła.

- Brała kluczyki? - powtórzyłam pytanie.

- Nie wiem - szepnęła kobieta.

- Zastanówmy się! jasne, że zapasowe kluczyki nikomu nie są potrzebne, wiszą sobie na haczyku, właścicielka nie będzie sprawdzać, czy są na miejscu, czy nie, póki swoich nie zgubi!

- No, nie wiem.

- Trzeba będzie zapytać Malikę Jusupownę - powiedziałam -może zauważyła coś dziwnego, wsiadając do samochodu.

- Proszę tego nie robić - zaczęła błagać Inga Fiodorowna -bo od razu wyrzuci mnie z pracy!

- A za co?

Kobieta zaczęła pochlipywać.

- Lepiej niech mi pani powie prawdę. Nastia brała kluczyki i jeździła mercedesem. Prawda?

Inga Fiodorowna wyszeptała:

- Tak.

- A jak pani się o tym dowiedziała?

- Samochody myje ogrodnik - wybełkotała kobieta. - Odkurza je wewnątrz...

- Dalej.

- Przyniósł kiedyś kolczyk, znalazł go, kiedy trzepał dywaniki, i oddał mi, myśląc, że zgubiła go Malika Jusupowna. Wiktor jest pracowitym mężczyzną, ale głupim. Nasza chlebodawczyni takich tanich ozdób nie nosi. Myślał, że kolczyk jest złoty, wysadzany brylantami, ale to była imitacja, chociaż całkiem niezła, kupiłam te kolczyki Nasti na urodziny.

Inga Fiodorowna zamilkła, ale w końcu dodała cicho: - Pokazałam jej kolczyk, kiedy miałyśmy rozmowę o pieniądzach. Tak to właśnie było!

Najpierw Wiktor mi oddał ten drobiazg, a następnego dnia znalazłam za kaloryferem dolary. Jak tylko zobaczyła swoje „brylanty”, od razu uciekła.

Rozdział 22

Wyszłam na podwórze i zaczęłam otwartymi ustami czerpać zgniłe powietrze. Z nieba pokapywał ohydny drobny deszczyk, przypominający mokry pył, było bardzo wilgotno, do tego już się ściemniało, ale nie zwracając na nic uwagi, pobiegłam do budynku z jasnej cegły. No i proszę, co się okazało! Nastia i Asia przyjaźniły się. Obie były zdemoralizowane, kłamały tak, jak oddychały, a przede wszystkim marzyły o bogactwie. Może Swieta Kozak opowie mi coś ciekawego o Nasti? Zresztą z pewnością znała też Asie.

Drzwi do mieszkań na szóstym piętrze wyglądały jednakowo: dębowe, ozdobione mosiężnymi tabliczkami. Na jednej był napis: „M.N. Kozak”, na drugiej: „A.S. Bielajewa”, na trzeciej: „Prof. Bielajew”.

Nacisnęłam palcem na dzwonek.

- Już idę, już idę - usłyszałam gdzieś z góry - proszę poczekać, nie mogę znaleźć kluczy, zaraz, o, już mam...

Drzwi się otworzyły, w progu stanęła tęga dziewczyna z grubiotkim niemowlakiem na rękach.

- Proszę dać! - powiedziała. Trochę się speszyłam.

- E... e... e...

- Chce pani oddać osobiście Pawłowi Nikołajewiczowi?

- No...

- W takim razie musi pani jechać do laboratorium, teraz jest tam.

- Czyżby Paweł Nikołajewicz był jeszcze w pracy? O tak późnej porze?

- Mój mąż - dumnie oznajmiła Swieta - jest uczonym o międzynarodowej sławie, dla takich ludzi nie istnieje pojęcie „dzień roboczy”, oni pracują przez całą dobę. Tak więc, jeśli pani chce, proszę jechać do laboratorium. Ale niech się pani zastanowi, czy warto przedzierać się przez pół Moskwy, doktoranci zawsze zostawiają mi swoje prace. Położę pani pracę w biurku. Bez obawy, u nas w domu nic nie ginie.

Czyli Swieta wzięła nieoczekiwanego gościa za kolejną doktorantkę,

która przyjechała do profesora prosić o recenzję pracy.

- Czy mogę wejść? - zapytałam.

- Tak, oczywiście - przytaknęła Swieta skinieniem głowy - jeśli pani chce, może pani osobiście złożyć pracę na biurku Pawła Nikolajewicza. Tylko proszę zdjąć buty, dziecko jest malutkie, raczkuje po

wszystkich pokojach. Posłusznie włożyłam gumowe klapki z napisem Puma, zdjęłam kurtkę i powiedziałam:

- Prawdę mówiąc, przyszedłam do pani.

- Do mnie? - zdziwiła się Swieta.

- Tak, pani adres podała mi Inga Fiodorowna, matka Nastii. Pani się przecież przyjaźniła z Nastią Kusakina?

- No cóż - odparła Swieta - „przyjaźniłam się” to za dużo powiedziane, raczej kiedyś się kontaktowałyśmy. A co się stało? Kim pani jest?

- Major Wasiljewa, Daria Wasiljewa, wydział kryminalny.

- Rozumiem - pokiwała Swieta głową - nie minął rok i już zaczęliście szukać tego, kto potracił Nastię! Tyle że to próżny trud, wątpię, czy znajdziecie teraz kierowcę. Ileż to już czasu minęło! Nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy usiadły w kuchni?

- Oczywiście, że nie - odparłam - to przecież najprzytulniejsze miejsce w domu.

Swieta usadziła malucha na wysokim krzeselku, podsunęła mu piramidkę z kolorowych plastikowych kraczków i powiedziała:

- Pani z pewnością chce wiedzieć, z kim się kontaktowała Nastia?

- Dobrze pani myśli.

Swieta zmrużyła oczy.

- Miała jedną bliższą przyjaciółkę, Asie Koroszewą. O, ona to już o Nastii wszystko wiedziała, były jak papużki nierozłączki. Ze mną Nastia raczej rzadko się widywała. Wie pani, że Asie też potracił samochód?

Skinęłam głową.

- Dziwna sprawa - powiedziała Swieta w zamyśleniu. - Na parę dni przed śmiercią Nastii wpadłyśmy na siebie w supermarkecie, tutaj obok, zajrzała do mojego koszyka i spytała:

- Spodziewacie się gości? Swieta odparła bez zastanowienia:

- Skąd, po prostu przyszedłam na zakupy.

Ledwo to powiedziała, ugryzła się w język... Nastia miała w koszyku paczkę pielmieni i butelkę kefiru, a w koszu Swiety piętrzyły się najróżniejsze smakołyki: puszczonek czerwonego kawioru, opakowanie łososia, kilka awokado, plastikowa torebka krewetek, apetyczny kawałek polędwicy. Dziewczyna poczuła się niezręcznie, chociaż nie miała powodu. Przecież nie ukradła pieniędzy, jej mąż profesor dobrze zarabia. Ale Swieta jest dziewczyną wrażliwą, więc zaczęła się tłumaczyć:

- Wiesz, na kolację przyjdą goście, to znaczy właściwie nie goście, nasi przyjaciele...

Nastia nagle się uśmiechnęła.

- Nie przejmuj się, niedługo będę miała tyle pieniędzy, że nawet się ci nie śniło! Wychodzę za mąż, też za profesora.

Kusakina powiedziała to i odeszła, a Swieta poczuła się okropnie. Zapłaciła za zakupy i wyszła. I tak właśnie wyglądało ich ostatnie spotkanie.

- Czyli nic pani o Nastii nie wie? Swieta pokręciła głową.

- Nie. Tak jak mówię, rzadko się kontaktowałyśmy, zresztą nieszczególnie mi się podobała, stale kłamała. Tak, kiedyś od czasu do czasu do siebie dzwoniłyśmy, ale później wyszłam za mąż, urodziłam dziecko i nie miałam czasu na koleżanki.

- Inga Fiodorowna mówiła, że podobno załatwiła pani Nastii pracę?

- To prawda. Spotkałyśmy się przypadkowo na ulicy, przecież mieszkamy właściwie na jednym podwórku, zaprosiłam ją do siebie, pogadałyśmy trochę o tym i o owym, Nastia powiedziała, że od dawna rozgląda się za pracą. Swieta aż krzyknęła.

- Mój mąż akurat poszukuje laborantki, chociaż, co prawda, pensja

jest niewielka!

- Zawsze to lepsze niż nic - ożywiła się Nastia - a przyjmą mnie?
- Dlaczego nie? - uśmiechnęła się Swieta. - Od razu dziś poproszę Pawła.

I w taki sposób Nastia trafiła do laboratorium.

- Pani mąż nic o Nastii nie opowiadał? Swieta wzruszyła ramionami.

- Nie. Raz tylko zapytał: „Czy to prawda, że jesteście najbliższymi przyjaciółkami?”. Odpowiedziałam: „Skąd, po prostu chodziłyśmy do jednej klasy”. Kiedy Nastia zaczęła pracować w laboratorium, przestała do mnie dzwonić, a ja specjalnie z tego powodu nie rozpaczalam.

- Pani mąż jest teraz w pracy?

- Tak.

- Czy jeśli pojedę do laboratorium, będę mogła się z nim zobaczyć?
Swieta podniosła słuchawkę telefonu.

- Pasza? Jest u mnie pani, major milicji, zajmuje się sprawą Nastii. No, jak to jakiej? Nastii Kusakinej, twojej laborantki. Nie wiem, dlaczego teraz nagle postanowili wdrożyć śledztwo. Będiesz mógł z nią porozmawiać? Zaraz? Aha, dobrze.

Swieta odłożyła słuchawkę.

- Proszę jechać do laboratorium, tam przy wejściu stoi ochroniarz, poprosi go pani, żeby zawiadomił Pawła Nikołajewicza Bielajewa, mąż zjedzie i zaprowadzi panią do gabinetu. Tu jest adres...

Wsiadłam do peugeota i ostrożnie ruszyłam ulicami pokrytymi rzadkim błotem. Tego, kto zaplanował przestępstwo, trzeba szukać w otoczeniu Nastii i Asi. Obie dziewczyny były zamieszane w sprawę i obie zginęły w taki sam sposób. Zbyt dużo tu zbieżności, by uznać ich śmierć za banalny wypadek samochodowy.

Kiedy Paweł Nikołajewicz zszedł, zawiadomiony przez ochroniarza o moim przybyciu, resztkami sił powstrzymałam się od śmiechu. Dostatecznie długie, lekko kręcone włosy profesora stały dęba, dosłownie jakby uczonemu przed chwilą poraził prąd. Mocno wygnieciony, niegdyś biały fartuch był krzywo zapięty, jedna nogawka spodni - poplamiona czymś czerwonym.

- To pani jest od Swietoczki? - spytał zakłopotany. Kiwnęłam głową.

- Chodźmy - mruknął Paweł Nikołajewicz i poprowadził mnie długim, akustycznym korytarzem, w którym po obu stronach znajdowała się niewiarygodna wprost ilość identycznie wyglądających drzwi, pokrytych lekko obłupaną farbą. Pozostało się tylko dziwić, w jaki sposób Paweł Nikołajewicz rozpoznaje je, choć są bliźniaczo podobne, w każdym razie nagle zatrzymał się i pchnął ręką jedno z nich, rzuciwszy z galanterią:

- Uprzejmie zapraszam.

Znalazłam się w pokoju zapchanym stołami. Wszędzie stały statuy z próbkami, jakieś szklane pojemniki, kolby, retorty. W kącie cicho buczał i mrugał czerwonymi lampkami tajemniczy przyrząd, koło niego zaś otwarte drzwi prowadziły do kolejnego pokoju.

- Cóż - powiedział Paweł Nikołajewicz - pensja laborantki jest niewielka, ale razem z Mariną Siergiejewną dopłacamy trochę z własnej kieszeni.

Z drugiego pokoju wysunęła się kobieta w nieokreślonym wieku, też w białym fartuchu, ale jej strój roboczy był starannie zapięty i nienagannie odprasowany.

- Wiele dodać nie możemy - żywo podchwyciła watek - proszę nie liczyć na zbyt dużą kwotę.

- Praca nie jest skomplikowana... - Profesor kręcił się po pokoju.

- Ale ja nie przyszłam się zatrudnić, byłam u Swiety, pańskiej żony.

- Ano tak - Paweł Nikołajewicz pokiwał głową - dzwoniła, prosiła, żebyśmy się spotkali... O cholera! Proszę wybaczyć staremu durniowi! Pani jest z milicji!

- Tak.

- Proszę usiąść - zakrzatnął się Paweł Nikołajewicz - może tutaj, na taborecie, słucham pani z uwagą.

Marina Siergiejewna, zrozumiała, że nie zamierzam podjąć pracy w

laboratorium, straciła jakiegokolwiek zainteresowanie moją osobą i zniknęła w swoim pokoju.

- Dobrze pan znał Nastię?
- Nastię?
- Anastasję Kusakinę.
- Ach tak, oczywiście nie, zupełnie jej nie znałem.
- Jak to? Święta mówiła, że ona u pana pracowała.
- Tak, tak - Paweł Nikołajewicz pokiwał głową - to prawda, swego czasu nam pomagała, ale potem przeszła do Lwa Nikołajewicza.
- Dlaczego?

Profesor wzruszył ramionami.

- Pewnie Worotnikow zaproponował jej lepsze wynagrodzenie, tam jest więcej pracowników. Tutaj jesteśmy właściwie z Mariną Siergiejewną sami. W laboratoriach zrzucamy się na dopłaty dla personelu technicznego. U Lwa Nikołajewicza pracuje chyba ze dwadzieścia osób, więc można zebrać o wiele więcej pieniędzy. Ach, biedna dziewczyna, taka straszna śmierć!

- No, akurat biedną w żaden sposób nie można jej nazwać - rozległ się w pokoju obok uszczypliwy głos Mariny Siergiejewny. - Dobry był z niej numer.

- Marino Siergiejewno! - krzyknął Paweł Nikołajewicz z wyrzutem. - O zmarłych nie mówi się źle.

- Już milczę, milczę - odezwała się kobieta.

- Szanowny panie profesorze - oznajmiłam uroczyście - bardzo chciałabym usłyszeć pańskie zdanie o Nastii. Jakim była człowiekiem?

- Nie mogę o niej nic powiedzieć - wybąkał profesor - przychodziła, pracowała, potem przeniosła się do Lwa Nikołajewicza.

- Z kimś się przyjaźniła?

- Nie mam pojęcia.

- A może była w konflikcie z kimś z pracowników? Paweł Nikołajewicz potarł prawą ręką potylicę.

- Niestety! Nic nie mogę powiedzieć.

Drgnęłam na ostry dźwięk budzika. Profesor zerwał się na równe nogi.

- Na Boga, proszę wybaczyć, ale muszę się pośpieszyć, piec się wyłączył.

Powiedział to i prawie biegiem wypadł na korytarz. Zostałam sama pośród setek probówek.

- Też nie miała pani kogo pytać - usłyszałam za plecami. Marina Siergiejewna wynurzyła się ze swego pokoju i podeszła do mnie:

- Czy pani nie widzi, że z Pawła Nikołajewicza nie będzie pani miała żadnego pożytku?

- Cóż, chyba tak - ostrożnie powiedziałam.

- Paweł to wielki uczony - poinformowała Marina Siergiejewna z absolutnie poważnym wyrazem twarzy. - ale w życiu codziennym jest jak pięcioletni chłopiec, całkowicie bezbronna istota. Jak pani myśli, co zrobił, kiedy otrzymał wysoką nagrodę pieniężną?

- Wybrał się w podróż? Marina Siergiejewna parsknęła:

- O Boże, oczywiście, że nie! Kupił mieszkanie dla swojej teściowej i ulokował ją po sąsiedzku, na tym samym piętrze. Pobieramy teraz wspaniałe wynagrodzenie, otrzymaliśmy grant, ale proszę zapytać Pawła Nikołajewicza, ile zarabia miesięcznie - nie odpowie. W domu wszystkim zajmuje się żona, mówiąc między nami, bardzo przedsiębiorcza osóbką, prawie dwa razy młodsza od niego. Ale w porównaniu z Nastią Swietłaną to anioł.

- A czym Kusakina tak się pani naraziła? Marina Siergiejewna nachmurzyła się.

- Obrzydliwa dziewczucha, od razu mi się nie spodobała, taka niby skromnisia, cichutka, oczka utkwione w podłodze. Potem zobaczyłam na jej nodze tatuaż i pomyślałam: „Ej, słoneczko, nie jesteś takim niewiniątkiem”. Tatuaż na nodze! Zgodzi się pani, że inteligentnej dziewczynie z dobrego domu nie przy-szłoby do głowy przyozdabiać się w podobny sposób. Co prawda, miałam wrażenie, że ona trochę się wstydy tego tatuażu albo może nie chce z nim paradować w pracy. Kiedy więc przychodziła w spódnicy, a nosiła tak krótkie, jak tylko

można, to bandażowała kostkę. Najpierw sądziłam, że naciągnęła ścięgno, zwichnęła nogę, skaleczyła się... Ale kiedyś zjawiała się w spodniach, nogawka podjechała w górę i zobaczyłam jakiegoś motylka czy ptaszka.

Przez moją głowę jak wicher przemknęło wspomnienie. Przed oczami stanęła mi Lika, w ciemnoszarej workowatej sukience, z obozową naszywką na piersi, w uszach zabrzmiał głos przyjaciółki:

- On się w tej dziwce zakochał w jednej chwili, od pierwszego wejrzenia, dosłownie jakby się zatruł. A ona była bardzo sprytna! Od razu wiedziała, jakie na nim zrobiła wrażenie, wsiadła do swojego czerwonego mercedesa i odjechała. Na pożegnanie błysnęła tylko nogą z tatuażem. Nie uwierzysz! Jewgienij potem cały czas rysował na serwetkach jakiegoś motylka czy ptaszka. Nawet się zastanawiałam: czemu on tak dziwnie się zachowuje? Początkowo myślałam, że mu się znudzili weselni goście i ten idiotyczny wodzirej, a tu proszę, co się okazało!

Nie zdążyłam zastanowić się nad tym wspomnieniem, kiedy do głowy napłynęło następne: dziewczyna, która podtrzymała przy metrze zemdloną Likę, miała zabandażowaną nogę, a ta, która wrzuciła Jewgienija do rzeki, też miała bandaż. Teraz już byłam absolutnie pewna, że pod stację metra czerwonym mercedesem Maliki Jusupowny przyjechała Nastia Kusakina, a więc to ona...

Półtora tysiąca dolarów schowanych za kaloryferem... Dziewczyna musiała je dostać za jakiś przestępczy czyn! Wrzuciła Jewgienija do rzeki. Znalazłam zabójczynię! Ale pytań nadal jest wcale nie mniej! Kto to wszystko zorganizował? Po co było usypiać Likę i przebierać ją w tę idiotyczną turecką sukienkę? Dobra, to jasne, Nastia miała udawać Likę. Ale po co?! No cóż, jeśli się zastanowić, również na to pytanie można znaleźć odpowiedź: zabójczyni liczyła, że Lika trafi do więzienia. Ale dlaczego właśnie ona? Po co tyle komplikacji? Cemu należało udawać właśnie Likę? Dość dobrze znam przyjaciółki Liki, Nasti pośród nich z pewnością nie było! Lika nigdy nikomu nie zrobiła nic złego. Ze wszystkimi swoimi mężami rozeszła się w zgodzie, jakoś znalazła sposób, by nie pokłócić się z żadnym z nich. Ale co tam poprzedni mężulkowie, Lika do tej pory utrzymywała kontakty z ich mamusiami! Możecie sobie

wyobrazić, że spędzacie czas w towarzystwie swojej byłej teściowej? Przy czym robicie to nie z obowiązku, ale dla przyjemności! Biegacie razem do sauny, chodzicie do teatru, organizujecie wspólne wypadki do restauracji? Możecie mi nie wierzyć, ale właśnie takie stosunki łączyły Likę z matkami jej eksmężów. No więc komu Lika przeszkadzała? Jakie paskudztwo podsunęła jej Asia? Kto był reżyserem tego spektaklu? Jasne jest przecież, że Nastia i Asia tylko posłusznie wykonywały czyjaś wolę. Dlatego też je zlikwidowano, kiedy już wykonały swoje zadanie...

Zakręciło mi się w głowie. W laboratorium było duszno, powietrze przeszywał jakiś ostry zapach, chyba lekarstw. Całe plecy miałam mokre od potu i żalowałam, że zamiast wełnianego golfu nie włożyłam cienkiej bluzeczki.

- Źle się pani czuje? - z troską w głosie zapytała Marina Siergiejewna.

- Nie - wymamrotałam - po prostu jest mi gorąco. Kobieta włączyła wentylator, strumień powietrza uderzył mnie w twarz.

- U nas wiele osób nie najlepiej się czuje - wyjaśniła kobieta - szczególnie, kiedy trafiają tu po raz pierwszy. Testujemy leki i rzeczywiście w powietrzu unoszą się najróżniejsze zapachy. Nasi pracownicy często dostają alergii.

- Dlatego Nastia odeszła z waszego laboratorium? - zapytałam. Marina Siergiejewna zaczęła wyjaśniać:

- U nas to akurat jeszcze nic strasznego, ale u Lwa Nikołajewicza, dokąd dziewczyna trafiła, to już w ogóle makabra. On opracowuje receptury nowych leków. Gwoli sprawiedliwości należy powiedzieć, że

Lew Nikołajewicz jest bardzo utalentowanym człowiekiem. Jego ostatnie osiągnięcie to ruamel -wspaniały lek antydepresyjny. Ale Worotnikow w odróżnieniu od Pawła Nikołajewicza ma żykę do handlu, prawdę mówiąc, nie bardzo się orientuję, co oni tam robią, ale zarabiają wspaniale. Lew Nikołajewicz jest absolutnie pozbawiony wszelkich zasad, zresztą w jego zespole są same piranie. Jedna Aniuta Lapunowa jest przyzwoita, więc jeżdżą tam po niej jak po łysej kobyle. Przed chwilą zaglądałam do ich pokoju - Aniuta znów ma dyżur! Zresztą to zrozumiałe. Już od dawna jest zakochana w Lwie Nikołajewiczu. Połowa instytutu za nim biega, szczególnie odkąd zmarła jego żona, Maja Michajłowna. Nastia też dlatego przeniosła się do Worotnikowa, wyrachowana mała dziwka.

Najwyraźniej wśród tych odurzających zapachów mój mózg przestał dobrze pracować.

- Dlaczego Nastia odeszła do Lwa Nikołajewicza? Marina Siergiejewna spojrzała na mnie pobłaźliwie.

- Chciała zostać panią Worotnikową. Dziewczyna była śliczna, jak aniołek, a Lew Nikołajewicz, stary lowelas, takiej laluni nie mógł przepuścić. Zaczęli romansować, tylko potem jakoś dziwnie... Marina Siergiejewna przerwała nagle w pół słowa, wyjęła z kieszeni papierosy i powiedziała głośno:

- Chodźmy na schody, zapalimy.

Wyszliśmy z pokoju, przemknęliśmy korytarzem i zatrzymałyśmy się pod plakatem z groźnym ostrzeżeniem: „Kurzyć można tylko tutaj, w przeciwnym razie nie rączę za siebie. Jeśli zobaczę w laboratorium kogoś z papierosem, wszystkim polecę po premii. Iwanow”.

- Lew Nikołajewicz nigdy nikogo się nie krępował - poinformowała mnie moja rozmówczyni, wypuszczając kłęb jasnoszarego dymu. - Wie pani, jest taka kategoria mężczyzn: w pracy niewiniątka, na nic sobie nie pozwolą, a jak wyjdą na ulicę, zaczynają się oglądać za każdą spódniczką.

Ale Worotnikow nie uważał, że powinien ukrywać swoje romanse.

Pracownice naukowe zostawały jego kochankami. Lew Nikołajewicz woził przyjaciółki swoim samochodem, dawał im prezenty, pomagał napisać habilitację i... każdą kolejną dziewczynę zamieniał na nową.

Wszystkie romanse rozwijały się według jednego scenariusza i trwały nie dłużej niż pół roku. Świeżo upieczone panie doktor habilitowane nie zostawały w laboratorium, wyfruwały z niego, na ich miejsce przybywały następne. Tylko jedna Aniuta Lapunowa służyła wiernie Lwu Nikołajewiczowi. Wszyscy w instytucie dawno zapomnieli, że Worotnikowa i Lapunowa łączyły kiedyś romansowe stosunki.

Najdziwniejsze, że żona Lwa Nikołajewicza okazywała życzliwość jego kochankom, przyjmowała je u siebie w domu, karmiła, poiła, a kiedy mąż znalazł sobie nową, pocieszała porzuconą i pomagała jej, nawet załatwiała pracę. Maję Michajłownę nazywano świętą.

Nie mieli dzieci - ciągnęła Marina Siergiejewna - a Worotnikow wybierał sobie zupełnie młode dziewczyny, dwudziestoletnie. Może w Mai Michajłownie budził się instynkt macierzyński? O co w tym chodziło, nikt nie wiedział, ale kiedy Maja Michajłowna umarła, Lew Nikołajewicz zupełnie się nie zmienił. Nadal żył tylko dla własnej przyjemności. I wtedy zagięła na niego parol Nastia Kusakina. Ależ ona się starała - Marina Siergiejewna pokręciła głową - po prostu wychodziła ze skóry, tak strasznie chciała zostać profesorową. Dosłownie stawała na rżęsach. Ale Lew Nikołajewicz nie wiedzieć czemu nawet nie spojrzał na ślicznotkę, tylko odwoził do domu niezbyt atrakcyjną Larysę Jakowinko.

A kiedyś Marina Siergiejewna wybrała się w odwiedziny do przyjaciółki mieszkającej na drugim końcu miasta. Przyjechała o umówionej godzinie i pocałowała klamkę. Wściekła na przyjaciółkę, zadzwoniła do niej na komórkę i zapytała ze złością:

- Co się dzieje? Stoję pod twoimi drzwiami!

- Umawialiśmy się na piątą - usłyszała w odpowiedzi.

- Jeszcze będziesz sobie kpiny robić! - Marina omal nie wyszła z siebie. - Jest teraz za dziesięć piątą, wybacz, zjawiłam się dziesięć

minut wcześniej, ale nie jestem samolotem, nie latam według rozkładu.

- Jest za dziesięć szósta - poprawiła ją przyjaciółka.
 - Zwariowałaś? Zegarek ci się śpieszy!
 - Nie, wczoraj była zmiana czasu, a ty zapomniałaś przestawić swój!
- Marina Siergiejewna jęknęła. Rzeczywiście, kraj przeszedł na czas letni.
- Idź do kawiarni „Liza” - poprosiła przyjaciółka - i zczekaj tam na mnie.

Marina Siergiejewna udała się we wskazane miejsce, weszła do mocno zatłoczonej sali, zamówiła filiżankę kawy i zobaczyła... Lwa Nikołajewicza z Nastią.

Para była zajęta sobą, na nikogo nie zwracała uwagi. Worotnikow czule trzymał dziewczynę za rękę, Nastia wpatrywała się w profesora zakochanymi oczami. Marina Siergiejewna ukryła się za gazetą i z ciekawością obserwowała randkę. Lew Nikołajewicz całował Nastię paluszkami, a ona tuliła się do ukochanego. Po jakimś czasie po Marinę Siergiejewnę przyszła przyjaciółka, więc obie wyszły z kawiarni, Worotnikow zaś i Kusakina zostali.

Następnego dnia rano Marina Siergiejewna, ciekawska, jak wszyscy pracownicy instytutu, postanowiła kontynuować obserwację, ale Lew Nikołajewicz nie wykazywał najmniejszego zainteresowania Nastią, a po pracy do jego samochodu wsiadła nie ona, tylko Larysa.

- Nasuwa się pytanie, dlaczego ukrywał romans z Nastią -zakończyła opowieść Marina Siergiejewna.
 - Może się wstydził? - podsunęłam.
 - Boże! - klasnęła w dłonie kobieta. - Jemu coś takiego nawet by do głowy nie przyszło!
 - Nie przeszkadzam wam? - rozległ się cichy głosik i na klatce schodowej pojawiła się maleńka, chudziutka, żeby nie powiedzieć zabiedzona, kobieta w nieokreślonym wieku, także ubrana w fartuch, ale nie biały, tylko niebieski.
 - No coś ty, Aniutoczka - zagrychała Marina Siergiejewna -jakie my tu możemy mieć sekrety? A właśnie, może panie się poznają - to major milicji, bada sprawę śmierci Nastii Kusakinej. O, proszę porozmawiać z Aniutą - zwróciła się do mnie - myślę, że może mieć coś do powiedzenia o tej dziewczynie!
- Po tych słowach Marina Siergiejewna wrzuciła niedopałek do skrzynki z piaskiem i tyle ją widziałam.

Rozdział 23

Wlepiłyśmy w siebie z Aniutą spojrzenia. Powinna zagaić rozmowę, ale, jak na złość, okropnie rozboleła mnie głowa. Czując, że mój mózg atakuje migrena, bąknęłam:

- Jestem Daria.
- Aniuta - odparła chuda i zamilkła. Zaczęłam przetrząsać torebkę.
- Mogę prosić o szklankę wody?
- Po co?
- Chcę wziąć lekarstwo, oczywiście, nic nie pomoże, ale mimo wszystko połknę tabletkę dla świętego spokoju.
- A co pania boli?
- Głowa. Cierpię na migrenę. Słyszała pani o takiej chorobie? Aniuta wyciągnęła rękę.
- Chodźmy.

Pokój, do którego mnie zaprowadziła, był po prostu ogromny, nie dało się całego pomieszczenia ogarnąć spojrzeniem. Ale w odróżnieniu od laboratorium Pawła Nikołajewicza niczym tutaj nie pachniało. Aniuta wyjęła jakieś fiolki, wlała po trochu różnych cieczy do probówki, zabełtała wszystko, następnie włączyła podgrzewacz, podgrzała zawartość naczynia, po czym wetknęła probówkę do jakiegoś głucho brzęczącego aparatu. Z zainteresowaniem obserwowałam wszystkie te manipulacje. W końcu Lapunowa wyjęła szklaną rurkę. Przezrzysty płyn zmienił zabarwienie na bordowoczerwony. Aniuta poleciła:

- Proszę to wypić duszkiem.
- A co to jest?

- Niech się pani nie boi, to koktajl na migrenę.
- Może lepiej połknę mój spasgan?
- Nic pani nie pomoże, a po tym ból ustąpi jak ręką odjął. Zawahałam się, bardzo nie lubię zażywać nieznanymi lekami.
- Proszę się nie bać - powtórzyła Aniuta.
Następnie przechyliła probówkę, kapnęła sobie trochę płynu na dłoń i zlizwała go.
- To nie jest trucizna, tylko nowy wynalazek Lwa Nikołajewicza, sama biorę ten lek na migrenę.
Czując, jak w lewą skroń wkręca mi się tępy świder, zdecydowałam się, zamknęłam oczy i dzielnie wychyliłam to lekarstwo. Okazało się zupełnie bez smaku.
- No i jak? - troskliwie zapytała Aniuta.
Chciałam odpowiedzieć: „Na razie jeszcze nie wiem”, ale w tej samej chwili świder wycofał się z mojej skroni, przestało mi się kręcić w głowie, a duszność zniknęła.
- Co to? - zapytałam oszołomiona.
- Lepiej już?
- Jak ręką odjął!
- A widzi pani!
- Proszę mi podać nazwę lekarstwa.
- A po co pani?
- Boże, kupię sobie kanister tego leku i postawię w domu! Nie uwierzy pani, gdzie już nie próbowałam leczyć migreny, połknęłam chyba ciężarówkę tabletek, chodziłam do znachorów, wróżek, hipnotyzerów, nawet do psychoterapeuty, ale wszystko bez skutku.
- Ten środek nie ma nazwy. - Aniuta uśmiechnęła się.
- No to jak o niego prosić w aptekach?
- Nie ma go w sprzedaży, ten lek po prostu nie istnieje. A właściwie istnieje już wzór, ale jeszcze nie został przetestowany i zatwierdzony, więc nie mamy prawa na razie go podawać. Sami zażywamy, bo wspaniale pomaga. Najśmieszniejsze, że kosztowałyby dosłownie kopiejki.
- Dlaczego tak rewelacyjny środek nie został jeszcze wprowadzony do masowej produkcji? - zdziwiłam się.
- Kiedyś to nastąpi - wyjaśniła Aniuta - ale mało kto zdaje sobie sprawę, jaki to długi proces - stworzenie czegoś nowego w farmakologii. Myśli pani, że naukowcy po prostu mieszają składniki i tyle? Skąd, całe lata upływają na badaniach wszelkich działań ubocznych. Niestety, historia farmakologii pełna jest nieprzyjemnych wspomnień o lekarstwach, które trafiły na rynek nie do końca przebadane. W połowie lat sześćdziesiątych pojawiły się w Ameryce tabletki, a kobiety, które je zażywały w okresie ciąży, zaczęły rodzić potworki, dzieci bez rąk i nóg, a to tylko jeden przykład. Ale pani przecież nie przyszła tu rozmawiać o lekach, prawda?
Ostrożnie poruszyłam głowę. Niewiarygodne, zupełnie nie boli! To po prostu cud!
- Proszę dać mi trochę tej mikstury do domu!
- Nie mam prawa.
- Ale chociaż troszeczkę.
- Niech mnie pani nie prosi, wyleciałabym z pracy. Jeśli migrena znów panią dopadnie, proszę przyjechać, przygotuję dawkę, ale na wynos nie dam pani leku za nic w świecie.
Westchnęłam ciężko. Jechać z Łożkina do Moskwy z migreną! To dopiero przyjemność!
- Dobrze pani znała Nastię Kusakinę? - zvekslowałam rozmowę na właściwe tory.
- Wystarczająco - oświadczyła Aniuta oschle - bardzo nieprzyjemna dziewczucha.
- Co się pani w niej nie podobało?
- Wszystko.
- A konkretnie?
- Po pierwsze, bardzo leniwa - zaczęła wyliczać Aniuta -wечно spóźniała się do pracy. Po drugie, nad wyraz nieobowiązkowa,

zapominała na czas nakarmić gryzonie. Prawdę mówiąc, praca najmniej ją obchodziła. Raz poleciłam jej zatrzymać centryfugę, i co pani myśli? Zapomniała! Pobiegła do stołówki, tam sobie siedziała... W rezultacie nie dokończyliśmy bardzo kosztownego doświadczenia. Absolutnie niepoważna dziewczyna, nieodpowiedzialna, bałaganiara, tylko ciuchy jej w głowie.

- No to dlaczego ją tu trzymaliście? Aniuta westchnęła.

- Cóż, pensja laborantki wynosi tyle, co kot napłakał, wprawdzie dopłacamy z własnej kieszeni, ale mimo wszystko niewiele się z tego uzbiera. Dlatego często trafiają osoby zupełnie przypadkowe. Całą pracę naukową w laboratorium wykonują specjaliści, a laborantka to coś pośredniego między sprzątaczką a pracownicą wiwarium. Czy śledzi pani tok moich myśli? Rozumie mnie pani?

- Oczywiście.

- Ale nawet na tle tych dość prymitywnych laborantek Na-stia wyróżniała się jakimś jaskiniowym prostactwem - westchnęła Aniuta. - Szczerze wierzyła, że Mozart to tylko nazwa czekoladowych trufli. Gorzej jednak, że nie można było na nią liczyć, dziewczyna zaniedbywała swoje obowiązki.

- Dlaczego nie została zwolniona?

- Lew Nikołajewicz nad każdym się lituje - pokręciła głową Aniuta - w dodatku to urodzony pedagog. Ja mu mówię, że dziewczyna jest nieodpowiedzialna i praca całego zespołu idzie przez nią na marne, a on mi oznajmia z uśmiechem: „Daj spokój, Aniuta. Dziewczyna jest młoda, to przecież jeszcze dziecko, trzeba ją wszystkiego nauczyć, a wyrzucić Nastię zawsze zdążymy...”.

- A może po prostu wpadła mu w oko? Aniuta wybuchnęła:

- Kto? Nastia? Lwu Nikołajewiczowi?

- No tak!

- Nonsens! Lew Nikołajewicz jest dojrzałym, poważnym mężczyzną, a ona była kompletną idiotką.

- Podobno profesor jest wielkim amatorem płci przeciwnej...

Aniuta umilkła na chwilę, po czym gniewnie odparła:

- Wiem, kto rozpuszcza te plotki, Marina Siergiejewna! Ona nienawidzi Lwa Nikołajewicza i bez przerwy opowiada o nim okropne rzeczy.

- Dlaczego?

- To bardzo proste! Ślęczy razem ze swoim szefem już od dziesięciu lat nad jakąś miksturą, a nasze laboratorium co roku wypuszcza rewelacyjną nowość. Marinie Siergiejewnej z zawiści zaciskają się szczęki, dlatego szarga dobre imię Lwa Nikołajewicza.

- Mówiła, że miała z nim pani swego czasu romans - dolałam oliwy do ognia.

Aniuta zrobiła się pasowa.

- A to małpa! Ja się nawet przyjaźniłam z Mają Michajłówną, świętej pamięci żoną Lwa Nikołajewicza.

- A podobno on odwozi do domu niejaką Larysę...

- Jakowinko?

- Tak.

Aniuta wyjaśniła:

- Mieszkają po sąsiedzku, przez ulicę. Lew Nikołajewicz to niezwykle dobry, kulturalny, uczynny człowiek. Co to dla niego za problem podrzucić Larysę? A Marina Siergiejewna jest po prostu chora, dwóch mężów ją rzuciło, więc teraz wszystkich śledzi, plotkuje, obgaduje za plecami! To po prostu obrzydliwe!

Zamierzała kontynuować gniewną tyradę, ale nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wsunęła się rozczochrana głowa.

- Niuta - odezwała się głowa soczystym basem - rzuć no okiem, nic, cholera, nie wychodzi.

- Przepraszam. - Aniuta uśmiechnęła się i wyszła.

Usiadłam przy stole i zobaczyłam przed sobą statyw z próbkami, w których czerwień się nieznana ciecz podobna do cudotwórczej mikstury. Rozejrzałam się wokół, zauważyłam w zlewie mnóstwo pustych fiolek, wstałam, wzięłam jedną i nalałam do niej trochę lekarstwa.

Oczywiście nie pochwalam złodziejstwa, ale za to świetnie znam swoją migrenę. Ta okropna przypadłość teraz na chwilę się przyczaiła, ale wystarczy, że przyjadę do domu i położę się do łóżka, a w skroń znów zacznie mi się wkręcać tępy świder, no i wtedy wypiję tę czerwoną ciecz.

Kiedy Aniuta wróciła do pokoju, z zupełnie niewinną miną siedziałam przy innym stole, flakonik z lekarstwem spoczywał mi na dnie mojej torebki.

- Ma pani do mnie jeszcze jakieś pytania? - zainteresowała się Aniuta.

- Oczywiście.

- No to proszę pytać - rzekła z westchnieniem.

Przez następną godzinę próbowałam na wszelkie sposoby dowiedzieć się czegoś o Nastii, ale Aniuta tylko rozkładała ręce, nic o dziewczynie nie wiedziała - mogła tylko potwierdzić jej absolutną niechęć do pracy. W końcu rozmowa zabrnęła w ślepy zaułek. Zrozumiawszy, że niczego więcej się nie dowiem, westchnęłam ciężko.

- Proszę mi poradzić, jak skontaktować się z Lwem Nikołajewiczem?

- Wróci za dwa tygodnie.

- Wyjechał na urlop?

Aniuta surowo przywołała mnie do porządku:

- Lew Nikołajewicz nigdy nie odpoczywa, jest teraz na kongresie farmakologów, który odbywa się w Egipcie, będzie miał tam odczyt, wróci za czternaście dni.

Z trudem opanowałam śmiech. Coś podobnego, pojechał na kongres, a nie na wypoczynek! Za długo byłam wykładowcą na uniwersytecie, żeby nie wiedzieć, do czego naukowcom służą kongresy. Co prawda, pół dnia wszyscy uczciwie siedzą w sali

i ziewając, wysłuchują referatów. Z reguły niczego nowego się z nich człowiek nie dowiaduje. Jeśli ktoś dokonał ciekawego odkrycia naukowego, to nie będzie czekał na forum, które zbiera się raz na pięć lat, tylko opublikuje badania wcześniej w czasopiśmie naukowym. Potem jest obiad, a następnie program kulturalny. Zresztą nie przypadkiem zjazd, na który wyjechał Lew Nikołajewicz, odbywa się w Egipcie. Tam jest teraz ciepło, więc profesor ze spokojnym sumieniem pluska się pośród fal. Kongres to nadprogramowy wypoczynek, i wszyscy tak właśnie traktują podobne wyjazdy. Trzeba też pamiętać o tym, że wszelkie koszty bierze na siebie albo strona zapraszająca, albo wasza rodzima instytucja. A wy po prostu przyjeżdżacie i beztrudnie lokujecie się w hotelu. Nie wiem, jak teraz, ale dawniej tak właśnie było.

Ale żebym się nie wiadomo jak wyzłośliwiała, sprawa nie ruszy z miejsca bez Lwa Nikołajewicza. Koniecznie muszę z nim porozmawiać. Niestety, będzie to możliwe dopiero za czternaście dni.

Zdenerwowana przyjechałam do domu i zastałam w salonie Lenkę, samotnie wylegającą się na kanapie.

- Gdzie są wszyscy? - spytałam, zapadając się w fotelu. Dziewczynka ziewnęła, przeciągnęła się i powiedziała:

- Kicia i Kiesza poszli spać, Maszka też, bliźniaki zostały zabrane już o ósmej, strasznie tu rozrabiały, przewróciły stolik. A wie pani, co Ańka zrobiła?

Uśmiechnęłam się:

- Nie.

Ańka i Wańka z każdym dniem robią się coraz zabawniejsze. Wania jest cichutki, po prostu niezauważalny, najbardziej lubi siedzieć w kąciaku i przeglądać czasopisma, gdzie są zdjęcia samochodów. Przy czym może oddawać się temu zajęciu całe godziny. Za to Ańka jest jak tajfun i biedna Serafima Iwanowna stale wyciąga dziewczynkę z różnych miejsc. Łobuzica albo garściami wsuwa kaszę z psiej miski, albo wdrapuje się na stół w salonie, albo wylewa do sedesu butelkę płynu do kąpieli i absolutnie zachwycona piszczy, kiedy góra białej piany zaczyna sięgać sufitu. Wańka natomiast, podczas gdy jego siostra robi psikusy, uważnie studiuje samochody, ostrożnie sunąc paluszkami po stronach. Jest bardzo niezależny i na każdy temat ma własne

zdanie. Nie dalej jak wczoraj poprosiłam, kiedy wszedł do jadalni:

- Wania, pocałuj mnie.

Wańka niedawno nauczył się całować i robi to z wielką przyjemnością. Chłopczyk podbiegł do kanapy i z entuzjazmem cmoknął żądną pieśczęt babcię w policzek.

- A mnie? - ożywiła się Maszka.

Waniasza przyjrzał się jej i odmówił zdecydowanie:

- Nije.

Chłopczyk bardzo śmiesznie mówi, zamiast „nie” - „nije”. Maszka roześmiała się i wyciągnęła z torebki czerwony samochodzik w kolorowym pudełeczku.

- Masz, to dla ciebie.

Wańka natychmiast pochwylił prezent i zaczął otwierać pudełko.

- No, a teraz mnie pocałujesz? - zaśmiała się Maruśka. Waniasza rzucił się do ciotki z uściskami.

- Jesteś sprzedajna dusza - pokręciła głową Maszka - dajesz miłość za samochodzik!

Lenka usiadła na kanapie i odrzuciła pled.

- Ańka zobaczyła w telewizji Kicię. Najpierw zaczęła krzyżeć: „Mama, mama!”, i dotykać palcem telewizora, a potem otworzyła szafkę, na której stoi aparat, zajrzała tam i okropnie przejęta mówi:

„Mama?”. Mówię jej: „Tam jej nie ma, jest w telewizorze”. Na to Ania obiegła panasonica i zaczęła go oglądać z tyłu. To było strasznie śmiesznie. Myślała, że Kicia siedzi w szafce albo schowała się za telewizorem!

Lenka znów ziewnęła.

- Idź spać! - poleciłam jej.

- Nie chce mi się.

- Przecież cały czas ziewasz.

- A to z nudów - wyjaśniła dziewczynka - takie bzdury pokazuja w telewizji, że skonać można! Nie ma co oglądać. Na jednym kanale jakiś facet gada o sensie życia, na drugim babka piłuje na skrzypcach, na trzecim głądzi pop. Zwariować można, żadnego filmu.

- Poczytaj książkę.

- Nie.

- Mamy dużą bibliotekę, każdy może znaleźć coś dla siebie.

- Nie. Nie lubię czytać. To nudziarstwo. Westchnęłam. Głupio wyszło, przywiozłam tu dziewczynkę

i zostawiłam własnemu losowi. Biedne dziecko męczy się nicnierobieniem, a przecież nie może dzień w dzień leżeć przed telewizorem, pilotem przerzucając kanały. Trzeba zająć się jej życiem, wyrobić małej dokumenty, znaleźć nauczycieli... Dobra, zajmę się tym jutro.

Teraz powinienam wstać z fotela i pójść do sypialni, ale ciało ogarnęło nieprzewyciężone lenistwo, nie chciało mi się ruszać. Lenka znów ułożyła się na poduszkach i zaczęła skakać po kanałach, mamrocząc:

- Ale badziewie! I kto to ogląda!?

Ja też tępo gapiłam się w telewizor, spoglądając na migające obrazki. Lenka, doprowadzona już do ostateczności, gwałtownie usiadła i zrzuciła moją torebkę na podłogę. Ta upadła na dywan, otworzyła się i cała zawartość się wysypała.

- Ojej! - krzyknęła Lenka. - To niechcący! Zaraz pozbieram, przepraszam!

- Nic się nie stało - mruknęłam.

Lenka zaczęła układać drobiazgi w torebce.

- Ale ma pani cudną puderniczkę!

- To lusterko. Chcesz, to ci je dam? Weź sobie.

- Nie, tak tylko powiedziałam. Tu jest jeszcze jakiś flakoniczek, dobrze, że się nie rozbił.

- Przecież upadł na dywan - wymamrotałam, czując, że zaczynam zasypiać.

- Ojej! Otworzyłam jedno oko.

- Co?

- Aśka! Pani ją znała?

Sen natychmiast się ulotnił - wlepiłam w Lenkę czujny wzrok.

Dziewczynka trzymała w rękach fotografię.

- To Aśka - powtórzyła. - Kobita Dimki. Zerwałam się na równe nogi.

- Znasz dziewczyny ze zdjęcia?

- Tylko Aśkę.

- Skąd?

Lenka roześmiała się:

- Żyła z Dimką Wieprzem.

- A kto to?

- Pięść.

- Kto?

Lena ziewnęła.

- No bo na dworcu nie wolno żebrać, to znaczy obcym nie wolno, swoi mogą, ile chcą, ale nie na własną rękę. Trzeba zapłacić za miejsce Borysowi Siergiejewiczowi. On sam, oczywiście, po żebrakach nie chodzi, tylko wysyła swoich przydupasów. Borys Siergiejewicz jest bogaty, wszystko ma, pod kontrolą, nawet te staruchy, co przy wejściu do metra handlują jakąś tandetą.

- A jeśli ktoś nie zechce płacić, to co?

- Tak mu złoją skórę, że miesiąc będzie stękać - uprzejmie wyjaśniła Lenka.

- A Borys Siergiejewicz nie boi się, że ktoś na niego doniesie

Lenka się zaśmiała.

- Milicji! Oj, nie mogę! Wszystkie menty są przekupione, każdy ma dolę od Borysa Siergiejewicza. Jak tylko usłyszą, że ktoś nie odpalił forsy, to spuszczają mu takie manto, że od razu mu się żyć odechciewa. A Dima pracuje u Borysa Siergiejewicza jako „pięść”. To straszny dureń, zwykły debil, ale silny i świetnie prowadzi samochód. Borys Siergiejewicz zatrudnia go do pilnowania porządku. Dimka normalnie łamie ludziom ręce i nogi, trzask-prask i już. A Aśka z nim żyła, póki nie wpadła pod samochód.

- Znałaś ją?

- Aha.

- Dobrze?

- No... tyle o ile, popijałyśmy razem. Ja wtedy żyłam z Miszką, miał akurat urodziny. Zaprosił ludzi do baru, Dimkę też, a on przyszedł z Aśką. Fajna była dziewczucha, bluzkę mi dała. Dimka jej przyniósł w reklamówce, Aśka pobiegła do kibla, przymierzyła i wkurzyła się, bo bluzka była za mała. Dimka chciał pójść i wymienić, ale Aśka mu powiedziała: „A tam, będziesz specjalnie latał! Jutro weźmiesz drugą. Masz, Lenka, noś na zdrowie! Na ciebie będzie w sam raz”. Taki ładny golfik, czerwono-biały. Potem widziałam Asie jeszcze kilka razy, a później Dimka powiedział, że samochód ją potracił, żal mi się jej zrobiło!

- A gdzie tego Dimy szukać?

- Na placu, koło dworca.

- Ma stałe miejsce?

- Nie, stoi, gdzie trzeba. A po co on pani? Zignorowałam jej pytanie i zadałam swoje:

- A jak znaleźć chłopaka?

- Łatwo - wzruszyła ramionami Lenka - wystarczy podejść do kogoś i zapytać: „Gdzie jest Dima Pięść?”. Zaraz ktoś go pokaże, wszyscy go znają.

Spojrzałam na zegarek.

- Nocą też stoi?

- Czasami tak, ale rzadko, głównie w dzień tyra. Westchnęłam. Nie, teraz nie ma sensu jechać na dworzec, bo mogę Dimy nie zastać, lepiej jutro.

Drzwi do salonu otworzyły się i do pokoju zajrzał Hootchuś. Mops zobaczył mnie i wpadł w absolutny zachwyt - zaczął podskakiwać, popiskiwać, machać zakreconym w obwarzanek ogonkiem. W końcu wziął rozbieg, wskoczył na fotel i próbował polizać moje usta.

- O nie, kochany - oburzyłam się - dopiero co wzmocniłeś się psią karmą i pachniesz okropnie. Szkoda, że nie mogę cię posłać do

łazienki, żebyś umył zęby.

Nasze psy dostają normalne jedzenie, nie karmimy ich surogatami. Prawdę mówiąc, nie wierzę, że nieapetyczne kuleczki, sprzedawane w kolorowych opakowaniach, naprawdę są wyprodukowane z mięsa, warzyw, zbóż i innych smacznych i zdrowych rzeczy. Owszem, swego czasu próbowaliśmy podawać naszym psom suchą karmę, ale Hootchuś nabawił się alergii, zaczął się bezustannie drapać w nos i uszy, a znów Snap i Bundy zaczęły odczuwać nienasycone pragnienie. Pitbull i rottweiler wypijały na noc po wiadrze wody; co się działo potem, możecie sobie wyobrazić. Dlatego zaczęliśmy im po prostu gotować smaczną kaszę. Ale czasem, gdy jej zabraknie, Irka daje im specjalne konserwy. Trzeba przyznać, że psy je po prostu uwielbiają, ale później długo ohydnie śmierdzi naszym ulubieńcom z pysków. Maruśka całkiem serio proponuje, żeby dawać im po jedzeniu gumę Orbit. Zrzuciłam mopsa na podłogę i poszłam do swego pokoju. Chyba znów wraca migrena. I za co mnie spotyka to nieszczęście? Może zaraz przejdzie? Ale nie. W skroni znów zaczął mi wiercić rozpalony pręt, lewe oko się zamknęło, do gardła podeszły mdłości. I w tym właśnie momencie Hootchuś, syty i wesoły, lekko wskoczył na łóżko, umościł się na moim brzuchu i zaczął mi dyszeć prosto w twarz. O mało nie skończyłam, spowita ostrym zapachem psich konserw. Zrzuciłam mopsa, chwyciłam torebkę i wypilałam duszkiem zawartość flakonika. Zaraz ból się skończy.

Rozdział 24

Ale pręt nie cofał się ze skroni. Ostrożnie poruszyłam głową. Wtedy, w laboratorium, efekt był natychmiastowy. Może w czasie transportu specyfik utracił swoje właściwości? Hootchuś znów wskoczył na pościel i głośno westchnął. Zapach zjedzonego przez mopsa „królika w galaretce” dotarł do mojego nosa, skrzywiłam się w oczekiwaniu na przypływ mdłości i nagle uświadomiłam sobie, jaki Hootchuś jest piękny.

Grubiutki, o gładkiej beżowej sierści. Wzdłuż grzbietu ciemny paseczek twardszych włosków, wdzięczna mordka z ogromnymi piwnymi oczami i zgrabnymi trójkątnymi uszkami, ogonek zakręcony w obwarzanek... Boże, jak ja kocham Hootchusia! Ma wspaniały charakter, jest miły, serdeczny. Jest mądry i odważny, jest wspaniały, jest moim przyjacielem!

Niemal płacząc ze wzruszenia, zaczęłam obcałowywać czarną mordkę z krótkimi wąsikami i powtarzać:

- Moje słoneczko, mamusia cię kocha! Kiteczku kochany, pyszczulku! Zapach psich konserw wydawał mi się teraz zachwycający. Nagle do głowy przyszła mi straszna myśl: pies długo nie żyje. Boże, co ja zrobię, kiedy Hootchuś umrze?

Z oczu popłynęły mi łzy. Przytuliłam śpiącego mopsa do piersi i zaczęłam głośno szlochać:

- O, mój malutki! Nie przeżyję twojej śmierci, o, jakie to straszne! Dlaczego śmierć musi cię zabrać tak wcześnie...

Drzwi sypialni otworzyły się na oścież, w progu stanęła rozgniewana Kicia w różowej flanelowej piżamce.

- Co to za... - zaczęła, ale urwała i rzuciła się do mojego łóżka. - Dasza! Ty płaczesz?

Z wysiłkiem przytaknęłam skinieniem głowy.

- Hootchuś! Mój ukochany, mój słodki, mój jedyny...

- Co się stało? - krzyknęła Olga.

W tym momencie z korytarza dał się słyszeć tupot i do sypialni wtargnęli huraganem wszyscy dorośli mieszkańcy domu, mniej lub bardziej rozgniewani.

- Mamo - z wyrzutem powiedział Kiesza. - Boże! Ty ryczysz!

- Hootchuś...

- Co mu jest? - Maszka rzuciła się na mopsa.

- On umrze, a ja razem z nim...

Zalał mnie niewiarygodny przypływ miłości i bólu. Maszka próbowała zabrać mi Hootchusia.

Nagle przejrzałam na oczy. Jakaż ta Masza jest okropna: gruba blondynka, o piskliwym głosie. No i w ogóle cała moja rodzina to same potwory: Kiesza, blady jak śmierć i chorobliwie chudy, Aleksander Michajłowicz tak odrażający, że patrzeć na niego nie można, Olga podobna do lalki Barbie, i równie głupia... Nie, chcę spędzić życie tylko z Hootchusiem!

- Mój kochany! Światło moich oczu, luby mój, za co... za co... za co... Nadejdzie śmierć i ugasi promień światła... „A gdy zjawiała się rankiem Eos różanopalca...”.

- Co to? - Maszka cofnęła się.

- Homer - westchnął Kiesza. - Matce się pomieszało w głowie! Cytuje chyba Iliadę albo Odyseję, mówi heksametrem...

- Odejdźcie wszyscy, nienawidzę was!

- No, no. - Kicia pokiwała głową.

- Zostawcie mnie... Hootch! Hootchuś!!!

W tym momencie do pokoju wpadły Snap i Bundy. Pitbull, długo się nie namyślając, wskoczył na moje łóżko. Do moich nozdrzy znów doleciał ostry zapach psich konserw.

- Bundy - zawylałam - mój ukochany! Chodź tu! Nikomu cię nie oddam!

- Trzeba wezwać lekarza - orzekł posepnie pułkownik.

Słabo pamiętam, co było dalej. Migrena po prostu eksplodowała w mojej głowie, grzebiąc resztki rozumu. Obrzydli domownicy krzatali się wokół mnie, wywołując coraz to nowe i nowe ataki złości.

- Wyjdźcie - błagałam, przyciskając do siebie Hootchusia - wynoście się wszyscy! Nie chcę was widzieć, jutro wyjadę razem z psami!

Nienawidzę was, nienawidzę! Hootchuś! Bundy!

Skądś, jakby z mgły, wynurzyła się twarz Oksany, przede mną stanął obcy mężczyzna. Jego obrzydliwie grube wargi poruszały się bezdźwięcznie. Potem do moich uszu dotarł głos Oksany:

- Coś ty jadła? Albo piła? Odpowiadaj natychmiast!

Popełzłam w najdalszy kąt łóżka, mocno przytulając Hootchusia. Jaki Oksana ma ohydny głos: piskliwy, natrętny. A ta nieprzyzwoita ciekawość! Co jadłam, co piłam! A co ją to obchodzi?

- Szybko, mów! - Ksiuta szarpnęła mnie za ramię.

Omali się nie udusiłam! Od Oksany zajeżdżało potem i okropnymi perfumami!

- No już!

- Psie konserwy - rzuciłam i zapadłam w sen. Obudziłam się, kichając. Usiadłam, zapaliłam lampkę i ze zdziwieniem ujrzałam na kanapie przysypiającą Oksanę. Przyjaciółka miała na sobie dzinsy i sweter. Zupełnie zaskoczona przeniosłam wzrok na zegarek: punkt ósma rano. Co tu robi Ksiusza? Czasem zostaje u nas na noc, ale śpi wtedy w pokoju gościnnym. Nigdy nie kładzie się w moim pokoju, do tego jeszcze w ubraniu.

W tej chwili mój wzrok zatrzymał się na Hootchusiu. Boże, jak ja kocham tego psa! Natychmiast zakreśliło mi się od wspomnień w głowie. Wczoraj urządziłam domownikom dziką histerię. Dlaczego?

Nagle Oksana usiadła i zapytała:

- No i jak tam?

- W porządku - odparłam ostrożnie, zauważając, że moja najlepsza przyjaciółka wygląda koszmarnie: skóra ziemista, sińce pod oczami, zbyt długi nos, za to włosów na głowie praktycznie nie ma. Boże, jaka brzydula! Ksiuta usiadła.

- No to opowiadaj.

- O czym?

- O wszystkim!

- Jakie ty masz prawo...

- Aha, jasne - Oksana kiwnęła głową. - Co piłaś? Albo jadłaś?

Nagle ogarnęła mnie apatia.

- Sałatkę „Cezar” w barze.

- A co w niej było?

- Nigdy nie próbowałaś tej sałatki? - skrzywiłam się. - Liście sałaty, białe mięso kurczaka, grzanki i sos śmietanowy, w niektórych restauracjach zamiast niego dodają majonezu, przez co potrawa staje

się niejadalna!

- Nieraz jadłam „Cezara” - odpowiedziała Oksana spokojnym tonem - ale nie w tym rzecz. Piłaś coś może?

- Świeżo wyciśnięty sok z jabłek i selera, ale przygotowywano go na moich oczach.

- Co jeszcze?

- Nic.

- Przez cały dzień?

- Uhu.

- Trudno byłoby powiedzieć, że jesteś obżartuchem - westchnęła Oksana. - Postaraj się sobie przypomnieć, może coś się zdarzyło... Może ktoś ci podał jakąś tabletkę albo kropelki?

- Po co? - zapytałam ostrożnie, odsuwając się od Ksiuty. - Nie podchodź do mnie za blisko.

- Dlaczego? - surowo zapytała Oksana i przysunęła się, prawie mnie dotykając.

Omam się nie zakrztusiłam zapachem potu i szybko zmrużyłam oczy, żeby nie widzieć jej twarzy.

- Dlaczego? - powtórzyła ta, którą uważałam za swoją najlepszą przyjaciółkę. - No, otwórz oczy.

Posłusznie podniosłam powieki i wypaliłam zniechęta:

- Jesteś obrzydliwa i nie myjesz się!

Oksana podeszła do okna, usiadła w fotelu i zapytała:

- Ano powiedz, ile lat się znamy.

- Straszna sprawa! Ludzie tak długo nie żyją!

- Dlaczego nigdy wcześniej nie robiłaś mi uwag na temat mojego niechlujstwa?

Zastanowiłam się.

- No bo... nigdy tak nie pachniałaś! Oksana kiwnęła głową.

- Otóż to. Jestem chirurgiem, biorę prysznic co najmniej dwa razy dziennie, a czasem trzy i cztery razy, dobrze o tym wiesz. Specjalnie się nie zmieniałam. Oczywiście, nie jestem piękną, nos mam za długi, oczy może zbyt blisko osadzone, ale do wczoraj nie zwracałaś na to uwagi. Więc o co chodzi?

- Właśnie - odparłam zakłopotana.

- I co stało się dwanaście godzin temu, bądź tak uprzejma i powiedz. Chwilę milczałam, w końcu wyjęłam z torebki pustą fiolkę.

- To.

- Co to jest?

- Nie wiem, ale wypiliśmy czerwoną ciecz, dwa razy. Za pierwszym razem podziałało wspaniale, migrena przeszła w mgnieniu oka, a za drugim zaczęło się to diabelstwo.

Oksana obróciła w rękach fiolkę, powąchała ją, następnie zamknęła drzwi na klucz i powiedziała:

- Teraz opowiadaj absolutnie wszystko.

- Dobra - kiwnęłam głową, czując się jak mała dziewczynka, stojąca przed zirytowaną babcią - tylko mnie nie wydaj.

- Zaczynaj - ponagliła mnie Ksiusza.

Jeśli ktoś umie człowieka słuchać, to są to milicjanci i lekarze, Oksana ani razu mi nie przerwała, tylko od czasu do czasu kręciła głową.

- No wiesz co! - powiedziała, kiedy zamilkłam. - W głowie mi się to nie mieści! Po co wzięłaś próbkę?

- Chciałam mieć lekarstwo na migrenę!

- Ależ z ciebie idiotka! - nieoczekiwanie ryknęła Oksana. - Na statywie mogło stać wszystko!

- Kolor był czerwony.

- No i co z tego?

- To, że parę minut wcześniej wypiliśmy ciecz takiego samego koloru, więc pomyślałam sobie...

- Brak mi słów - westchnęła Oksana - jasne jest jedno, twoje dziwne zachowanie było wynikiem działania nieznanego specyfiku, najwyraźniej psychotropowego, bo w niepojęty sposób zakochałaś się w Hootchusiu, a zniecierliłaś cały świat.

- Nie wydaje ci się, że pleciesz bzdury? - zapytałam ostrożnie.

- Wygląda to fantastycznie. - Przyjaciółka pokiwała głową. -Ja o takich medykamentach nic nie słyszałam. Z drugiej strony... z człowiekiem można zrobić wszystko. Weźmy choćby „surowicę prawdy”.

- A co to takiego?

- Mechanizmu działania nie mogę ci wyjaśnić - wzruszyła ramionami Oksana - w każdym razie po wstrzyknięciu tego lekarstwa człowiek absolutnie traci wolę i zaczyna opowiadać o sobie wszystko, nawet to, co zwykle starannie ukrywa. Wiem, że agenci KGB stosowali ten środek w czasie przesłuchań. W ogóle w KGB mieli laboratoria, przeprowadzali tam różne doświadczenia, eksperymenty... Może uczeni spreparowali też i to zielsko, które wypijaś.

Stopniowo zaczynał docierać do mnie koszmar całego zajścia.

- I teraz do końca życia będę nienawidziła swoich domowników?!

- Mam nadzieję, że nie - odparła posępnie Ksiuta. - Dobra, podaj mi nazwę laboratorium, adres, no i powtórz nazwisko kierownika. Sprawdzę, co oni tam robią. Dobrze, że poszłaś do instytucji związanej z lekami. To w zasadzie moje środowisko, na pewno odnajdę tam znajomych, którzy wszystko wygadają! Całe szczęście, że nie poszłaś do instytutu naukowo-badawczego, gdzie zajmują się benzyną albo lakierem do podłóg. Tam byłoby mi trudniej znaleźć informatorów! Wkurzyłam się niemiłosiernie.

- Nigdy bym nie wypijała produktu ropopochodnego! Oksana krzyknęła znacząco.

- Po tobie można się spodziewać wszystkiego, nawet tego, że wypijesz rozpuszczalnik.

- Czy ja wyglądam na idiotkę?

- Zdecydowanie!

Czarna fala złości zaczęła wzbierać w mojej głowie. Ogromną siłą woli uspokoiłam tsunami, powtarzając sobie w duszy: „Spokojnie, spokojnie. Oksanka chce pomóc. Jest dobra, kocham ją, to moja najlepsza przyjaciółka. Wcale nie ma długiego nosa i w końcu można głęboko nie oddychać w jej obecności”.

Ale to przecież koszmar! Teraz już nigdy nie będę wiedziała: czy rzeczywiście denerwuje mnie człowiek, czy też w moim organizmie zbiesiła się chemia?

- A ja i tak ucieknę! - usłyszałam krzyżącą na parterze Lenkę. Potem słychać było głucho uderzenia, pisk, tupot... Spojrzałyśmy z Oksaną po sobie i wybiegłyśmy na schody.

W salonie siedziała nieznajoma para. Mężczyzna na oko miał ze czterdzieści pięć lat, kobieta może trochę mniej. Oboje byli dobrze ubrani i robili sympatyczne wrażenie. Obok stał Diegtiarow.

Zdrzyłam się: pułkownik nie jest w pracy? To dziwne, zwykle o tej porze siedzi w swoim gabinecie, całkowicie ignorując to, jaki jest akurat dzień tygodnia: środa, piątek, sobota czy niedziela. Nie zdążyłyśmy z Oksaną zapytać, co się stało, kiedy z kanapy rozległ się histeryczny pisk:

- Nie pójde z nimi, możecie mnie zabić!

W kacie sofy siedziała wciśnięta w poduszkę Lenka. Oczy jej płonęły mrocznym ogniem, usta miała mocno zaciśnięte, dłonie zwinięte w pięści.

- Co tu się dzieje? - zdziwiłam się.

- To Wiktor Iwanowicz i Anna Andriejewna Kalitinowie -wyjaśnił pułkownik.

- Dzień dobry - ukloniła się para.

- Dzień dobry - odparłam z rezerwą.

- Przyjechali po Lenkę.

- Za nic w świecie nie pójde - wyrzuciła z siebie dziewczynka.

Szybko usiadłam na kanapie i objęłam ją za ramiona. Lenka straszliwie pachniała potem.

- Nie denerwuj się, nie oddamy cię do sierocińca. Zaraz się porozumiemy z przedstawicielami właściwych organów i na pewno pozwolą ci zostać... Chwileczkę, a skąd ci państwo dowiedzieli

się, że Lenka jest tutaj?

- To ja ich znalazłem - poinformowałem z całym spokojem Diegtiariow. Znow poczułem przypływ złości.

- A kto cię o to prosił, co?

- Wiktor i Anna są rodzicami Leny.

- Przecież podobno żyje tylko matka - wymamrotałem zmieszana.

Mężczyzna poczerwieniał, ale nic nie powiedział, a ja, przypomniawszy sobie w jednej chwili opowieść Lenki, krzyknęłam, zwracając się w jego stronę:

- Czyli pan jest jej ojczymem! Tym łajdakiem, który zabił psa Almę?! To jasne, dlaczego dziecko nie chce z wami mieszkać! Nie oddam jej! Wygnali bidulkę na ulicę, zmusili do żebrania, a teraz się zjawiają! Wynoście się stąd!

Wiktor i Anna spojrzeli po sobie.

- Alma jest cała i zdrowa - cicho powiedziała matka Leny - a Wiktor nie jest ojczymem Leny, tylko rodzonym ojcem. Przyjechaliśmy z Petersburga, tam mieszkamy i pracujemy na uczelni. Witia jest profesorem, ja doktorem habilitowanym.

Opadła mi szczeka.

- Co takiego?

- Mamy troje dzieci - włączył się do rozmowy Wiktor - Maksima, Andrieja i Lenę.

- Złote chłopaki - podjęła wątek Anna - skończyły studia, jeden pracuje, drugi jest na stażu asystenckim, a Lena...

Zamilkła, Wiktor westchnął ciężko.

- Nie daj Boże nikomu!

- Bydlaki - burknęła Lenka - mendi, i tak ucieknę.

- Od dziesiątego roku życia ucieka - wyjaśnił ojciec - nie ma na to żadnej rady. Prawdę mówiąc, nie rozumiemy, o co chodzi, wsiada do pociągu i znika. Dołącza do grupy bezdomnych, wałęsa się z nimi, pali, pije, szczęśliwie nie kłuje się.

- Rzeźączki nabawiła się, mając jedenaście lat - pokiwała głową Anna. - Sami nie wiemy, co robić z tym dzieckiem.

- Byliśmy już i u psychologa, i u psychiatry - wyjaśniał dalej ojciec - ale nic to nie dało. Poprzednim razem przepadła na pół roku, znaleźliśmy ją w Puszkynie, na daczce jednej podstarzałej aktorki, nakłamała jej o swoim dzieciństwie, ile wlezie, że była straszliwie bita, głodzona, nie miała ubrań...

- A przecież ma wszystko - oburzył się Wiktor - wzięliśmy korepetytorów do każdego przedmiotu, żeby tylko chciała się uczyć, ale nie! Znow uciekła, teraz znaleźliśmy ją u pani.

- A co najdziwniejsze - cicho powiedziała Anna - że najpierw tuła się po dworcach, a potem znajduje przyzwoitych ludzi i u nich zachowuje się nienagannie! Ta aktorka zapisała ją do szkoły! I co pani myśli? Lena wspaniale się uczyła, po prostu anioł, a nie dziecko. Kiedy przyjechaliśmy po nią, staruszka się nawet popłakała, tak polubiła Lenkę. No i dlaczego u obcych to jest złote dziecko, a w domu nie można sobie z nią poradzić?

- Dlatego że jesteście nienormalni - wrzasnęła Lenka - myślicie tylko o pracy! Z wami się nie da nawet porozmawiać! Rano się budzę, a na stole leży kartka: „Jedzenie na kuchni, wrócimy późno”. Przychodzę ze szkoły - nikogo nie ma, wieczorem kładę się spać - nikogo nie ma. A rano znow leży kartka. I zgaduj-zgadula, czy to wczorajsza zapomnieli zabrać, czy już nową naskrobali.

Wiktor i Anna jednocześnie unieśli brwi.

- Ale przecież zarabiamy pieniądze - powiedziała matka.

- Maksim i Andriej też siedzieli sami - odezwał się ojciec - a wyrosli na normalnych ludzi.

- To spryciarze - cedziła Lena przez zęby - dwulicowe dranie, kiedy wyście harowali w pracy, oni nieźle rozrabiali! Już ja wiem swoje!

- To dlaczego nam nic nie mówiłaś? - zdziwiła się Anna.

- Bo mnie tłuikli!

- Znowu kłamie. - Wiktor westchnął.

- Co mamy robić - Anna omal się nie rozplakała - jak sobie z nią poradzić?

Z zakłopotaniem przenosiłam wzrok z rodziców na córkę. Komu wierzyć? Właściwie opowieść Anny i Wiktora brzmi prawdziwie, ale i Lenka jest bardzo przekonująca!

Najwyraźniej wszystkie te wątpliwości miałam wypisane na twarzy, bo Aleksander Michajłowicz „milicyjnym” głosem oświadczył:

- Rodzice nie kłamią.

- A skąd to wiadomo? - krzyknęłam. Diegtiariov westchnął.

- Wiem to, uwierz mi, wiem. Dziewczynka powinna wrócić do domu, do Petersburga, najlepiej umieścić ją w prywatnej szkole z internatem dla trudnych dzieci. Są takie szkoły w Petersburgu. Jeśli państwo chcą, mogę się dowiedzieć o szczegóły.

- Bardzo prosimy - powiedział Wiktor błagalnym głosem -nie będziemy żałować pieniędzy, byleby tylko Lenkę przypilnowali, może wyrośnie z tego, poprawi się.

- Całkiem możliwe - przytaknął pułkownik bez entuzjazmu.

- A ja i tak ucieknę - odparła blada jak ściana Lenka.

Czas do obiadu spędziłyśmy z Oksanką na rozmowie z dziewczynką i osiągnęłyśmy wątki, jak to się teraz modnie nazywa, konsensus. Lena pojedzie z rodzicami do Petersburga i spróbuje zachowywać się normalnie. Jeśli jednak poczuje, że coś znów ją ciągnie w drogę, to nie dołączy do gromady bezdomnych, tylko przyjedzie prościutko do nas, ojciec i matka obiecali jej nie zatrzymywać. Potem Oksana pojechała, a ja spróbowałam wbić do głowy Wiktorowi i Annie, że zarabianie pieniędzy nie jest podstawowym celem, jaki stoi przed rodzicami, że z dziećmi trzeba choćby z rzadka porozmawiać. Dobrze, może nie codziennie, ale chociaż z godzinę tygodniowo! Jednak, prawdę mówiąc, nie osiągnęłam wielkiego sukcesu.

- Łatwo pani mówić - Wiktor zagryzł wargi, oglądając nasz salon - pani nie ma żadnych problemów materialnych. A my musimy zdobywać pieniądze, my ich nie pompujemy rurociągiem naftowym.

Spodziewałam się, że zaraz złość zacznie mnie dusić, tymczasem zaś zupełnie spokojnie potraktowałam ich aluzje, że majątku dorobiłam się na handlu surowcami naturalnymi naszej ojczyzny. A przytulając Lenkę na pożegnanie, nie miałam dreszczy. Nos wychwycił tylko delikatny zapach mydła i dezodorantu. Tajemnicze lekarstwo tak samo nieoczekiwanie przestało działać, jak zaczęło.

Rozdział 25

Ucieszyłam się, że znów jestem normalna, i pobiegłam na dół. Zegar wskazywał wpół do czwartej, zdażę więc jeszcze pojechać na dworzec i znaleźć tam niejakiego Dime o eleganckiej ksywce Pięść.

Kiedy skręciłam na obwodnicę MKAD, zadzwoniła komórka. Bardzo nie lubię rozmawiać przez telefon, siedząc za kierownicą. Będąc obywatelką respektującą przepisy, kupiłam urządzenie zwane „Hands free”, więc w rękach trzymam kierownicę, a nie słuchawkę, ale mimo wszystko człowiek skupia uwagę na rozmówcy, co może stać się przyczyną kolizji.

- Czy mogę rozmawiać z Daszą? - usłyszałam poprzez jakiś trzask.

- Słucham.

- Dostałam pani numer od Liki... Zaparkowałam na poboczu.

- Bardzo mi miło.

- Lika powiedziała, że za tę informację nie pożałuje pani stu dolarów.

Zaniepokoiłam się.

- Czy coś się stało?

- No, właściwie... tak!

- Coś złego?

Co za idiotyczne pytanie! Oczywiście, że coś złego, chociaż co może być gorszego od tego, co już się przytrafiło Lice? Co może być straszniejszego od więzienia i fałszywego oskarżenia o morderstwo?

- Coś niezbyt dobrego - zasyczał głos w słuchawce.

- Czy ona żyje? - spytałam wystraszona.

- Tak.
- Miała wylew?
- Nie, pani kuzynka jest zdrowa.
- No więc co? - krzyknęłam. - Co?
- Niech pani przyjedzie, to opowiem.
- Dokąd?
- Dziewiąta Parkowa. - Kobieta zaczęła monotonnym głosem dyktować adres.

Zapуściłam silnik i przeklinając korki, pośpiesznie pojechałam do Izmajłowa.

Coraz częściej żałuję, że mieszkam w tak ogromnym mieście, w zapchanej do niemożliwości samochodami metropolii. O Boże, w małym miasteczku mieszkańcy mają o wiele więcej wolnego czasu, z pewnością w pół godziny zdążą dotrzeć z jednego osiedla na drugie. Ja już teraz straciłam niesamowitą ilość czasu, stojąc w korkach na wszystkich magistralach, zgłupiałam od dziarskiego Rosyjskiego Radia, przełączyłam się na Chanson, ale usłyszałam zupełnie niemuzykalne chrypienie jakiegoś kryminalisty, i znów uciekłam na poprzednie fale. W moim rozumieniu chanson, słowo pochodzące od francuskiego czasownika „śpiewać” - to piosenka miejska. We Francji przedstawicielami tego gatunku byli Yves Montand, Charles Aznavour, Edith Piaf. Wykonywali proste piosenki dla zwykłych mieszkańców miast na odwieczne tematy miłości, zazdrości, zdrady i rozłąki. W Rosji tym terminem - chanson - oznacza się nie wiadomo czemu folklor więzienny, trzy „kryminalne” akordy, nosowe wycie na temat utraconej młodości, spędzonej za drutem kolczastym. Bidulek-więzień poci się przy wyrębie lasu i wspomina matkę staruszkę, piękną żonę i ukochanego syneczka. Bard chrypi z radia, a cały kraj płacze. Ale mnie nie pozwalają się wzruszyć proste refleksje. Pierwsza: dlaczego facet trafił do obozu, co? Mało prawdopodobne, że szedł ulicą i biedaka napadli, złapali, związali... Dzięki Bogu, dawno minął rok trzydziesty siódmy. Raczej pewnie dopuścił się rozboju, no i za to dostał wyrok. Druga: czy pamiętało to indywiduum o matce staruszce, pięknej żonie i ukochanym syneczku, kiedy było na wolności? Mam spore wątpliwości, bo jeśli ktoś troszczy się o swoich bliskich, to stara się nie zadawać im bólu. Chociaż zdarzają się pomyłki, choćby Lika została skazana za przestępstwo, którego nie popełniła. Tylko że podobne sytuacje należą do rzadkości, a jak się wsłuchać w rosyjski gatunek chanson, to człowiek ma nieodparte wrażenie, że w obozach i więzieniach siedzą sami niewinni ludzie, Ale, obywatele, to nie tak! Większość trafiła za karty za nieczyste sprawy i nie wolno idealizować złodziei, morderców i gwałcicieli.

Drzwi otworzyła mi niemłoda, ociężała kobieta.

- Jestem Dasza.
- A ja Kława - uśmiechnęła się tamta radośnie. - Trafiłaś bez problemu? Wejdz, wejdz.
- Bardzo dokładnie pani wszystko opisała.
- Chodźmy, zrobię herbaty. Przyniosłaś pieniądze? Wyjęłam portfel i dałam babce sto dolarów. Schowała banknot w kieszeni spranego fartucha i powiedziała:
- Lika jest w areszcie.
- Wiem.
- Skąd?
- Została skazana i wysłano ją do obozu, byłam u niej na widzeniu, zawiozłam jej paczkę żywnościową, niedługo znów pojedę.
- Nie zrozumiałaś. Lika była w obozie, a teraz znów trafiła do aresztu śledczego, przywieźli ją do Moskwy.
- Dlaczego?
- Napadła na strażniczkę, chciała babę udusić, ledwo udało się ją powstrzymać. Założyli jej nową sprawę.
- Co? - wyszeptałam. - Nie rozumiem. Kława westchnęła głęboko.
- A co tu jest do rozumienia! Lika szła do biblioteki, a po drodze napadła na funkcjonariuszkę kolonii karnej. I skąd miała tyle siły? Powaliła babę na ziemię, zaczęła ją dusić, normalnie jakby w nią

diabeł wstąpił. Dobrze, że zauważono bójkę i odciągnięto Likę, boby pewnie ukatrupiła kobietę.

Byłam w stanie tylko mrugać oczyma z wrażenia. Lika napadła na funkcjonariuszkę kolonii? Przecież to absurd! Likunia jest głośna, gadatliwa, krzykliwa, ale łagodna jak baranek. Może od przebywania za kratkami pomieszało jej się w głowie?

- A jeszcze na nieszczęście - kręciła głową Kława - strażniczka okazała się nie zwykłą szeregową funkcjonariuszką, tylko synową naczelnika obozu. W tej miejscinie panuje bezrobocie, więc naczelnik załatwił pracę całej swojej rodzinie! Tak, że będzie chciał umoczyć Likę jak złoto, kombinuje numer z ucieczką. Że niby to Lika chciała zwać, a synowa jej w tym przeszkodziła. Więc osadzona wpadła w szal i miała zamiar zabić! Wyobrażasz sobie, co się tu kroi?

- No i co teraz będzie? - zapytałam zmartwiałymi wargami.

- Ano nic dobrego. - Kława skrzywiła się. - Dowala jej dziesięć lat jak nic, poważnie się wzięli do sprawy, nie będą jej prowadzić na miejscu, przerzucili papiery aż do Moskwy. Lika prosiła, żeby ci podrzucić gryps, masz.

Wsunęła mi do ręki cienką rurkę, oklejoną polietylenem. Palcem rozerwałam cienką, lepłą taśmę. „Dziękuję. Zapomnij o mnie. Lika”.

- Jak ten list do ciebie trafił? - rzuciłam się na Kławę.

- Pracuję w areszcie.

- Jako kto?

- Kontroler.

- To tam się bilety sprawdza? - Byłam szczerze zdziwiona. Kława się roześmiała.

- O Boże, no nie, oczywiście. Zajmuję się czymś zupełnie innym, mam niewielką pensję, więc muszę dorabiać, czasem noszę grypsy, no i jeszcze różne tam takie, po trochu. Jestem uczciwą kobietą, z bronią, gazoleniem i ćpaniem nie mam nic wspólnego.

- Ale po co Lika na nią napadła! - W żaden sposób nie mogłam się uspokoić.

- A kto to wie. - Kława wzruszyła ramionami. - Brak wolności doprowadził ją do tego stanu, w obozie jest ciężko. Nawet jak człowieka nie biją, nie znęcają się, mimo wszystko trudno to znieść. Obóz to obóz, przeklęte miejsce.

Chwyciłam Kławę za ramię.

- Zorganizuj mi widzenie z Liką.

- Mogę, pewnie... Ale widzonko nie przeze mnie, kto inny się tym zajmuje. A w dodatku, przeciwko Lice toczy się teraz postępowanie, czyli zgodę może dać tylko sędzia śledczy.

- No to nie uda mi się zobaczyć Liki?

- Dlaczego nie? Zorganizuję wszystko, ale trzeba będzie drogo zapłacić - ze trzysty dolarów wezmą. Co najmniej.

Wyjęłam zielone banknoty.

- Weź i daj komu trzeba.

- Dobra - zgodziła się Kława. - Nie wyłączaj swojej komórki.

Zadzwoń i powiem ci, gdzie masz jutro być. Najprawdopodobniej załatwię widzenie na dwunastą.

Umówiliśmy się z Kławą i pojechałam na dworzec. W głowie miotały mi się szalone myśli. Co się stało z Liką? Dlaczego zaatakowała funkcjonariuszkę? Likusia jest histeryczką. Nie zdziwiłabym się, słysząc, że powybiła szyby w baraku, no bo nie mogła opanować swego wybuchowego temperamentu i dała upust emocjom. Chociaż mam nieodparte wrażenie, że w obozie Lika siedziała raczej jak mysz pod miotłą. W czasie naszego spotkania wyglądała na bardzo przestraszona, przygnębiona i ze wszystkich sił starała się zachowywać zgodnie z regulaminem. Kiedy do pokoju, w którym odbywało się nasze spotkanie, zajrzał jakiś żołnierz, Lika momentalnie zerwała się z krzesła i zaraportowała żywo:

- Twierdochlebowa, piąty oddział, mam pozwolenie na widzenie.

Czyli nienaganie przestrzegała wszystkich zasad, mając nadzieję, że dobrym sprawowaniem zasłuży na przedterminowe zwolnienie. Nie, przecież Lika nie mogła napaść na kobietę w mundurze! To już lepiej

wziąć sznur, pójść do toalety... Albo spróbować podciąć sobie żyły, ale rzucać się na funkcjonariuszkę obozową!...

Na placu przed dworcem kipiało burzliwe życie. Doszłam do przejścia podziemnego i zapytałam staruchę trzymającą w rękach skarpetki robione na drutach:

- Babciu, gdzie jest Dima Pięść? Staruszka przymrużyła chytre oczka.
- Że niby kto?
- Dima.
- Jaki?
- Pięść.
- Z takim nazwiskiem nikogo, córeńko, nie znam.
- To ksywa, Pięść.

Babusia wsunęła skarpetki do torby.

- A idźże sobie stąd, jak nic nie chcesz kupować. Ot, wymyślają ludziska z nudów nie wiadomo co! Pięść!
- On panią ochrania.
- Mnie?
- No, wszystkich tutaj... Staruszka chrząknęła.
- Ot, powiedziała, co wiedziała! Tu sami zdziery, tylko patrzą, co człowiekowi zabrać!

Rozumiejąc, że nic ze staruchy nie wyduszę, zwróciłam się do drugiej i znów spotkałam się z absolutną niechęcią do udzielania jakichkolwiek informacji o młodzieńcu. Obeszłam cały zastęp staruszek i udałam się do wejścia na stację metra; tam natknęłam się na smagłą kobietę w nieokreślonym wieku, zamotaną w jakieś kwieciste szmaty, i poprosiłam ją:

- Niech mi pani pomoże znaleźć Dimę, ksywa Pięść, on tu pilnuje porządku.

Uciekiniarka wciągnęła głowę w ramiona i zabełkotała coś niezrozumiale.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałam. Kobieta podniosła na mnie ciemne oczy.
- Ruski nie. Moja nie znać. Daj pieniędzy, dziecko mam chore. - Ostatnie zdanie wypowiedziała poprawnie po rosyjsku, bez akcentu. Stałam chwilę zakłopotana, w końcu podeszłam do postoju taksówek, rozejrzałam się wkoło, zobaczyłam grupkę bezdomnych i podeszłam do nich.

- Chłopaki, gdzie Pawłucha?
- Liliput, tak? - upewnił się ochryplym głosem chłopaczek w brudnej pasiastej czapce.
- Tak - ucieszyłam się - taki malutki.
- Ty go znasz? - chciał wiedzieć chłopaczek.
- I to bardzo dobrze. Mieszka tu niedaleko, z ojcem alkoholikiem, Lenkę widziałam, jego... e... dziewczynę.
- Lenki już nie ma - pociągnęła nosem dziewczynka w podartym, niegdyś beżowym palcie - nie wiemy, gdzie się podziała.
- Nie jej szukam, tylko Pawłuchy.
- To szukaj sobie dalej. - Chłopaczek w czapce splunął i odwrócił się.

- Ale gdzie? - upierałam się.

- A po co ci on?

- Chciałam mu dać zarobić!

Chłopaczek obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, na jego twarzy pojawił się cyniczny uśmiezek.

- Pod zły adres trafiłaś, idź tam, gdzie to zielone ogrodzenie.
- Pawłucha tam jest?
- Znajdziesz tam, co trzeba - rzucił chłopak niechętnie. Ucieszyłam się i pobiegłam we wskazanym kierunku. Koło ogrodzenia stał chłopak, może dwudziestopięcioletni. Wyglądał jak kłoc ubrany w skórzaną kurtkę.
- Przepraszam, gdzie mogę znaleźć Pawłuchę? Młodzian obmacał mnie lepkiem wzrokiem.
- O Pawlika pytasz?
- Tak.

- Chodźmy.

Przeszliśmy przez dziurę w ogrodzeniu i znaleźliśmy się przy namiocie, w którym sprzedawano szaszłyki.

- Ahmed - krzyknął mój przewodnik. - Ktoś szuka Pawlika!

Z namiotu wyszedł mężczyzna o wyrazistej wschodniej urodzie. Ciemne oczy, lekko kręcone włosy, intensywnie pokryte żelazem, błyszczące, jak skórka pieczonego kurczaka. Okrągłe piwne oczy patrzące zuchwale, na ustach uprzejmy uśmiešek.

- Prosi, prosi, już - zahuczał basem - Pawlika zaraz będzie.

Weszłam do środka i znalazłam się we wschodnim królestwie. Podłogę pokrywał przetarty dywan, pod ścianą stała wielka kanapa, z niewidzialnego głośnika dobiegał smętny śpiew: Ja habibi...

- Masz Pawlik - gospodarz wskazał ruchem głowy w stronę mniej więcej dwunastoletniego chłopaka, siedzącego na sofie. -Bardzo dobry, berz sobie.

Małolat zwrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się. Jego kasztanowe włosy były świeżo umyte, ubranie odprasowane, buty wyczyszczone. Wcale nie wyglądał na brudnego włóczęgę, raczej na dziecko, które rodzice zabrali z wizytą. Koło niego pólleżała dziewczynka, chyba siedmioletnia, wykapana lalka Barbie: burza blond kędziorów, mocno umalowane oczy, usteczka również, sukienka ozdobiona koronkami i kokardami.

- Berz - powtórzył gospodarz. - Ile godzina?

Dopiero teraz do mnie dotarło, że jestem u sutenera, a te małoletnie dzieciaki zajmują się prostytutką.

- Nie. - Cofnęłam się do drzwi. - Szukam innego Pawlika, takiego małego.

- Mniejszy nie ma - gospodarz rozłożył ręce - a dlaczemu kochana ten niedobry? Po co ci mały? Co z nego masz? Mój to mężczyzna! Berz, nie pożałujesz! On prawdziwy dżyggit!

Ale ja już biegłam do dziury w ogrodzeniu. Sutener spacerujący po jego drugiej stronie nie odezwał się. Nogi same mnie niosły na plac. No i co teraz powinnam robić? Pójść na milicję i powiedzieć, że tutaj, w centrum miasta, stręczy się nieletnich do uciech seksualnych? Strażnicy prawa i porządku dobrze o tym wiedzą!

- Ej, pani! - Ktoś szarpnął mnie za kurtkę. Odwróciłam się, a dziewczynka w podartym beżowym palcie zapytała:

- A jaka to była praca dla Pawłuchy?

- Wiesz, gdzie on jest?

- No!

- To bądź tak miła i zaprowadź mnie tam.

- A dobra ta praca?

- Trzeba powiedzieć dwa słowa i można zarobić dziesięć dolarów.

Dziewczynka skuliła się.

- Fajnie. Pawłucha jest w szpitalu.

- Co? - odsunęłam się.

- Ojciec go pobił - spokojnie wyjaśniała dziewczynka. -Podźgał go nożem, normalka. Może ja zarobię tych dziesięć dolców?

Oparłam się plecami o ogrodzenie. Boże, co się dzieje na tym świecie? Nieletnie prostytutki, ojcowie maltretujący własne dzieci, małe dziewczynki, uciekające od normalnych rodziców...

- No - mała znów szarpnęła mnie za rękaw - to jak będzie? Z trudem przyszedłam do siebie i zapytałam zmęczonym głosem:

- Znasz Dime, ksywka Pięść?

- Yhy.

- Gdzie go znajdę?

- Tutaj.

- Gdzie?

- I to wszystko? Pokażę Dime i dostanę kasę?

- Możesz być pewna.

- No to chodźmy. - Dziewczynka zachęciła mnie ruchem dawno nieczesanej głowy.

Doszliśmy do przejścia podziemnego, gdzie przebiegła wzrokiem kłębiący się tłum, po czym wskazała palcem ponurego osobnika w

krótkim rudym kożuszk.

- No! Teraz dawaj forszę.

Przyjrzałam się chłopakowi i od razu go poznałam. To był ten sam ochroniarz, który miał za zadanie obserwować mnie, kiedy bawiłam się w żebraczkę. Od tego punktu zaczęłam śledztwo i kółko się zamknęło - znalazłam się tu z powrotem.

Rozdział 26

Dima ponuro wlepił we mnie swoje błękitne oczy. Na pozór chłopak wydawał się bardzo sympatyczny, nawet ładny: regularne rysy, gładka skóra... Ale czegoś w tej twarzy brakowało, po chwili zrozumiałam czego - brak było śladów choćby najmniejszego wysiłku umysłowego.

- Dima! - krzyknęłam. - Dzień dobry!

- Czego chcesz?

- Przysłał mnie Borys Siergiejewicz! Pamiętasz, bawiłam się tu kiedyś w żebraczkę?

Na ustach chłopaka pojawiło się coś, co mogło przypominać uśmiech.

- No i co z tego?

- Zapewnił, że odpowiesz na wszystkie moje pytania.

- Dobra - zgodził się chętnie Dima.

- Chodź, może pójdziemy do kawiarni?

- A kto będzie płacić? - wolał się zawczasu upewnić chłopak.

- Ja stawiam.

- No to dobra, chodźmy do „Sbarro”. - Pięść ożywił się. - Tam jest bombowa pizza.

Usiedliśmy przy stoliku. Dima postanowił się nie rozdrabniać i przyniósł na tacy całą furę jedzenia: sałatkę, spaghetti bo-lognese, pieczywo czosnkowe, kawałek ciasta... ja się obeszłam jedną kawą cappuccino, która po pierwszym łyku bardzo mnie rozczarowała. Napój był ohydny, nie miał nic wspólnego z prawdziwą kawą, najprawdopodobniej po prostu zalano wrzątkiem zawartość papierowej torebki.

- No? - zapytał Dima z pełnymi ustami. Położyłam na stole fotografię.

- Znasz którąś z tych dziewczyn?

Dima w milczeniu wpatrywał się w zdjęcie.

- No, obu!

- Obie - poprawiłam go odruchowo.

- Że co?

Westchnęłam ciężko. Jednak belferskie nudziarstwo wylaździ z człowieka czasem zupełnie nie w porę. Obie, obu, a co to za różnica!

- Możesz podać ich imiona?

- Czarnulka to Aśka, była moją kochanicą - spokojnie informował Dima, odgryzając od razu pół grzanki czosnkowej -wpadła, tego, pod samochód...

- Nie żal ci jej? - Znów obudził się we mnie pedagog.

- Wszystko w rękach Boga - rozsądnie odparł Dima. - Dzisiaj jest człowiek, jutro go nie ma! Fajna dziewczucha była, nie żadna nudziara.

- A ta druga?

- Nastka, też całkiem całkiem, ale ta to była upierdliwa. Co ja się z nią namęczyłem w samochodzie! Całą drogę brzęczała: po coś się spryskał wodą kolońską...

- W jakim samochodzie?

- W mercu.

- Nastia miała mercedesa? - udałam zdziwienie.

- Nie...

- A mówisz, że jechaliście samochodem.

- No!

- Czyli miała go?

- Nie...

- Poczekaj chwilkę - poprosiłam i podeszłam do lady z pizzą.

Z Dimą można rozmawiać dopiero, jak się człowiek pokrzepi i nabierze sił. W odróżnieniu od kawy, drożdżowe ciasto obłożone pomidorami i serem było nad wyraz smaczne, szybko więc

przełknęłam kawałek i zachęciłam:

- Bądź uprzejmy i opowiadaj wszystko po kolei.
 - A to niby po co? - Pięść był czujny.
 - Borys Siergiejewicz kazał - znów skłamałam bezczelnie. - Powiedział tak: przekaż Dimie, że ma być absolutnie szczery.
 - No to skoro Borys Siergiejewicz kazał- natychmiast dał się przekupić ograniczony Dima - to w takim razie mogę.
- Nieprzerwanie powtarzając „eee”, kaszłąc, dłubiąc w nosie i pocierając potylicę, rozpoczął opowieść. Pokrótce sedno sprawy wyglądało tak.

Pewnego dnia, latem, Pięść nie pamięta którego, ale pamięta za to, że panował straszny upał, podeszła do niego Asia i obracając w rękach jakieś pismo, poprosiła:

- Słuchaj, Dima, masz ochotę zgarnąć trochę forsy?
- A co trzeba zrobić? - zainteresował się jej kochanek.
- Pomóc Nastce, mojej przyjaciółce, znasz ją, taka blondyneczka...
- A-a-a - załapał Dima - taka ślicznotka!

Asia trzepnęła go zwiniętym pismem po głowie.

- I nie myśl sobie! Ona ma kochankę, bogatego człowieka, profesora.
- No to po co jestem jej potrzebny, skoro z chłopem wszystko w porządku?
- O Boże - Asia przewróciła oczami - tobie tylko jedno w głowie! Trzeba poprowadzić samochód, mercedesa. Radzisz sobie z automatyczną skrzynią biegów? Zawieziesz Nastię w kilka miejsc!
- A co to za filozofia? Odpalam, i tego, zapieprzam!
- No dobra. - Asia kiwnęła głową. - Pojedziesz z Nastią jutro.
- Po co?

- Jej kochanek zachorował - wyjaśniała dziewczyna - i poprosił Nastię, żeby najpierw wybrała się na wesele przyjaciela profesora, a następnego dnia odwiozła jego siostrę. Nastia nie ma prawka, więc ty siądziesz za kółkiem. Dostaniesz od niej potem dwieście dolców. Na miejscu Dimy każdy zapewne miałby wątpliwości co do prawdziwości tych informacji. Chory kochanek prosi, by nieposiadająca prawa jazdy Nastia usiadła za kierownicą! Człowiek, który zarobił na mercedesa, nie może wynajmować kierowcy, tylko prosi o przysługę dziewczynę? Nawet dureń podejrzewałby, że ktoś go wodzi za nos! No tak, ale nie Dima.

Ten jakby nigdy nic się zgodził. Kwota dwustu dolarów wydała mu się całkiem zadowalająca za tak banalną usługę, do tego robota była wyznaczona na dni, kiedy miał wolne. Z weselem wszystko poszło jak po maśle, ale kiedy Dima drugi raz siedział za kółkiem mercedesa, były pewne tarcia. Gdzieś koło jedenastej rano przyjechał pod wskazany adres i spotkał Nastię na podwórzu przy czerwonym kabriolecie.

- Niezły wozik - pokręcił chłopak głową - prawdziwe cacuszko! Nastia nacisnęła brelok, ale merc nieoczekiwanie zawył, reflektory zaczęły mrugać. Dziewczyna zbladła jak papier.
- Ojej! - krzyknęła. - Ostatnio tak nie było.
- Nacisnąłeś nie tam, gdzie trzeba. - Dima odebrał jej kluczyki i wyłączył alarm.

Potem usiadł za kierownicą i zapytał:

- A twój chłop to co, nie większy od kury?
- Nie gadaj głupot! - zdenerwowała się Nastia. - Właśnie na odwrót, wysoki. Zresztą co cię to obchodzi?
- No bo siedzenie jest strasznie blisko kierownicy i wczoraj było tak samo - wysapał Dima, odsuwając fotel.
- Czasem jeździ nim jego siostra - spokojnie wyjaśniła Nastia - a ta rzeczywiście wygląda jak kura!

W tej samej chwili do mercedesa podbiegła rozjuszona baba i zaczęła coś wrzeszczeć.

- Jedź szybciej i naciśnij ten guzik, to podniesie się dach - rzuciła Nastia, szybko wsiadając do samochodu.

Dima przycisnął pedał gazu.

- Czego ona chciała?
- A cholera ją wie! - Piękność wzruszyła ramionami. - Że niby

obudziliśmy jej dziecko. Popieprzona idiotka.

Potem zamilkła i dodała:

- Nie lubię, kiedy od samego początku są jakieś problemy -a to alarm nagle zadziałał, a to ta kretynka podbiegła...

- Tak to bywa - rzekł filozoficznie Dima. - Idiotów wszędzie pełno.

Ja zresztą też nie lubię, kiedy mi, tego, pod oknem odpalają samochód, a mieszkam na parterze. Do dzikiego szału mnie to doprowadza! Ale już ich oduczyłem parkowania pod moją chatą.

- W jaki sposób? - zapytała Nastia od niechcienia.

- Chlusnąłem im na szyby puszkę farby - zarechotał Dima -dwa razy wystarczyło, żeby dotarło do nich, że tu nie warto stawiać samochodu, bo potem trzeba rznąć prosto do serwisu. Świetny sposób, polecam.

Nastia nawet się nie zaśmiała. Z jakiegoś powodu była bardzo zdenerwowana. Co prawda, na początku milczała, ale w końcu zaczęła kapryścić. Najpierw zabroniła Dimie palenia.

- Nawet nie próbuj dotykać fajek! - krzyknęła, widząc, że chłopak wyjmuje z kieszeni paczkę marlboro - bo smród zostanie!

- To ja, tego, otworzę okno - zaczął się buntować Dima.

- Nie - zaprotestowała Nastia. - Właściciel merca jest niepalący.

Zresztą dostaniesz dwieście doków, za taki szmal możesz wytrzymać. Dima westchnął, ale usłuchał. Wzmianka o szmalu wydała mu się przekonywająca. W końcu, kto płaci, ten ma rację. Następnie Nastia zwymyślała go z innego powodu.

- Aleś się spryskał tą śmierdzącą wodą kolońską! Po jaką cholere, pytam?!

- Ale ledwo co prysnąłem, po goleniu - próbował się tłumaczyć Dima.

- Pryskaj się, jak idziesz z Aśką do łóżka! - wściekała się Nastia.

- Teraz w samochodzie zostanie smród, a właściciel ma alergię.

Nie pozwoliła też włączyć radia. Kiedy Dima dowiózł upierdliwą dziewczuchę do stacji metra Sportiwnaja, pomimo włączonej klimatyzacji, był cały spocony.

- Co za suka - kręcił teraz głową - niby taka ładna, a rzygać się chce. I to jej źle, i tamto nie dobre! Aśka, chociaż pod względem

urody do pięt jej nie dorastała, to tego, przynajmniej charakter miała dobry, no, dlaczego wszystkie te ładne to takie zołzy, co? Milcząc, mieszałam łyżeczką w jasnobezowej cieczy, noszącej przez jakieś nieporozumienie nazwę „kawa cappuccino”. Cóż, nie wiem, czy Nastia była kapryśna. Tego dnia, kiedy wzięła bez pytania mercedesa Maliki Jusupowny, miała po prostu stracha, że właścicielka domyśli się, iż ktoś korzystał z samochodu. Większość przedstawicielek słabej płci natychmiast wyczuje zapach obcych perfum albo wychwyci w powietrzu ślady dymu papierosowego, tak więc obawy Nasti były całkowicie zrozumiałe.

Kiedy dojechali do stacji metra, Nastia najpierw została w samochodzie, a potem wyskoczyła i oddaliła się szybkim krokiem. Dima również wysiadł, żeby zapalić papierosa.

- Ej - usłyszał nagle krzyk Nasti - pomóż, no!

Chłopak odpowiedział na wołanie, podbiegł i zobaczył, jak Nastia i Asia podtrzymują jakąś kobietę. Nieznajoma leciała im przez ręce.

- Co ty tu robisz? - zwrócił się zdziwiony Dima do Asi.

- Potem sobie pogadacie! - nerwowo krzyknęła Nastia. - Lepiej zaciągnij tę babkę do samochodu. Kto by pomyślał, że będzie taka ciężka, jest przecież drobna.

- A bo tego, trup zawsze jest cięższy od żywego człowieka -wyjaśnił Dima.

Nastia drgnęła.

- Nie gadaj bzdur! Zasłabła w tym upale, zaraz ją zawieziemy do domu, to przyjdzie do siebie!

- A czy ja co mówię? Nic. - Dima wzruszył ramionami. Doholował nieznajomą do kabrioletu i wepchnął na tylne siedzenie.

- I dokąd pojechaliście? - zapytałam.

- No tego, zawieźliśmy tę babę do domu.

- Pamiętasz adres? Dima zasępił się.

- Gdzieś w okolicach Taganki, kamienica taka ciekawa, różowa, a balkony...

- ...zielone!

- Aha, a skąd pani wie?

Mój Boże, jak mogłabym nie wiedzieć, tyle razy byłam u Liki w domu! Czyli Nastia tam ją zawiozła.

- Wniosłem ją do mieszkania - ciągnął Dima, jak gdyby nigdy nic - i położyłem na kanapie.

- Poczekaj, a jak otworzyłeś drzwi?

- A co to za problem - uśmiechnął się Dima - zamki tam tandetne, palcem można otworzyć, ale Nastia miała klucze.

- Klucze?

- No tak. Wyjęła tej babce z torebki.

- To wszystko? Dima kiwnął głową.

- Yhy.

- A długo byłeś w mieszkaniu?

- Nie, parę minut. Pyrgnąłem babkę na kanapę, a Nastka mówi: „Spadaj do merca!”. No to poszedłem.

- A dalej?

- Nastka też niedługo wyszła, odwiozłem ją z powrotem, odstawiłem samochód na poprzednie miejsce, oddałem jej kluczyki, wziąłem dolce i poszedłem.

- A potem co?

- Nic, Aśka wpadła pod samochód, a z Nastką więcej się nie widziałem.

- Nie zdziwiło cię, że Asia zginęła?

- Nie, pewnie, tego, była zalana.

- Lubiła sobie pociągnąć?

- W ogóle nie piła.

Głupota Dimy zaczęła mnie denerwować.

- To dlaczego w takim razie uważasz, że akurat tamtego dnia Asia była pijana?

Dima otworzył szeroko niebieskie oczy.

- No bo kto na trzeźwo wlezie pod koła? A co, tak to panią ciekawi, czy Aśka przed śmiercią była dziabnięta?

- Prawdę mówiąc, tak. - Na wszelki wypadek kiwnęłam głową.

- To niech pani, tego, zapyta Rozkę.

- Kto to jest? - zdziwiłam się.

- Ichnia kumpelka.

- Czyja? - zapytałam, dławiąc w sobie chęć, by natychmiast go poprawić: „Zaimka ichnia nie używa się we współczesnym języku rosyjskim, należy powiedzieć: ich przyjaciółka”.

- No przecież Aśki i Nastki - wyjaśnił Dima. - Roza mieszkała z Aśką w jednej klatce, tyle że na parterze. Jak pani wejdzie, to jeich mieszkanie jest na lewo, tego, zaraz przy wejściu.

No i jeszcze to cudowne słowo „jeich”. Gdyby naszą rozmowę usłyszał profesor Rozental, autor kanonicznego podręcznika języka rosyjskiego, zapłakałby głośno z rozpaczy. Bardzo dobrze pamiętam, jak na wykładach nasz profesor oburzał się gwałtownie:

- Rosjanin niewładający językiem rosyjskim to jakiś nonsens. Dobrze, że profesor nie dożył czasów, kiedy do naszego języka potocznego, niczym słońce do składu z porcelaną, wkroczyły słówka typu: cool, freestyle, bronx i wiele, wiele innych. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby się dowiedział, że słowo „fukać” absolutna większość moskiewskich nastolatków rozumie wyłącznie jako „zażywać” amfetaminę, a zupełnie nie jako „parskać, prychać”. Chociaż i dawniej, za czasów mojej młodości, dzieciaki miały kłopoty z językiem. Jedną z moich koleżanek, Ninka Sokołowa, nauczycielka, poprosiła mnie, żebym wzięła za nią w szkole zastępstwo na miesiąc. Odmawiałam, sprzeciwiałam się, jak mogłam, wysuwając zupełnie sensowny argument.

- Uczę francuskiego, a ty języka i literatury rosyjskiej, jak sobie poradzę z klasą?

- Masz wyższe wykształcenie filologiczne - nudziła Ninka -przecież to łatwizna! Przerabiamy teraz Gorkiego Pieśń o zwiastunie burzy. No, chyba to pamiętasz?

- „Głupi pingwin żwawo skrywa ciało tłuste w skałach stromych” - wyrwało mi się nieoczekiwanie.

- No widzisz! - ucieszyła się Ninka. - Wszystko świetnie znasz, błagam!

Z ciężkim sercem zgodziłam się i stanęłam przed uczniami. Pierwsze zajęcia upłynęły spokojnie, bez przygód, przestałam się bać dzieci, a one mnie. I teraz wyobraźcie sobie taką sytuację. Szkoła. Lekcja literatury. Siedzę pod tablicą, wywołuję po kolei uczniów i odpytuję z zadanej pracy domowej. A należało nauczyć się na pamięć tejże Pieśni o zwiastunie burzy. Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiałam, dlaczego tyle godzin lekcyjnych poświęcono na szczegółową analizę tego więcej niż prościutkiego, niewyszukanego tekstu, no, ale to nie ja układałam program. Biedne dzieci klepały wyuczony fragment. Kto go już odwalił, zajmował się swoimi sprawami, pozostali wpatrywali się w podręczniki, najwyraźniej wkuwali tę prozę poetycką dopiero tu, w klasie. Nie chciałam jednak być surowa, żal mi było nieszczęsnych dzieciaków, dławiących się rewolucyjną liryką. Gdyby to ode mnie zależało, przeczytałabym im Achmatowa, Pasternaka albo Cwietajewą. Ale w owych czasach za coś takiego można było stracić dyplom, w dodatku Ninka miałyby pewnie nieprzyjemności, nie mówiąc już o dyrektorce, która wyraziła zgodę na zastępstwo. Dlatego nie pozostawało mi nic innego, jak ukrywając ziewanie, słuchać kolejnego wystąpienia. Na koniec stanął przede mną Sierioża Głotow.

- No to słucham, mój drogi, mów - poprosiłam. Sierioża zaczął się jąkać:

- Mewy... mewy...

Widząc, że gra na zwłokę, odpowiedziałam:

- Mewy krzyczą...

Sierioża rozpromienił się i z niewiarygodnym entuzjazmem zaczął recytować:

- „Mewy krzyczą tuż przed burzą, krzyczą, moczą się w udreće...”. Wypowiedziawszy ostatnie słowa, zamilkł; najwyraźniej dotarło do niego, że chyba coś jest nie tak. Klasa ucichła. Postanowiłam spokojnie poprawić chłopca:

- „Mewy krzyczą tuż przed burzą, krzyczą, męczą się w udreće...”. - Cóż, kiedy największy mój problem to dziecięca skłonność do śmiechu. Wetknęłam nos w gazetę, próbując ukryć atak wesołości. W klasie zapanowała wprost zabójcza cisza. I nagle z osłej ławki dobiegł wzbudzony głos dwójkowicza Fiedotowa, który nigdy nie zhańbił się odrabianiem lekcji.

- No i co w tym dziwnego? One po prostu sikają ze strachu!

Lekcja została przerwana, wszyscy wyli ze śmiechu, nie mając nawet siły wyjść na przerwę. Nauczyciel matematyki był niezmiernie zdziwiony, widząc mnie przy stoliku nauczycielskim, a dzieci w ławkach po dzwonku, który wzywał na kolejną lekcję. Zresztą co tam przejęzyczenie leniwego Sierioży! Nie dalej jak tydzień temu kupiłam w aptece dobrze wszystkim znany balsam Złota Gwiazda i po raz pierwszy postanowiłam przeczytać załączoną do niego ulotkę. Niebieską czcionką na białym tle wydrukowano tam: „Stosować ściśle według wskazówek dekarza”. I dalej: „Złota Gwiazda może być wspaniałym prezentem dla starszych i męczących pacjentów”. Wystarczyło sobie tylko wyobrazić sposób, w jaki wedle wskazówek dekarza należy zastosować ów wspaniały lek, żeby stary pacjent przestał nas męczyć: najpierw ma zażyć lek, a potem trzeba go zrzucić z dachu?

Nie tylko dzieci nie radzą sobie z językiem rosyjskim.

Rozdział 27

Do kamienicy Asi podjechałam już po ciemku i sprytnie wcisnęłam peugeota między dwie stare, zdezelowane wołgi. Na parterze było tylko

jedno mieszkanie, zaraz przy wejściu, wbiegłam po trzech schodkach na podest i od razu stanęłam pod drzwiami, po czym bez namysłu nacisnęłam dzwonek. Drzwi otwarły się na oścież i w progu zobaczyłam dziewczynę w niebieskich dżinsach i bladobłękitnym pulowerze. Na nosie miała duże okulary w okrągłych oprawkach.

- Słucham. Pani do mnie? - zapytała poważnie.

- Dzień dobry. Czy może pani poprosić Rozę?

- To ja jestem Roza Władimirowna - sucho odparło dziewczę.

Też coś! Taka młoda, a już przedstawia się patronimikiem.

- Jakoś późno się pani spostrzegła - pokręciła głową z wyrzutem młoda osoba - już kończy się pierwszy trymestr. Mam pełny komplet uczniów, trzeba by było wszystkim poprzesuwać godziny, żeby zyskać trochę czasu na jeszcze jedne korepetycje.

Natychmiast zrozumiałam, skąd bierze się jej dziwna, nie-pasująca do niemal dziecięcego wieku powaga.

Roza jest nauczycielką. Dla przydania sobie solidniejszego wyglądu wsadziła na nos te idiotyczne okulary, z pewnością wzrok ma świetny, ale rodzice niezbyt ufają korepetytorom, którzy dopiero co wyrosli z pieluch. Chłopakom jest łatwiej, niewielka bródka, choćby i rzadka, postrzępiona, mocno postarza. A co ma zrobić dziewczę? Okulary to chyba najlepsze wyjście z sytuacji. No i Roza wcale nie ma wielu uczniów. Sama kiedyś taka byłam. Udzielać korepetycji zaczęłam na trzecim roku studiów i bardzo dobrze pamiętam, jak podbijałam cenę. Kartkując zapisany nieistniejącymi nazwiskami notatnik, mamrotałam:

- Gdzie by tu państwa umieścić, zupełnie nie mam pojęcia.

Dopiero z czasem zgłaszało się do mnie tylu chętnych, że naprawdę niektórym musiałam odmawiać, ale początkowo chwytalam się każdej możliwości, aby dorobić.

- Proszę wejść - spuściła z tonu Roza - zaraz znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Powstrzymując śmiech, włożyłam wskazane przez młodą gospodynię kapcie i ruszyłam za nią. Nieoczekiwanie mieszkanie okazało się spore.

Pokój, do którego mnie zaprowadziła, był zastawiony książkami od podłogi do sufitu. W ciasnych rzadkach stały dzieła zebrane, namiętnie wydawane w czasach radzieckich. Różowe tomy Waltera Scotta, brązowe Balzaka, pomarańczowe Mayne Reida, ciemnozielone Wiktora Hugo. Drugą ścianę w całości zajmowali autorzy rosyjscy: Czechów, Bunin, Turgieniew, Dostojewski. O proszę, i książki w oprawie koloru morskiego, dzieła zebrane Kuprina. Ciekawe, czy w tym komplecie też brakuje jednego tomu? No oczywiście. Tak samo jak mnie i babci, a także rodzicom Juleczki, ktoś „podprowadził” szósty tom, który zawierał dzieło, uważane w niewinnych czasach radzieckich za czystą pornografię. Biedny Kuprin napisał powieść o niełatwym losie prostytutek, ale nie mógł przypuszczać, że kilka pokoleń czytelników będzie z zapartym tchem czytało po kilka razy pikantne fragmenty, opuszczając moralizatorskie wywody, potępiające handel kobiecym ciałem, absolutnie wbrew intencjom autora. A że Kuprin należy do klasyków literatury rosyjskiej, czyż można zabronić dziecku czytać jego utwory? Dlatego też większość rodziców postępowała w podobny sposób: konfiskowali szósty tom, po czym oznajmiali z niesmakiem:

- Mój Boże, co za ludzie! Ukradli książkę.

Ze wszystkich moich przyjaciółek tylko Wierka Karapietowa miała Jamę, i to ona dała ją mnie i Lice do przeczytania. Jak dziś pamiętam wytrzeszczone oczy Wierki i jej szept:

- Masz, ale tylko na jedną noc! I uważaj, żeby babcia cię nie przyłapała, bo potem nagada moim rodzicom.

Kolejnym odkryciem, jakiego dokonałyśmy, mając trzynaście lat, był Dekameron. To wydanie też znalazłyśmy u Wierki. Lika natomiast zaznajomiła nas z powieścią Zoli Nana. Proszę nie mylić tej książki ze znanym swego czasu zespołem muzycznym; nie mają ze sobą nic wspólnego prócz nazwy.

- Przyniosła pani zeszyt swojego dziecka? - zapytała Roza surowo.

- Nie - odparłam spokojnie.

- To bardzo niedobrze, no ale trudno. Poniedziałek, o siedemnastej, może być?

- Nie, ja...

- No dobrze, w takim razie wtorek o dwudziestej.

- Ale...

- Środa, o każdej porze.

Zrobiło mi się żal głupiej gaski: mój Boże, nie najlepiej udaje rozchwytywaną korepetytorkę.

- jestem z milicji. Roza umilkła na chwilę.

- Skąd? - zapytała wreszcie.

- Major Wasiljewa, Daria Iwanowna, może się pani do mnie zwracać po prostu „Dasza”.

Dziewczyna zdjęła idiotyczne okulary i od razu sama zaczęła wyglądać jak uczennica.

- Co się stało? Znów moja szósta klasa narozrabiała? W żaden sposób nie można sobie poradzić z tym Grimaszkowem! Ostatnio ukradł motocykl, a co zbroił tym razem? Nie ma jeszcze czternastu lat, więc nie można go zatrzymać.

- Znała pani Asie Koroszewa? Roza wykrzyknęła zdziwiona:

- Oczywiście. Mieszkała w tej samej klatce schodowej.

- Prowadzę śledztwo w sprawie jej śmierci.

- Asia wpadła pod samochód - powiedziała cicho dziewczyna - dawno, jeszcze latem.

- Jak pani myśli, dlaczego? Roza wzruszyła ramionami.

- Pewnie wybiegła na jezdnię przy czerwonym świetle, nigdy nie przestrzegała przepisów. Obie z Nastią były zupełnie nieokiełznane.

- Z jaką Nastią?

- Kusakina.

- Nastię też pani znała?

- Oczywiście, chodziłyśmy do jednej klasy. Dzieci z całego osiedla chodziły do tej samej szkoły. Teraz tam ucze i studiuje w instytucie pedagogicznym.

- A te dziewczyny też studiowały?

- Aśka, co prawda, dostała się na studia, ale później wyleciała, a Nastia nigdzie się nie uczyła.

- Dlaczego?

Roza wysunęła dolną wargę.

- Nie chciała, miała inne plany.

- Jakie?

- No... to znaczy... chciała wyjść za mąż.

- Pani obywatelskim obowiązkiem jest opowiedzenie mi całej prawdy.

- Cóż, właściwie nie wiem, czy to prawda... - Roza westchnęła. -

Nastia kłamała jak z nut. Fantastycznie! Nie można było jej nie uwierzyć. Gdzieś tak do siódmej klasy wmawiała nam, że jest prawdziwą księżniczką. Że ktoś ją wykradł w dzieciństwie, wywiózł do Rosji i oddał na wychowanie obcej rodzinie. Pokazywała nam wisiorek z serduszkami, podobno jedyną pamiątkę, jaka jej została po prawdziwych rodzicach. Ale w końcu chyba zrozumiała, że to głupie, więc dała sobie spokój z tą historyjką. Tak naprawdę to się z nimi nie przyjaźniłam, ani z Nastią, ani z Asią.

- Dlaczego?

- One miały w głowie tylko dwie rzeczy: chłopaków i ciuchy - skrzywiła się Roza - a ja chciałam się dostać na studia. Zresztą niezbyt mi odpowiadało ich towarzystwo, były strasznie głupie. Asia jeszcze przynajmniej coś czytała, ale Nastia to skończona idiotka, więc o czym mogłam z nią rozmawiać? Co prawda, starały się utrzymywać ze mną dobre stosunki, a nawet uważały mnie za przyjaciółkę. Przychodziły ścierać prace domowe. Włóczyły się gdzieś do dziesiątej wieczór, a potem dzwoniły: „Rozeczko, pewnie odrobiłaś już zadanka... Daj, odpisać, proszę...”. No i trzeba było dać im zeszyt, przecież gdybym odmówiła, toby mnie jeszcze pobiły.

Ale po maturze drogi dziewczyn rozeszły się ostatecznie. Asia i Nastia przestały zaglądać do Rozy, a ta była zadowolona, że pozbyła się „przyjaciółek”, miała teraz nowy krąg znajomych.

W maju tego roku Roza wybrała się na tradycyjne spotkanie absolwentów. Najpierw trochę posiedzieli w szkole, potem powłóczyli się, aż w końcu Rozoczka zaprosiła wszystkich do siebie. Rodzice wyjechali za miasto, na daczę, mieszkanie duże, jest się gdzie zabawić. Oczywiście, Asia i Nastia również przyszły. Kupili alkohol, jakąś niewyszukaną zakąskę i urządzili balangę. Wszyscy po północy się rozeszli, została tylko Nastia, która przesadziła z wódką. Roza nie miała zbytnej ochoty zajmować się zalaną w sztok kumpelką, spodziewała się, że Asia zabierze swoją przyjaciółkę do siebie, ale sprytna koleżanka z klasy zmyła się cichaczem, zostawiając Nastię. Na wszelki wypadek Asia nie odbierała telefonów, najwyraźniej nie chciała brać sobie kłopotu na głowę i hołubić pijanej Nasti. Tak więc Roza sama musiała koło niej skakać.

Najpierw dziewczynie zrobiło się niedobrze, długo wymiotowała w ubikacji, Roza później musiała myć całą toaletę. Była zła sama na siebie, że poczucie przyzwoitości nie pozwoliło jej wystawić dawnej koleżanki z klasy za drzwi i że teraz to ona musi biegać z wiadrem i ścierką. Nastia tymczasem zaczęła dochodzić do siebie, więc poszła do kuchni, gdzie zaczęła wlewać w siebie kawę.

Kiedy mniej więcej pół godziny później łazienka była już doprowadzona do porządku, rozzłoszczona Roza wróciła do kuchni. Nastia, prawie trzeźwa, powiedziała:

- Ech, nieźle masz urządzone mieszkanie, ale to nie europejski standard!

- A niby skąd brać pieniądze na wyposażenie z importu? -zapytała Roza. - Z moją pensją nie ma co startować.

- Słyszałam, że zamierzasz się chajtnąć? - zainteresowała się Nastia.

- Na razie nie - ucięła rozmowę Roza.

Nie miała najmniejszej ochoty omawiać z Nastią swojego życia osobistego.

- No, nie bądź taka skromna! - Nastia zachichotała. - Możesz się zapierać, i tak ci nie dam spokoju!

Roza westchnęła. Najwyraźniej nie będzie tak łatwo uwolnić się od dawnej koleżanki z klasy.

- Nie ma o czym mówić - usiłowała zbagatelizować sprawę - po prostu się spotykamy.

- A kto to?

- Student, jesteśmy w jednej grupie.

- Z Moskwy?

- Tak.

- Ma mieszkanie?

- No, pod mostem nie mieszka. - Roza się uśmiechnęła.

- Własne?

- Nie, kwaterunkowe.

- Mieszka sam?

- Z matką.

- Szczęściara z ciebie! - Nastia roześmiała się. - No, a jak stoi z kasą?

- Jak wszyscy.

- Ma samochód, daczę za miastem?

- Nie - Roza starała się ukryć coraz większe rozdrażnienie -jego matka jest pielęgniarka, ojca nie ma, to skąd niby dacza?

- No wiesz, to dopiero ustrzeżiłaś frajera! - rozbawiła się Nastia.

- A rzuć go w cholerę, poszukaj bogatego.

- Wystarczy mi taki, pieniądze szczęścia nie dają - odparła z godnością Rozoczka.

- Aha - pokiwała Nastia głową - nie pieniądze, tylko dużo pieniędzy.

Będiesz żyła w biedzie, liczyła każdą kopiejkę i umrzesz, niczego w życiu nie zaznawszy. Nie, ja taka głupia nie jestem. A zresztą też się wydaję za żonę, za profesora. Facet ma forsy jak lodu i w ogóle

wszystko: willę za miastem, mercedesa,

mieszkanie. Poza tym - żadnej rodziny, wszyscy umarli. To jest

naprawdę świetna partia!

Najwyraźniej Nasti alkohol nie do końca wyparował z głowy, bo z jakiej racji miałyby zdradzać Rozie swoje plany.

- Ale twój profesor to pewnie stary grzyb - nie mogła się powstrzymać Roza - wesoło ci z nim nie będzie, ani potańczyć, ani się pośmiać, a w łóżku to facet pewnie przede wszystkim śpi.

Nastia zmrużyła oczy.

- Tak, Lowa, w odróżnieniu od twojego golca, ma łóżko, nie sypia na podłodze, jak niektórzy. A zresztą wcale nie jest stary, w kwiecie wieku, zbliża się dopiero do pięćdziesiątki.

- Aha. - Roza nie mogła przepuścić okazji, by nie wbić szpilki cynicznej koleżance - zobaczymy, jaki będzie za dziesięć lat! Zresztą może nawet do tej pory umrzeć.

- No i co z tego? - zdziwiła się Nastia. - Zostanę bogatą wdową, zabezpieczoną finansowo, że ho, ho. To chyba nie najgorzej? Jeszcze przyjdiesz do mnie pożyczać kasę na rajstopy.

Podobnej obrazie Rozoczka nie mogła ścierpieć i rzuciła się do odparowywania ciosów.

- Coś za wcześnie postanowiłaś odziedziczyć majątek, na razie jeszcze nie widzę obrączki.

- To drobnostka, wszystko już postanowione - oświadczyła pewna siebie Nastia. - Zimą bierzemy ślub.

- A dlaczego tak zwlekacie? Może narzeczony chce przedtem pojechać do sanatorium, podreperować zdrowie? - odgryzła się Roza.

- Nie - odparła Nastia - muszę jeszcze załatwić jedną sprawę. Z babami.

- Przecież mówiłaś, że nie jest żonaty? - zdziwiła się Roza.

- Tak - kiwnęła głową Nastia - to znaczy, miał żonę, ale umarła. Po prostu kręca się koło niego jakieś babska, chcą go złapać w swoje szpony, muszę się ich pozbyć.

- W jaki sposób? - prychnęła Roza. - Utopisz je, czy co?

Nieoczekiwanie Nastia spoważniała.

- Biega za nim pół instytutu, wszystkich do rzeki nie wrzucę, zresztą nie trzeba! On się śmieje z tych bab, które się go czepiają, nazywa je rzepami, tylko mnie kocha. Ale jedną naprawdę trzeba sprzątnąć, ta jest niebezpieczna! Lowa aż się trzęsie, kiedy o niej słyży!

- Tak ją kocha? - złośliwie wtrąciła się Roza. - Jesteś pewna, że powinnaś wyjść za faceta, który ugania się za inną? Takie małżeństwo nie ma przyszłości!

- On jej nienawidzi. - Nastia ziewnęła i przesiadła się na kanapę stojącą pod ścianą. - Nie cierpi baby. Wyobraź sobie, kiedyś kupiłam kasetę Przygody Angeliki, to Lowa ją połamał, bo główną bohaterkę nazywają Lika, jak to babsko...

- A co ona mu takiego zrobiła? - zaciekawiała się Roza.

- Nie wiem. - Nastia znów ziewnęła i położyła się. - W każdym razie trzeba ją... tak w ogóle... Wtedy on się ze mną ożeni, na pewno. Nie będzie miał innego wyjścia...

Słysząc było pochrapywanie, alkohol znów zmógł dziewczynę. Roza westchnęła i zaczęła sprzątać mieszkanie. Nastia miała twardy sen, nie obudziło jej ani wycie odkurzacza, ani hałas lecącej w łazience wody, ani szczekanie wiadra. Ale kiedy gospodyni zmęczyła się i zaparzyła sobie arabicę, gość nieoczekiwanie wstał z kanapy i zupełnie trzeźwym głosem poprosił:

- Nalej mi kawy.

W końcu Nastia doprowadziła się do porządku, spojrzała na zegarek i zreflektowała się:

- O cholera! Spóźnię się do pracy! Będę musiała złapać taksówkę.

Słuchaj, Rożka, pożycz dwie stówki.

- A co z twoim profesorem? - nie mogła się powstrzymać Roza. - Zadzwoń do niego, na pewno nie odmówi, podwiezie narzeczoną do pracy. Nastia odstawiła filiżankę.

- Z kim?

- Już zapomniałaś? - pokpiwała z koleżanki Roza. - Światowej sławy

uczony, bogaty, z mieszkaniem, mercedesem i kontem bankowym. Podobno wychodzisz za niego za mąż, tylko niejaką Likę wykończysz, i już sprawa załatwiona. W każdym razie jakieś trzy godziny temu w ten sposób opisywałaś mi sytuację.

Nastia zaśmiała się.

- O Boże! Przecież byłam pijana. Jak jestem dziabnięta, to tak kłamię, że potem sama się sobie dziwię, skąd mi się to bierze! Profesor Lowa! Oj, nie mogę!

„Jak jesteś trzeźwa, też słowa prawdy nie powiesz” - Roza już miała ochotę wbić Nastii szpilkę, ale w tym momencie w drzwiach zazgrzytał klucz. To rodzice wrócili z daczki. Nastia natychmiast wstała i uciekła.

Roza więcej jej nie spotkała, widywała się tylko z Asią.

- Dziwna sprawa - mówiła teraz Roza - obie wpadły pod samochód, zostały pochowane jednego dnia, tak że trzeba było się umawiać, kto pójdzie na czyj pogrzeb.

- Jesteś pewna, że profesor miał na imię Lowa, a kobieta, której nienawidził, Lika?

Roza ziewnęła.

- Pomyślałam nawet wtedy, że według praw alfabetologii, powinni się dosyć lubić, bo mają imiona na tę samą literę. Ale nie warto zawracać sobie głowy gadaniną Nastii, była wówczas pijana.

„No i dlatego po raz pierwszy w życiu powiedziała prawdę” - pomyślałam.

- Ta historia potwierdza - dokończyła Roza - że Nastia chciała bogato wyjść za mąż, naukę miała za nic. Nic nas nie łączyło. Wsiadłam do peugeota, włączyłam ogrzewanie i wlepiłam wzrok w przebiegających przechodniów. Dlaczego mieszkańcy Moskwy nie potrafią chodzić powolnym, spacerowym krokiem? Dlaczego zawsze pędzą tak, jakby gonił ich rój pszczoł albo wściekły pies?

Nagle roześmiałam się - nieoczekiwanie coś sobie przypomniałam. Wiele lat temu wysłano nas, studentów pierwszego roku, do kołchozu na kopanie ziemniaków. Rzecz miała miejsce we wrześniu, mieszkaliśmy w nieocieplanych drewnianych domkach, należących do jakiegoś obozu pionierów, spaliśmy okryci cienkimi, flanelowymi kocami, a w dodatku nie mieliśmy możliwości wysuszenia przemakających butów. Oczywiście, po trzech dniach dziewczyny dostały chrypy, kaszlu i zawiesistego kataru. Większość chciała wracać do domu, ale sekretarz organizacji komsomolskiej oświadczył surowym tonem:

- Wasz wyjazd uznamy za dezercję. Zresztą jeśli ktoś chce, może się zmyć. Ale zobaczymy, jak później zaliczy sesję.

Po takim oświadczeniu wszystkim przeszła ochota na ucieczkę.

Chłopakom było łatwiej, chodzili do kołchoźników i kupowali u nich samogon, ale my, dziewczyny, nie byłśmy w stanie pić tego świństwa, pomimo namów męskiej części grupy.

Pewnego wieczoru razem z Wierką Karapietową i Liką położyłyśmy się spać w jednym łóżku, nakryłyśmy się naszymi trzema kocami i próbowałyśmy się rozgrzać. Wierką wstrząsały dreszcze, Likę dusił kaszel, a mnie okropnie bolały opuchnięte od grzebania w ziemi ręce.

- Trzeba by im dać mleka z miodem - powiedział Kostia Garow. - To od razu pomaga.

- A skąd tu wziąć ten cudowny środek? - zainteresowała się Marinka Kisłowa, która kasłała na sąsiedniej pryczy.

- No przecież ze wsi! - wykrzyknął Kostia. - Chodź, Wadim, skoczmy po mleko.

Chłopcy ubrali się i poszli. Pół godziny później wrócili wzburzeni. Cwani wieśniacy chętnie sprzedawali gorzałę, ale z mlekiem i miodem nie chcieli się rozstać.

- Co za łobuzy! - wściekał się Kostia. - Normalne świnię!

Tłumaczyliśmy przecież, że dziewczyny zachorowały. Ale ci się zaparli: nie i koniec.

- Tu niedaleko jest pasieka - powiedziała Marinka - można pójść i samemu sobie wziąć!

Chłopcy spojrzeli po sobie. Kostik tej jesieni zawzięcie podrywał

Wierkę, Lika podobała się Wadikowi, a mnie obaj traktowali jak „swojego chłopca”.

- Się robi! - oznajmili szarmanccy amanci i zniknęli w ciemnościach. To, że ich nie powstrzymałyśmy, można zrzucić na karb naszego złego samopoczucia, wszystkie miałyśmy podwyższoną temperaturę. W przeciwnym razie postarałybyśmy się wybić chłopakom z głowy niemądry pomysł. Wydobyć miód z ula potrafi tylko pszczelarz, obcego pszczoły mogą pożądlić na śmierć.

Chłopcy znikli na długo, zdążyłyśmy się jakoś rozgrzać, nawet zaczęłyśmy już drzemać, kiedy w oddali dało się słyszeć zajadłe szczekanie. Hałas stopniowo się zbliżał, aż w końcu pies zaczął ujadać tuż pod oknami naszego domku. Z rzadka w to wściekle ujadanie wtapiały się głosy Kosty i Wadika.

- Postaw tutaj.
- Ostrożnie!
- Co za bestia, gryzie mnie!
- Wynoś się, ale już!
- No i czegoś się nas czepił?
- A daj mu w łeb!

Pies na sekundę zamilkł, ale po chwili zaczął ujadać z jeszcze większą zaciekleścią.

- Ej, dziewczyny, chodźcie tutaj! - usłyszałyśmy zza okna. Wyszłyśmy na ganek. Kostia i Wadik byli rozczochrani, czerwoni i ocierali z twarzy pot.

- No - oznajmił głośno Kostik - skoczyliśmy po miód.
- Pobiegliśmy do pasieki - włączył się Wadik - i od razu pomyśleliśmy: jak tu wydostać miód? Przecież nie umiemy, pszczoły zeżrą nas żywcem. No i wykombinowaliśmy...
- To ja wykombinowałem - przerwał mu Kostia.
- Razem wykombinowaliśmy!
- Nie, ja sam!
- Nie kłóćcie się, tylko powiedzcie, o co chodzi - wychrypiała Lika.
- Długo mamy stać na tym zimnie?
- No, w każdym razie postanowiliśmy - dumnie oznajmił Wadik - że skoro nie możemy wyjąć miodu na miejscu, to trzeba przytachać cały ul tutaj.

- I tak zrobiliśmy! - wtracił się Kostia. - Popatrzcie tylko! Wlepiłyśmy wzrok w drewnianą skrzynię, ustawioną przy ganku.

- A pies tu po co? - zdumiała się Marinka.
- Oj, przyczepił się do nas - westchnął Wadik - odganialiśmy go, kopaliśmy, a ten za nic nie chciał się odczepić, biegł za nami i chwycił nas za łydki!
- Tak, jasne - zabrała głos Lika - czyli chcecie, żebyśmy same sobie wydostały miód z ula?

Wadik spojrział na Kostię i odparł cicho:

- No... ale przecież my nie umiemy...
- A dziewczyny wychowały się w pasiece! - Wierka zachichotała.

W tym momencie dokładniej przyjrzałam się psu, drewnianej skrzyni i zaczęłam śmiać się do rozpuku.

- A tej co się stało? - zdziwił się Kostia. - Ej, Daszka, przestań rzeć! Wymyśl lepiej, jak wyjąć plastry!

Ale ja nie przestawałam zanosić się śmiechem i powtarzałam tylko:

- Biedny piesek! Nieszczęsne stworzenie!
- A co się stało kundlowi? No, wrzepiliśmy mu parę kopniaków, ale sam jest sobie winien, po co za nami biegł? Strasznie upierdliwe zwierzę.

Pozostałe dziewczyny załapały już, o co chodzi. Uśmiełyśmy się jak norki, a Wierka zapytała czerwonego, speszonego Kostię:

- Mówisz, że pies nie chciał się od was odczepić, biegł od samej pasieki?

- No - odburknął chłopak
- Cóż, biedaczek nie miał innego wyjścia!
- A niby dlaczego? - Chłopcy przybrali czujną postawę.

- A dlatego, że jesteście debile. - Lika zanosila się od śmiechu. - Przyjrzyjcie się dobrze, zamiast ula zwinęliście psia budę! To dlatego psina nie mogła się od was odczepić. Uciekiby z radością, ale łańcuch jej nie pozwalał. A jak się musiała wystraszyć! Napadło ją dwóch drabów, złapało budę i potachało, a w dodatku jeszcze skopali biedne stworzenie...
- Tylko nie mówcie o tym chłopakom - poprosił szeptem Kostia, oglądając budę - bo nas wyśmiejają.
- Nic się nie martwcie, nie piśniemy nikomu ani słowa - obiecałyśmy. Ale, naturalnie, rano rozpowiedziałyśmy o wyprawie po miód pozostałym dziewczynom. Ksywa Pasiecznik przylgnęła do Wadika i Kostia na amen, inaczej nikt ich nie nazywał.

Rozdział 28

Ogromnie zmęczona, wracałam do Łożkina. No i dzionek się udał - jedna wielka nerwówka. Ciekawe, dlaczego Lika tak za-lazła za skórę Lwowi Nikołajewiczowi? Czemu postanowił zorganizować okrutne przedstawienie? Lika nigdy przy mnie nie wymieniała nazwiska profesora Worotnikowa, chociaż znałam wszystkich mężczyzn, z którymi w jakikolwiek sposób była związana. Może Nastia, kiedy opowiadała o kobiecie, od której chciał się uwolnić Lew Nikołajewicz, miała na myśli inną Likę? Ale imię Angelika nie jest zbyt popularne, a moją Likę oskarżono o morderstwo! Dojechałam do Sokoła i utknęłam w korku. No dobra, nie będzie tu długiego stania, zaraz wjadę do tunelu, później pokonam nieprzyjemnie wąski odcinek Szosy Wołokołamskiej, trafię na MKAD, a tam już do domu rzut beretem. Niektórzy kierowcy złoścza się, utknawszy w gęstej ławicy obcych samochodów, trąbią, obrzucają się wyzwiskami, ale ja, w przeciwieństwie do nich, już dawno zrozumiałam, że nie warto w ten sposób szargać sobie nerwów. Po prostu słucham radia, a jeśli ruch w ogóle zamiera na dłużej, wyjmuję ze schowka przybory do paznokci i najspokojniej w świecie zajmuję się swoimi dłońmi, nie tracąc bez sensu czasu. Zresztą wiele kobiet stara się nie wariować w korkach. Rozejrzałam się dokoła. Na lewo ode mnie elegancka blondynka z apetytem pochłaniała chińską zupkę z kubka, na prawo młoda dziewczyna, niewiele starsza od Maszy, zapomniawszy o bożym świecie, robiła makijaż. Westchnęłam i wyciągnęłam rękę po pilnik i cażki. Drzwi stojącego przede mną samochodu otworzyły się na oścież, na ulicę wyskoczył potężny grubas i zaczął wrzeszczeć:

- No, co za burdel! Dlaczego stoimy? Ja muszę... Skrzywiłam się na widok tupiącego tłuściocha. A mężczyźni wciąż powtarzają, że wszystkie baby to histeryczki! No, czy to nie śmieszne? Kobiety spokojnie zajmują się swoimi sprawami, a przedstawiciel płci męskiej wpada w szał na ulicy. No i kto tu nie potrafi trzymać nerwów na wodzy?
- Na siedzeniu zaczęła wibrować komórka. Ucieszyłam się, zaraz sobie poplotkuję przez telefon i czas mi jakoś zleci.
- Gdzie jesteś? - zapytała Oksana.
- W strasznym korku koło twojego domu.
- Możesz do mnie wpaść?
- A nie jest przypadkiem za późno? - zawahałam się. - O szóstej musisz wstać do pracy.
- Dowiedziałam się wszystkiego o laboratorium Worotnikowa i o lekarstwie - oznajmiła moja przyjaciółka.
- Upuściłam pilniczek.
- Już pędzę!
- Świetnie - rzuciła zadowolona Oksana.

Cisnęłam telefon na siedzenie. Już pędzę! Łatwo powiedzieć, stoję na prawym pasie, a do Oksany trzeba na tym skrzyżowaniu skrócić w lewo, przy czym należy ten manewr wykonać niezwłocznie, w przeciwnym razie będę jechać aż do mostu, tam zawracać, a właściwie znów stać w korku, bo ruch jest sparaliżowany w obu kierunkach. No i co tu robić? Wysunęłam głowę przez okno i poprosiłam kobietę posilającą się

chińską zupką:

- Nie mogłaby pani przesunąć się troszeczka do tyłu?
Bez zbędnych pytań blondynka kiwnęła głową i spełniła moją prośbę; teraz trzeba było dogadać się z kierowcą samochodu stojącego przed jej audi. Wsiadłam, podeszłam do niebieskiego cieniowanego żiguli dziesiątki i zastukałam w okno. Szyba bardzo wolno zjechała w dół i ujrzałam wielką purpurową gębę.

- Zjeżdżaj stąd, mam dość żebraków! - wychrypiała morda.
- Ale ja nie zbieram datków.
- Gówna nie kupuję - przerwał mi typek.
- Bardzo proszę, niech pan podjedzie odrobinę do przodu.
- A to niby po co? - rozjuszył się kierowca.

No i macie kolejny argument za tym, że kobiety są spokojniejsze. Ta z chińską zupką cofnęła się i dalej pałaszuje, jakby nigdy nic.

- Po jaką cholere mam się ruszać? - chrypiał typ, wściekły.
- Chcę przejechać.
- Gdzie?
- Na lewo.
- Jaka spryciara! Stój, jak wszyscy.
- Ale ja pomyliłam pas, nie na tym stanęłam.
- No to co?

Skończyły mi się argumenty.

- Tak panu trudno ruszyć trochę do przodu?
- Nie.
- No to o co chodzi?
- Nie chce mi się!

W tym momencie korek ożył i ruszył z miejsca. Rzuciłam się do peugeota, ale potok samochodów znów zamarł. Trzeba było zaczynać negocjacje od początku, podeszłam do kobiety z zupką, która teraz stała na miejscu nieustępliwego faceta.

- Może pani przesunąć się do przodu?

Ta znów w milczeniu wykonała manewr. Podeszłam do samochodu stojącego z tyłu i ze smutkiem odkryłam za kierownicą faceta w pełnym umundurowaniu: kurtka, czapka z daszkiem i rękawiczki.

- Pan będzie łaskaw przesunąć się trochę do tyłu. Mężczyzna zakasłał i zaczął mendzić:

- Proszę uzasadnić prośbę.
- Muszę skręcić w lewo.
- Niech pani skręca.
- Nie mogę.
- Dlaczego?

- Bo stoję na prawym pasie.
- No to niech pani stoi!

- Ale ja muszę na lewo!
- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć i zawczasu się ustawić.
- O Boże, a co tak panu trudno się cofnąć?
- Nie.

- No to o co chodzi?

- Baby trzeba uczyć rozumu, same idiotki dookoła - nerwowo odparł typ w czapce.

Wróciłam do peugeota, niech to diabli, pojedę objazdem. Kobieta z chińską zupką wysiadła z audi i podeszła do mnie.

- No i dlaczego pani nie skręciła?
- Bo ten w czapce nie chce mnie puścić. Dama uśmiechnęła się.
- A jak to motywuje?

- Mówi, że wszystkie baby są głupie i trzeba je uczyć rozumu, i że powinnam się wcześniej przesunąć na lewy pas. Słuszna uwaga, ale właśnie dopiero przed chwilą dostałam telefon, teraz stracę godzinę na wykręcenie.

Babka miała zły uśmieszek na twarzy:

- Aha, jasne, czyli my jesteśmy idiotki, a każdy z nich to Sokrates.
No to poczekaj, ty...

Nie zdążyłam ust otworzyć, jak kobieta wyjęła komórkę i zaświergotała:

- Kurczaczku, mam problem.

Stojący przede mną ogromny džip landcruiser zakołysał się i wysiadł z niego potężny młodzian o absolutnie zwierzęcym wyglądzie: ogolona czaszka, obcisła skórzana kurtka, buty ze skóry ośmiornicy i ze siedem sygnetów na palcach.

- Co się stało? - zapytał leniwie.

Damulka wskazała plastikową łyżeczką, którą przed chwilą zajadała chińska zupkę, na wołgę.

- No bo ten tu w czapce nie chce się cofnąć, przeszkadza skrócić w lewo mojej znajomej!

- Dzień dobry - powiedziałam ostrożnie. Chłopak nachmurzył się i krzyknął:

- Ej, braciule, wyskakujcie!

Trzasnęły drzwi, z landcruisera niczym groch z rozerwanej torebki wysypali się kolesie podobni do siebie jak bliźnięta.

- Słuchaj, Tolan! - krzyknął pierwszy. - Mam tu przypał z tym z wołgi.

Chłopaki nie zdążyli miarowym krokiem podejść do samochodu, jak facet w czapce wysunął głowę przez okno i wrzasnął:

- A wy czego tu chcecie? Co? Czego?

- Cofnij się - Tolan uśmiechnął się uprzejmie - bo jak nie, to cię sami przesuniemy.

Wołga natychmiast zwolniła przejazd.

- Dziękuję! - krzyknęłam do kobiety. Ta rzuciła plastikową łyżeczką.

- Nie ma za co! Nie znoszę upierdliwych dupków!

- To wszystko, mam? - Tolan zapytał basem.

- Aha - odparła kobieta - wracajcie na miejsce.

Kolesie wsiedli do landcruisera. Nie mogłam powstrzymać ciekawości i zapytałam:

- To pani synowie?

- Tylko trzech - odparła z uśmiechem. - Tolan, Pietian i Witian.

Jedziemy za miasto, na daczę, trzeba trochę wypocząć.

- Z takimi nie ma strachu - wyrwało mi się.

- A tak - odrzekła z dumą. - Tolan mówi, że za mnie każdemu ryj rozkwasi.

Po tych słowach wskoczyła do audi, a ja skrzyłem w lewo i ruszyłam do Oksany. Może chłopaki to bandyci, a może po prostu tak wyglądają, nie wiem, ale że Tolan, Pietian i Witian są dobrymi synami, to pewnie.

Ksiuta mieszka na parterze, ale nie ma krat w oknach. Chciałabym jednak zobaczyć człowieka, który by zaryzykował włamanie do jej mieszkania. Złodziejaszek nie zdąży zeskoczyć z parapetu na podłogę, a już ucapi go za łydkę staffordshirska bulterierka Rachel.

Rachelusia ma mentalność krokodyla, działa bezszelestnie i natychmiastowo, a zębów pieskowi może pozazdrościć rekin. Ale dla swoich Rachel jest delikatna jak miesięczny szczeniaczek, macha przyjaźnie ogonem i stara się oblizać człowieka od stóp do głów.

Ksiusza ma jeszcze dwa szkockie teriery: Betty i Piesze. Ostatnia to przywódca stada, w domu nazywana jest „pułkownikiem”. Piesza jest urodzonym pedagogiem - i Betty, i Rachel podporządkowują się jej bezwarunkowo.

- Idź do kuchni - poleciała Oksana. - Wszystko już jest na stole.

Ksiuta nigdy nie pyta: „Masz ochotę na kolację? Napijesz się herbaty, zjesz kotleta?”.

Nie, Oksana po prostu sadza człowieka przy stole i podsuwa mu pełny talerz. Nie ma sensu się opierać, i tak trzeba będzie zjeść wszystko. Zresztą Oksanka tak smacznie gotuje, że człowiek nie zauważy, jak zaczyna wylizywać talerz z resztkami ryby faszerowanej. Ksiuta jest natchnioną kucharką, a w dodatku osobą patologicznie nieprzewidywalną, uwielbiającą dawać prezenty.

No i teraz koło mojego nakrycia leżał brelok na klucze w kształcie mopsa.

- Podoba ci się? - z napięciem w głosie zapytała Oksana.

- Ojej, cudowny! Dziękuję.

- Drobiazg - machnęła ręką przyjaciółka - nie był drogi. A właśnie,

wiesz, do czego służy brelok?

- Nie - pokręciłam głową i zaczęłam szybko wsuwać łośosia zapieczonego w śmietanie.

- Brelok to taki drobiazg, za pomocą którego z łatwością gubi się wszystkie klucze - uświadomiła mnie Oksanka.

Najadłam się, doczołgałam do kanapy i opadłam na poduszki. Betty skoczyła mi na brzuch, Piesza umościła się na piersi, a Rachel oparła mordkę na skraju sofy i zaczęła głośno wdychać. Bulterierka też chętnie by się ułożyła na miękkim łożu, ale wiedziała, że nie ma już dla niej miejsca.

- Słuchaj! - rzekła Oksana energicznie. - Ej, nie śpij!

Z trudem rozkleiłam powieki. Ach, w jakiż to nieosiągalny dla mnie sposób moja przyjaciółka zawsze potrafi zachować aktywność? Wskakuje z łóżka o szóstej rano, dwie godziny później już stoi przy stole operacyjnym, potem przyjmuje nowych pacjentów, po czym biega po sklepach, gotuje... A do tego ta zwariowana baba zapisała się na kurs tańca latynoamerykańskiego i dwa razy w tygodniu podskakuje w rytm szybkiej muzyki. Większość kobiet po czterdziestce przypomina kobyłę woziwody, ich jedynym pragnieniem jest wyspać się. Cała masa moich znajomych jęczy bez ustanku: „Och, życie jest takie ciężkie, pieniędzy wciąż brakuje, praca mnie zabija, dzieci to potwory...”. Przy czym większość tych jęczących bab nie ma żadnych problemów, za to posiada mężów, którzy zabezpieczają im dostatni byt.

Oksanka natomiast ma masę planów: zamierza kupić nową kuchenkę, wstawić okna PCV, pojechać na Kubę, wybrać się na głośny spektakl... I nigdy nie skarży się na trudności życiowe, chociaż sama utrzymuje dwóch chłopaków, bez ustanku powtarzając: „Mam wspaniałych synów”. Były mąż, moim zdaniem, zupełny kretyn, skoro zostawił taką kobietę, w ogóle Oksanie nie pomaga, ale jeśli ktoś lubi sobie ponarzekać, to właśnie on.

Kiedyś siedziałam u Wierki Karapietowej, była też Ksiuta, i nagle bardzo się zdziwiłam. Oksana i Wiera są w tym samym wieku, ale pierwsza wygląda o dziesięć lat młodziej, chociaż żadnych cudów ze swoją twarzą nigdy nie wyczyniała. Dlaczego ta kobieta tak wspaniale wygląda?

Rozmyślałam nad tym długo i doszłam do wniosku, że istota rzeczy tkwi w usposobieniu. Wierka stale narzeka. Ulubiony temat rozmów mojej przyjaciółki, to jak jej odebrano szczęśliwą młodość.

- Gdyby tata i mama żyli - jęczy Karapietowa - wszystko potoczyłoby się inaczej.

- A co niby zmieniłoby się w twoim życiu? - nie wytrzymałam kiedyś.

Wierka pomyślała chwilę i zaczęła wyliczać:

- Po pierwsze, sytuacja materialna, po drugie, Sienia nie robiłby mi takich numerów!

Co za nonsens! Mąż na jakiś czas oszczędził od Wiery, nie mogąc już znieść jej nudziarstwa i belferskiej złośliwości. Karapietowa z tępym uporem wychowywała nieszczęsnego chłopinę i osiągnęła jeden niezaprzeczalny sukces: Sienia zwał do cyrkówki imieniem Luśka. Facet popadł z jednej skrajności w drugą - Luska pozwala swoim domownikom na wszystko. Podobno Sienia był szczęśliwy. W końcu jednak Wierka wpadła na sposób, jak go znów zwabić do siebie, ale teraz nie ma radości w ich życiu. I jeśli myślicie, że wyciągnęła konstruktywne wnioski z całego zdarzenia, to się grubo mylicie. Wiera z jakiegoś powodu jest przekonana, że gdyby rodzice dłużej żyli, czekałby ją inny, szczęśliwszy los.

Oczywiście, przeżyła straszną tragedię. Kiedy w naszym kraju zaczęto otwierać pierwsze kantory, ze łzami w oczach powiedziała:

- No proszę! Teraz pół kraju handluje dolarami, nawet Sienia, a moich rodziców za to rozstrzelano!

Ale przecież nie można swoich życiowych pomyłek i niepowodzeń tłumaczyć tylko jedną, zewnętrzną przyczyną, warto chyba czasem zadać sobie pytanie: „A może to moja wina?”.

I jeszcze coś: Wiera jest zła. Stara się robić wrażenie dobrego człowieka, udaje bardzo konsekwentnie, choć nie najlepiej jej to

wychodzi. Kiedy komukolwiek z naszych znajomych przydarzy się jakieś nieszczęście, w oczach Karapietowej błyska nieskrywana radość; to właśnie do takich ludzi odnosi się porzekadło: „Sąsiadowi padła krowa, niby nic, a jak przyjemnie”. Pamiętam też reakcję Wierki na dowcip, który opowiedział kiedyś Diegtariow.

- Złowił człowiek złotą rybkę - zaczął pułkownik - a ta mówi: spełnię każde twoje życzenie, tylko pamiętaj, że to, o co poprosisz, twój sąsiad otrzyma w dwójnasób. Męczył się chłop, męczył, co tu zrobić? O dom poprosić? Ale sąsiad będzie miał dwa. Worek pieniędzy? Toż i sąsiad się wzbogaci. Myślał, myślał i wreszcie wpadł na pomysł. Wiecie, o co poprosił?

- Nie - zaprzeczyliśmy chórem.

- Wydłub mi oko - skomentował Diegtariow. Zapadła cisza.

- Fuj - skrzywiła się Kicia - ale dowcip, ohyda!

- Dlaczego? - Wierka nagle się roześmiała. - To bardzo zabawne!

Świetnie chłopina wykombinował! Odegrał się na sąsiedzie. Cha, cha, cha...

Jakoś nieprzyjemnie mi było patrzeć na rechoczącą Wierkę, a wiem, że właśnie Oksance historyjka by się nie spodobała. Ksiuta jest naprawdę dobrym, ani odrobinę niezawistnym człowiekiem. Stąd wniosek: nie złościć się, pomagajcie ludziom, nie zrzucajcie winy za swoje błędy na innych, a będziecie wyglądać o wiele młodziej, niż na to wskazuje wasz biologiczny wiek. Żadne superkremy i liftingi nie pomogą rozjątrzonej babie.

- Ej - dotknęła Oksana mojego ramienia - już na dobre zasnęłaś, tak?

- Nie - wymamrotałam, walcząc z ziewaniem - po prostu po jedzeniu tak oklapłam.

- A nie próbowałaś odżywiać się choćby dwa razy na dobę? - bez cienia uśmiechu zapytała przyjaciółka. - No dobra, słuchaj. Profesor Worotnikow jest bardzo znany w swoim środowisku i rzeczywiście niezwykle utalentowany. Ale wszelkie tytuły zaczął otrzymywać po dziewięćdziesiątym pierwszym roku, do tego czasu siedział w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu.

- Dlaczego? - zapytałam. Oksana wzruszyła ramionami.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Dowiedziałam się, że studia ukończył z wyróżnieniem, ale nie wiadomo dlaczego nie dostał się nigdzie na staż. Mało tego, Lew, pomimo wspaniałego dyplomu, bardzo długo nie mógł w ogóle znaleźć pracy, dopóki nie wziął go do siebie niejaki Paweł Siergiejewicz Nikodimow, zupełny idiota, ale z koneksjami. Podobno wszystkie sukcesy Nikodimowa, a w szczególności preparat nikopas, za który otrzymał nagrodę państwową, są w całości dziełem Lwa Nikołajewicza, ale czy tak jest naprawdę, tego nie wiem. W każdym razie w dziewięćdziesiątym pierwszym, zaraz po słynnych wydarzeniach, Worotnikow odszedł od Nikodimowa i wbił się niczym rakietą. Z rozpędu obronił najpierw pracę doktorską, zaraz potem zrobił habilitację i został profesorem. Najwyraźniej w plotkach o Nikodimowie było jakieś ziarno prawdy, ponieważ po odejściu Lwa Nikołajewicza Paweł Siergiejewicz nie stworzył już nic godnego uwagi, zadowolając się sławą dawnych sukcesów.

Narodziny lekarstwa to długi proces i bardzo często czyhają na uczonych po drodze zdradliwe pułapki. Kilka lat temu Lew Nikołajewicz zapalił się do pomysłu opracowania leku przeciwko schizofrenii, stanął więc przed karkołomnym zadaniem, nie każdy wziąłby się do czegoś takiego. Ale Worotnikow z zapalem przystąpił do pracy i osiągnął sukces. Wynałazł tabletki, które rzeczywiście pomagały ludziom cierpiącym na psychozę depresyjno-maniakalną. Chorzy przestawali mieć myśli samobójcze, zachowywali się normalnie, ale... okazało się, że lekarstwo ma działania uboczne, które przekreślają wszystkie jego dobre strony.

Specyfik działał natychmiast. Nim pigułka zdążyła rozpuścić się na języku, z chorem już zaczynały się dziać niewiarygodne rzeczy. Do pierwszego lepszego człowieka, jaki mu się nasunął na oczy, zaczynał nagle pałać ogromna, nieziemską miłością. Niby nie było to takie złe,

bo chorzy psychicznie często bywają rozdrażnieni i agresywni. Ale na tym nie kończyło się dziwne działanie preparatu, któremu nadano roboczą nazwę „lwin”. Osobie, która go zażyła, w jednej chwili zaostrzał się węch, ale tak, że każdy pies mógłby mu pozazdrościć. Co najciekawsze, zapach perfum, papierosów, a nawet potu, pochodzący od osoby, którą pokochał pacjent, był dla niego przyjemny. Mało tego, w wyniku testów okazało się, że jeśli kobietę zawczasu obficie skropić perfumami, a potem podprowadzić do chorego i podać mu lwin, to zapach perfum będzie wywoływać w cierpiącym pozytywne emocje nawet wtedy, gdy działanie preparatu ustanie.

Po pierwszej fazie działania lekarstwa natychmiast, dosłownie w ciągu paru minut, następowała faza druga. Człowiek zaczynał nienawidzić wszystkich wokół, nawet tych, których traktował do tej pory po przyjacielsku. Wszystko go denerwowało: ich wygląd, zapach, sposób chodzenia, mówienia. Chory mógł nawet uderzyć, obrazić, natężenie jego nienawiści zależało od usposobienia. Jeden tylko zgrzytał zębami, drugi wymachiwał pięściami. Ale co najciekawsze, gwałtowna miłość do pierwszej napotkanej osoby nie przemijała.

Działanie tabletki ustawało po upływie doby tak samo nagle, jak się zaczynało. Oczywiście jest, że taki lek nie mógł być zakwalifikowany do produkcji. Lew Nikołajewicz kontynuuje prace nad lwinem, ale na razie bez sukcesów.

- Rozpoznajesz symptomy? - Oksanka zmrużyła oczy. -No, to już wiesz, coś wypila, kretynko! Złapałaś ze statywu probówkę... Przecież tak nie wolno!

- Poczekaj - wymamrotałam - ale przecież ja piłam jakąś czerwoną ciecz, a ty opowiadasz o tabletkach.

- A co to za różnica? - zdziwiła się Ksiuta. - Specyfik istnieje w różnych postaciach, nie w tym rzecz. Dobrze, żeś nie zlała do naczynia zawartości wszystkich probówek i nie wypila jednym haustem całej szklanki lekarstwa, bo następstwa mogły być niewyobrażalne! W mojej głowie natychmiast zakłębiły się myśli. A więc dlatego Jewgienij zupełnie nagle, w jakiś niepoahamowany sposób, na własnym weselu zakochał się w Nastii. Dziewczyną nie wiadomo jak i kiedy poczęstowała go lwinem. O ile pamiętam, Lika coś wspominała o cukierku, które dziewczę podsunęło jej świeżo poślubionemu mężowi. Ale po co Nastia to zrobiła? Jewgienij jest zamożny, nawet bogaty... Czyżby zamierzała się za niego wydać? Ale po co cały ten spektakl? Taka afera na weselu? Co, nie mogła spotkać się z nim w innym miejscu? Po co tyle komplikacji? Na wesele trzeba mieć zaproszenie, a więc Nastia musiała najpierw zdobyć taką „wejściówkę”... Ale przecież ktoś ją mógł zapytać: „Przepraszam, a kim pani jest? My pani nie znamy!”.

Chociaż to mało prawdopodobne, w sali kłębił się przecież niewiarygodny tłum ludzi, sama nie znałam nawet jednej czwartej obecnych, przyjaciół Jewgienija widziałam pierwszy raz w życiu, z wieloma osobami nawet nie zdążyłam się zaznajomić.

- Dobra, wyskakuj z dzinsów - poleciła Oksana.

- Nie, pojedę do domu - ospale próbowałam się sprzeciwić.

- Śpij - kazała Ksiuta i okryła mnie pledem.

Zrobiło się nagle ciepło i przytulnie, jak w dzieciństwie, kiedy babcia układała mnie do snu. W okresie szkolnym bardzo lubiałam chorować. Leżało się w łóżku, kiedy inne dzieci męczyły się w klasie nad słupkami, czytało Mayne Reida i Dumasa, jadło mandarynki i czekoladki... Właśnie mandarynki, bo nie wiadomo dlaczego wszystkie choróbska dopadały mnie zimą. Czasem plotkowało się z koleżankami przez telefon, a babcia w tym czasie smażyła kotlety i podawała je prosto do łóżka. Jedyną niedogodnością było, że grypę łapałam tylko raz w roku!

Kiedy dorosłam i wyszłam za mąż, nie wiadomo dlaczego przestałam chorować. Potem się rozwiódłam z Kostikiem, dostałam jako swoją część majątku nabytego w czasie trwania małżeństwa małego Arkażkę, więc na chorowanie nie miałam już czasu, trzeba było stale pracować,

żeby wychować i wykształcić chłopca. Prawdę mówiąc, byłam wciąż koszmarnie zmęczona i pewnego dnia zorientowałam się, że jednak złapałam grypę. W gardle mnie coś drapało, nos miałam zatkany, głowa zrobiła się ciężka. Ach, jak się ucieszyłam! Zaprowadziłam Arkaszkę do przedszkola, wróciłam do domu, padłam na łóżko i zatelefonowałam do pracy:

- Nie przyjdę, grypa mnie dopadła.
- Możesz nie brać zwolnienia - zezwoliło miłościwie kierownictwo - masz tydzień wolnego!

Wprost przepełniało mnie szczęście. Całych siedem dni odpoczynku, rajskich rozkoszy. Teraz się wyśpię, potem poczytam do syta, będę jadła same smakołyki, świeżo smażone kotlety...

Zwinęłam się w kłębek, naciągnęłam kołdrę na głowę i nagle pomyślałam: no dobra, mogę pospać, ale niedługo. Dziś jest piątek, krótki dzień, Kieszkę trzeba zabrać z przedszkola przed szesnastą, na kotleciki też nie mam co liczyć, babcia nie żyje, więc teraz choroba z przyjemności przekształciła się w straszny problem. W odróżnieniu od wielu ludzi, dokładnie mogę wskazać dzień, kiedy poczułam się dorosła. Poleżałam z pół godzinki i zwlokłam się z łóżka, żeby zrobić zakupy. Co najciekawsze, pod wieczór grypa znikła bez śladu, zupełnie o niej zapomniałam. Od tamtej pory więcej nie choruję, a jeśli jakaś zaraza zaczyna się do mnie zbliżać, po prostu przepędzam ją zaklęciem: „Spadaj, nie mam teraz na ciebie czasu”.

- Muszę wracać do domu - próbowałam walczyć z mgłą osnuwającą moją głowę. - Mania będzie się niepokoić.

- Już dzwoniłam do Łożkina - zabrzmiał głucho, jakby przez watę, głos Oksanki. - Śpij, nie marudź.

Zamknęłam oczy i w tej samej chwili zadzwoniła komórka.

- Kto mówi? - wyszeptałam. - Co się stało?

- Tu Kława - odparła słuchawka - wybaczone, pewnie cię obudziłam, ale dopiero co się dogadałam. Jutro o jedenastej masz być pod adresem, który ci dałam, nie zapomnij dowodu osobistego.

Rozdział 29

Za piętnaście jedenasta zaparkowałam pod ponurym budynkiem z ciemnej cegły i weszłam przez żelazną bramę na podwórze. Na niewielkim dziedzińcu ziemi kręciło się mnóstwo ludzi, głównie kobiety o niespokojnych twarzach.

- Gdzie tu się odbywają widzenia? - zapytałam jedną, w czerwono-białej kurtce.

- Tam. - Machnęła ręką w stronę drugiego budynku, wyższego, czteropiętrowego, ale tak samo ponurego.

Podeszłam do wejścia, gdzie miały się rozeźlone kobieciny; jedna z nich, z zeszytem w ręce, zapytała surowo:

- Nazwisko?

- Wasiljewa - speszyłam się - a bo co?

- To - odszczeknęła baba - że nie ma cię na mojej liście, nawet nie licz na to, że wepchniesz się bez kolejki. Widzicie ją, przyszła sobie ot tak, po prostu!

- Myśmy się już tydzień temu zapisywały na widzenie - weszła jej w słowo druga kobieta, ubrana, niezgodnie z aurą, w ciężkie futro z panofiksów. - Znalazła się spryciara! Spadaj stąd, ale już! Nawet nie drgnęłam.

- Chyba wam nie przeszkadzam, stoję sobie po prostu! Kobićki nie spodziewały się sprzeciwu, umilkły. Potem ta z zeszytem znów zaczęła swoją gadkę:

- Nie wpuścimy cię!

Ale dzięki Bogu, w tym momencie nadeszła jeszcze jedna, w eleganckim skórzanym płaszczu i harpie rzuciły się na nią.

- Chce się władować bez zapisu!

- No już, wynocha stąd!

- Zaraz tu będzie pełno kryminalnych i nie dostaniemy się!

Damulka zaczęła płakać. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nagle nie zabręczały żelazne drzwi i z czarnego otworu nie dobiegł

głos:

- Jest tu Wasiljewa? Daria Iwanowna? Rzuciłam się do wejścia.
- Już lecę.
- Spokojnie - chwyciła mnie w progu potężna kobieta koło czterdziestki, w mundurze w barwach ochronnych - wczoraj się tu stopeń ułamał. Idź ostrożnie. Zgrabnie ominęłam przeszkodę.
- Nożkina! - ryknęła dyżurna. - Jewgienja Siemionowna. Za chwilę stanęła koło mnie dama w skórzanym płaszczu.
- Co za łajdaczki! - rzuciła z wściekłością. - Żeby tak nogi sobie tu połamały. O mało mnie nie rozszarpały.
- Teraz możecie wchodzić według swojej listy - zezwoliła funkcjonariuszka aresztu śledczego - po osiem osób. A wy -zwróciła się do nas - pokażcie dowody. Sięgnęłam do torebki, och, nie darmo nasza Irka powtarza: „Przyszło nieszczęście, pokazuj papiery”. Ponury żart, ale prawdziwy. Nie zdążyłam podać czerwonej książeczki strażniczce więziennej, kiedy ze słabym okrzykiem tuż przede mną upadła główna awanturnica, ta z zeszytem. Babsko nie zauważyło nadkruszonego schodka, nikt jej nie uprzedził, jak mnie, o czy-
hającym niebezpieczeństwie. Najwyraźniej funkcjonariuszka troszczyła się tylko o dewizowych klientów. Rzuciłam się do baby.
- Nie potłukła się pani?
- Oj, jak boli!-ledwo wydusiła.
- No i bardzo dobrze! -wyszeptała mściwie damulka w skórzanym płaszczu.
- Nie złamałaś nogi? Podaj mi rękę, no jak, możesz stać?
- Aha - kiwnęła głową awanturnica - chyba.
- No to dobrze zaraz wszystko przejdzie.
- Ej, wy tam! - wrzasnęła dyżurna. - Trzeba mieć oczy otwarte! Będą się mi tu szwendać! No już, głupie gęsi! Za grosz rozumu! Tam przecież wisi ostrzeżenie: „Schody popsute”, czytać nie umiecie? W końcu grupa się zebrała i poprowadzono nas długim wąskim korytarzem.
- Słuchaj - awanturnica szarpnęła mnie za ramię - ty tego, no, nie wkurzaj się, dobra? Ja tak ze zmęczenia się darłam.
- Nie ma sprawy - odparłam cicho - głupstwo, pokrzyczałaś i dobra, cegłami nie rzucałaś!
- Wasiljewa, numer trzy! - Wrzasnęła strażniczka. Zobaczyłam przed sobą drzwi z wymalowaną wielką trójką i popchnęłam je. Pomieszczenie było wielkości przedziału w pociągu. Niewielką przestrzeń przegradzała ściana ze szkła. Z mojej strony stał kulawy tabelet i obdrapany stolik, na którym czernił się aparat telefoniczny bez tarczy. Po drugiej stronie szyby siedziała Lika. Złapałam słuchawkę.
- Witaj!
- Cześć - usłyszałam poprzez trzaski cichy głos.
- Jak się masz?
- Lika uśmiechnęła się ponuro.
- Trudno lepiej, sama widzisz!
- Możesz mi wyjaśnić, co się stało?
- Nie.
- Jak to? Kława mówiła, że próbowałaś zabić kobietę.
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Opowiadaj wszystko ze szczegółami.
- No... ale ich nie ma.
- To sobie przypomnij - zdenerwowałam się - takie rzeczy się nie zdarzają.
- Dostałam paczkę... Przyniosłam ją do baraku, otworzyłam... Patrę, a tam moje ukochane ptasie mleczko. Takie małe opakowanie, dziesięć deka. No to zjadłam całe, potem tak jakoś zakręciło mi się w

głowie, bardzo źle się poczułam. A akurat miałyśmy czas wolny - zaczęła opowiadać Lika.

Poczuła, że jest jej słabo, więc postanowiła wyjść na powietrze, na „spacerniak” - tak się nazywa ogrodzone podwórko przed barakiem. Tu było trochę lepiej, zawroty głowy ustąpiły. Lika spojrzała na zegarek - wolnego czasu starczyło jeszcze, żeby zdążyć do biblioteki, więc poszła po książki. Co prawda, najpierw się zatrzymała i dość długo głaskała bardzo, bardzo, bardzo kochaną kotkę, która akurat się napatoczyła.

Na ścieżce prowadzącej do magazynu bibliotecznego natknęła się na funkcjonariuszkę kolonii; jak nakazują przepisy, usunęła się na bok i... W tej samej chwili ogarnęła ją dzika, ślepa nienawiść, jakieś pierwotne, atawistyczne uczucie, absolutnie nieuzasadnione, mroczne... Co się działo dalej, Lika słabo pamięta.

Przyszła do siebie dopiero w celi więziennej, gdzie z trudem zatańczyło ją dwóch żołnierzy.

- Jakbym rozum straciła - mówiła teraz Lika - mówię ci, szaleństwo, zamroczenie. A jeszcze, wyobraź sobie, wsadzili mnie do celi, gdzie prycza jest przymocowana do ściany, punkt o dziesiątej wieczór ją opuszczają, a o piątej rano znów podnoszą do ściany. Rzucili mnie na podłogę i tak zasnęłam. Ale jak mocno! Ochrona wchodziła, próbowali mnie nawet bić, ale się nie obudziłam. Wyobraź sobie, tak chrapałam, że wezwali lekarza i odwieźli mnie do szpitala!

Westchnęłam. No tak! Z pewnością sprawa wyglądała bardzo źle, skoro rozjuszony naczelnik obozu zdecydował się na hospitalizację Liki!

- W szpitalu przespałam dwa dni - ciągnęła moja przyjaciółka - potem się obudziłam, och, ale czułam się fatalnie. Mdliło mnie, nogi się trzęsły, koszmar.

- Przypomnij mi, co to były za czekoladki?

- Ptasię mleczko, w czekoladzie, moje ulubione, dziękuję ci!

- Na razie nie masz za co, dziękować - machnęłam ręką - tego i owego już się oczywiście wywiedziałam, ale do rozwiązania zagadki jeszcze daleko. Lepiej powiedz, czy smakowały normalnie?

- Tak - odparła Lika - świeże, słodkie, dawno ich nie jadłam, więc się bardzo ucieszyłam i pochłonęłam wszystkie od razu, nawet się nie zastanawiałam, czy smakują tak jak zwykle! Dziękuję ci!

Ta nieustanna wdzięczność zaczęła mnie już irytować.

- Dobra. Powiedz mi, czy mówi ci coś nazwisko Lew Nikołajewicz Worotnikow?

Lika zmarszczyła czoło.

- Worotnikow? Lew Nikołajewicz? A kto to?

- Profesor, doktor nauk, zajmuje się opracowywaniem nowych leków.

- Worotnikow, Worotnikow, gdzieś już słyszałam to nazwisko...

- Przypomnij sobie.

- To takie ważne?

- Niezwykle!

- No... chyba spotkałam go u kogoś, będąc z wizytą... Nie, przepraszam, ale jakoś sobie nie przypominam.

- Czyli to nie jest bliski ci człowiek?

- Nie, absolutnie.

- I nie zrobiłaś mu żadnego świństwa? -Ja?

- Tak.

- O Boże! - krzyknęła Lika. - Jak mogłabym mu zrobić świństwo, skoro nie znam faceta? Chociaż rzeczywiście, cały czas mam wrażenie, że już słyszałam to nazwisko.

- No, spróbuj trochę wysilić mózgowicę! Co ci się z nim kojarzy? - zaczęłam błagać nieomal ze łzami w oczach. - Od tego zależy, czy będę w stanie cię stąd wyciągnąć, czy nie.

- Worotnikow, Worotnikow... A! Wiem! Ale tata mnie wtedy stłukł!

- Kto? - zdumiałam się.

- No, mój ojciec, nie pamiętasz go?

Oczywiście, bardzo dobrze pamiętałam Stiepana Iwanowicza. Potężny, krzepki mężczyzna, wojskowy, pułkownik. Stiepan Iwanowicz świetnie zarabiał, Lika i jej mama, Nina Aleksiejewna, niczego sobie nie

odmawiały. Pułkownik dostawał przydział towarów deficytowych i zawsze przyjaźnie częstował mnie papierosami BT, najlepszymi w owych czasach. Zwykle mieli też w domu wspaniałą kiełbasę, nie śliską, tłustą i niebieskawą od nadmiaru skrobi ostankińską, lecz pyszną bladoróżową doktorską z Mikojanowskich Zakładów Mięsnych. Stiepan Iwanowicz otrzymywał również talony do zamkniętej sekcji GUM-u, gdzie można było kupić czapki z piżmoszczurów, kurtki „Alaska”, niemieckie garsonki z dzianiny, czyli rzeczy absolutnie niedostępne dla zwykłych moskwian.

Nie wiem, gdzie służył, ale sądząc po dostępie do tych wszystkich dóbr, Stiepan Iwanowicz musiał zajmować wysokie stanowisko. Lubiłam ojca Liki, nawet się przyjaźniliśmy. Kiedy tylko ich odwiedzałam, Stiepan Iwanowicz momentalnie wyjmował z baru butelkę koniaku i wołał:

- No to, moja półimienniczko, Iwanowno, siadaj, wypij dwadzieścia gramów i opowiadaj, co nowego!

Kiedyś się poskarżyłam, że na dworze zima, a Kiesza nie ma ciepłego okrycia. W tamtych czasach zdobyć dla dziecka prawdziwy kożuszek było nie lada wyczynem; sztuczne futerka wisiały wszędzie, ale powiedzcie sami, jaki z nich pożytek? Zupełnie nie chroniły przed dwudziestostopniowym moskiewskim mrozem!

Stiepan Iwanowicz w milczeniu wysłuchiwał moich gorzkich żalów, a nazajutrz rano uśmiechnięta Lika przytaczała torbę.

- Masz, tata prosił, żeby ci to przekazać.

W środku był niewiarygodnie piękny czarny kożuszek, z dopinanym kapturem, i futrzane rękawice z jednym palcem.

Na moje próby oddania pieniędzy za wspaniałe okrycie Arkaszki Stiepan Iwanowicz oburzył się i mruknął:

- Milczeć! Nosić na zdrowie! Nie tobie kupiłem, tylko chłopakowi!

Ponadto nigdy nie zapuszczał się w nudne wspomnienia, czym często grzeszą starsi ludzie, nie pouczał nas, nie wygłaszał kazań pod hasłem: „Ta dzisiejsza młodzież”...

W ogóle wydawał mi się raczej rówieśnikiem, a jego niewyszukane dowcipy i sprośne kawały, które ochoczo opowiadał, nie denerwowały mnie. Zresztą niektóre z nich, pomimo wulgarności, były zabawne.

Kiedy Stiepan Iwanowicz zmarł, bardzo się przejęłam i wykrzyknęłam:

- Ale przecież był jeszcze taki młody!

- Tata miał już osiemdziesiąt dziewięć lat - przypomniała mi Lika.

Zatkało mnie. Rzeczywiście. Stiepan Iwanowicz przeżył żonę, która zmarła w połowie lat osiemdziesiątych, dawno przeszedł na emeryturę. Zmarł dwa albo trzy lata temu, był już sędziwym staruszkiem, ale ja nie wiadomo dlaczego do końca uważałam go za swojego rówieśnika.

Czasami go wspominam i cieszę się wtedy, że mimo wszystko zdażyłam jeszcze zrobić mu przyjemność. Na kilka lat przed śmiercią pułkownik powiedział z westchnieniem:

- Ech, kiedyś to były czasy, co roku jeździło się wypoczywać na Krym, a teraz nikt nie wręcza skierowań do domów wczasowych.

- Daj spokój - skrzywiła się Lika - mogę ci zafundować wyjazd do Turcji!

- A na jaką cholere mi Turcy? - oburzył się Stiepan Iwanowicz. - Nie ma nic wspanialszego niż Krym!

- Turcja to też Krym - nie dawała za wygraną Lika - tylko z drugiej strony.

- Nie - kręcił głową ojciec - zresztą nie dadzą mi paszportu.

- Dlaczego? - zdziwiłam się.

- Za dużo wiem - mruknął pułkownik.

- E tam - machnęła ręką Lika - nie chcesz jechać do Turcji i piętrzyć trudności.

- Tylko na Krym - upierał się Stiepan Iwanowicz.

Lika, chcąc jak najlepiej, próbowała przekonać ojca, ja natomiast pogadałam z kim trzeba i wręczyłam pułkownikowi

skierowanie do sanatorium. Trzy tygodnie w Abrau-Diurso. Pułkownik jeszcze długo potem wspominał wycieczkę do zakładów produkujących wina musujące i pieczar lodowcowych...

- Ojciec cię stłukł? - Byłam zaskoczona. - To niemożliwe!

- Jeden raz w życiu - uśmiechnęła się Lika - dlatego to zapamiętałam. Za Worotnikowa!

- Za kogo? - Zupełnie się pogubiłam.

Lika zakasłała, trudno było zrozumieć, czy się przeziębila, czy próbuje w ten sposób ukryć dławiące w gardle łzy.

- To stara historia, byłam na piątym roku studiów. Wracam któregoś dnia do domu, wchodzę do kuchni, a tam rodzice jedzą obiad, radio otwarte. Lektor aż się zachłystuje: „Defraudanci socjalistycznego mienia, ludzie, podkopujący fundamentu socjalizmu... wyrok śmierci, na jaki skazano Worotnikowa, został wykonany”.

Lika zaczęła się dopytywać:

- Kto to taki?

- Bandyta i złodziej - odparł Stiepan Iwanowicz. - Dla takich jak on nie ma wśród nas miejsca.

- Może ma żonę albo córkę - powiedziała Lika. - Wyobrażasz sobie, jaki koszmar przeżywają, słysząc to?

- Nie wolno kraść - oznajmił ojciec.

- Mimo wszystko to okrutna kara rozstrzelać człowieka -ciągnęła Lika.

- Worotnikow to łajdak!

- Ale człowiek! Nie jest ci go żal?

- Dość tego - włączyła się Nina Aleksiejewna - jedzcie zupę.

- Kogo myśmy wychowali! - Stiepan Iwanowicz zrobił się purpurowy na twarzy. - Moja córka bronii przestępcy!

- On jest człowiekiem!

- Nie, to drań! Powinno się go rozstrzelać publicznie, żeby innym raz na zawsze się odechciało kraść! - zaczął krzyczeć ojciec. - Sprzeniewierzenia na wielką skalę, nielegalne operacje walutowe... Czy ty przynajmniej wiesz, co mu zarzucano w akcie oskarżenia?

- Nawet nie chcę wiedzieć - odburknęła Lika - to okrutne zabić człowieka, choćby winnego. W czym państwo lepsze jest od przestępców? A ten, co wykona wyrok? Też jest zabójcą!

- On broni praworządności - oburzyła się Nina Aleksiejewna. - Jeśli nie będzie kary, wyrzutki społeczeństwa rozpanoszą się na dobre!

- Zabójca zabija zabójcę! - z młodzieńczym uporem oświadczyła Lika.

- Wasz Worotnikow w ten sposób też staje się ofiarą.

W tym momencie nagle zdarzyło się coś niewiarygodnego. Ojciec zerwał się od stołu, złapał Likę, przełożył przez kolano, wyciągnął ze spodni pas i zaczął nim chłostać córkę, powtarzając:

- Masz za Worotnikowa, masz za głupotę, masz za to, że kłócisz się ze starszymi, masz za Worotnikowa, masz za Worotnikowa, masz za Worotnikowa...

Ale najbardziej wstrzasnęło Likę nie to, że ojciec wybuchnął gniewem, ale to, że mama nie rzuciła się na ratunek córce. Nina Aleksiejewna nie próbowała wyrwać mężowi z rąk pasa, tylko po prostu wyszła z kuchni.

Stiepan Iwanowicz puścił płaczącą Likę i od razu wyjechał. Nie było go w domu przez dwa dni, co nie dziwiło córki. Ojciec często wyjeżdżał w delegacje. Potem wrócił, przywiózł Ninie Aleksiejewnie kolczyki, a Lice ładną bransoletkę, i życie potoczyło się jak dawniej.

- W końcu nie dowiedziałam się, dlaczego ojciec tak się wściekł z powodu tego Worotnikowa - zakończyła swoją opowieść Lika.

Poczułam znów wielki ciężar na sercu. Lika przypomniała sobie Worotnikowa, ale nie Lwa Nikołajewicza. Tamten Worotnikow został rozstrzelany, Lew Nikołajewicz nosi po prostu to samo nazwisko.

Rozdział 30

Patrzyłyśmy na siebie w milczeniu. Nagle zrobiło mi się duszno, miałam wrażenie, że w powietrzu nagle zabrakło tlenu. Maleńkie pomieszczenie wypełniał lepki dwutlenek węgla. Koniec, pełny impas. Oczywiście, jestem pewna, że to Lew Nikołajewicz postanowił wpakować Likę do więzienia i zrobił w tym

celu absolutnie wszystko, osiągając stuprocentowy sukces w tej sprawie. Ale nie mam na to żadnych dowodów i zupełnie nie rozumiem motywów przestępstwa. O co chodziło? W czym Lika przeszkodziła Lwu Nikołajewiczowi? Prawdę mówiąc, przed przyjściem na widzenie miałam już w głowie zgrabną teorię: Nastia chciała wyjść za mąż za Worotnikowa, a jemu przeszkadzały w tym jakieś powiązania z Liką. Co prawda, Nastia mówiła Rozie... A może on nie pałał dziką nienawiścią do Liki, tylko... Może to nie było tak? Przecież od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok. Moja hipoteza opierała się na tym, że Likę i Lwa Nikołajewicza łączyły bliskie stosunki, które z jakiejś przyczyny starali się ukryć przed światem. Może romansowali; Lew Nikołajewicz miał żonę, Lika kolejnego męża, więc spotykali się potajemnie. Może Worotnikow do dziś ją kocha i z tego powodu nie chciał wiązać się z Nastią, dlatego dziewczyna postanowiła pozbyć się rywalki. Nastia odznaczała się przecież bardzo wybujałą fantazją... Ale wszystkie moje teorie legły w gruzach. Lika nawet nie знаła profesora! Ślepy zaułek!

- Dziękuję ci - znów szepnęła Lika.

- Daj spokój - mruknęłam pod nosem - na razie nie ma za co. Miotam się, po omacku, bez widocznych rezultatów.

- Jest za co, i to jeszcze jak - sprzeciwiła się Lika. - Choćby za paczkę żywnościową.

Nagle mnie olśniło.

- Lika!!! Kto ci przysłał paczkę z ptasim mleczkiem? Przyjaciółka milczała, w końcu na jej twarzy pojawiło się szczere zdumienie.

- No przecież ty!

- Kto?

- Dasza Wasiljewa.

- Ja? Zwariować można! Jesteś tego pewna? Lika nachmurzyła się.

- Oczywiście, wydaje ci się, że jestem psychopatką! Właśnie ty, bardzo dziękuję, wspaniała przesyłka: konserwa mięsna, mydło i moje ukochane ptasie mleczko.

- Skąd ci przyszło do głowy, że to ode mnie?

- Wygłupiasz się, tak?

- Nie, odpowiedz, proszę.

- No, na paczce był adres zwrotny, a w środku leżał liścik: „Smacznego, całuję, Dasza”.

- Jakiś bardzo krótki list napisałam, nie wydało ci się to dziwne?

%

- Do paczek dla więźniów nie wolno wkładać żadnych listów - wyjaśniła spokojnie Lika. - Wyrzuciliby go.

- A nie zorientowałaś się, że to nie mój charakter pisma?

- To nie ty ją wysłałaś?

- Nie.

- A kto?

- Na razie nie wiem. Nie zauważyłaś, że to nie moje pismo?

- Nie.

- Dlaczego?

Lika westchnęła głośno.

- Daszka, a kiedy ostatni raz widziałam, jak ty piszesz?

- No - zaczęłam się zastanawiać - nie wymienialiśmy listów ani zapisków... Pewnie na studiach, stale przepisywałaś ode mnie konspekty z literatury francuskiej!

- No właśnie, a ile to już lat minęło? Zresztą charakter pisma nie ma tu nic do rzeczy, gryps był wydrukowany na komputerze.

Lika zupełnie naturalnie użyła słowa „gryps”, które wdarło się do mojej świadomości i eksplodowało jak rakietka. Boże, Lika już zaczyna mówić, jak prawdziwa kryminalistka, jeszcze trochę, i wtopi się w świeatek po drugiej stronie krat.

Oparłam czoło o brudną szybę i z trudem obracając językiem, zapytałam:

- Masz kwitek?

- Na co?

- No, oczywiście, na paczkę!
- Nie.
- A jak ją dostałaś?
- Wydali mi w obozie, a w jaki sposób oni odbierają przesyłki z poczty, nie mam pojęcia - odparła zbita z tropu Lika.
- Cóż, postanowiłam tak łatwo się nie poddawać, tonący brzytwy się chwyta.
- Pamiętasz numer urzędu pocztowego?
- Jakiego?
- Tego w którym nadano przesyłkę. Oglądałaś opakowanie?
- Tak.
- Powinien tam być stempel i adres zwrotny.
- Adres widziałam.
- Pamiętasz?
- Aha.
- Mów.
- Ale... nie pamiętam kodu.
- Daj spokój, mów.
- Obwód moskiewski, poczta Rogozino, osiedle willowe Łożkino, działka nr 107, Daria Wasiljewa - recytowała Lika.
- Krew uderzyła mi do głowy.
- A stempel? No, co na nim było?
- Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby go oglądać - oświadczyła Lika.
- A mnie udało się nie rozplakać. To już koniec, zupełny aut.

Rozdział 31

Na dworze padał deszcz. Odetchnęłam pełną piersią, wciągnęłam świeże powietrze w płuca i ruszyłam do samotnie stojącego na parkingu peugeota. Byłam w takim nastroju, że lepiej nie mówić. Z całej siły powstrzymując łzy, wsiadłam do samochodu i... nie wytrzymałam. Po policzkach popłynęły mi słone strużki, z piersi wyrwał się szloch. Jakaż jestem głupia, idiotka ze mnie, nie potrafię pomóc Lice. Wkrótce podwyższą jej wyrok i moja przyjaciółka nigdy nie wyjdzie na wolność.

Ktoś zastukał w okno. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam kobietę z zeszytem.

- Czego ryczysz? - zapytała.

Miałam ochotę odpowiedzieć: „Odczep się” - ale zamiast tego jeszcze gwałtowniej się rozplakałam.

- No, no - zaczęła mnie głaskać po głowie baba - uspokój się, wszystko będzie dobrze.

Wsiadła do samochodu i podsunęła mi papierosa.

- No, weź, zapal sobie, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Nie - kręciłam głową, już ostatecznie wpadając w histerię - wszystko jest źle, jest bardzo źle i lepiej nie będzie.

I w tej chwili, jak zawsze w najmniej odpowiedniej, ożyła komórka.

- Odbierz lepiej telefon - powiedziała ta z zeszytem. Pociągnęłam nosem i mruknęłam:

- Odbierz za mnie.

- Halo, halo - zatrajkotała baba - nie, nie Dasza, tylko jej znajoma. Nie, nie może, bo płacze! Gdzie, gdzie? Pod aresztem śledczym dla kobiet! No tak, normalnie ryczy jak bóbr!

- Kto dzwonił? - spytałam przez łzy.

- A jakiś facet - odparła kobieta. - Masz, napij się wody. No już, nie przejmuj się tak, jakoś to będzie.

Posiedziała ze mną jeszcze kilka minut i w końcu sobie poszła.

Próbowałam zapanować nad nerwami. Na świecie więcej jest dobrych ludzi niż złych. Nie wierzycie? Spróbujcie rozplakać się na ulicy, to się przekonacie. Ech, szkoda, że nie mam ze sobą neospasminy, bo jakoś w żaden sposób nie mogę się uspokoić.

Nagle otworzyły się drzwi od strony miejsca dla pasażera i postępując, wsiadł do wozu Diegtiariew.

- Co się stało? - zapytał, odsapnąwszy.

- Jak tu trafiłeś? - zdziwiłam się.
- Po prostu przyjechałem - odparł Aleksander Michajłowicz.
- Po co?
- Dlaczego płaczesz?
- Skąd wiedziałeś?
- Nieważne. Co się stało?
- To ty przed chwilą dzwoniłeś? - olśniło mnie.
- Aha.
- Przeze mnie zostawiłeś swoje sprawy i przyjechałeś tutaj?
- Drobiazg - oznajmił bez troski pułkownik - akurat nie robiłem nic ważnego.
Ale ja znów zalałam się łzami. Jaki on dobry, wyrozumiały, troskliwy, miły.
- Może już masz klimakterium? - palnął Diegtiarow z grubej rury. - Stale wpadasz w histeryczne stany.
- Zwariowałeś! Jestem młoda kobieta, jeszcze nawet...
- ...nie masz siedemdziesiątki - zażartował pułkownik.
Po chwili zobaczył moją smętną minę, więc objął mnie za ramiona i szepnął basem:
- No dobra, to głupie żarty. Co się stało?
Wlepiłam wzrok w jego ramię i wciągnęłam w nozdrza znajomy zapach wody kolońskiej.
- To jakiś koszmar!
- Mów.
- I tak mi nie pomożesz! Diegtiarow pogłaskał mnie po głowie.
- No już, zdradź mi wszystkie tajemnice, tatuś zaraz rozwiąże twoje problemy.
Nagle poczułam się lekko i spokojnie. Tak, trzeba wszystko opowiedzieć pułkownikowi; może później będę żałowała swojej spontanicznej decyzji, ale Diegtiarow jest jedynym człowiekiem, który może ulżyć losowi Liki. Pogada, z kim trzeba, i przynajmniej potraktują ją ulgowo.
Wciąż płacząc, zaczęłam opowieść:
- Lika jest niewinna ofiarą...
Kiedy potok informacji, którymi zalałam pułkownika, wysechł, Diegtiarow wcale nie zaczął się wściekać. Zwykle, kiedy wszczynałam na własną rękę jakiegokolwiek śledztwo, Aleksander Michajłowicz robił się czerwony i zaczynał wrzeszczeć: „Wiecznie się musisz płatać pod nogami!”.
Ale dziś tylko powiedział cicho:
- Garbatego dopiero mogiła wyprostuje. Jedźmy.
- Dokąd? - przestraszyłam się.
- Prawdę mówiąc, to dzwoniłem, żeby się z tobą wybrać do sklepu - przyznał się pułkownik. - Kicia ma niedługo urodziny, upatrzyłem dla niej jedną rzecz, ale nie chciałem kupować bez konsultacji z tobą. Wytrzeszczyłam oczy. Pułkownik wciąż mnie zadziwia. Po pierwsze, nie znosi przecież sklepów, po drugie, zawsze zapomina o rodzinnych uroczystościach, ba, nie pamięta nawet o własnych urodzinach.
- Może jeszcze zdążymy - powiedział niepewnie Diegtiarow.
- Dokąd? - zapytałam.
- Do „Złota Kosmosu” - wyjaśnił Aleksander Michajłowicz - upatrzyłem tam dla Olgi pierścioneł, ładny, z zielonym oczkiem, kobiety lubią takie świecidełka.
- Nie wszystkie - odcięłam się.
- Nie, wszystkie. - Pułkownik roześmiał się. - Po prostu większości nie stać na kupno takich ozdób, więc mówią, że brylanty i szmaragdy są im obojętne. Uwierz mi, że tak nie jest. No już, zapalaj silnik.
- Pomożesz Lice? - zapytałam. Pułkownik wbił wzrok w okno.
- No? - ponaglałam go nerwowo. - Coś tak nagle zapomniał języka w gębie?
- Na razie nic nie mogę obiecać - odparł mój przyjaciel. Krew uderzyła mi do głowy. Złapałam pułkownika za rękaw kurtki i zaczęłam nim potrząsać jak kartonikiem z gęstym kefirem.
- Ty... ty... ty... jesteś złośliwym starym knurem!

- Ja? - spieszył się Diegtiariow. - Ja? Knurem?
- Starym i złośliwym! - wyrwało mi się. - Starym i złośliwym!
- Dlaczego? - nieoczekiwanie zainteresował się mój przyjaciel. - No dobra, zgadzam się, nie jestem już młody, ale złośliwy nigdy nie byłem! Uspokój się, wypij trochę wody.

Ale ja opuściłam głowę na kierownicę i zaczęłam płakać. Diegtiariow najpierw próbował wlać we mnie wodę mineralną - niestety, bez powodzenia, a potem nie wiadomo dlaczego chwycił mnie za kark i mruknął:

- Ty masz gorączkę, trzydzieści osiem co najmniej!

Nagle dotarło do mnie, jak źle się czuję. Głowa mi pęka, nogi dygoczą, przed oczyma latają mroczki. Ostatnie, co pamiętam, to jak Aleksander Michajłowicz, odsuwając fotel kierowcy do oporu, ryczy:

- Cholerni Francuzi! Zasuszone żabojady! Ale samochód zrobili!

Normalny człowiek nie może usiąść za kierownicą.

Później miałam przed oczami ciemność, zrobiło się zimno, potem ktoś uderzył mnie w głowę polanem, rozblysnęło jasne światło, rozległ się hałas i... wszystko nagle znikło.

Przeleżałam w łóżku trzy tygodnie, nigdy przedtem tak poważnie nie chorowałam. Najpierw przez dziesięć dni utrzymywała się podwyższona temperatura, więc głównie spałam, odmawiając jedzenia i picia, potem trochę mi się poprawiło, nie zdążyłam jednak choćby usiąść w łóżku, jak przyszło kolejne utrapienie - zaczęły mnie boleć uszy, ale tak okropnie, że musiałam znów leżeć pod kołdrą. Po ostrym zapaleniu ucha środkowego odezwało się serce, potem rozboleły mnie nogi...

- Teraz - westchnęła Oksanka - dopóki nie przeskoczy przez wszystkie słabe punkty organizmu, nie odpuści! Taka zaraza. Dlaczego nie zaszczepiłaś się przeciw grypie?

Naciągnęłam kołdrę na głowę. A co to teraz za różnica, dlaczego nie poszłam na szczepienie? Przecież nigdy nie choruję, no to teraz mam za swoje, dostałam łupnia za wszystkie czasy.

Domownicy z całych sił starali się mnie pocieszać. Sypialnia była zawalona stertami kryminałów, które z poświęceniem kupowała Kicia. Maruśka przytaczała do mojego pokoju wszelkie możliwe smakołyki. Irka codziennie zmieniała mi pościel, Katierina bez końca robiła budyni i przyrządzała krewetki. I chociaż przed moją chorobą na widok owoców morza wszyscy w domu krzyczeli: „Fuj, znów będzie śmierdziało rybą”, to teraz troskliwie podsuwali mi talerz i przymilali się:

- No, zjedz kreweteczkę, zobacz, jaka tłusciutka, jaka pyszna!

Grisza bezustannie łupał dla mnie orzechy włoskie, Kiesza przyniósł skądś wszystkie kasety z „Glinami”, „Zabójczą siłą” i „Herkulesem Poirotem”, nawet ogrodnik Iwan postanowił wykazać indywidualną troskę i ustawił w mojej sypialni donicę z jakimś ohydny fikusem, bardziej przypominającym wyrób plastikowy niż żywą roślinę.

Tylko Diegtiariow się nie pokazywał. W pewnej chwili nawet mnie to zabolalo. No proszę! Ja tu umieram, a pułkownik nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Ciekawe, czy przyjdzie na mój pogrzeb?

Ale wszystko, nawet to, co nieprzyjemne, ma swój koniec. Choroba opuściła mnie tak samo nagle, jak zaatakowała. Pewnego poranka obudziłam się całkiem zdrowa, wyszłam spod kołdry, ubrałam się i spróbowałam zejść na dół. Ale nogi mi drżały i rozjeżdżały się w różne strony, a spodnie z płótna żaglowego, które przed chorobą opinały mi biodra, teraz wisiały na mnie tak, jakbym je pożyczyla od Diegtiariowa. I wtedy właśnie zahuczał bas pułkownika:

- Kto by pomyślał, tak wcześnie wstałaś!

Odwrociłam się gwałtownie, omal nie upadłam, przytrzymałam się komody i powiedziałam z rozdrażnieniem:

- Zapomniałeś o mnie! Porzuciłeś mnie, żebym umierała w samotności, ani razu nie przyszedłeś!

- To wcale nie tak - odpowiedział Aleksander Michajłowicz. - Po prostu byłem bardzo zajęty w pracy.

- A-a-a - zakpiłam - jasna sprawa... Praca, oczywiście, jest najważniejsza.

Ale pułkownik w ogóle nie zwrócił uwagi na mój obrażony ton.

- Ty chyba lubisz niespodzianki? - Zmrużył oczy.
- Ale tylko dobre - odparłam szybko. - Przyjemne niespodzianki.
Informacja o pożarze w naszym domu wcale mnie nie ucieszy.
- No to spójrz tutaj - poleciał mój przyjaciel i odstąpił na bok.
Wbiłam wzrok w otwarte drzwi. Usłyszałam szuranie, potem stukanie obcasów i do pokoju weszła... Lika, szczupła, bardzo krótko ostrzyżona, w eleganckim spodniemie.
Wyciągnęłam ręce przed siebie, chciałam krzyknąć: „Likuśka!”, ale z ust wyrwał mi się tylko jakiś syk, a potem komoda nieoczekiwanie skoczyła mi na twarz.

Rozdział 32

- Jesteś idiota! - usłyszałam w ciemnościach. - Zupełnie popaprany kretyn!
- A kto mógł wiedzieć, że zaraz zemdleje - odezwał się Diegtiarow.
- Chciałam jej zrobić niespodziankę.
- Stres może zabić - oznajmiła Oksana. - Nieważne, czym spowodowany: nieszczęściem czy radością.
Otworzyłam oczy. Tak, znów leżę w łóżku, a wokół mnie kręcą się domownicy.
- Lika! - wyszeptalam. - Na długo cię wypuścili?
- Na zawsze! - wykrzyknęła moja przyjaciółka. - Diegtiarow mi pomógł.
- Wcale nie - zaczął machać rękami pułkownik - Daria nieźle się przy tym napracowała.
- Pies ma pieskie życie - oznajmiła z satysfakcją Lika.
- Mówisz o mnie? - zdziwiłam się.
- Nie, o Worotnikowie!
- W takim razie to on?
- Tak!
- Nic nie rozumiem - zniecierpliwiła się Mania. - Wujku, opowiedz.
- No - zawahał się pułkownik - sprawa jest zakończona, ale może lepiej pozwólmy Daszy pospać.
- Nie - zaprotestowałam - wystarczy, prawie miesiąc przespałam.
Siadaj w fotelu i zaczynaj.
Diegtiarow wciąż się wahał.
- No szybciej - ponaglałam go - bo znów mi się pogorszy, z ciekawości.
- Prawdę mówiąc - rzekł pułkownik, patrząc na mnie - dowiedziałas się praktycznie wszystkiego.
Lew Nikołajewicz Worotnikow, człowiek powszechnie szanowany, utalentowany naukowiec i odnoszący sukcesy biznesmen, postanowił okrutnie zemścić się na Lice. Plan miał opracowany już dawno, chciał sprawić kobiecie okrutny ból, tak żeby Lika poczuła go do szpiku kości. Początkowo myślał o wynajęciu płatnego mordercy, żeby zastrzelić znienawidzoną babę, ale potem zastanowił się i doszedł do wniosku, że trzeba ją zostawić przy życiu, bo czasem to gorsze od śmierci. Ale żywot swój Lika powinna wieść albo w więzieniu, albo w obozie, w koszmarnych warunkach, i opuszczona przez wszystkich przyjaciół, którzy odwrócą się od niej, uważając ją za morderczynię. I wtedy Lew Nikołajewicz otrzymuje informację o jej zbliżającym się ślubie. W jego głowie natychmiast rodzi się diabelski plan. W laboratorium pracuje całkowicie pozbawiona zasad dziewczyna, Nastia, marząca o małżeństwie z profesorem. Wątpliwe, żeby Anastasja kochała profesora. Po prostu chce dobrze ułożyć sobie życie, ma już dość biedy i niewygód komunalnego mieszkania. Nastia jest bardzo ładna, Worotnikow natomiast owdowiał, wywiązuje się więc romans. Co prawda, Lew Nikołajewicz nie ma zamiaru proponować jej ręki i serca. Profesor to stary wyga, lowelas, wielki miłośnik słabej płci, z nikim nie chce wiązać swego losu, nawet z taką ślicznotką, jak jego laborantka.
W końcu postanawia zniszczyć Likę i dochodzi do wniosku, że właśnie Nastia jest osobą, którą można w tej sytuacji wykorzystać. Dziewczyna nie ma żadnych zasad i za pieniądze zrobi wszystko. Profesor obiecuje

jej więc:

- Oczywiście, ożenię się z tobą, najdroższa.

I Nastia zaczyna działać. Scenariusz opracowany jest w najdrobniejszych szczegółach.

Dziewczyna zjawia się na weselu Liki jako gość i częstuje Jewgienija cukierkami z lwinem. Lekarstwo działa natychmiast i Jewgienij traci rozum.

Następnego dnia za namową Nasti dzwoni do Liki i wyznacza jej spotkanie na nabrzeżu. Naiwna, świeżo poślubiona małżonka myśli, że mężowi jest wstyd i chce ją prosić o wybaczenie, więc mknie na spotkanie. Tak naprawdę Jewgienij nie rozumie, po co poprosił o spotkanie babsko, które jest teraz mu po prostu wstrętne... Lwin oprócz wszystkich swoich właściwości posiada jeszcze taką cechę, że dławi wolę osoby, która zażyła lekarstwo. Po fazie wściekłości następuje stadium pokory, nawet apatii; w tym wypadku należy dokładnie określić dawkę, ale Lew Nikołajewicz jest wspaniałym specjalistą, a Nastia bez końca częstuje Jewgienija cukierkami. Lika przyjeżdża na stację metra Sportiwnaja, Asia wciska jej do rąk bezpłatną butelkę coca-coli. Plan jest prosty: upał, duszne metro, a tu orzeźwiający, zimny napój. Zresztą podstawowym problemem przestępców był właśnie sposób podania Lice lekarstwa. Ale wtedy Asia otrzymuje akurat propozycję pracy -sprzedaży napojów, no i znajduje się wyjście z sytuacji. Asia zresztą nie do końca wiedziała, w czym uczestniczy. Nastia powiedziała jej po prostu:

- Trzeba dać nauczkę jednej babie, dawnej kochance mojego profesora! Daję sto doków! Pomożesz?

Asia się ucieszyła. Takie proste zadanie i tyle pieniędzy. Poją więc Likę trucizną i zawożą do domu. Lew Nikołajewicz daje Nasti na przygotowanie całej akcji dwa tysiące dolarów, każe jej kupić z ogłoszenia tanie żiguli, wynająć szofera...

Ale Nastia bierze bez pytania mercedesa Maliki Jusupowny. Sprytna dziewczucha świetnie wie, że malarka nigdy w czasie pracy nie wychodzi z domu, i wie też, że drogówka nie będzie zatrzymywać do kontroli dokumentów samochodu z numerem rejestracyjnym, zaczynającym się od trzech liter O. Potem Nastia wciąga w sprawę Dimę, tępego chłopaka, kochanka Asi, płaci mu niezbyt wygórowaną cenę za usługi, a pozostałe dolary chowa do kieszeni. Lwu Nikołajewiczowi kłamie, że kupiła żiguli, a potem je zatopiła...

- Nastia bardzo ryzykowała. - Pokręciłam głową ze zdumieniem.

- Wcale nie - odparł Diegtiariow.

- A gdyby po powrocie z akcji okazało się, że miejsce do parkowania jest zajęte? Malika od razu by się domyśliła, że jej merc jeździł bez właścicielki.

- Widzisz - odparł pułkownik - tam wisi taka tablica: „Bardzo prosimy nie stawiać samochodów pod oknami, mieści się tutaj żłobek, przeszkadzacie dzieciom spać”. Ludzie respektują tę prośbę, jedynie Malika Jusupowna ma gdzieś te dzieci.

Dalej wszystko idzie jak po maśle. Jest jeszcze jeden wydatek- zakup najtańszego telefonu komórkowego dla Asi. Kiedy Likę zawożą do domu, Nastia wkłada jej sukienkę, bandażuje nogę, żeby ukryć charakterystyczny tatuaż, i pędzi na spotkanie.

- A po co ta sukienka?

- Rzuciła się w oczy - wzruszył ramionami Diegtiariow -była bardzo charakterystyczna, Lika ją uwielbiała i często nosiła. A Nastia zamierzała mniej więcej półtorej godziny po zabójstwie zadzwonić na milicję i poinformować, że była świadkiem zbrodni, widziała, jak baba wrzuciła faceta do wody. Chciała też podać rysopis Liki.

Nastia podeszła do Jewgienija, ten pod wpływem lekarstwa zapomniał już, że czeka nie na Nastię, tylko na Likę... Co było dalej, wiadomo. Jewgienij znalazł się w rzece...

- Ale dlaczego postanowili wrzucić go do wody? - zapytałam.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie? Pod wpływem lekarstwa Jewgienij nie jest zdolny do sprzeciwu... Nie spodziewa się po Nasti niczego złego, więc kiedy ta,

wskazując ręką, mówi: „Oj, zobacz, co tam płynie, jakby torebka”, on spokojnie wychyla się przez balustradę. Nastia musi mu tylko trochę pomóc. Już przedtem dowiedziała się, że Jewgienij nie umie pływać. No i, oczywiście, miała zamiar poinformować milicję o zdarzeniu anonimowo. Że niby szła nabrzeżem i zobaczyła Likę, zapamiętała jej sukienkę, a teraz powiadamia odpowiednie organy.

Ale przypadkowo napatoczył się dziadek z lornetką.

Nastia dokonała morderstwa i uciekła do domu Liki, włożyła śpiącej sukienkę i pobiegła z powrotem. Chciała zadzwonić na milicję z budki telefonicznej, stojącej koło bloku na nabrzeżu, co wydawało się jej logiczne. Ale kiedy dziewczyna znów zjawiała się na miejscu przestępstwa, tam już na całego pracowała milicja, a staruszek głośno opowiadał o tym, co widział.

Niezwykle uradowana Nastia ucieka, a funkcjonariuszom wystarczy kilka godzin na rozwikłanie sprawy. Wszystko wydaje się jasne. Mężczyzna dał kobiecie kosza, i to jeszcze na weselu, więc się wściekła.

Okoliczności układały się dla Liki jak najgorzej: pracownicy hotelu opowiadają, jaką zadymę urządziła w pokoju, staruszek z pełnym przekonaniem rozpoznaje i sukienkę, i „morderczynię”. A w dodatku Nastia, wychodząc od Liki, troskliwie stawia na nocnej szafce szklankę wody. Wie, że kiedy kobieta ocknie się, będzie ją męczyć pragnienie. Ten plan też się sprawdza. Lika chwyta szklankę i duszkiem wypija wodę, ale w niej jest rozpuszczony silny preparat, więc kiedy milicja przyjeżdża do Liki, ta właściwie nie rozumie, czego od niej chcą i pod wpływem leku przyznaje się do przestępstwa, którego nie dokonała.

Potem, już w areszcie śledczym, Lika kilkakrotnie otrzymała przesyłki z ukochanym ptasim mleczkiem. Ostatnia przysłała akurat na dzień przed rozprawą.

- To dlatego była taka apatyczna na ławie oskarżonych! - krzyknęłam.

- A kto jej przekazywał te paczki?

Diegtiariow chrząknął.

- Wśród funkcjonariuszy aresztu śledczego można znaleźć osoby dla pieniędzy gotowe na wszystko! Na razie nie znaleźliśmy tej osoby.

- Ale dlaczego Lika jadła słodycze? - zapytała cicho Kicia. -

Przecież dostawała je od nie wiadomo kogo!

- A właśnie że nie - chmurnie odparł pułkownik. - Paczki były od Daszy.

Aż podskoczyłam.

- Nie! Ja nic nie zносиłam do więzienia!

- Ale Lika o tym nie wiedziała!

- Tak - kiwnęła głową Lika - myślałam, że tak się o mnie troszczysz, dlatego napisałam z obozu list i poprosiłam cię o paczkę żywnościową...

- Sprawa była załatwiona - kontynuował pułkownik. - Lika dostała długi wyrok. Wszystko na razie jasne?

- Nie! - krzyknęłam. - Absolutnie nie jasne! Kto zabił Nastię

i Asię? Dlaczego? No i najważniejsze! Za co Worotnikow tak

znienawidził Likę, co ich łączyło?

- Cóż, Nastię zgubił jej własny charakterek - ciągnął Diegtiariow. -

Natychmiast zażądała od Worotnikowa ślubu. Lew Nikołajewicz wykręcał

się, a wtedy ona zaczęła go szantażować. Powiedziała: „Zastanów się.

Jeśli nie będzie ślubu, pójdę na milicję i opowiem o Lice”.

- Nikt ci nie uwierzy. - Worotnikow starał się nie poddawać. - Nie masz świadków.

- A właśnie że mam - odparła Nastia. - Asia! Ona dała jej butelkę z cola.

O Dimce na wszelki wypadek nic nie wspomniała, nie chciała, żeby

Worotnikow dowiedział się, że przywłaszczyła sobie dolary.

Lew Nikołajewicz zbladł, ale od razu obiecał:

- Oczywiście, pojedziemy do USC, przyprowadź jutro ze sobą tę Asię,

zapraszam was do siebie. Może weźmiemy ją na świadka?! Chciałbym

poznać tę dziewczynę.

Nastia triumfuje, w końcu udało jej się schwytać bogatego

staruszka. Razem z Asią przychodzą o umówionej godzinie do profesora, ten lekko je upija i zaczyna rozmowę o ślubie, miesiącu miodowym, sukni... Głupie dziewczyny chichoczą, potem profesor proponuje im przejażdżkę, więc w cudownym nastroju wsiadają do samochodu, dojeżdżają do obwodnicy i wtedy samochód „psuje się” w cichym bezludnym miejscu, parę metrów od niej. Ani Nastia, ani Asia nie umieją prowadzić.

- Cholera! - wścieka się Lew Nikołajewicz. - Moje drogie, popchnijcie, zaraz powinien zapalić.

Głupiutkie dziewczyny chętnie spełniają prośbę, opierają ręce na bagażniku i... Worotnikow wciska pełny gaz, samochód gwałtownie rusza do tyłu, profesor potraça Asie i Nastię, potem dla pewności przejeżdża po ciałach jeszcze raz. Pada gęsty deszcz, jest ciemno, nie ma żadnych świadków. Lew Nikołajewicz wrzuca zwłoki Nasti do rowu, a ciało Asi wywozi kilka kilometrów dalej i zostawia w krzakach z drugiej strony drogi, po czym wjeżdża na MKAD i znika. Jest absolutnie pewien, że nie ma już więcej świadków. O Dimie profesor nie zdażył się dowiedzieć. Nastię znaleziono rano, Asie dzień później, nikt nie łączył obu wypadków.

- Straszne - wyszeptała Kicia. - Ale co tu ma do rzeczy Lika?

- To zupełnie inna historia - odparł sucho Diegtiarow. - Nie mniej koszmarna niż pierwsza.

Zamilkł, po czym zwrócił się do mnie:

- Pamiętasz, Lika opowiadała ci, jak jej ojciec, Stiepan Iwanowicz, wpadł w furję z głupiego powodu, kłócili się o to, czy należało rozstrzelać przestępcę Worotnikowa?

- Tak. - Kiwnęłam głową.

- No więc Nikołaj Michajłowicz Worotnikow to ojciec Lwa Nikołajewicza. Nikołaj Michajłowicz handlował walutą, został ujęty i rozstrzelany - wzdychając, wyjaśnił pułkownik. - Od dzieciństwa przed Lwem Nikołajewiczem otwierały się wspaniałe możliwości. W domu pełny luksus, kochający rodzice. W dodatku chłopak miał otwartą głowę, był zdolny i... nagle wszystko to zawaliło się w jednej chwili. Ojciec skazany na śmierć, matka umiera na zawał. Lwa nie przyjęto na staż, pomimo dyplomu z czerwonym paskiem, nie może też załatwić sobie przyzwoitej pracy, nie dostaje zgody na pisanie rozprawy doktorskiej, jest zmuszony siedzieć w laboratorium idioty, który ogłasza odkrycia Worotnikowa jako swoje. Z tej zapaści wychodzi dopiero po upadku reżimu komunistycznego. Lew Ni-kołajewicz przez większą część życia namiętnie marzył o zemście na tych, którzy pozbawili go wszystkiego i... się zemścił.

- Ale co ma do tego Lika!?! - wrzasnęłam. - No co? Przecież nie może mieć nic wspólnego z rozstrzelaniem Nikołaja Michajłowicza!

Diegtiarow zaczął skubać róg pledu, po czym, z nietypową dla niego nieśmiałością, zapytał Likę:

- Powiedzieć im?

- Tak - kiwnęła głową moja przyjaciółka - co tam! Mów!

- Ojciec Liki, Stiepan Iwanowicz Podujwietier, był wykonawcą wyroków.

- Kim? - Zbaraniałam.

- Człowiekiem, który rozstrzeliwał skazanych, a właściwie, jak wtedy mówiono, wykonywał najwyższy wymiar kary - odparł cicho Diegtiarow.

- W Rosji Radzieckiej takich ludzi było tylko kilku, jeździli po więzieniach i wykonywali wyroki. Wszystko, naturalnie, przeprowadzano ściśle tajnie.

- To niemożliwe - zaprotestowałam szeptem - czytałam, że robił to pluton żołnierzy, a tylko jeden miał broń nabitą prawdziwymi, nieślepyimi nabojami, żaden z nich nigdy nie wiedział, u którego w lufie znajduje się ostry pocisk!

- Bzdury - machnął ręką pułkownik - pracował jeden wykonawca. Przed wykonaniem wyroku starannie się przygotowywał, wyrabiał sobie opinię o skazanym i w końcu wierzył, że sąd wydał sprawiedliwy wyrok, po czym otrzymywał znakowaną broń.

- To prawda? - Kicia rzuciła się do Liki. Moja przyjaciółka uchyliła

się:

- Sama dowiedziałam się dopiero wczoraj, byłam przekonana, że tata był wojskowym, pułkownikiem, nie zastanawiałam się specjalnie, skąd mamy takie dobre zaopatrzenie i dlaczego ojciec stale jeździ w delegacje. Myślę, że mamusia też nie miała o tym pojęcia...

Chociaż... teraz już nic nie wiem!

Próbowałam uporządkować myśli. Stiepan Iwanowicz! Wesoły, ochoczo opowiadający niezbyt przyzwoite dowcipy, sympatyczny staruszek, częstujący mnie koniakiem, dobry dziadek, który kupił futro dla Kieszy. Tak lubiłam bywać u Liki w domu! Stiepan Iwanowicz zawsze cieszył się na mój widok, od razu wyjmował cukierki, kilka razy wspomógł mnie roztropnymi życiowymi radami ratował pieniędzmi. Boże! Cóż, za niezwykle obrót sprawy!

- Jesteś pewien? - spytałam z naciskiem Diegtiariowa.

- Absolutnie. - Pułkownik przytaknął skinieniem głowy. -No i to jest przyczyna, dla której, według Lwa Nikołajewicza, Lika miała zgnieć w więzieniu. Kiedy Worotnikow poznał prawdę, Stiepan Iwanowicz już nie żył. Ale oni bardzo-mocno pragnęli zemsty, do tego stopnia, że złość ich zupełnie zaślepiła, oni...

- Jacy znów „oni”? - zdziwiłam się. - Przecież mówimy o Lwie Nikołajewiczu!

Diegtiariow westchnął ciężko.

- Przecież jesteś mądrą kobietą, Daszutka.

- Nabijasz się, co? - obraziłam się.

- Nie, tym razem mówię całkiem serio. Czyżby nie rodziły się w twojej głowie naturalne w tej sytuacji pytania?

- Jakie?

- A skąd by Lew Nikołajewicz, który nigdy nie widział Liki, wiedział o tej kolorowej sukience, którą lubi nosić? Lika już dawno zmieniła nazwisko Podujwietier i zmieniała je tyle razy, że każdy urząd by się pogubił. Jak się dowiedział, że Lika jest córką Stiepana Iwanowicza? Dlaczego Lew Nikołajewicz przysyłał w twoim imieniu do aresztu śledczego i do obozu ptasie mleczko? Wiedział, że jesteście bliskimi przyjaciółkami. Od kogo?

- To on podsunał Lice ptasie mleczko, po którym biedaczka straciła rozum i rzuciła się na funkcjonariuszkę obozową? - dotarło do mnie z opóźnieniem.

- Aha. Ale skąd mógłby wiedzieć o waszej przyjaźni i o ulubionym przysmaku Liki? Kto mu opowiedział o jej ślubie? Kto w końcu skopiował na kolorowym ksero swoje zaproszenie, żeby Nastia mogła znaleźć się na weselu? Kto wysłał Lice ptasie mleczko, kiedy Lew Nikołajewicz był na kongresie?

- Lew Nikołajewicz miał współnika?

- Tak.

- To ktoś z naszych wspólnych przyjaciół! - olśniło mnie w końcu. Nagle Lika rozplakała się.

- To straszne, ale przecież nie jestem winna, nie miałam bladego pojęcia, co robił tata... A teraz Wierka sama siedzi w więzieniu...

- Wiera - szepnęłam. - Karapietowa... Jej rodzice...

- Wazgen Owanesowicz i Anastasja Siergiejewna Karapietowowie handlowali dolarami razem z Nikołajem Michajłowiczem Worotnikowem - wyjaśnił Diegtiariow - i podzielili ten sam los. Wszyscy dostali najwyższy wymiar kary i na wszystkich wyrok wykonał...

- ...Stiepan Iwanowicz Podujwietier - dokończyłam z przerażeniem. - Wierka bywała u Liki na urodzinach i Stiepan Iwanowicz nigdy nic nie dał jej poznać! Był życzliwy! Uśmiechał się do niej!

Zapadło milczenie, przerywane cichym pochlipywaniem Liki.

- W istocie sprawa jest jeszcze bardziej zagmatwana - powiedział Diegtiariow. - Po pierestrojce pojawiła się możliwość wglądu do akt skazanych krewnych; co prawda, nie wszystkim są udostępniane, ale Wierze Karapietowej udało się przejrzeć teczkę rodziców. Z materiałów dowiedziała się o Worotnikowie, odnalazła Lwa Nikołajewicza i pojechała do niego. Obydwoje płonęli żądzą zemsty na swoich katach, marzyli, by zmieść z powierzchni ziemi tych, którzy skazując

rodziców, pozbawili dzieci na długie lata normalnego życia, czyniąc z nich odszczepieńców. Ale Karapietowa dotarła do dokumentów dopiero w ubiegłym roku. Razem z Worotnikowem podjęli prawdziwe śledztwo i nic nie wskórali. Wszyscy już dawno nie żyją: śledczy, sędzia, prokurator, ławnicy... Upłynęło zbyt dużo czasu. W końcu Wierze udało się ustalić nazwisko wykonawcy wyroku. To było bardzo trudne, ale wpadła na pomysł, żeby szukać księgowości, i tam dotarła do dokumentów. Za każdą akcję wykonawca wyroku otrzymywał premię. Zresztą nie będę was zamęczał szczegółami, ale w lipcu Karapietowa dowiedziała się,

że strzały, które przerwały życie jej rodziców, padły z ręki... Stiepana Iwanowicza Podujwietra. Gdyby ojciec Liki nosił inne nazwisko, Wierę czekałyby żmudne poszukiwania kata, ale Podujwietier! Stiepan Iwanowicz!

Całą nienawiść, całą chęć zemsty skierowała teraz na Likę. Dopóki żyli rodzice, Wiera wiodła cudowne życie, ale potem wszystko się zmieniło. Świetnie pamiętała, jak przyjaciółka brylowała w nowym futrze, podczas gdy ona nie miała nawet jesionki, jak Likusia nie troszczyła się o pieniądze, bo te podsuwał jej tatuś, jak dostała wspaniałą posadę tłumacza, a ona, Wiera, zdolniejsza i bardziej odpowiedzialna, musiała stać w szkole pod tablicą... Tę listę można wydłużać w nieskończoność. Likę trzeba było skompromitować, skazać na długoletnią udrękę.

- Ale wydawało się, że Wiera jest życzliwie nastawiona do Liki - przerwałam Diegtiariowowi - przecież to ona ją poznała z Jewgienijem! Budowała szczęście przyjaciółki!

Pułkownik skrzywił się.

- No, tak w ogóle... to Wiera zazdrościła Lice całe życie. Miała satysfakcję, że znalazła dla niej partnera, bo dopóki Lika sama próbowała ułożyć sobie życie, nic jej z tego nie wychodziło, a kiedy wzięła się do tego Karapietowa, wszystko poszło jak po maśle. Ale weź pod uwagę, że kiedy Wiera organizowała szczęście Liki, jeszcze nie wiedziała o Stiepanie Iwanowiczu. Karapietowa wyswatała Likę i Jewgienija zimą, a do akt rodziców zajrzała wiosną i wtedy ogarnęła ją furia. I zdążyła wzniecić pożar w duszy Lwa Nikołajewicza.

- Zrozum, zemścimy się za naszych niewinnie zabitych rodziców - powtarzała profesorowi.

Worotnikow zresztą nie dał się długo prosić: sam pałał żądzą zemsty na Lice.

- Za co? - wyszeptała Likuszka. - Co ja mam z tym wspólnego?

Wszyscy milczeli, nikt nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

- Tak - ciągnął Diegtiariow - Lika rzeczywiście nie ma z tym nic wspólnego. Wyrok na Worotnikowie i Karapietowowych wykonał ktoś zupełnie inny.

- Jak to? - wykrzyknęła Mania. - Kto?

- Nie mam prawa podać wam nazwiska - rzekł Aleksander Michajłowicz - zresztą po co, ten człowiek już dawno nie żyje.

- Czyli że Stiepan Iwanowicz... - zapytała Kicia - ...nie ma nic wspólnego z tą sprawą?

- Nie - przerwał pułkownik - Podujwietier był odpowiedzialnym funkcjonariuszem, mającym nadzwyczajne pełnomocnictwa, karał przestępców, robił to nie raz i uważał swoją profesję za nadzwyczaj potrzebną społeczeństwu. W jego aktach osobowych były same podziękowania. Najwyraźniej miał wyjątkowo mocny system nerwowy, z reguły wykonawca wyroków mógł... eee... praktykować kilka lat, nie więcej, psychika nie wytrzymywała. Później takich ludzi z całym ceremoniałem wysyłano albo na emeryturę, albo przenoszono do innej służby, a Stiepan Iwanowicz przepracował długie lata, był bardzo ceniony, często nagradzany i odznaczany... Ale Wiera się pomyliła, pogubiła się w informacjach! Wyrok na jej rodziców został wykonany 25 stycznia, i tego też dnia Podujwietier otrzymał nagrodę pieniężną... Karapietowa nie jest profesjonalnym detektywem, tylko rozwścieczoną babą, w dodatku całe życie zazdrościła Lice, uważała ją za lenia i bałaganiarę, która niezasłużenie otrzymała wspaniałą pracę... Tak

więc nie miała cienia wątpliwości, że Stiepan Iwanowicz jest winowajcą!

- Ale się pomyliła - szepnęła Oksana - to potworne, straszne, po prostu nie do pojęcia!

Znów zapadła cisza, pełna napięcia, dławiąca.

- Zawiść połączona ze złością równa się katastrofie - podsumował po chwili Diegtiariow.

Epilog

Wiera Karapietowa trafiła do więzienia zamiast Liki, Lew Nikołajewicz znalazł się w areszcie. Śledztwo jest w toku. Karapietowa i Worotnikow ze wszystkich sił próbują pograżyć się nawzajem. Żal mi Wiery, los był dla niej okrutny - odebrał jej rodziców, szczęśliwą młodość, ale... ale co ma z tym wspólnego Lika? Jakie prawo do zemsty miała Karapietowa i Worotnikow? Przecież, jakkolwiek na to spojrzeć, ich rodzice złamali obowiązujące wówczas prawo i w jego świetle byli przestępcami. Rozumiem, że duszę Wiery i Lwa Nikołajewicza trawiła złość, ale nie mogę tego usprawiedliwić. W tej sprawie są jeszcze dwie ofiary: Asia i Nastia. Głupie, chciwe, dla pieniędzy gotowe na wszystko, małe idiotki, które zginęły jako pionki w cudzej grze. Kto pozwolił Karapietowej i Worotnikowowi dysponować ich życiem? Nie odpisałam na list - długie pismo, które przyszło z aresztu śledczego od Karapietowej - prawdę mówiąc, wyrzuciłam je, nie czytając. Może źle zrobiłam, ale tak jakoś wyszło. Ręce same podały kopertę razem z kartką, a kiedy się opamiętałam, było już za późno, podłoga była usłana strzępami papieru. Mam nadzieję, że Karapietowa i Worotnikow dostaną duże wyroki - walnie przysłużył się do tego Dima swoimi zeznaniami.

Poza tym jest wszystko po staremu. Kiciusia odchudza się, Diegtiariow zaczął biegać wokół domu w nadziei na zrzucenie zbędnych kilogramów; według mnie, to stracone zachody, gdyż po godzinie biegania Aleksander Michajłowicz kieruje się do salonu i z czystym sumieniem wypija kilka butelek piwa.

- Nic niewarte to uprawianie sportu - powiedział wczoraj, stając na wadze. - Staram się i staram, a efektów żadnych! Nawet przybrałem kilogram.

Miałam ochotę mu powiedzieć: „Powinieneś na zawsze pożegnać się z piwem”, ale ugryzłam się w język. W końcu jakie radości ma w swoim życiu pułkownik? Maruśka uparcie przygotowuje się do egzaminów na Akademię Weterynaryjną, Kieszka na całe dni znika w pracy, Ańka i Wańka psocą. Psy śpią pod pledami, koty wdzięczą się przed kominkiem, do miasta za chwilę zawita zima. Ja czytam kryminały. Z rzadka dzwoni do nas z Petersburga Lenka, by oznajmić: „Już całkiem niewiele czasu zostało do ferii, niedługo przyjadę, czekajcie na mnie”.

Grisza udał się do Włodzimierza. Kupiliśmy tam dla niego kawalerkę i załatwiliśmy mu pracę. Mam wielką nadzieję, że nasz kryminalista postara się pokonać swój nałóg kradzieży „drobiazgów za kopiejki”. Pod koniec grudnia kurier doręczył nam zaproszenia na ślub.

- Zwariować można! - Kicia aż podskoczyła. - Lika znów wychodzi za mąż!

- Za kogo? - Omal nie spadłam z krzesła z wrażenia.

- Tu jest tylko napisane: „Lika i Władimir zapraszają...” - odczytał Diegtiariow z zakłopotaniem.

Rzuciłam się do telefonu.

- Halo - zaświergotała Likuśka.

- Wybierasz się do USC?

- Tak!

- Zwariowałaś! - wyrwało mi się.

- Dlaczego? - Przyjaciółka się obraziła. - A co, nie wolno? Ugryzłam się w język, a potem wydusiłam:

- No... właściwie... to... wolno.

- Oczekuję was w pełnym zestawie - szczebiotała Lika. - Wołodia jest cudowny. Spodoba ci się!

- Nie bardzo chce mi się iść na to wesele - oznajmiła Kicia, widząc,

jak odkładałam słuchawkę.

- Nie mamy wyjścia - westchnął Kiesza - kupujemy kolejny serwis i w drogę. W końcu należy pogodzić się z tym, że Lika wpadła już w nałóg i ciągle wychodzi za męża!

W sobotę, trzymając przed sobą pudło z prezentem, weszliśmy do restauracji. Zarumieniona Lika, znów w białej sukni i koronkowym welonie, klasnęła:

- Serwis! To już dziesiąty z rzędu! Otworzymy sklep z naczyniami!

Kicia otworzyła usta, ale Lika już popędziła do innych gości.

- Słyszałaś? - rzekła obrażona Olga. - Serwis jej się nie podoba!

Nie trzeba tak często wychodzić za męża, to i prezenty będzie się dostawać bardziej oryginalne! A przecież, cudowna porcelana!

- Daj spokój - machnęła ręką Mania - zapas filiżanek z pewnością im się przyda! Przypomnij sobie, jak Lika uwielbia rozbijać naczynia o podłogę.

- Siadźmy już! - Diegtiarłow zatarł ręce. - Jeść mi się chce.

Usiedliśmy przy stole, każdy na swoim miejscu. „A ten Wołodia jest niczego sobie, nawet sympatyczny” - pomyślałam z nadzieją, że tym razem nic nie przytrafi się na weselu... Oksanka westchnęła głośno i spojrzała na mnie. Uśmiechnęłam się.

- Dobra, nie bój się, lepiej przesun mi sałatkę. Uroczystość toczyła się zgodnie z planem. Goście jedli, pili,

skandowali „gorzko”, grali w głupawe gierki, które rozkręcał

wodzirej, wręczali prezenty... Potem organizator imprezy oświadczył:

- Oddaję głos panu młodemu, Władimirowi.

Facet wstał, wznosił kielich, wyciągnął go w stronę Liki i oznajmił uroczystość:

- Najdroższa, chcę, żeby nasze życie było słodkie, a miłość mocna jak to wino! Wypij do dna.

Toast wydał mi się dziwny. Zwykle świeżo poślubieni małżonkowie nie wnoszą toastów za siebie, ale Lika chwyciła kieliszek i opróżniła go jednym haustem. Prawdę mówiąc, lubi wypić. Nie, nie jest alkoholiczka, nie leży pod stacją metra w kałuży i nie zbiera pod budkami z piwem butelek, po prostu lubi stan lekkiego rauszu.

- Gorzko - zaintonował wodzirej - gorzko!

- Gorzko! - podchwycili solidnie podpici goście.

Ale Władimir nie wziął żony w objęcia. Chwycił kielich, zajrzał do środka i nagle zapytał:

- A gdzie pierścionek?

- Jaki? - krzyknęła Lika.

- Tu był pierścień!

Obecni na sali zamilkli i z zainteresowaniem zaczęli przysłuchiwać się rozmowie.

- Jaki pierścień? - nie mogła zrozumieć Lika.

- Z brylantami - wyjaśnił Wołodia. - Dość dużymi, po kilka karatów.

- A skąd mógł się wziąć w winie? - pytała wciąż, nic nie pojmując, Lika.

- Sam go tam włożyłem.

- A to po co?

- Chciałem ci zrobić niespodziankę - wyjaśnił pan młody. - To prezent. Myślałem, że wypijesz i zobaczysz na dnie pierścionek. I gdzie on teraz jest? Ciekawe. Nie mógł przecież rozpuścić się w alkoholu? To niemożliwe.

Lika pobladła.

- O matko! Ja go połknęłam. Nad stołem przebiegł szmer.

- Połknęłaś? - Wołodia cofnął się. - Po co?

- Idiota! - krzyknęła Lika. - Kretyn! Kto tak robi? Do głowy mi nie przyszło, że na dnie kieliszka leży coś z biżuterii.

- A ja nie sądziłem, że przełykasz wszystko jak krokodyl, w całości, nie żując - odciął się Wołodia.

- Wina się nie żuje! - zdenerwowała się Lika.

- A tak przy okazji, to krokodyl bardzo dokładnie przeżuwa pożywienie - odezwał się nie w porę syn Oksanki, Denis. - Ja jako weterynarz...

- O Boże! - Lika złapała się za głowę. - Umieram! Szybko, wezwijcie lekarza, karetkę...

- Uspokój się - z naciskiem powiedziała Oksana - nie ma żadnych powodów do niepokoju, pierścionek jest malutki...

- Tam samych brylantów jest pięć karatów - oburzył się Władimir. - To najpiękniejszy, jaki można było znaleźć.

- Mimo wszystko jest niewielki - nie poddawała się Oksana. - Najpóźniej jutro wieczorem będziesz go miała z powrotem.

- W jaki sposób? - zainteresowała się trochę jednak ograniczona Lika.

- Mamo! - upomniał ją z wyrzutem syn Jura. - Siądź spokojnie na swoim miejscu.

- No, ale jak wydobędę pierścionek? - nie mogła się uspokoić panna młoda.

Maszka i Denis ukryli twarze w serwetkach, za wszelką cenę starając się nie roześmiać na głos.

- Jak? - dopytywała się Lika. - Jak? Skąd Oksana jest taka pewna, że odzyskam pierścionek bez pomocy chirurga?

- O Boże! - Oksana przewróciła oczami. - Niech jej ktoś wyjaśni!

- Wydalisz go z kałem - poinformował Wołodia. - Teraz już jasne?

Lika chwilę milczała, w końcu powiedziała zdecydowanie:

- Nigdy! Za nic w świecie!

- Nie rozumiem - powiedział Wołodia.

- Nie chcę pierścionka stamtąd!

- Ale tam są brylanty, pięć karatów.

- Mam to gdzieś.

- Zwariowałaś! Był bardzo drogi.

- Trudno, pójdzie na straty.

- Oszalałaś!

- Sam jesteś debil.

- Idiotka! - wrzasnął Władimir. - Rany boskie! Co za ludzie! Złowią złotą rybkę, to ją od razu ugotują.

- Kretyn! - natychmiast odparowała Lika. - Co za zwariowane pomysły przychodzą ci do głowy: pierścionek w kieliszku, zupa ze złotej rybki! Boże, za kogo ja wyszłam za męża!

Spojrzałam na Likę z zakłopotaniem. Chyba Władimir ma rację, moja przyjaciółka przez całe życie gotuje zupę ze wszystkich złotych rybek, jakie jej zsyła los. No i kiedy ta kobieta w końcu zacznie choć trochę myśleć głową?

Goście zamilkli, obawiając się, że za chwilę dojdzie między młodą parą do prawdziwej awantury, zerwałam się więc na równe nogi, ale uprzedził mnie wodzirej.

- Muzyka! - wrzasnął. - Wszyscy tańczą, lambada, macarena, chungo-changa, cza-cza-cza...

Ludzie wyszli tłumnie na środek sali, sama nawet pobiegłam, żeby trochę poskakać przy rytmicznych dźwiękach muzyki, które produkowało pięciu chłopaków, męczących w kącie na niewielkim podium instrumenty muzyczne. Po kilku minutach dołączyli do nas Władimir i Lika. Czule objęci, tańczyli koło okna walca. Westchnęłam z ulgą, dzięki Bogu, pogodzili się.

Kiedy goście znów zaczęli siadać przy stołach, podeszłam do Liki i szepnęłam:

- Nie złość się na Wołodię, daj spokój, chciał jak najlepiej! Lika wbiła we mnie wzrok i powiedziała:

- Teraz już nigdy nie będę się kłócić na weselach ze swoimi mężami! Dzięki Bogu, nabrałam doświadczenia!

Po czym najspokojniej w świecie usiadła przy stole na honorowym miejscu. Ja podreptałam na swoje. „Nigdy nie będę się kłócić na weselach ze swoimi mężami”. A więc mam rozumieć, że to małżeństwo nie jest ostatnie? No, bo co Lika miała na myśli? „Dzięki Bogu, nabrałam doświadczenia!”. O tak, doświadczenie - to wspaniała rzecz.

Doświadczenie to coś takiego, co pojawia się zaledwie w chwili po tym, kiedy było potrzebne.

KONIEC